



In Peace Lies Honor

MIDNIGHT MAYHEM #1

CZTERECH FACETÓW I ONA
złapanie w ich sidła



AMO JONES

AMO JONES

**IN PEACE
LIES HAVOC**

MIDNIGHT MAYHEM #1

**TŁUMACZENIE
DAWID ŚWIONDER**

OŚWIĘCIM 2022

Tytuł oryginału
In Peace Lies Havoc
Copyright © 2019 by Amo Jones
All rights reserved
Copyright © for Polish edition
Wydawnictwo NieZwykłe Zagraniczne
Oświęcim 2022
Wszelkie Prawa Zastrzeżone

Redakcja:
Alicja Chybińska
Korekta:
Magdalena Mieczkowska
Edyta Giersz
Redakcja techniczna:
Paulina Romanek
Projekt okładki:
Paulina Klimek

www.wydawnictwoniezwykle.pl

Numer ISBN: 978-83-8320-396-6

SPIS TREŚCI

Wstęp

Prolog

Rozdział 1

Rozdział 2

Rozdział 3

Rozdział 4

Rozdział 5

Rozdział 6

Rozdział 7

Rozdział 8

Rozdział 9

Rozdział 10

Rozdział 11

Rozdział 12

Rozdział 13

Rozdział 14

Rozdział 15

Rozdział 16

Rozdział 17

Rozdział 18

Rozdział 19

Rozdział 20

Rozdział 21

Rozdział 22

Rozdział 23

Rozdział 24

Rozdział 25

Rozdział 26

Rozdział 27

Rozdział 28

Rozdział 29

Rozdział 30

Rozdział 31

Rozdział 32

Rozdział 33

Rozdział 34

Rozdział 35

Rozdział 36

Rozdział 37

Rozdział 38

Rozdział 39

Rozdział 40

Rozdział 41

Rozdział 42

Epilog

Aftershow

Podziękowania

Przypisy

*Mojemu Koro, którego straciłam w tym roku – i który porwał mnie od
mojej matki, kiedy miałam dziewięć lat, kupił nam bilety do
Christchurch w Nowej Zelandii i po raz pierwszy w życiu zabrał mnie do
cyrku.*

To częściowo on ukształtował moją buntowniczą duszę.

Witamy w Midnight Mayhem.

Nie jesteśmy ani cyrkiem, ani wesołym miasteczkiem, a jedyne, czego powinniście się obawiać dzisiejszej nocy, to utrata własnego rozumu...

Wstęp

Trzydzieści lat temu poczułam zło. Przeniknęło mnie na wskroś, a jego woń wniknęła w moją duszę, tworząc niepokojącą mieszankę trucizn znaną jako Cień. Posługiwałam się tym zapachem, by wydobywać inne demony, ponieważ Cień stanowił najgorsze z najgorszych. Nie był po prostu mroczny czy nikczemny – był zwyczajnie obłąkany. W jego duszy na próżno szukać krzty dobra i iskierki światła. Dręczył mnie. Gdziekolwiek się znalazłam, on również tam był, aby mi przypomnieć, że nigdy nie będę wolna.

Zjawiał się w każdym ciemnym zaułku. Obserwował mnie, wyczekując. Czego? Nie miałam pojęcia. Ale właśnie miałam się dowiedzieć...

Prolog

Dove Noctem Hendry. Kapitanka zespołu cheerleaderek i, najwyraźniej, najpopularniejsza dziewczyna w liceum Charleston Academy. Wszystkich zaskoczyło to, jak szybko już jako dziecko zyskałam popularność w Eureka Springs w stanie Arkansas. Zamieszkaliśmy tu niedługo przed moimi jedenastymi urodzinami. I tuż po zdarzeniu. W domu nie poruszaliśmy jednak jego tematu. Moi rodzice i terapeuci, za których starzy bulili srogą kasę, uważali, że po prostu cierpię na zespół stresu pourazowego i wypieram wspomnienia. To wszystko, co wiedziałam o sobie – czyli niewiele. Jednak według jednak tej kroniki szkolnej byłam najpopularniejszą dziewczyną w szkole i nowoczesną baleriną. Tego typu pamiątki są dziwne. Zupełnie jakby miały nam przypominać, co moglibyśmy uznać za najgorsze lata naszego życia. Choć w moim przypadku nie było tak źle, a nawet całkiem nieźle. Po prostu ogólnie nie przepadałam za pamiątkami.

Z nostalgii wyrwało mnie pukanie do drzwi.

– Proszę! – krzyknęłam, zamykając księgę.

W progu stanął uśmiechnięty tata. Zdążył już nawet rozpiąć kołnierzyk.

– Chyba zamówimy sobie na kolację coś na wynos. Na co masz ochotę?

Zatrzepotałam rzęsami.

– Na tajszczyznę!

Wskazał ruchem głowy na korytarz.

– Tajszczyzna. Weź swoje balerinki z przedpokoju, zanim mama zacznie krzyczeć.

Mama narzekała na wszystko, a najbardziej uwielbiała narzekać na mnie. Przywykłam. Komuś, kto był hodowany przez zaniedbującą rodzicielkę, łatwo jest dostosować się do znieczulicy otaczającego świata.

Jej emocjonalna dezercja tak naprawdę ustabilizowała mnie w jakiś sposób i uczyniła silniejszą. Poza tym byłam w stu procentach córeczką tatusia.

Zszedłszy z łóżka, doskoczyłam do szafy, z której wyciągnęłam moje uggsy. Mama zajmowała się tylko siedzeniem w domu i pielęgnowaniem ogródka, natomiast tata interesował się politologią. Miał plany wystartować kiedyś w wyborach, pewnie wcześniej niż później.

Zeszłam po marmurowych schodach sprężystym, tanecznym krokiem, ponieważ recytowałam przy tym przyśpiewkę naszego zespołu – miałyśmy nadzieję, że dzięki niej zdobędziemy mistrzostwo kraju.

– No chodź, mała. – Tata przyciągnął mnie do siebie i pocałował w czubek głowy.

Mama z uśmiechem na twarzy otworzyła drzwi.

Wszystko wydarzyło się w okamgnieniu.

Bam! Bam! Bam!

Pamiętałam tylko, że tata wepchnął mnie za siebie, a mama krzyczała pełnym desperacji głosem. Rzuciliśmy się na podłogę. Tata osłonił mnie sobą, padając na mnie plecami.

– Uciekaj, Dove. Uciekaj!

Słowa utknęły mi w gardle, jakbym miała się nimi zakrztusić.

Nagle drzwi się otworzyły, a w nich pojawiło się czterech mężczyzn. Stali nieruchomo z wymierzoną w nas bronią. Twarze mieli zasłonięte czarnymi chustami. Normalnie wzięłabym ich za jakichś ulicznych oprychów polujących na łatwy hajs. Zorientowałam się jednak, że dwóch z nich miało na sobie garnitury.

Gość stojący na czele kiwnął głową.

Myślałam, że coś powie, ale wtem odezwał się mój tata:

– Zanim cokolwiek zrobicie, puście Dove...

Sprawiali wrażenie, jakby zastanawiali się nad swoim następnym krokiem. Rozmawiali o czymś po cichu między sobą.

– Dove... – Mój ojciec wsparł się na łokciu i spojrzał na mnie niebieskimi oczami, ciemnymi niczym głębia oceanu. – Uciekaj – mówił powoli. Półszepem, ale pewnie.

Pokręciłam głową. Nie chciałam go zostawiać. Nie w taki sposób. Nigdy.

– Ptaszynko... – błagał ze łzami w kącikach oczu. – Proszę.

Odepchnął mnie i natychmiast poczułam ciepłą ciecz przesiąkającą przez moje ubranie i klejącą mi się do brzucha. Jednocześnie do moich nozdrzy doleciał silny, metaliczny zapach krwi. Dobiegły mnie krzyki umierającej matki. Następnie usłyszałam jego głos, a potem – wszystko się urwało.

– Jeszcze się spotkamy, Dovey. Kiedy tylko się odezwiesz, kiedy tylko będziesz tańczyć, ja będę słuchał i patrzył. Będę cię obserwował przez cały czas... – Jego głos brzmiał młodo. Znacznie młodziej, niż sugerowałyby to ich wzrost i cienie.

Wtem dołączył do nich jeszcze jeden. Czułam, że jest starszy od pozostałych. Na głowie miał fedorę, której rondo rzucało cień na twarz, natomiast w ustach trzymał cygaro.

– Odejdź.

Czułam jego obecność w miejscach, w których nie powinnam jej czuć. W każdym kolejnym domu zastępczym, jakby czaił się w meblach i w powietrzu. Czułam ją nawet wtedy, kiedy byłam całkiem sama. Cień był wszędzie tam, gdzie byłam ja. Egzystował pomiędzy tym, co rzeczywiste, i wytworami mojej wyobraźni. Miałam wrażenie, że dręczył mnie przez całe moje życie. Najgorsze zaś w byciu dręczonym przez coś, czego się nie znało, była niewiedza odnośnie do tego, kiedy ta udręka się skończy.

Rozdział 1

Terazniejszość

Miałam czternaście lat, kiedy przestałam się łudzić, że świat stanie się dla mnie miłszy. Zamiast tego to ja nauczyłam się być twarda. Zrozumiałam, że nawet jeśli znajdę się pod ciemną chmurą, to wkrótce i tak wyjdzie zza niej słońce. Dorastając, powtarzałam sobie to jak mantrę. Musiałam sprowadzić wszystkie doświadczenia do tych prostych słów, żeby dać sobie siłę i utrwalić się w przekonaniu, że przetrwam. Nie mogę uznać tułania się po rodzinach zastępczych do uzyskania pełnoletniości za idealny sposób na życie, ale jestem optymistką. W moim odczuciu przynajmniej nigdy nie musiałam tak naprawdę polegać na kimś innym.

Nigdy.

Poza tym, pomimo mojej obecnej sytuacji, zdołałam wykształcić w sobie dość pozytywne podejście do życia. Kiedy skończyłam osiemnaście lat, wypłaciłam wszystkie swoje oszczędności z banku i pojechałam autostopem w tak zwane diabły, do miejsca, w którym nikt mnie nie zna i które większość ludzi nazywa Miami Beach. Jasne, że nie jest to najgorsze miasto do życia – w sumie to chyba jedno z moich ulubionych w ogóle – ale ostatecznie i tak zamierzam się stąd wynieść. Może przeniosę się na Wybrzeże Północno-Zachodnie albo gdzieś, gdzie będę miała okazję doświadczyć więcej minusowych temperatur. Bo wolę zimno od upału.

– Dove! – woła Richard zza kontuaru.

Pracuję w barze na obrzeżach miasta. Szczęśliwie nie mogę narzekać na napiwki, ponieważ większość jego klienteli to bogacze chcący po prostu poszastać forszą.

Unoszę brwi na znak, że go słucham. Podbiega do mnie z rękami w kieszeniach.

– Przepraszam. Ciągle zapominam o twoim problemie z komunikacją.

Jestem małomówna, ale dla większości to chyba równoznaczne z byciem niemową. Ludzie mają niesamowitą skłonność do przyklejania łatek osobom odstającym w jakiś sposób od normy. Potrafię mówić. Po prostu mam opory przed mówieniem tutaj, gdzie jestem nieustannie obserwowana, co wywołuje we mnie paraliżujący lęk. Wiedziałam, że praca tu nie będzie bezpieczna. Że ja nie będę bezpieczna.

„Kiedy tylko się odezwiesz, będę słuchał”. Przechodzi mnie dreszcz.

Zapinam skórzaną kurtkę aż pod szyję i chowam ręce do kieszeni, żeby nieco je ogrzać.

– Możesz przyjść jutro do pracy? Jules wzięła chorobowe. Zazwyczaj mamy dziewczyny na zastępstwo, ale jakoś nie mogłem się do żadnej dodzwonić.

Wzruszam ramionami i potakuję ruchem głowy.

– Jasne!

– Dobrze! – mamrocze Richard. – Doceniam to, Dove.

Patrzę, jak odchodzi, znikając w ciemnym pomieszczeniu. Promienie migających świateł stroboskopowych rozcinają mrok niczym ostrza mieczy świetlnych w *Gwiezdnych Wojnach*.

Prześlizguję się szybko przez niewielki tłum ku scenie, kierując się za kulisy.

– Dove! Hej, dziewczyno! – Natasha macha do mnie znad swojej toaletki, nakładając makijaż.

Kiwam do niej, a następnie ściągam ciuchy, aż zostaję w samych majtkach i staniku.

– Dzisiaj jesteś druga! – dodaje Tash i maluje delikatne usta krwistoczerwoną szminką.

Uśmiecham się. Zbieram swoje graty, które następnie układam na toalecie. Maluję się, po czym układam fryzurę, tak aby ona oraz makijaż wyglądały szałowo. Odchylam się i przeglądam w lustrze, wydymając usta i obnażając zęby. Moja skóra jest jedwabiście gładka, a włosy mają kolor głębokiej czerwieni. Początkowo dziewczyny zazdrościły mi cery pozbawionej jakichkolwiek piegów czy niedoskonałości. W odróżnieniu od większości rudzielców nie przypiekam się na słońcu, tylko normalnie opalam.

Spinam włosy na czubku głowy, żeby dokończyć makijaż. Podkreślam ciemnozielone oczy czarną kredką. Chichoczę przy tym, słysząc, jak siedząca obok mnie Tash zaczyna rapować. Robi tak każdego wieczoru w ramach rozgrzewki. Kocham ją, ale żal mi jej. Ma pięcioletnią córeczkę i gównianego męża. Wiem, że gdyby mogła, pracowałaby gdzie indziej. Podpytywałam ją nawet, dlaczego nie zmieni pracy, ale zbywała mnie tylko wzruszeniem ramion, jakby pogodziła się ze swoim losem.

To dość krępujące, a w dodatku nie jesteśmy aż tak bliskimi kumpelami, więc nie poruszam tego tematu ponownie.

Pół godziny później przychodzi moja kolej.

Wychodzę na scenę. Wszystkie światła zbiegają się w jeden snop skierowany na mnie. Chwytam rurę, a z głośników zaczyna lecieć *Voyeur Girl* Stephena. Zawsze się otwieram przy tej piosence. Mam ten rytm i słowa tak głęboko wryte w pamięci, że poruszam się do nich niemal bezwiednie, płynąc po parkiecie. Zatracam się w muzyce i pozwalam swojemu ciału wpaść w trans. Nie muszę się rozglądać, by wiedzieć, że na mnie patrzą. Zdaniem Tash zawsze najwięcej facetów przychodzi w czasie, kiedy wypada mój pokaz. Nie wiem, ile w tym prawdy, bo nigdy nie zwracam na nich uwagi. Zdaję sobie sprawę, że jestem ponadprzeciętna. Przez całe moje życie rodzice wydawali sporo kasy na to, żebym potrafiła odnaleźć się jako tancerka – pod względem kroków, temperamentu i sylwetki – w każdym gatunku muzycznym. Poza tym od zawsze miałam naturalny talent do tańca.

Szybuję nad sceną, obracając się na rurze. Przesuwam dłonią po brzuchu, ku górnej części ud. Pochyliłam się i rozchyłam szeroko kolana, po czym łączę je ponownie. Powoli otwieram oczy. Nie wiem dlaczego, bo nigdy tego nie robię. Zawsze trzymam powieki zaciśnięte, a wzrok skupiony na wyimaginowanych falistych wzorach, które moje ciało maluje ruchami na ciemnym płótnie. Unoszę wzrok, a moje spojrzenie pada na mężczyznę przy barze. Nie widzę jego twarzy, ponieważ ma na głowie kaptur skrywający jego rysy w cieniu. Opiera się o kontuar, siedząc z szeroko rozłożonymi kolanami. Choć go nie widzę, czuję go na sobie. Mam wrażenie, jakby pieścił mnie całą z każdym ruchem moich bioder. Przechodzą mnie dreszcze. Próbuje stłumić myśli wdzierające się do umysłu.

Piosenka zbliża się ku końcowi. Złana potem, macham zmysłowo długimi, rudymi włosami. Spoglądam znowu w miejsce, gdzie siedział ten gość – wciąż tam jest. Obserwuje mnie uważnie. Iskrząca między nami energia sprawia, że pozostali nikną w cieniu. Patrzę, jak końcówka jego papierosa żarzy się w ciemności niczym zapałka, wzywając mnie do niego, gdy zaciąga się nim raz za razem. Spowijająca go chmura dymu gęstnieje z każdym wydechem. *Dlaczego nie mogę oderwać wzroku?*

Chociaż dostrzegam tylko zarys jego oczu, czuję je na sobie. Kontakt wzrokowy to język, którego nikt nie jest w stanie opisać słowami, ale towarzysząca mu chemia pozwala nam go płynnie rozumieć. To język przeznaczenia. Dwie dusze nadające na tych samych falach bez wypowiedzania słów. Kiedy wybrzmiewa ostatni akord piosenki, kończę taniec i po chwili kieruję się za kulisy z myślą, by spróbować przyjrzeć mu się bliżej. *Temu mężczyźnie*. Jego sylwetkę otacza aura, przez którą wydaje się kusząco znajomy. A może to właśnie ów język, którego nikt nie jest w stanie rozszyfrować, tak na mnie działa – a ja nagle postanowiłam zapisać się na kurs.

– Hej, Dove! – słyszę głos Richa, który wrywa mnie z zamyślenia. Kiwa na mnie głową, a ja ruszam w stronę kontuaru.

– To co zwykle?

Rich to facet w średnim wieku z gęstą brodą. Ma dwie córeczki, które wychowuje samotnie. Były jeszcze bobasami, gdy jego żona zginęła w wypadku samochodowym. Jest też właścicielem tego baru. Większość ludzi spodziewałaby się, że gość prowadzący bar ze striptizem to jakiś desperat albo oblech, ale nie w tym przypadku. Kiedy kilka lat temu kupił to miejsce od poprzedniego właściciela, zamierzał przekształcić je w lokal dla motocyklistów – zgodnie ze swoją prawdziwą pasją. Od razu wyrzucił większość tancerek, ale razem z Tash wyjaśniłyśmy mu, jak bardzo potrzebowałyśmy tej pracy i napiwków. Jasne, mógł zatrudnić nas jako kelnerki, ale tych miał już komplet, bo obiecał pracującym tu wcześniej dziewczynom, że zachowają posady. Ostatecznie więc zatrzymał Tash, Vane i mnie, co okazało się doskonałym rozwiązaniem, ponieważ cała nasza trójka dość dobrze się dogadywała.

– Tak, poproszę – odpowiadam, rozglądając się po pomieszczeniu w poszukiwaniu Pana Tajemniczego.

Nie ma go.

Czuję lekki ucisk w sercu. Biorę więc wódkę z limonką i wodą gazowaną, po czym wypijam i przejeżdżam opuszką kciuka po wardze, by zetrzeć pozostałość drinka.

– Do jutra. – Przesuwam pustą szklankę w stronę Richa, który gładzi się po długiej, zaniedbanej brodzie.

– Jasne, maleńka.

Przechodzę na tył baru, do pomieszczeń dla personelu. Tam zakładam sięgający mi do kolan płaszcz i zapinam go. Z kieszeni wyciągam telefon wraz ze słuchawkami. Przeglądam Spotify, szukając jakiejś nowej piosenki. Może znajdę coś, do czego będę mogła się zmęczyć, gdy wrócę do swojej zapuszczonej nory. Kocham tańczyć. Taniec utrzymuje moją duszę przy życiu i daje mi energię, a muzyka sprawia, że wszystkie problemy znikają – przynajmniej na czas trwania piosenek.

Chwilę później, kiedy opuszczam bar tylnymi drzwiami, włączam jakiś losowy kawałek.

Słyszę, jak się za mną zamykają. Bawię się jeszcze przez moment telefonem i ruszam w kierunku przystanku autobusowego.

Nagle ktoś gwałtownie zasłania mi usta ręką, wywołując we mnie reakcję obronną: wyrywam sobie słuchawki z uszu i zaczynam wrzeszczeć i się szarpać, by się odwrócić. Ale uścisk, w jakim trzyma mnie to masywne ciało, jest zbyt mocy, bym mogła się wyrwać.

Czuję miękkie usta ocierające się o płatek mojego ucha. Ich ciepło rozchodzi się po mojej skórze.

– Radzę ci nie krzyczeć, jeśli chcesz się uwolnić, mała Dovey. – Kładzie mi na gardle drugą dłoń i zaciska wokół niego palce. – Inaczej mi stanie, a tego na pewno byś nie chciała.

Rozdział 2

Dove

Leżę na nieskazitelnej marmurowej posadzce. Moje ciało drży przy każdym oddechu. Pomieszczenie jest czyste, niemal sterylne, duże, na planie kwadratu, z kratą złożoną z metalowych prętów zamiast drzwi. Ze środka sufitu zwisa bogato zdobiony kryształowy żyrandol, a w tylnej części pokoju znajduje się pojedyncza toaleta i umywalka. Dręczy mnie wrażenie, jakby w mojej piersi płonął ogień. Jest mi zimno. Bardzo zimno. Mam gęsią skórę, a moją normalną opaleniznę zastąpiła upiorna bladość. Przesuwam palcem po leżących na podłodze okruszkach po ciastku, kreśląc liczbę dwadzieścia jeden.

Dwadzieścia jeden – tyle już tu jestem.

Mężczyźni, którzy przychodzą tu regularnie, zjawiają się czwórkami, ale dzisiejszego ranka gość siedzący naprzeciwko mnie jest sam. Widzę go po raz pierwszy i coś mi mówi, że nie bez powodu. Twarz ma skrytą pod czarną maską karnawałową z doczepionymi neonowymi światełkami: jego oczy wyglądają jak niebieskie krzyżyki. Przechyliła głowę, ale się nie odzywa. Prawie jakby badał mnie wzrokiem.

Czołgam się do tyłu. Nie chcę być tak blisko. Czuję go. Poczułam to już, gdy zbliżał się korytarzem. Jego gniew. Wrogość.

Podnosi leżący obok niego nóż. Z jego ostrza kapie krew na tę, jak dotąd, nieskazitelną podłogę. Przesuwa palcem po czerwonej cieczy, plamiąc swoją skórę. Nagle zrywa się na równe nogi, a ja podskakuję, przerażona tym, co może się za chwilę stać.

Jeden.

Dwa.

Trzy.

Cztery.

Cztery kroki i jest już przede mną. *Nie chcę tu być*. Całe moje ciało się trzęsie, a w głowie huczy. Dają nam jeść i pić, więc wiem, że to ze strachu.

Zaciskam mocno powieki, słysząc odbijający się echem od ścian dźwięk rozpinanego rozporaka. Zapach krwi staje się tym mocniejszy, im bardziej się do mnie zbliża.

Wyobrażam sobie siebie tańczącą. *Szczęśliwą*. W pointach zawiązanych wokół kostek unoszę ręce nad głowę i przystępuję do wykonania idealnej arabeski¹. Czuję na ustach dotyk gładkiej skóry. Nie muszę otwierać oczu, by wiedzieć, co to. Zaciskam szczęki, nie chcąc rozchylić warg, ale on chwyta mnie za włosy i szarpnięciem odchyła głowę do tyłu, aż moje oczy otwierają się bezwiednie. Przysuwa mi nóż do krtani. Krew kapie na mój obojczyk. Nie wiem, czy należy do mnie, czy do kogoś, kogo właśnie zabił.

Wciąż stawiam opór, więc napiera ostrzem mocniej – podobnie jak swoim kutasem na moje miękkie usta.

Gdy chęć przeżycia bierze nade mną górę, z oczu zaczynają płynąć łzy. Rozchyłam niechętnie wargi, a on wsuwa między nie swojego kutasa. Nigdy wcześniej mnie nie zgwałcono. Nigdy nie czułam się do niczego zmuszana. Coś się zmienia w człowieku, gdy zostaje wykorzystany. Jakby odebrali mu człowieczeństwo i zastąpili je swoim odorem.

Porusza kutasem w przód i w tył, wpychając mi go do gardła. Próbuję go ugryźć, zaciskając na nim zęby, ale on trzyma go tak głęboko, że odcina mi dopływ powietrza. Kiedy ma już dość użerania się ze mną, odpycha mnie do tyłu, po czym wchodzi na mnie, łapiąc mnie za cipkę. Wciska we mnie najpierw dwa palce, potem trzy, a następnie drugą ręką zdziera ze mnie koszulkę.

Z każdym pchnięciem palców odbiera mi kawałek duszy. Nie chcę jej z powrotem. Choć nie musiał wchodzić we mnie futem, żeby mnie zgwałcić, cieszę się, że mimo wszystko tego nie zrobił. To było coś innego. Miał jakiś powód, dla którego zbrukał mnie tylko palcami. Chciał przekazać w ten sposób jakąś wiadomość. A ja, niestety, miałam być posłańcem.

Kiedy wychodzi, zasypiam ze łzami wyschniętymi na policzkach. Śni mi się mój ojciec i to, jak nigdy nie było nam dane zjeść razem tej tajszczyzny.

W pomieszczeniu rozbrzmiewa czyjś szloch, pociąganie nosem i szuranie po podłodze.

– Wiesz, dlaczego nas porwali? – pyta ktoś nieznajomym głosem, ale nie zwracam na to uwagi.

Jest jedną z wielu, jedną z dwudziestu jeden, co czyni mnie dwudziestą drugą. Znowu zaczyna płakać. Korci mnie, żeby kazać jej się uciszyć, jednak się powstrzymuję. Jestem pewna, że łzy tylko nakręcają tych obłąkańców.

– Umiesz mówić? – słyszę tę samą dziewczynę.

Tak, umiem. Ale nie chcę odpowiadać na twoje żałosne wołania o pomoc. Dwadzieścia jeden dziewczyn płakało. Nic, co bym powiedziała albo zrobiła, cię nie pocieszy.

Pozostaję w bezruchu. Ścieram z posadzki poprzednio napisaną pośród okruszków liczbę i zastępuję ją nową: *dwadzieścia dwa*.

Siadam wreszcie, opierając się plecami o ścianę.

Dziewczyna spogląda mi w oczy. Jej są brązowe, takie same jak podłoga, na której siedzimy. Nadgarstki ma sine od kajdanów, którymi przypinają nas do ścian. Po plecach spływa mi woda ciekąca z pęknięcia w murze nad nami. Jest ładna. Jak wszystkie.

– Ładna jesteś – szepcze, odgarniając długie, brązowe włosy z twarzy. Na jej policzkach widać jasne ślady po łzach.

Nie odzywam się.

Przechyla głowę.

– Pewnie tu zginiemy. – Opiera się głową o ścianę i podciąga ku sobie długie nogi.

Chcę być dla niej miła. Powiedzieć, że może jej nie zabiją. Że nie wiem, co będzie po tym wszystkim. Ale nie wiem tego. *Nigdy nie wiem*. Przychodzą i odchodzą, a ja tu tkwię. Od dwudziestu jeden dziewczyn. Niektóre są tu dłużej, innej krócej. *Czas*. Już dawno straciłam rachubę. Słońce wschodzi i zachodzi, a mój świat pozostaje nieruchomy, ograniczony do tych czterech ścian, w których mnie zamknęto.

Przyglądam się uważnie tej nowej. Zdążyłam już zauważyć, że wszystkie łączy pewne podobieństwo: wiek. Na razie wiem tylko tyle.

– Zgaduję, że nie umiesz mówić. – Wzdycha, po czym kiwa głową.
– To nic. Nawet ma to sens. Nazywam się Rose. Mam dwadzieścia lat i do wczoraj byłam tancerką w... – Dostoczyłam gwałtownie do przodu z przymrużonymi oczami.

– Wow! – mamrocze, odsuwając się.

Nie winię jej. Pewnie wzięła mnie za jakąś wariatkę. Ale jak dotąd dziewczyny raczej ze mną nie rozmawiały. Przeważnie płakały. Krzyczały. Była też jedna, która chciała wydrapać kraty z drzwi, całkowicie zdzierając sobie przy tym paznokcie i brocząc krwią z palców. Żadna właściwie nie opowiedziała mi swojej historii. Czyżby wszystkie były tancerkami? Jak ja? Możliwe.

Rose patrzy mi głęboko w oczy, a wyraz jej twarzy odmienia się, jakby myślała sobie: „Rozumiesz mnie?”. Zapewne wydaje jej się, że skoro się nie odzywam, to pewnie nie znam angielskiego.

Potakuję skinieniem.

Oblizuje zeschnięte, popękane wargi.

– Dlaczego tak się poderwałaś? Jesteś w tym samym wieku co ja?

Kręcę głową.

– Nie? – mamrocze.

Kiwam.

Przewracam oczami, zmęczona już tym sposobem komunikacji. Chcę się odezwać. Otwieram usta. Mam już słowa na końcu języka, ale – jak zawsze, kiedy zmagam się z czymś, czego chcę uniknąć – dławię się i zamykam je z powrotem.

„Jesteś kaleką, Dove. Zawsze będziesz kaleką”. Wzdrygam się na wspomnienie głosu Cienia niosącego się echem w mojej głowie. Wszędzie mnie śledził. Budziłam się w nocy i mogłam przysiąc, że widzę go w ciemnym kącie mojego pokoju. Dokądkolwiek się udałam, czułam jego obecność. *Czy jest też tutaj?*

– Czekaj! – Rose przerywa moją wewnętrzną szarpaninę i nachyla się ku mnie. – Tancerka? Ty też byłaś tancerką?

Natychmiast unoszę głowę, pochłaniając wzrokiem dzielącą nas przestrzeń. Kiwam głową. Moje długie, rude włosy opadają na ramiona. Oblizuję spierzchnięte usta i próbuję wydobyć z siebie słowa, ale bez skutku. Jak zawsze. Nagle jednak się odzywam:

– Tak.

– Czeka! – Przykłada sobie dłoń do twarzy, żeby uciszyć samą siebie. – To ty mówisz?

Przygryzam wargę.

– Tak. Po prostu nie lubię mówić. I przychodzi mi to z większym trudem, kiedy dzieje się coś nieznanego i powodującego przerażenie. To moja reakcja obronna na strach. – Kręcę głową, uciszając się. Nie chcę, żeby odebrała mnie jako słabeusza.

Rose wydaje się rozumieć, ale nie sprawia wrażenia, że wie, o czym dokładnie mówię. Serce mi drży. Czy mogę ją polubić? Przecież ja nie lubię nikogo.

– Tańczyłam w klubie hip-hopowym. Dla kasy. Nie mam rodziny i byłam spłukana, więc musiałam z czegoś się utrzymać.

Rose jest piękna. Ma o kilka odcieni ciemniejszą skórę niż ja, choć nadal dość jasną. Widać wyraźnie, że jest częściowo Afroamerykanką. Kiedy się uśmiecha, obnaża proste, lśniące białe zęby.

– Wymienię kilka stylów tańca, a ty powiesz mi, który to twój, dobrze?

Kiwam, podekscytowana tą nowo odkrytą poszlaką.

Mierzy mnie wzrokiem od stóp do głów.

– Hmm, balet?

Nie ruszam się.

– Balet? – pyta uśmiechnięta. – Zgadłam?

Kręcę głową: *nie*. To znaczy, tak, w pewnym sensie. Zawiesiłam baletki na kołku dawno temu. Teraz nie tańczę już dla przyjemności. Tańczę, aby żyć. Dosłownie.

– Cholera. Byłam pewna, że wyglądasz na baletnicę.

Przewracam oczami na ten osąd.

– Już dobrze. – Zaczyna się śmiać. – Racja, to było słabe. Dobra, to może hip-hop?

Kręcę głową.

– Jazz?

Pudło.

Unosi jedną idealnie wypielęgnowaną brew.

– ...striptizerka?

Przełykam ślinę, wykrzywiając wargi. Potakuję skinieniem.

– Cholera! – Śmieje się. – Panienczka z dobrego domu okazuje się striptizerką. Widzę to w tobie. Masz aurę takiej przyszłej synowej z sekretem.

Gapię się na nią.

Ponownie cicho się śmieje.

– Przepraszam. Gadam, co mi ślina na język przyniesie.

Najwyraźniej.

– Długo tu jesteś?

Kładę palec na podłodze i piszę liczbę „dwadzieścia dwa”.

– Dwadzieścia dwie dziewczyny...

– Co się z nimi stało? – pyta. W jej oczach miga strach.

I słusznie.

Uśmiecham się do niej współczująco.

– Po prostu je zabrali. Nie wiem dokąd. Nigdy z żadną nie rozmawiałam, tak jak teraz z tobą.

– Ciekawe dokąd – szepcze Rose.

Nagle rozbrzmiewa tupot ciężkich butów i brzęk metalowych kluczy.

– Dwadzieścia dwa! – krzyczy jeden z mężczyzn.

Dolną połowę twarzy zasłaniają im chusty z wizerunkiem czaszki.

Jest ich czterech. Tych samych co zawsze, kiedy przychodzą po dziewczyny. Ubrani całkiem na czarno: jeansy, koszule, bluzy z kapturem i czapki zimowe. To oczywiste, że ukrywają swoją tożsamość. Odkąd jeden z nich mnie porwał ani razu nie widziałam niczego, co mogłoby ich jakoś zdradzić. Wzdrygam się na wspomnienie nieznanego intruza w neonowej masce. *Czy to jeden z tych czterech?* Zadaję sobie to pytanie, ale już na pierwszy rzut oka widzę, że są zbyt wysocy i masywni. Gwałciciel – bo tym właśnie jest – był chudy. Niższy.

Odpreżam się. Na razie.

Wyciągam rękę i łapię Rose za ramię. Nie chcę, by ją zabrali. Z jakiegoś powodu *lubię* Rose, a przecież ja nikogo nie lubię. Jakaś część mnie uczepiła się jej kurczowo. Moja dusza zareagowała na jej duszę tak, jakby były dawnymi przyjaciółkami, jakby znały się od zawsze, zanim jeszcze się urodziłyśmy.

Jeden z nich prycha. Odwraca głowę, by spojrzeć na drugiego, który przygląda mi się uważnie. Wpatruje się ciemnozielonymi

oczami w moje. Jest jak śmierć obleczona w grzech, próbująca skłonić mnie poprzez tortury, bym wyszła na spotkanie ze stwórcą.

Mrugam, przerywając kontakt wzrokowy. Rzadko się odzywają. Ta cisza jest jak milczenie przed burzą, która zjawia się nagle z ogromnym hukiem i ulewą.

Tym razem do środka wchodzi dwóch.

Coś jest nie tak. Zazwyczaj wchodzi tylko jeden, a pozostali czekają na zewnątrz. Ten z diablami oczami zbliża się do mnie. Czołgam się w tył, aż natrafiam plecami na zimną ścianę. Przyciągam kolana do piersi. Błyszczący żyrandol kołysze się jak wahadło zegara odliczającego dni i godziny do mojej śmierci. *Tik-tak, tik-tak.*

Przykłęka przede mną. Ulegam jego spojrzeniu jak w transie, aż krzyki Rose nikną w tle. Świat zostaje wessany przez mroczny wir. Jesteśmy tylko ja i on.

I te oczy.

Kieruje je na moje usta, a potem z powrotem na oczy. Z tej odległości widzę, że jest młody. Ma gładką skórę pod oczami i grube rzęsy, które poruszają się jak wachlarz z każdym mrugnięciem.

Jego dłoń ląduje na moim ramieniu. Podnosi mnie i stawia na nogach. Nie odrywając wzroku od moich źrenic, łapie mnie za górną część uda, tuż pod krótką spódniczką. Mam ją na sobie od momentu porwania. Ją i ażurowe pończochy.

Elegancja.

Ktoś stojący za nim się śmieje.

Chwieję się nagle. *Czy on też zamierza mnie zgwałcić?*

Ponownie kuca przede mną, ale cały czas utrzymuje kontakt wzrokowy. Serce wali mi jak młotem, a jego uderzenia rozchodzą się po mnie niczym fale wzburzonego oceanu. Wiedzie szorstką dłonią w dół mojego uda, przesuwając ją na łydkę. Jego dotyk razi mnie jak prądem. Sam dotyk mi nie przeszkadza; wywołuje znajome wrażenie. Opuszczam powieki. Moja pierś porusza się ciężko z każdym oddechem. Uczucie, jakie wzbudza jego skóra na moim ciele, jest nierealne – przywodzi na myśl błękitny płomień wykonujący piruety na śniegu. Wokół panuje cisza. *Dlaczego jest tak cicho?*

Dźwięk metalu upadającego na podłogę wrywa mnie z tego ośpienia. Czuję, że rozpiął mi kajdany, którymi byłam przykuta za kostkę do ściany, od kiedy mnie tu umieścili. Wzdrygam się i otwieram oczy. Kolejny, ubrany tak samo jak pierwszy, staje obok mężczyzny trzymającego Rose. Ta raczy mnie uśmieszkiem, unosząc idealnie wyregulowaną brew.

Rumienię się, zawstydzona, z jaką łatwością ten nieznajomy pobudził moje emocje.

W mgnieniu oka wstaje i nachyla się do mnie. Czuję niepodrabialny zapach jego wody kolońskiej: skóra i papieros zanurzone w miodzie, a następnie zaprawione ogniem.

– To jedyny raz, kiedy przed tobą uklęknę, mała Dovey.

Ma jedwabisty głos. Nęcaćo delikatny, ale jednocześnie na tyle silny, by owinąć się wokół mojej szyi i mnie udusić. Zanim mogę o czymkolwiek pomyśleć, chwytą mnie mocno za ramię i popycha do przodu, w stronę otwartych drzwi celi. Pozostali przyglądają się uważnie w milczeniu, gdy ich mijamy. Ten, który trzyma Rose, trąca tego, który mnie prowadzi.

– Odezwał się!

Odpowiada mu tylko spojrzeniem, po czym wszyscy ruszamy długim korytarzem. Mijamy celę za celą. Tupot ich wojskowych butów na marmurowej posadzce odbija się głośnie echem od ścian. Z każdym krokiem czuję coraz mocniejszy zapach słonej wody. Część pomieszczeń jest pusta, ale w niektórych są ludzie: nie tylko dziewczyny, ale i faceci. Wszystko dzieje się zbyt szybko, bym mogła rozrysować sobie w pamięci mapę – po chwili docieramy do celu i prowadzący mnie gość otwiera ciężkie, metalowe drzwi. Naszym oczom ukazuje się kolejny długi korytarz, tym razem węższy. Z sufitu zwisają żarówki, które kołyszą się, gdy idziemy. Wokół czuć zapach pleśni, a wilgoć napływa z tych wszystkich luksusowych pokoi, gdzie trzymają dziewczyny takie jak ja. Na końcu przechodzimy przez kolejne drzwi w jeszcze jeden, krótszy korytarz.

Zimno.

Jest mi tak zimno.

Wstrząsa mną dreszcz. Zdaje się, że im głębiej wchodzimy, tym niższa jest panująca wokół temperatura. Porywacz szarpnięciem otwiera kolejne drzwi i nagle znajdujemy się pośrodku dużego

pomieszczenia. Wewnątrz pracują z furją jakieś silniki, a zimno przeradza się w ukrop, od którego natychmiast oblewam się potem. To wtedy dociera do mnie ten zapach. Rybi smród zmieszany z odorem oleju napędowego. Grunt zaczyna kołysać nam się pod nogami.

– Nie pamiętam, żebym wchodziła na łódź... – mamrocze Rose pod nosem.

Chciałabym się z nią zgodzić. Ja też nie pamiętam niczego takiego. Nie pamiętam, kiedy tu trafiłam. Tylko moment, w którym się obudziłam.

Pytanie Rose pozostaje bez odpowiedzi. Prowadzą nas do przodu, po metalowych schodkach i na główny pokład. Kiedy wiatr owiewa mi twarz, zamieram, szcękając zębami. Wokół wielkiego jachtu kołyszącego się na falach rozciąga się bezkresny ocean.

Kieruję wzrok najpierw na mojego porywacza, a potem na Rose.

Chce coś powiedzieć, ale przerywa jej głośny warkot helikoptera rozcinający powietrze.

– Co tu się dzieje? – krzyczy.

Wywołując szaleńcze podmuchy wiatru, śmigłowiec zniża się powoli na znajdujące się w części dziobowej jachtu lądowisko, na którym znajduje się czarna, siedmioramienna gwiazda z migającymi w każdym jej rogu światłami.

Kiedy otwierają się drzwiczki, robię krok w tył. Patrzą, jak wszyscy, jeden po drugim, zdejmują chusty.

Czterej goście.

Czterej bardzo młodzi goście, zapewne w moim wieku, może trochę starsi. Przyglądam im się uważnie.

Ten rozdrażniony, który wziął się na mnie, ma gęste brązowe włosy. Sprawiają wrażenie naturalnie zmierzwionych, jakby miał gdzieś, jak się prezentują. Jego oczy są niczym ciemny jodeł, a skóra tak nieskazitelna, że aż wzbudza we mnie niepokój. Po barkach i rękach widać wyraźnie, z jakim zaangażowaniem trenuje na siłowni. Ja mam metr sześćdziesiąt dwa wzrostu, a on musi być o co najmniej trzydzieści centymetrów wyższy. Postanowiłam, że dopóki nie poznam jego imienia, będę nazywać go „Pierwszy”. Drugi – sądząc po uśmiešku, jakim raczy Pierwszego – ma chyba najbardziej niewyparzoną gębę z całej czwórki. Jego rozczochrane

włosy są koloru ciemnobrązowego, a jasnoniebieskie oczy iskrzą szelmowsko. Ich kolor przypomina mi morski lód. Nie miałam z Drugim zbyt wiele do czynienia, więc nie wiem, jaki jest.

Trzeci ma czarne włosy i sprawia wrażenie groźnego. Wygląda, jakby nudził go sam fakt istnienia innych ludzi; jakby to, że oddychamy tym samym powietrzem, było dla niego obrażą. Ma ostro zarysowaną szczękę, prosty nos i podbródek z dołkiem.

Ostatni patrzy na mnie. Jego oczy mają barwę whisky i pewnie uważa, że kobiety są go spragnione. Kwadratową szczękę dopełniają spore usta, a spod ubrania wystają mu tatuaże sięgające obojczyków i szyi. Nie można odmówić mu piękna, podobnie jak pozostałym, a zwłaszcza Pierwszemu. Moje ciało reaguje na niego jak na nikogo wcześniej. Przekazuje wiele, nie wypowiadając przy tym żadnych słów.

Pierwszy ciągnie mnie za ramię w stronę helikoptera, czym wrywa mnie z rozmyślań. Wszyscy są wysocy, ale on jest z nich najwyższy. Wszyscy są też smukli, natomiast Czwarty jest najbardziej umięśniony.

– Właż! – Pierwszy wskazuje schodki prowadzącego do lśniącego, czarnego helikoptera.

Wykonuję polecenie. Nie żebym miała jakiś wybór.

– Jeśli jeszcze się nie domyśliłaś, to jest twoja ostatnia deska ratunku.

Staram się mu nie przyglądać zbyt długo, bo – no cóż – jest przystojny. O ile można w ogóle tak powiedzieć o kimś takim jak on. Bycie przystojnym i bycie strasznym dzieli cienka linia, po której Pierwszy sprawnie lawiruje. Nie chodzi tylko o jego wygląd, lecz także o sposób bycia i to, jak przewodzi innym. Gdy widzi się prawdziwego samca alfy, od razu się go poznaje. Nie muszą gryźć, ponieważ samo ich szczeknięcie przypomina bardziej ryk – przerażający na tyle, by odstraszyć każdego, kto się zbliży.

Rose patrzy na Pierwszego, zajmując miejsce naprzeciwko mnie.

– Jeśli jeszcze się nie domyśliłeś, to ona jest małomówna – odzywa się.

Pierwszy dołącza do nas w helikopterze.

– Zakładasz, że tego nie wiem – odpowiada, trzymając w dłoni telefon.

Kieruje swoją uwagę na mnie. Gdy tylko pozostali trzej zajmują miejsca, wzbijamy się w powietrze. Pierwszy otwiera telefon, a wewnątrz zapada długie milczenie.

Lądujemy na lądowisku umiejscowionym pośrodku rozległego pola. Ma ono taką samą siedmioramienną gwiazdę jak ta na jachcie. *Ciekawe*. Dookoła rosną duże, zielone krzewy, skutecznie zasłaniające widok na gigantyczną posiadłość, której zarys zauważam podczas lądowania. Kiedy znajdujemy się już na ziemi, Pierwszy otwiera drzwiczki, a ja wychodzę tuż za nim.

Patrzy na mnie i Rose spokojnym wzrokiem.

– Będziecie wykonywać dokładnie moje polecenia?

Drugi śmieje się pod nosem, oblizując usta, i staje obok Pierwszego.

– Myślisz, że mają to w sobie?

Pierwszy spogląda na mnie.

– Nie.

Rose łapie mnie za rękę, ściskam więc lekko jej dłoń. Niewielkie to pocieszenie, ale przynajmniej wiem, że jest ze mną. Nawet nieznajomy może wypełnić wewnętrzną pustkę wywołaną przerażeniem. Cieszę się, że jest tu ze mną.

Trzeci i Czwarty idą za nami.

– Odpowiedzcie... – naciska Pierwszy, rzucając nam surowe spojrzenie. – Będziecie wykonywać polecenia?

– Tak – odpowiada z sykiem Rose.

Z kolejnym krokiem naprzód orientuję się, że zbliża się do mnie. Jego cień rozpościera się przede mną jak parasol.

– Dovey, jeśli nie będziesz przestrzegać zasad, które zostaną ci przedstawione, poniesiesz konsekwencje.

Nie odpowiadam. Wiodę wzrokiem po trawie, jakbym czegoś szukała. *Czegokolwiek*. Może słów, które gromadzą mi się na końcu języka i którymi mogłabym zranić go w policzek.

Wzdrygam się, kiedy chwyta mnie za brodę, by zmusić do spojrzenia na niego. Nie lubię być dotykana. Góruje nade mną, muszę odchylić głowę w tył, by zobaczyć jego oczy. Zielone, jak moje, tylko w innym odcieniu. Dwoje ludzi, dwie zupełnie inne dusze.

– Rozumiesz?

Nie rozumiem, ale mimo wszystko potakuję skinieniem. Pierwszy i Drugi ruszają znowu, idąc przede mną i Rose, a Trzeci oraz Czwarty poruszają się tuż za nami. Opuszczamy przesiekę, na której znajduje się lądowisko. Słońce chyli się za horyzont, nadając niebu ogniście pomarańczowej barwy.

– Co tu się dzieje... – mamrocze Rose, na co mocniej ściskam jej dłoń.

Pierwszy i Drugi prowadzą nas przez gęste zarośla. Kiedy wychodzimy spomiędzy zieleni, dobiega nas głośna muzyka. Natychmiast wędruję myślami do klubu. Chwieję się nieco na nogach. Z głośników leci Eminem, a całe podwórze za domem zastawione jest sprzętem, jakiego nigdy w życiu nie widziałam. Wszędzie krzątają się ludzie – pewnie pracownicy. Pierwszy i Drugi zatrzymują się, po czym odwracają do mnie.

Ogrody otaczają starannie przycięte żywopłoty. Po lewej natomiast dostrzegam wielki basen. Sprzęt znajduje się na drugim końcu podwórza: rury, wielka, kwadratowa klatka zdolna pomieścić kilka osób oraz zdemontowany czarno-srebrny namiot z ozdobami w kształcie lilii. Domostwo posiada obszerny taras, na którym stoi rzeźba z bloku skalnego przedstawiająca nagą kobietę i mężczyznę w objęciach. Otacza ich fontanna. Wokół ustawiono liczne krzesła i stoły. Z racji wiktoriańskiego stylu architektury całość prezentuje się iście europejsko. Mech rosnący w szparach między kamieniami przypomina mi nieco oczy pewnej osoby.

– Co się dzieje? – powtarza Rose, zwracając się bezpośrednio do Pierwszego. Nawet ona wie, kto przewodzi tej watasze.

– Ach, Rose Kinnish i Dove Hendry. Tak długo czekałam, by was poznać... – Ktoś odzywa się za nami łagodnym głosem.

Odwracam się szybko, by przyjrzeć się nieznajomej.

Długie nogi przechodzą w podłużny tułów zwieńczony niewielką głową o drobnej twarzy. Ma krótkie, czarne włosy i małe jak paciorki oczy. Co nie zmienia faktu, że może być piękna. Podkreślam: *może*, ponieważ ma w sobie coś, co bruka to piękno. Coś mrocznego i złowieszczonego. Nad jej ustami znajduje się niewielka blizna w kształcie półksiężyca, która ciągnie się na jej wargę.

Przygląda mi się uważnie.

– Poznałyście już Braci Kiznitch. – Wskazuje stojącą wokół nas czwórkę, po czym wkłada do ust papierosa i zapala go.

Gestem ręki pokazuje Pierwszego.

– Kingston – przedstawia

Kingston.

Następnie Drugiego

– Killian.

Trzeciego

– Kyrin.

I wreszcie Czwartego

– Keaton – dokonuje prezentacji, po czym pyta: – Powiedzcie mi – wydmuchuje dym – jak myślicie, dlaczego tu jesteście?

Rzuca papierosa na trawę i przydeptuje go czerwonym czółenkiem. Robi krok do przodu.

Korci mnie, by się cofnąć, ale się powstrzymuję. Nie odpowiadamy, na co reaguje lekkim uśmieszkiem.

– Dla ciebie to będzie interesujące – zwraca się do Rose. – Ale dla ciebie nie bardzo – dodaje, patrząc na mnie.

– Dlaczego nam to mówisz? – przerywa jej Rose.

Rzuca jej spojrzenie.

– Chciałabyś wiedzieć, prawda? – ciągnie dalej. – Organizuję spektakle, w których występują tylko najlepsi z najlepszych. Różnimy się jednak od innych tego typu przedsięwzięć, jeśli chodzi o sposób doboru naszych wykonawców. Otóż wybieram osoby zepsute i stracone pod względem charakteru, ale o idealnej budowie ciała. – Kieruje wzrok na Kingstona. – Bądź po prostu pozbawione emocji. Zbieram maszyny, nie ludzi, a następnie przekształcam je w przynoszące zysk marionetki.

Chcę powiedzieć, że nie jestem marionetką. Chcę powiedzieć tak wiele. Pot ścieka mi po boku głowy, podczas gdy słowa gromadzą się w moich ustach, jakby miały się za chwilę wysypać. Nie jestem jednak w stanie zebrać się w sobie na tyle, by je wypowiedzieć i zamiast tego moje szczęki zaciskają się jak pułapka na niedźwiedzie.

– Nie macie wyboru. Pójdziecie z nami i będziecie tańczyć. – Obrzuca nas spojrzeniem. – Zapłacę wam. Ale w zamian nie powiecie nikomu, co się tu dzieje. Wraz z zawarciem umowy stajecie

się własnością Midnight Mayhem. Nigdy nie odejdziecie. Nie ma takiej możliwości. – Znów mierzy nas wzrokiem. – Rozumiecie? Nie możecie mieć życia poza Midnight Mayhem.

Rose robi głęboki wdech. Midnight Mayhem? Co to jest?

– Wiem, kim jesteście.

Kobieta spogląda teraz wprost na Rose i dotyka jej policzka idealnie wystylizowanym akrylowym paznokciem w kształcie trumienki.

– Cukiereczku. Nie znasz mnie. Jestem Delila Patrova. Tylko od ciebie zależy, czy będę twoją najlepszą przyjaciółką, czy najgorszym koszmarem. Decyzja zawsze należy do ciebie.

Kingston obejmuje ręką Delilę i przyciąga do siebie, nachylając się do niej. Szepcze jej coś do ucha, a jej oczy skupiają się na mnie. W otchłani jej pustych źrenic zapala się iskierka zainteresowania.

– Czyżby... – Stoi i przesuwając dłoń po swoich perfekcyjnie wyprasowanych spodniach. – Dove Noctem. Twoje szkolenie rozpocznie się później. Możesz więc odpocząć i zapoznać się z miejscem. – Pstryka palcami. – No! Czy któraś z was wyraża sprzeciw?

– A jeśli tak, to co się stanie? – Rose rzuca Delili wyzywające spojrzenie.

Aura wokół nas nagle się zmienia. Wraz z podmuchem wiatru zimne powietrze wypełnia się czarną magią. Delila uśmiecha się słodko.

– Cóż, obawiam się, że wtedy nie będziecie nam do niczego potrzebne... – Udaje zamyślenie nad tym, co powiedziała. – Właściwie to nikomu już nie będziecie do niczego potrzebne...

Rose ściska moją rękę, a ja jej.

Zamknij się, zanim nas przez ciebie zabiją.

– Zadam wam teraz pytanie... – Kingston występuje przed Delilę.

Przyglądam się z fascynacją, jak ona cofa się, pozwalając mu zdominować rozmowę.

– Czy zgadzacie się podporządkować wasze życie Midnight Mayhem? Nie mam ochoty brudzić sobie dziś rąk krwią, ale jeśli będę musiał, to to zrobię.

Przygryzam dolną wargę, rozważając możliwości.

Nie mam żadnych.

Potakuję skinieniem, ściskając dłoń Rose, żeby zrobiła to samo.

– Skąd mamy wiedzieć, że i tak nas nie zabijecie? – warczy Rose.

Kingston spogląda na nią surowo.

– Nigdy nie powiedziałem, że tego nie zrobimy. Ale nie macie wielkiego wyboru, prawda?

– Dobrze. Dość tego. Za cztery dni ruszamy w drogę. Dziewczyny, musicie... – mierzy nas wzrokiem od stóp do głów – wybrać się na zakupy. Dam wam zaliczkę. Inaczej Midnight pożre was żywcem. – Cmoka. – Kill, zaprowadź je do ich pokoju.

Rozdział 3

Dove

Killian otwiera drzwi i daje nam znać gestem ręki, byśmy weszły do środka. W pokoju znajdują się dwa łóżka, z czego to większe przykryte jest miękką, różową narzutą wykonaną z bawełny. Pomieszczenie jest przestronniejsze niż typowy salon.

– Zazwyczaj umieszczamy nowicjuszy w osobnych pokojach, żeby uniemożliwić im knucie i ucieczkę – odzywa się po raz pierwszy Killian. Stoi oparty o framugę, wpatrując się we mnie ponuro. – Coś mi jednak mówi, że naszej gołąbeczce podcięto skrzydełka.

Mówi to takim aroganckim tonem, że zaciskam zęby. *Drań*. Prostuje się i wskazuje ręką dalszą część korytarza.

– Niektórzy z nas wracają tutaj, gdy nie jesteśmy w trasie. Jest tu dwadzieścia siedem sypialni, basen na zewnątrz i wewnątrz, prywatne SPA, boisko do koszykówki, sala gimnastyczna, kino, garaż i pewnie coś jeszcze, o czym zapomniałem. Teren posiadłości to kilkaset akrów, na których mieszka we własnych domach cała ekipa. Innymi słowy... – Na jego twarzy maluje się głupawy uśmiešek. – Lepiej nie zapuszczajcie się za daleko. Nigdy nie wiadomo, dokąd traficie. – Znika za drzwiami, pozostawiając nas w szoku.

– Kurwa – wzdycha Rose i siada na łóżku umiejscowionym naprzeciwko mojego. Wypuszcza powietrze z płuc, spoglądając mi w oczy. – Mamy przejebane.

Przesuwam językiem po wargach i podchodzę do łóżka, które Killian wskazał jako moje. Padam na miękką kołdrę, odtwarzając w pamięci wszystko, co zdarzyło się do tej pory.

– Co o tym myślisz? – pyta Rose, po czym zdejmuje buty i przeczesuje palcami swoje brudne włosy.

Ludzie pozamykani w celach z kryształowymi żyrandolami, przerażający mężczyźni w maskach.

– Chyba jeszcze nie wiem – *kłamię*. Doskonale wiem, jak się z tym wszystkim czuję. Czuję się jak ktoś, kto mógł zostać zamordowany lub sprzedany handlarzom żywym towarem.

Przypominają mi się słowa ojca, które zawsze powtarzał: „W życiu nie zawsze będziesz mieć to, czego zapragniesz, Dovey. Czasami spotkają cię przykrości, przez które będziesz żałować, że nie można cofnąć czasu. W takich sytuacjach musisz po prostu przeć dalej i nie oglądać się za siebie”. I właśnie w takiej sytuacji się znajduję.

– Muszę się wykąpać – odpowiada Rose, po czym znika za jednymi z licznych drzwi.

Wykorzystuję ten czas, żeby rozejrzeć się dookoła. Ja też muszę się wykąpać – nie pamiętam już, kiedy ostatni raz to robiłam. Dwadzieścia dwie dziewczyny. Moje ciało sprawia jednak wrażenie przyspawanego do łóżka i nie jestem w stanie się poruszyć. Niby fizycznie jestem wolna (chyba), ale mentalnie odnoszę wrażenie, jakby moje kajdany zacisnęły się jeszcze bardziej.

Zamykam oczy.

Jordanowie byli pierwszą rodziną zastępczą, która mnie przyjęła. Byłam im wdzięczna, ponieważ pozwalali mi robić to, co kocham – chociażby zaaprobowali taniec. W śródmieściu Phoenix, na rogu Beacon Street, mieścił się stary klub tańca. Chodziłam tam w każdy piątek. Budynek miał już swoje lata i był w kiepskim stanie, ale nie z powodu zaniedbania właścicielki. Po prostu brakowało jej funduszy na utrzymanie go. Ilekroć tam trenowałam, obserwowała mnie z ogromną pasją w oczach... Łatwo było się domyślić, dlaczego nie chciała zamknąć klubu – pragnęła podziwiać sztukę tańca.

Pewnego razu wracałam na przystanek z wieczornych zajęć. Przeglądałam muzykę na iPodzie, gdy nagle poczułam jego obecność. Zatrzymałam się. Moje palce zacisnęły się na odtwarzaczu, a skronie oblał pot. Powoli uniosłam wzrok, wyciągając słuchawki z uszu.

Zorientowawszy się, że stoi za mną, całkowicie zamarłam. Czulałam na karku jego oddech.

– Wrócimy po ciebie, Ptaszynko. – Cień naparł na mnie, przywierając piersią do moich pleców. – Zawsze będę po ciebie wracał.

Wciążam gwałtownie powietrze. Jego głos wydaje mi się jakiś znajomy. Czyżbym go znała?

Im częściej odtwarzam sobie jego słowa w pamięci, tym bardziej jego ton wydaje mi się bliski. A może słyszałam go już tyle razy, że podświadomie odbieram go jako kogoś znajomego?

Rose kończy kąpiel i wychodzi z łazienki, dzięki czemu teraz ja mogę ją zająć. Gdy zrzucam z siebie brudne ubranie, nachodzi mnie myśl. Nie sądziłam, że jeszcze kiedyś je z siebie zdejmę. Zaczęłam traktować je jak drugą skórę, która gnije, przenikając przez pory aż do kości i zostawiając po sobie zapach stęchlizny.

Przed napełnieniem wanny przemywam ją pośpiesznie. Na niewielkim stoliku obok leżą delikatne mydła, miedziana miska wypełniona kulami i solami do kąpieli, a na szafce dostrzegam gigantyczną szklaną butelkę perfum Chanel Chance. Śnieżnobiały kolor ścian stanowi zupełne przeciwieństwo ludzi, którzy tu mieszkają. Kafelki natomiast przykuwają uwagę głęboką mahoniową czerwienią. Ciekawy dobór barw. Pasuje do bogatego wystroju całego domu, a jednocześnie buduje w nim wyrafinowany klimat.

Wrzucam jedną z kul do wody, obserwując, jak musuje. Pomieszczenie natychmiast wypełnia się słodkim aromatem, który sprawia, że wzdycham z ulgą. Pospiesznie wchodzę do wanny i wzdrygam się, gdy gorąca woda zmywa ze mnie grzechy. Czuję jej parzące ukłucia na całej powierzchni skóry. Zanurzam się w ciepłe, tak że tylko moje włosy unoszą się swobodnie na powierzchni. Świat wokół milknie. Pod wodą zawsze jest tak cicho. Jakby można było odciąć się od świata i zostać sam na sam z własnymi myślami.

Nie wiem jednak, czy mam ochotę się z nimi mierzyć.

Wynurzam się, ścierając wilgoć z twarzy. Przecieram oczy i nagle wzdrygam się na widok Kingstona. Opiera się o drugi koniec wanny i wpatruje we mnie.

Powinnam krzyczeć.

Chcę krzyczeć.

Nie mogę krzyczeć. Zamiast tego zanurzam się nieco głębiej w nadziei, że fioletowy barwnik kuli kąpielowej zakryje te części mojego ciała, których nie chcę mu pokazywać.

– Ach... – odchrząkuję, próbując wypowiedzieć coś w rodzaju: *co ty tu, kurwa, robisz*, ale tak, by nie sprowokować go do zabicia mnie.

Zaciska mocno zęby. Widzę wyraźnie, jak mięśnie jego twarzy się naprężają. Jego oczy są ciemne i ponure. Czuję się przez niego

całkowicie zastraszona.

– Mogę ci w czymś pomóc?

Mogę ci w czymś pomóc... Odzywam się do niego po raz pierwszy i jedyne, co jestem w stanie z siebie wydusić, to: „czy mogę ci w czymś pomóc”.

Jego górna warga delikatnie się zaokrągliła. Kieruje wzrok na dolną część mojego ciała.

– Jeszcze nie wiem.

– Co tu robisz? – Zaciskam mocno uda z czysto paranoicznego przekonania, że widzi moją intymność przez zabarwioną wodę.

Patrzy na mnie, ale już nie tym martwym spojrzeniem, którym raczył mnie jeszcze kilka sekund temu.

– Jak masz na imię?

– Co? – wysapuję, zaskoczona jego pytaniem.

– Jak masz na imię? – powtarza, nie zmieniając wyrazu twarzy.

– Dove?

Po długiej chwili milczenia wstaje. Kiedy przechodzi obok mnie, mam wrażenie, jakby czas zwolnił. Jego zapach wypiera słodką woń mojej kąpieli.

– Nie rozumiem.

Zatrzymuje się tuż obok, a ja zerkam na niego. Studiuję mnie uważnie, ale nie pojmuję, jaki ma w tym cel.

– Dobrze. Dove? Zamykaj, kurwa, drzwi, kiedy wchodzisz do łazienki.

Następnie znika. Zanurzam się głębiej, obserwując, jak ciepła woda nakrywa moje ciało.

Nie wiem, czy za dużo sobie wyobrażam, czy moje przeczucia co do Kingstona są słuszne. Być może to przez moje dawne traumy, które grożą teraz dojściem do głosu. Kiedy byłam małą dziewczynką, gonił za mną Cień. Jakiś byt. A ja zamiast jednak wyjść na słońce i poczuć ciepło jego promieni na skórze, pozostałam w ciemności. Ten Cień zrujnował we mnie wszelką nadzieję na ujrzanie światła.

Rozdział 4

Dove

Wraz z Rose wybrałyśmy się na zakupy dzięki „zaliczce” od Delili. Spędziłyśmy kilka długich godzin w centrum handlowym położonym najbliżej posiadłości, a teraz znajdujemy się w namiocie, w którym rozgrzewamy się i rozciągamy. Od rana pilnuje nas ochroniarz. Wcześniej łąził wszędzie za nami i bez słowa wskazywał drogę. Co jakiś czas komunikował się chyba z przełożonymi, by następnie pokierować nas do kolejnego miejsca na naszej trasie. Odpowiada mi to, bo inaczej zapewne wałęsałybyśmy się bez celu, oby jednak nie towarzyszył nam już zawsze.

Kiedy Delila powiedziała, że na razie nie będę musiała brać udziału w spektaklach, myślałam, że to samo tyczy się treningu. Najwyraźniej byłam w błędzie – bo oto jestem, ubrana w szary sportowy stanik i dresy.

– W porządku? – pyta Rose z uniesioną brwią, gdy wciera w skórę olejek kokosowy.

Przesuwam językiem po wargach i związuję swoje długie, rude włosy w wysoki kucyk.

– Tak.

Za nami rozlega się odgłos otwieranych drzwi. Odwracam się szybko, by zobaczyć, kto to. Do środka wchodzi trzy dziewczyny. Moją uwagę natychmiast przykuwa prowadząca je blondynka, przez co nie przyglądam się za bardzo pozostałym. Długie, jasne włosy sięgają jej do talii, a lewe ramię pokrywają tatuaże ciągnące się przez lewą pierś aż do żeber. Ma napiętą, opaloną skórę i twarz suki, którą chciałoby się walnąć albo na niej usiąść.

Obrzuca mnie spojrzeniem od stóp do głów.

– Fuj.

Jednak walnąć.

Natychmiast unoszę brwi, zaskoczona jej wyraźną wrogością. Otwieram usta, ale w tym samym momencie Rose staje przede mną i odpycha mnie do tyłu.

– Jakiś problem, księżniczko?

Odsuwam ją od siebie. Potrafię się postawić. Nie musi mnie w tym wyręczać. Jednocześnie blondyna wraz ze swoimi pachołami mijają nas i kierują się za prowizoryczną kurtynę. Z tego, co rozumiem, to Delila ma kolejny namiot za domem. Ten czarny z lilowymi ozdobami. Ten, w którym znajdujemy się teraz, nie ma żadnych oznaczeń. Zapewne służy tylko do ćwiczeń.

– Hej. – Rose ujmuje mnie dłonią za brodę, tak abym na nią spojrzała. Lubię jej oczy. Są delikatne i łagodne. Zupełnie jak jej dusza. Ma małą twarz w kształcie serca i idealnie pasujące do niej filigranowe ciało. Zastanawiam się, czy bez niej dałabym radę przetrwać te kilka ostatnich dni.

– Wszystko dobrze?

Chęć przeżycia jest kluczowa, kiedy ktoś niszczy ci życie już od najmłodszych lat. Jednak znalezienie przyjaciela, który nie tylko pomoże nieść ciężar, jakim obarczył świat, lecz także gotów jest stanąć do walki u boku, jest jak natrafienie na prawdziwy skarb.

– Tak – mówię i kiwam głową. – Wszystko w porządku.

– Przywalę tej suce w zęby, jeśli będzie sprawiać problemy. I w dupie mam, co to za jedna...

Rozciągam kark i wypuszczam drugim uchem tyradę Rose, ponieważ staram się skupić na najważniejszym w tej chwili zadaniu: *przeżyć dzisiejszą noc*. Nie chcę się potknąć w drodze do celu.

Roluję ramiona, wykonując wdech i wydech przy każdym ruchu.

– Jak myślisz, co każą nam tańczyć?

Rose wzrusza ramionami, smarując usta błyszczkiem.

– Nie wiem. Ale na pewno ze wszystkim sobie poradzimy.

Jak na zawołanie zza kurtyny wyłania się klaszcząca w dłonie Delila. Założę się, że gdyby piekło istniało, to ona byłaby jego dekoratorką.

– No dalej. Wyjdźcie na scenę. Chcę was zobaczyć w tanecznym dialogu. Zatańczcie freestyle – woła, po czym dodaje, mamrocząc pod nosem: – Przekonajmy się, o co ten cały hałas.

Czuję motylki w brzuchu. Nie jestem biegła we freestyle'u. Preferuję raczej wykonywanie konkretnej choreografii. Mimo niepewności ruszam wraz z Rose, by wyjść za kurtynę.

Jest jasno. Jak w dzień. Myślałam, że skoro jesteście w namiocie, to wewnątrz panuje ciemność – przynajmniej nie widziałabym, kto mnie obserwuje z widowni. Przyglądam się wszelkim elementom scenografii, które mogę stąd dostrzec.

Szklane akwarium. Takie jak w jednym z odcinków programu Crissa Angela.

Równoważnia gimnastyczna.

Trapez.

Trzy masywne obręcze połączone długimi metalowymi drążkami. Nie mam pojęcia, do czego to służy. Widziałam już kiedyś coś takiego. A przynajmniej coś podobnego, ale to wygląda inaczej.

Dwa duże hula-hoop.

Cztery czarne motocykle terenowe z logo Harleya-Davidsona.

– Dove? – odzywa się Delila z miejsca w przednim rzędzie, tuż przy scenie. – Kiedy tylko będziesz gotowa.

Ignoruję siedzący kilka rzędów za nią tłum, ponieważ wiem, że to Bracia. Po lewej dostrzegam kolejną grupę. To chyba ta blond suka ze swoją ekipą. Gdzieś tam siedzą też inne osoby, których jeszcze nie znam.

Oblizuję wargi i rzucam Rose przelotny, dodający otuchy uśmiech. Spogląda na mnie wzrokiem przepełnionym pewnością siebie, puszczając do mnie oczko. Jakbyśmy już kiedyś to robiły. Jakbyśmy już nie raz dzieliły ze sobą scenę. Gdy tylko zaczyna grać muzyka, nieco się odprężam.

Spodziewałam się czegoś innego. Zamykam oczy na dźwięk subtelnej melodii fortepianu muskającej moje uszy. Kołyszę się z boku na bok, pozwalając, by muzyka wnikała w pory mojej skóry i przejęła stery mojego ciała. *By mną owładnęła.* Odzywają się kolejne tony, a ja dryfuję po scenie z opuszczonymi powiekami. Wykonuję piruet, podczas którego wyciągam rękę ku Rose i gładzę ją delikatnie opuszkami. Otwieram szeroko oczy. Wpatrzona w nią, przywieram do jej ciała wraz z ostatnim obrotem. Kiedy fortepian cichnie, zastępują go łagodne dźwięki gitary elektrycznej. Wykonując faliste ruchy ciałem, przyklękam przed nią. Następnie

opadam plecami na ziemię, wyginając je w łuk. Jednocześnie opieram dłonie za głowę, tak aby wykonać mostek. Piosenka się zmienia i z głośników wydobywa się *Lovely* Billie Eilish. Z głową do góry nogami odnajduję wzrokiem oczy Kingstona. Przez chwilę trwam nieruchomo pod jego spojrzeniem.

Kładzie dłoń na ustach.

Odbijam się od podłoża i zatracam w piosence, nie odrywając od niego wzroku. Nie wiem, gdzie jest Rose, i w tym momencie mnie to nie obchodzi. Muzyka zawładnęła mną doszczętnie. Hipnotyzuje mnie. Czuję, jak moje serce bije do rytmu. Jest jak trucizna, którą pragnę przełknąć i podzielić się nią z Kingiem. Kiedy zaczyna się refren, faluję biodrami niczym żmija, wsuwając dłonie pod koszulkę. Zdejmuję ją powolnym ruchem przez głowę, tak że pozostają tylko w sportowym staniku i dresach. Kingston kopie kogoś siedzącego obok niego, ale nawet na sekundę nie przestaje na mnie patrzeć. Jesteśmy tu tylko we dwoje, ponieważ iskrząca między nami energia wypycha wszystkich pozostałych w mroczny wir. Gdyby nie fakt, że chce mnie zabić, ta chwila mogłaby mieć intymny charakter. Bo intymność jest jak morderstwo – jedno i drugie przyprawia o szybsze bicie serca, sprawia, że pocą się nam ręce, a myśli kłębią się bez ładu. A po wszystkim zostaje się z pozostałościami czyjejs duszy lub ciała na swoich rękach.

Wraz z końcem piosenki cofa dłoń i zamiast wyrazu twarzy, którego się spodziewałam, dostrzegam w nim gniew.

Zrywa się z siedzenia i pospiesznie opuszcza namiot.

Muzyka cichnie, a ja zamieram. Wir, w który wrzuciliśmy pozostałych, rozmywa się doszczętnie. Nie zauważyłam, kiedy Delila wstała.

– Wow – odzywa się, stojąc z przechyloną głową niemal tuż przede mną.

Cofam się i rozglądam w poszukiwaniu Rose.

– Gdzie Rose?

Delila macha ręką.

– Nie przejmuj się nią. Zajmie stanowisko bardziej odpowiadające jej umiejętnościom. – Łapie mnie za ramię i prowadzi do wyjścia. Tego samego, którym wyszedł Kingston.

– Stanowisko bardziej odpowiadające jej umiejętnościom? – pytam zdezorientowana. – Jest tancerką.

Delila zaśmiewa się

– Ty jesteś tancerką. I do tego artystką, kochana.

Wrywam się z jej uścisku.

Wzdycha, odwracając się do mnie. Czuję się jak rozczarowane dziecko. Rose to moja przyjaciółka.

– Posłuchaj. Będzie pracowała z kilkoma innymi dziewczynami, dobrze? Taki jest jej los. Ciebie, Dovey, czeka natomiast coś innego. Urzekasz widownię swoim ciałem. To sztuka. Nie widzieliśmy czegoś takiego od... – robi wymowną pauzę –...dłuższego czasu.

Znowu mnie ciągnie, ale tym razem się nie wrywam, udając, że jej odpowiedź dotycząca Rose mnie zadowala.

– No dobrze. Ale będę ją widywać?

– Tak, tak. – Macha lekceważąco ręką. – Mam dla ciebie idealne miejsce... – mamrocze do siebie.

Nie obchodzi mnie, co tak naprawdę mówi, więc po prostu idę z nią. Zatrzymuje się przed wielkim kamperem. Jest cały czarny z czarnymi felgami i przyciemnianymi oknami. Wygląda, jakby kosztował więcej niż przeciętny dom. Obok stoi kilka samochodów: czerwone ferrari, czarny aston martin i ford raptor. Spoglądam na logo widniejące na boku kampera. Dość mocno wyblakło, ale wciąż da się w nim dostrzec tę samą siedmioramienną gwiazdę z trójkątem i numerem IV pośrodku. Na liniach widać jakieś napisy, jednak nie jestem w stanie ich odczytać.

Delila wali do drzwi.

– Otwórz, King!

Zamieram, wrywając się jej ponownie. *Co?*

Ignoruje mnie i puka znowu.

– Wiesz, że to dobre rozwiązanie.

– Jak to „dobre rozwiązanie”? – pytam rozpaczliwie.

Nagle drzwi się otwierają i ukazują się w nich King z papierosem w tych delikatnych ustach. Ma zmierzwiłone włosy i nagi, umięśniony tors. Na widok jego tatuażu z identycznym trójkątem jak na boku kampera zasycha mi w ustach. Jeszcze jeden widnieje tuż przy biodrze. Stoi, kurwa, w rozpiętych jeansach, spod których widać bokserki od Calvina Kleina.

Wydmuchuje dym, spoglądając na mnie ciemnymi oczami.

– Co? – odpowiada jej, ale nie odrywa ode mnie wzroku.

Jeśli zauważył, jak się na niego gapię, to w żaden sposób tego nie skomentował, co mnie cieszy. Chociaż podziwiam jego boski wygląd, nie oznacza to, że stałam się jedną z jego wyznawczyń.

Znów zamyka mnie w potrzasku swojego spojrzenia. Nie mogę się uwolnić.

– Widziałeś to, co wszyscy widzieliśmy. Wiesz „co” – odpiera Delila już łagodniejszym tonem.

Spogląda wreszcie na nią, wypuszczając kółka z dymu prosto w jej twarz.

– No i?

– No i – Delila wyciąga rękę do tyłu, by chwycić mnie za ramię – może zostać z tobą i być twoją piętą. Wtedy już będziemy musieli tylko znaleźć piętą dla Kyrina.

Zapada milczenie. Mam wrażenie, jakby to trwało wieczność. Ta chwila przeciąga się tak bardzo, że nie wiem nawet, kiedy się kończy. Wreszcie Kingston wybucha śmiechem, odchylając głowę do tyłu. Obserwuję jego wibrujące gardło i pulsujące żyły na szyi. Dlaczego to wydaje mi się takie seksowne? *Nie jesteś wyznawczynią.*

– Ta, jasne. Nic z tego. Dobry żart. – Zaczyna zamykać drzwi, ale Delila zatrzymuje je ręką.

– Nie żartowałam, King. Ona jest twoją piętą.

Nie odpowiada jej, więc Delila robi krok do przodu, by zablokować drzwi.

– Widziałeś, jak tańczy. Wiesz. Nie zaprzeczaj.

Kingston opiera się bokiem, ukazując napięte mięśnie brzucha. Staram się nie zwracać uwagi na tatuaż na jego lewej piersi, ale to trudne. Zwłaszcza że przedstawia to logo z kampera. Chcę mu się przyjrzeć tak dobrze, jak on przygląda się mnie.

– Nie. Przyznaję: jest dobra, ale nie aż tak dobra. I mam gdzieś, co wiem. – Jego ton okraszony jest jadem ciekącym z jego kłóć. – Poza tym nie dopuszczamy dziwek do naszej choreografii – kontynuuje obelgi.

Delila mruży oczy.

– Ale do kampera już tak...

Kingston się uśmiecha.

– Nie mówimy tu o moim kutasie, Delilo. – Jego grymas nabiera nikczemnego wyrazu. – A nawet jeśli, to do niego też nie miałyby dostępu.

Prycham, kręcąc głową. Pewnie nie powinnam tego robić, podobnie jak nie powinnam się odzywać, ale moja wewnętrzna feministka kipi już gniewem. A poza tym silna z niej suka. Przechylam głowę.

– No jasne: myślisz, że skoro jestem striptizerką, to rozkładam nogi przed każdym gościem, który wsunie mi stowę w majtki.

– A nie robisz tak? – odpiera przemądrzale, na co natychmiast rzucam mu wymowne spojrzenie. Podpuszcza mnie, o czym świadczy bufonowaty wyraz jego twarzy.

– Czy rozkładam nogi? – pytam. Zdaję sobie sprawę z tego, że to chyba moja najdłuższa wypowiedź od bardzo długiego czasu, no ale cóż zrobić... On jest jak woda na mój młyn. – Jasne, że tak, ale nie w sposób, jaki sugerujesz. – Chciałabym dodać „niestety”.

Przewraca oczami i kieruje wzrok na Delilę.

– Nie ma mowy.

– King...

– Dlaczego uważasz, że poradzi sobie z klatką? – pyta.

Delila przysuwa się ku niemu i szepcze mu coś wprost do ucha. Kingston zamiera, a całe rozbawienie znika z jego twarzy, po czym spogląda na mnie.

– Dobra. – Odchyła się do tyłu i gwizdże na kogoś wewnątrz kampera.

Delila robi krok w tył z wyrazem dezaprobaty na twarzy.

– Przepraszam, że musisz to widzieć.

– Co widzieć? – pytam, ale w tej samej sekundzie z samochodu wyłania się półnaga dziewczyna i zbiega po schodkach, zakładając stanik przez głowę.

Pospiesznie odwracam wzrok, głównie przez to, że widać jej piersi i jej za to nie płacą.

Kingston siada na schodkach, żeby założyć buty wojskowe.

– No dobra, Ptaszynko, przekonajmy się, czy umiesz latać.

Rozdział 5

Dove

Tym razem jest inaczej. Światła są zgaszone, więc panuje większa ciemność, bo słońce już dawno zaszło. Słyszę tylko własny oddech, ciężkie dudnienie w piersi. Próbuję wytrzeć spocone dłonie o nogi, ale to tylko doraźny gest mający odwrócić moją uwagę od faktu, że stoję na środku prowizorycznej sceny, w zupełnej ciemności, nie mając pojęcia, co ma się zaraz wydarzyć.

Skupiona na oddechu zamykam oczy i oblizuję wargi. *Gdyby chcieli cię zabić, już byś nie żyła, Dove. Wyluzuj.*

Pierwsze, co czuję, to wibracje piachu pod butami. Pierwsze, co słyszę, to pobrzękiwanie metalu. A pierwsze, co sobie myślę, to... *w co też ja się, do kurwy, wjebałam?*

– Oddychaj, Ptaszynko – szepcze głos tuż przy moim karku, sprawiając, że przechodzi mnie dreszcz. Coś zakrywa mi oczy i zostaje zawiązane z tyłu mojej głowy.

– Nie skrzywdzimy cię, a przynajmniej nie bardzo – odzywa się kolejny głos.

Próbuję odwrócić się w jego kierunku, ale z każdej strony otacza mnie ciemność. Choć przez opaskę dostrzegam jakieś światło, nie jestem w stanie stwierdzić, kto jest ze mną.

Czyjeś palce unoszą moje ramię, przez co dostaję gęsiej skórki.

Cofam się.

Ktoś zaczyna się śmiać. Poznaję ten śmiech.

– Co jest, Dovey... – odzywa się Kingston, który nachyla się do mnie, a jego usta muskają płatek mojego ucha. – Nie lubisz przebywać w cieniu?

Zamieram z wrażenia, jakby krew zastygła mi w żyłach.

– Co? – szepczę, unosząc ręce do opaski.

Powstrzymują mnie jednak i odsuwają moje ręce. Czuję zimno metalowych kajdanek na nadgarstkach. – Co powiedziałaś?

Nie odpowiada. Popychają mnie, bym uklękła. Czy on właśnie powiedział słowo „cień”, czy tylko sobie to wyobraziłam? To nie byłby pierwszy raz, kiedy wmówiłabym sobie, że Cień jest gdzieś w pobliżu albo że szepcze mi coś do ucha. Zazwyczaj przytrafia mi się to podczas koszmarów. Jestem jednak niemal pewna, że nie przesłyszałam się odnośnie do tego, co powiedział Kingston. Tak czy inaczej chodzi mu oczywiście o cienie, które widzę przez opaskę. Zginę kiedyś przez tę moją paranoję.

– Stop! – rozlega się krzyk Delili. – Mieliście włączyć ją do swojego pokazu, a nie prezentować go na niej.

– Po pierwsze... – To chyba Killian. – Jak mamy ją do niego włączyć bez pokazywania jej, co właściwie robimy, D?

Odpowiada mu milczenie.

– Jasne, możemy poczekać z tym do jej pierwszego występu. Ale to tak jakby zamiast nauczyć kogoś pływać, wrzucilibyśmy go ot tak do wody z nadzieją, że sam jakoś sobie poradzi.

Pociągam za kajdanki.

– Czy ktoś może mi zdjąć tę opaskę?

– Nie – ryczy Kingston, na co dostaję gęsiej skórki.

– To może chociaż kajdanki? Potrzebuję rąk, żeby tańczyć.

Uwalniają moje ręce równie szybko, jak je spętali.

– Racja – stwierdza Delila i, jakby nigdy nic, ktoś zdejmuję mi opaskę z oczu. – Musi wiedzieć, czego się spodziewać. – Mierzy mnie wzrokiem, pod naporem którego się wiję.

Nie lubię Delili i jej nie ufam.

– Zaczekamy, aż ruszymy w trasę. Do tego czasu – zwraca się do mnie z uśmiechem na twarzy – czuj się jak u siebie. Zapoznaj się ze wszystkimi. Oby nie za bardzo. I, na miłość boską, Dove... – Chwyta mnie za brodę, bym na nią spojrzała. – Nie daj się zabić. – Poklepuje mnie po policzku, uśmiechając się słodko, po czym cofa się i kieruje wzrok na widownię złożoną z wykonawców. – Wyruszamy jutro wieczorem. Najpierw zatrzymujemy się tutaj, w Nowym Jorku. – Odchodzi powoli, ale mamrocze jeszcze: – Obyśmy znaleźli tam kolejną Beatrice.

Kiedy Delila się oddala, zwracam się do Kingstona i pozostałych:

– Wyjaśnicie mi w ogóle, co takiego robicie, żebym mogła chociaż nastawić się na to psychicznie?

– Nie – odpowiada Keaton, po czym odchodzi tą samą drogą co Delila.

Rozdział 6

King

– Ona nie może być twoją piątą. To zbyt blisko. – Keaton prostuje nogi i zapala papierosa. Gładzę palcem swoją górną wargę, obserwując całą trójkę. Rozumiem ich punkt widzenia, ale jednocześnie to ułatwiłoby mi zadanie.

– Ma rację. Nie może. Fakt, jest dobra, ale nigdy przecież nie miałaś piątej. Nigdy – przekonuje Kyrin.

– Że co, kurwa? Naprawdę tego nie widzicie? Może trzeba wam załatwić bryle? Wytlumaczcie mi to. Ta dziewczyna przejmuje władzę nad całym miejscem przez swój taniec. Chcecie mi wmówić, że to nie jest jego piąta? – Killian, jak to on, wstawia się za dziewczyną. Dobrze dla niej. Niech ma tylu fanów, ilu tylko zdoła zebrać, ale to w żaden sposób nie zmieni faktu, że ją zniszczę.

Zaciskam zęby. To przekomarzanie się wyczerpuje cały mój zapas cierpliwości – a nie zostało mi jej wiele po tym, jak Dove się tu przypałała.

Raz.

I drugi.

– Poza tym widzieliście kiedyś kogoś tak seksownego jak ona? Te jej sarnie oczy i rude włosy. Są zajebiste. Mają taki sam kolor jak moje ferrari. – Nie dość, że Killian nie chce zamknąć mordy, to jeszcze wplótł w rozmowę swoje źródło dumy i szczęścia.

– Dość – ryczę, spoglądając na brata. To, że jest pierwszy, by podać tej lasce swoje jaja jak na dłoni, w ogóle mnie nie zaskakuje. – Podobnie jak wy nie chcę, żeby się koło mnie kręciła. Oczywiście z innych powodów.

Keaton kręci głową, przeczesując palcami swoją gęstą czuprynę.

– Dlaczego Delila nie umieściła jej w Midnight? Przydałaby się im kolejna.

– Bo Midnight ma Rose, a Dove jest zbyt dobra – odpowiadam płynnie. Muszę napić się czegoś mocnego albo zapalić jointa, żeby się uspokoić.

Zeskakuję z łóżka i idę na przód kampera, gdzie zastaję Justice'a siedzącego na miejscu kierowcy.

– Dlaczego tu jesteś? Przecież wyjeżdżamy dopiero jutro. – Justice to nasz kierowca. Kiedy ruszamy w trasę, śpi z nami. Nie ma z tym problemu, bo nasz kamper jest największy w całej rodzinie Mayhem. Justice ma prawie czterdziestkę, więc jest starszy od nas. Od lat krążą plotki o nim i Delili, ale on zawsze wszystkiemu zaprzecza, ale ja nie jestem debilem. Wyraźnie czuć od niego cipą, kiedy nieraz wraca nocą.

Mamy tutaj cztery sypialnie oraz możliwość stworzenia piątej. Tak naprawdę ta awaryjna to po prostu łóżko z zasłoną na tyle wozu. Tam właśnie sypia Justice.

– Nie słyszałeś? – rzuca wyzywająco.

– Na chuj się tak szczerzysz? – Patrzę na niego przymrużonymi oczami.

Otwiera usta, by mi odpowiedzieć, ale w tym samym momencie rozlega się głośnie pukanie do drzwi.

Nie odrywając od niego wzroku, cofam się, żeby je otworzyć.

– Czego? – warczę, po czym wreszcie kieruję moje jadowite spojrzenie na... – Kurwa, czego teraz chcesz?

Dove się wzdryga. Gdybym był lepszym człowiekiem, zrobiłoby mi się trochę głupio. Ale nie jestem. Nie jestem nawet bliski bycia lepszym człowiekiem, a poza tym – dlaczego ona zawsze wygląda na taką rozbitą? *Wiesz, kurwa, dlaczego.*

– Przepraszam – mamrocze, oblizując usta. – Eee... Muszę... – Jej głos niknie gdzieś w tle, podczas gdy przyglądam się temu, co trzyma w rękach: niewielkiej walizce.

Justice śmieje się cicho za moimi plecami, ściskając moje ramię.

– Powodzenia. Przyda ci się.

Patrzę, jak wychodzi ze swoimi torbami, po czym kieruję wzrok z powrotem na Dove.

– Jaja sobie, kurwa, robisz? – Otwieram drzwi na całą szerokość i przesuwam się na bok, żeby ją wpuścić.

Wchodzi po schodkach, a kiedy staje na najwyższym, tuż obok mnie, nachylam się do niej i szepczę jej do ucha:

– No proszę, zobaczcie, kto będzie spał z potworami.

Odsuwa się ode mnie, a w tej samej chwili po schodach prowadzących na piętro, gdzie mieszczą się nasze pokoje i łazienki, schodzi zadufany w sobie Killian. Jego arogancka twarz natychmiast rozjaśnia się na jej widok.

– Cześć! – Uśmiecha się do niej.

Ignoruje go i odwraca się w moją stronę. Skomentowałbym to, gdyby mnie to obchodziło – ale mnie nie obchodzi. Nie mam już na to cierpliwości.

Wskazuję jej przestrzeń w tyle kampera.

– Twój pokój jest tam na końcu. Łazienka po prawej, kuchnia po lewej. Tutaj są miejsca siedzące. Mamy też bar, ale to na piętrze, gdzie nie jesteś mile widziana.

Przytakuje skinieniem.

– Jasne. – Odwraca się do mnie plecami i idzie na tył. Przechylam głowę, gapiąc się na jej kołyszący się tyłek. Wtem zauważam iPhone'a w tylnej kieszeni jej jeansów. Jebana Delila. Najwyraźniej Dove wywołuje w niej jakieś pozytywne emocje. Przynajmniej tyle dostrzegłem. Ona na ogół nie czuje niczego do nikogo, chyba że jest to nienawiść.

Kiedy Dove się oddala, Killian zwraca się do mnie:

– Postaraj się nie być dla niej zbyt ostry. Pamiętaj, co jej zgotowaliśmy na The Cannon.

– Dobrze by było, Kill, gdybyś przypomniał sobie swoje miejsce w stadzie, zanim zaczniesz wydawać mi rozkazy. Nie jestem w nastroju na wspieranie twojego kutasa w seksualnych podbojach.

– Mijam go i kieruję się prosto do drzwi. Kurwa, muszę pogadać z Delilą i wybadać, co jej chodzi po łbie.

Idę do kampera Midnight – prawie tak dużego jak nasz, tylko z większą liczbą światełek. Jestem prawie pewien, że skierowała się tutaj, kiedy przekazała nam te swoje wieści.

Szarpnięciem otwieram drzwi i wchodzę do środka, gdzie natychmiast owiewa mnie bogaty zapach kurewsko mocnych perfum. Sądziłem, że po takim czasie przyzwyczaję się do tego gówna, ale jak widać – ni chuja.

– King! Cześć! – mruczy Val, schodząc z białej kanapy, i podchodzi do mnie.

Odganiam od siebie jej rękę pacnięciem.

– Gdzie Delila? Jest tu?

– Nie! – mamrocze Maya leżąca na kanapie.

Zerkam na jej ciało. Ma na sobie boyfriendy i sportowy stanik, a z uszu wystają jej słuchawki.

– Wyszła jakieś pięć minut temu. A co?

– Nic – rzucam, odwracając się do wyjścia.

– King? – Val łapie mnie za ramię.

Odsuwam się.

– Co, Valdis? – Nienawidzi swojego pełnego imienia, ale pasuje jej idealnie. Oznacza boginię śmierci.

– Nic – mamrocze nadąsana.

Wychodzę, po czym zatrząskuję za sobą drzwi. Dobrze wie, że ma ze mną nie zaczynać. Niewiele jest rzeczy, na których mi zależy, i odpowiada mi taki stan. Zazwyczaj o tej porze siedzielibyśmy w swoich domach, ale ponieważ wyjeżdżamy wcześniej rano, wszyscy są już gotowi w kamperach. Domy posiadamy nie tylko tutaj, na terenie posiadłości, ale też w innych miejscach: Aspen, Los Angeles, Australia, Rzym. W razie potrzeby zawsze mamy dokąd pójść.

Idę prosto do kampera Delili, mijając pozostałe. Ozdobiony jest białymi, kryształowymi kinkietami przymocowanymi pod dachem i innymi tego typu gównami. Otwieram drzwi bez pukania i zastaję ją w jedwabnym szlafroku i biało-różowej bieliźnie. Opiera się o blat, przechylając głowę, a poły szlafroka rozchylają się szerzej.

– Co takiego zrobiłam tym razem?

– Dobrze wiesz, co odjechałaś. Nie taka była umowa, Delila. Nie jesteś szefem Braci i dobrze o tym wiesz. Pozbądź się jej.

Opuszcza lekko powieki.

– To dziwne, że tak bardzo chcesz ją wyrzucić. Biorąc pod uwagę to, kim jest...

Wybucham śmiechem bez wesołości, oblizując dolną wargę.

– Chuj mnie obchodzi, kim ona jest. Nie potrzebujemy kolejnej piątej. Może zrobić z nami jeden pokaz. Jeden. Przenieś ją na chiński taniec na rurze, mam to w dupie.

Delila unosi brwi.

– Naprawdę? Interesujące. – Wyprasza mnie gestem, po czym chwyta klamkę, by zamknąć drzwi. – Zgadza się co do tego pokazu, King. Ale zapamiętaj moje słowa: jeszcze się przekonasz, że to ona jest waszym brakującym elementem.

Sam zatrząskuję drzwi, sfrustrowany tym, że wszystko potoczyło się nie po mojej myśli. Wyciągam telefon, aby wybrać numer mojego staruszka.

– Zwołuję naradę. Twoi bracia spotkają się z nami na miejscu – powiedział mój ojciec, rozwiązując krawat, który następnie rzucił na kuchenny blat. – W moim gabinecie za godzinę. I, King? – wymamrotał, żeby przykuć moją uwagę. – Pozbądź się tej jebanej smutnej miny.

Wszedł z kuchni, a ja po cichu pokazałem mu środkowy palec, po czym wepchnąłem sobie do ust kolejną porcję granoli. Fakt, że tata zwołał naradę, nie był niczym nadzwyczajnym. Midnight Mayhem znów odwiedzało Nowy Orlean, więc narada watahy była czymś normalnym. Większość dzieciaków byłaby w siódmym niebie na wieść o możliwości odwiedzenia rodziny, ale nie ja. Chciałem jak najszybciej wrócić do mojego kampera i Braci. Nienawidziłem tego okresu. Trzy dni przed Halloween. Zawsze wtedy przypominałem sobie o syfie, który wolałbym pozostawić w mrokach niepamięci.

Wylałem resztki mleka do zlewu, po czym wstawiłem miskę do zmywarki, następnie udałem się do gabinetu taty. Pomieszczenie emanowało przepychem i władzą. Każdy, kto tam wchodził, natychmiast wiedział, że pokój ten należy do twardego skurwiela.

Bo tata taki właśnie był.

Najgorszy z najgorszych.

Mój ojciec był szefem rumuńskiej mafii, podobnie jak mój dziadek – i jego ojciec, i jego dziadek, i tak dalej. Mieliśmy różne mocne sojusze, ale najsilniejsze więzi zawsze łączyły nas z Rosjanami, a dokładniej z rodziną Romanowów. Władimir Pakhan Romanow to Krestnii Otets rosyjskiej Bratvy, oprócz tego jest też najstarszym kumplem mojego ojca.

Wszedłszy do gabinetu, zamknąłem za sobą drzwi. Zaskoczyło mnie, że Kill, Ky i Keaton siedzieli już w środku ze swoimi ojcami, którzy usadowili się za nimi.

– Co się dzieje? Mamy kolejne zadanie? – zapytałem, spoglądając wymownie na tatę. – Mam, kurwa, nadzieję, że tak, bo jestem w zabójczym nastroju.

Ojciec nachylił się, opierając dłonie o mahoniowy blat swojego dyrektorskiego biurka.

– Niewielkie. Zanim ponownie ruszycie w drogę. – Patrzyłem, jak wyciąga brazylijskie cygaro z kasetki, a następnie wsuwa je sobie między zęby. – Pomyślałem, że przyda wam się trochę rozrywki.

Rozdział 7

Dove

Po tym, jak poskładałam swoje nowe ciuchy i schowałam je w niewielkiej komodzie ukrytej w szafie, siadam na łóżku i rozglądam się po pokoju. Nie ma w nim nic oprócz łóżka i marmurkowych drzwi szafy. Znajduję się w kamperze, więc cała tylna ściana to szyba. Zgaduję, że jest przyciemniana tak by zapewnić jednostronny widok z wnętrza. Łóżko podoba mi się najbardziej. Mogłoby spokojnie pomieścić pięć osób, a do tego jest na tyle miękkie, że z łatwością zasnę nawet w dzień. Pomimo całej tej ekstrawagancji, jaką widziałam w rezydencji, i wszędobylskiego przepychu, wciąż nie mogę się nadziwić temu kamperowi. Moi rodzice byli majętni, więc wiem, kiedy mam do czynienia z autentycznym bogactwem – tak jak teraz. Ci chłopcy są nadziani, a każda osoba występująca w Midnight Mayhem emanuje zamożnością. Widzę to wyraźnie. To nie jest zwykłe wesołe miasteczko. Nie ma tu żadnych byłych skazańców czy pijaków. Ci tutaj nie ruszają w trasę, by uciec przed czymś lub od kogoś. Robią to, by przyciągnąć widzów i dla związanej z tym adrenaliny. Ich celem jest uczynienie tego, co nudne, czymś egzotycznym – nawet jeśli tylko na kilka godzin.

Wzdycham. Biorę do ręki nowy telefon od Delili i otwieram wyszukiwarkę Google. Myślałam o starszej ode mnie kobiecie i o tym, jakie uczucia wywołuje we mnie ona oraz Rose. Zastanawiałam się, czy powinnam powiedzieć im o gwałcieliu w neonowej masce i o tym, co stało się na jachcie. Chcę to wyjawić. Przez to, co mi zrobił, czuję się brudna i poniżona. Jednocześnie wiem, że mogło mnie spotkać coś o wiele gorszego. Z drugiej jednak strony nie mam pojęcia, czy mogę komukolwiek zaufać. Niezależnie od tego, jak bardzo zbliżyłyśmy się z Rose, wciąż nie czuję się dostatecznie

komfortowo, by o tym porozmawiać. Uporam się z tym sama, a kiedy będę gotowa, podzielę się swoimi sekretami z innymi.

Wyszukuję namiary na klub, w którym pracowałam, po czym dzwonię do Richa. Tak jak powiedzieli Delila i King: zgodziłam się być częścią tego czegoś, więc zostaję tutaj.

– Rich, to ja, Dove.

Słyszę, że mężczyzna wzdycha.

– Jezu, Dove. Przybyło mi z pięćdziesiąt lat, odkąd zniknęłaś.

– To raczej niemożliwe, skoro i tak jesteś już kurewsko stary – żartuję, śmiejąc się ze swojej uwagi.

– Widzę, że poszerzyłaś nieco swoje słownictwo – zauważa i odchrząkuje.

Kładę się na łóżku z ręką na brzuchu. Chcę się dowiedzieć, ile czasu mnie nie było, ale nie mogę zapytać go wprost, bo mógłby się przestraszyć.

– Jak się miewa bar pod moją nieobecność?

– Mamy tu mnóstwo pracy. Przez ostatni tydzień mieliśmy spory ruch. Kiedy wracasz?

Jeden tydzień. Dobra, czyli dwadzieścia dwie dziewczyny to tylko jeden tydzień. Słyszac głos Richa, uspokoiłam się nieco. Mam wrażenie, jakby moje życie wpadło w poślizg, a ja nie jestem w stanie zrozumieć, co dokładnie się dzieje. A teraz muszę mu się jakoś wytłumaczyć.

– Ech, nieprędko. Wciągnięto mnie w pewien... – zamieram, przeczesując umysł w poszukiwaniu wymówki – spór rodzinny... – To najlepsze, co jestem w stanie wymyślić.

– Rodzina? – pyta zaskoczony. – Myślałem, że nie masz nikogo.

– Tak naprawdę to nie. To nie są moi krewni. Chodzi o jedną z moich rodzin zastępczych. – Wiem, że zaraz zaczniesz wypytywać, więc go uprzedzam. – Spróbuję wrócić niedługo do domu i wpaść z wizytą, ale zanim to nastąpi, chciałabym prosić cię o przysługę. – Przygryzam nerwowo wargę. Nie odpowiada. To nic, Rich tak ma. – Możesz opróżnić mój pokój i wszystko sprzedać?

– Co? – krzyczy. – Co masz na myśli?

Wzdycham, przekręcając się na brzuch. Uwielbiałam mieszkać z Richem i pomagać mu z córkami, ale wiem, że podejmuję właśnie słuszną decyzję. W najbliższym czasie nie będę przecież miała

możliwości zająć się moim pokojem osobiście, no i nie dam też rady dołożyć mu się do czynszu. A on będzie potrzebował kogoś do pomocy z dziećmi i mieszkaniem.

– Teraz będę mieszkać tutaj. Nie mogę za bardzo o tym mówić, ale zrobiłbyś to dla mnie? Proszę. Niech dziewczynki wezmą sobie, co tylko będą chciały. Wiem, że Angela chciała mojego iPoda. Niech go zatrzyma. A resztę sprzedaj i przekaż pieniądze na... – Milknę, zastanawiając się nad kolejnymi słowami. – Jakąś organizację na rzecz ofiar przemocy seksualnej.

Rich wzdycha.

– No dobrze, mała damo. Cokolwiek ci trzeba.

– Dzięki, Rich! – Przez kolejne pięć minut rozmawiamy o tym, co u niego słyhać. Kiedy w końcu mi na to pozwala, rozłączam się i rozcieram rozgrzane ucho.

Nagle odłożony na bok telefon zaczyna wibrować. Przekonana, że to Rich zmienił zdanie, odblokowuję ekran. Nie, to SMS od Rose.

Nie wierzę, że zrobią mi to dzisiaj.

Czytam jej wiadomość jeszcze raz. Zgodnie z tym, co powiedziała dziś rano Delila, wręczając mi telefon, Rose też dostała jeden i w obu zapisano nasze numery. Odpowiadam jej.

Co to znaczy „zrobią”?

Odpisuje natychmiast: **Moja inicjacja do Midnight odbędzie się dziś wieczorem, zanim odjedziemy. Powiedz, że też tam będziesz.**

Inicjacja? To praktykują tu coś takiego? Ciekawe, kiedy będzie moja. I czy w ogóle.

O której?

O północy.

Odpowiada, a ja waham się przez chwilę.

Będę.

Nastawiam alarm na jedenastą trzydzieści. Następnie zdejmuję jeansy i stanik, po czym zanurzam się pod kołdrę. Obserwuję przez szybę zachód słońca, którego promienie grzeją moją skórę, aż wreszcie zapadam w głęboki sen.

Ciszę nocy rozrywa dźwięk budzika. Siadam natychmiast, ścierając sen z powiek.

– Kurwa.

– Wybierasz się gdzieś? – pyta Kyrin stojący w wejściu pomimo zasuniętej zasłony.

– Kurwa mać! – Natychmiast zakrywam się koszulką, która okazuje się za krótka...

Mierzy mnie wzrokiem.

– Nie schlebiaj sobie, Ptaszynko. Widywałem już lepsze.

Tłumię w sobie oburzenie. Przecież byłam striptizerką, dlaczego miałoby mi przeszkadzać coś takiego?

Padam na łóżko i sięgam po czarne jeansy, które następnie naciągam na nogi.

– Tak. Idę zobaczyć inicjację Rose.

Kyrin uśmiecha się szelmowsko.

– Naprawdę?

– Tak – odpyskuję, zapinając guzik spodni. Próbuję przeczesać swoje długie włosy palcami. – A co?

Wzrusza ramionami i kiwa głową.

– Zaprowadzę cię.

Zakładam conversy za kostkę, rzucając mu pełne sceptycyzmu spojrzenie.

– Dlaczego?

Wysuwa język, by oblizać dolną wargę. Oni wszyscy są tacy przystojni. Irytująco wręcz. Kyrin i Keaton są z tych cichych. Przypominają potwory siedzące w kącie i obserwujące, jak inni się zabijają. A kiedy jest już po wszystkim, to zaczynają żerować na duszach sponiewieranym ludzi. Killian to trefniś. Tylko przy nim czuję się względnie komfortowo, a głównie dlatego, że ma ładne oczy. Takie roześmiane. Nie musi się nawet uśmiechać, by wyrażały wesołość. Są zupełnie inne od oczu Keatona. Jego mają znacznie poważniejszy wyraz, a intensywność spojrzenia podkreślają ciemne rzęsy. Kyrin ma kruczoczarne włosy i koniakowomiodowe oczy. Ogólnie sprawia wrażenie nieco obłąkanego, przez co nie wzbudza zaufania.

Kingston. No cóż, King to zupełnie inna bajka – włosy o barwie czekolady i idealnej długości, by zanurzać w nich palce. Opalona

skóra i tęcza w kolorze żywej zieleni. Istnieją dwa typy zielonych oczu: takie jak moje i takie jak Kingstona. Jego wyglądają prawie jak u kosmity. Gęste niemal jak włosy rzęsy oraz wysoko osadzone kości policzkowe. Wszyscy czterej prezentują się niesamowicie, a do tego jeszcze są atletycznie zbudowani, przy czym King jest z nich największy. Ponadto ma wytatuowany trójkąt na lewej piersi i winorośl ciągnącą się od prawej strony brzucha i znikającą w spodniach. To chyba jego jedyne tatuaże. Keaton z kolei pokryty jest nimi od stóp do głów: na szyi, głowie, ramionach, a nawet trochę na twarzy. Kyrin na pewno ma rękaw, ale nie wiem, czy coś oprócz tego. Natomiast Killian, z tego, co zdołałam zauważyć, jest czysty.

Wstaję, chowając telefon do tylnej kieszeni.

– Dlaczego chcesz mnie zaprowadzić? – powtarzam.

Wzrusza ramionami wpatrzony we mnie.

– Bo tak.

Waham się przez kilka sekund, próbując znaleźć w sobie siłę, by wypytywać go dalej.

– Dobra. A ja też będę miała inicjację?

Odsuwa się, by zrobić mi miejsce, po czym gestem ręki daje znak, żebym wyszła.

– Nie. W przypadku Braci nie ma żadnych inicjacji.

Ignoruję to, jak nieswojo się przy nim czuję, i wychodzę z kampera. Na zewnątrz przechodzi mnie dreszcz wywołany zimnym powietrzem, które owiewa moje ramiona. Chyba czuję ulgę, że nie będę musiała przechodzić przez coś podobnego, co czeka Rose.

– Hej! – Mijający nas Killian zatrzymuje się, czym natychmiast przykuwa moją uwagę. Jego uśmiech znika, kiedy zauważa za mną Kyrina.

– Co to, dla odmiany idziesz wreszcie wcześniej spać? – pyta go Kyrin sceptycznie, stając obok mnie.

Staram się ogrzać nieco jego ciepłem bez dotykania go, ale w ogóle mi się to nie udaje.

Killian przewraca oczami. Nie zauważyłabym tego gestu, gdyby nie jasne światła ogrodowe, którymi wytyczono ścieżki łączące wszystkie kampery i przyczepy, a także wielki namiot na tyłach.

– Nie.

Killian mija Kyrina.

– Zaczekaj tu – rozkazuje mi, po czym znika w kamperze, ale po chwili wyłania się znowu, niosąc bluzę z kapturem. – Masz. – Podaje mi ją. – Kutas mi się kurczy od samego patrzenia, jak się tak trzęsiesz.

– Ech. – Ignoruję większość jego wypowiedzi. – Dzięki. – Bez patrzenia zakładam bluzę. Nagłe ciepło, jakie mi zapewnia, powoduje, że wzdycham z ulgą.

Kyrin nic nie mówi, więc spoglądam na niego i zauważam, że on mnie obserwuje.

– Co? – pytam, zawijając sobie kaptur tak, aby szczelnie otulał moją szyję. Całość sięga mi do połowy ud, cieszę się, bo teraz na pewno nie zmarznę.

– Nic – mamrocze. – Chodźmy.

Kiedy idziemy, Killian wskazuje mijane przyczepy, wyjaśniając mi, do kogo należą.

– Midnight? – pytam, gdy przechodzimy obok pastelofioletowego kampera, nieco mniejszego od wozu Braci.

– Tak – odpowiada Killian. – Akrobaci i tancerze. Maya występuje też jako kobieta-guma, a Val wykonuje akrobacje powietrzne na pasach. D próbowała zdobyć...

– Coś taki rozmowny? Może powinienem cię odtąd nazywać Klarą Plotkarą?

Killian odpowiada coś, czego nie słyszę. Zbyt zajęta jestem chłonięciem spektakularnego widoku, który zastaję po wejściu do namiotu. To jak zupełnie inny świat. Jakby potrafili manipulować umysłem człowieka i zastępowali wszystko, co widział za dnia, treścią jego snów.

– Wow – wzdycham, przyglądając się neonowym światełkom świecącym na fioletowo pod dachem.

– To jeszcze nic. Ten namiot służy wyłącznie do ćwiczeń. Przedstawienia dajemy w innym. Chodź. Usiądź z przodu.

Nie odpowiadam. Po prostu daję się im zaprowadzić. Gdy siadam na siedzeniu, jego miękkie poduszki zapadają się pode mną. Zachwycam się wszystkim wokół.

Nagle wszystkie światła gasną oprócz pojedynczego strumienia skierowanego na środek sceny.

– Co się dzieje? – pytam Killiana, bo wiem, że Kyrin niczego mi nie powie.

Czuję żar pełnący po moim karku i prostuję się zeszywniała. Wyczuwam obecność Kinga.

Killian nachyla się do mnie, więc przysuwam się nieco, żeby go słyszeć. Palce i kończyny mrowią mnie jakby chęcią znalezienia się na tej scenie. Nie wiem dlaczego.

– Jeśli zostaniesz wypatrzona jako potencjalny członek którejś z rodzin, innej niż Bracia, musisz przejść inicjację, wykonując z nią numer bez wiedzy, na czym polega. Jeśli ci się powiedzie, to gratulacje, stajesz się częścią najsłynniejszego i najekskluzywniejszego przedstawienia znanego ludzkości. A jeśli nie, to giniesz.

Zamieram. Odwracam ku niemu głowę w momencie, gdy z głośników zaczyna lecieć subtelna muzyka.

– Zaraz, jak to?

Killian spogląda mi w oczy z uśmiechem na twarzy. Patrzy na moje usta, oblizując dolną wargę. Zauważam srebrną kulkę pośrodku jego języka. Kurwa, ma w nim kolczyk.

– Gina.

Natychmiast kieruję wzrok na scenę i stojącą na środku uśmiechniętą Rose. Wariatka się uśmiecha.

– Główne przedstawienie Midnight to akrobacje, ale... to nie jedyny ich numer.

Rose rozpościera szeroko ręce. Otacza nas tylko cisza i chłodne nocne powietrze. Kiedy w tle rozlega się delikatna melodia gitary elektrycznej, nachylam się do Killiana ponownie.

– Dlaczego północ?

Telefon w jego ręce rozświetla się, co przyciąga jego uwagę, a jednocześnie rozjaśnia mu twarz. Odpisuje coś powoli z uśmiechem. Odwraca się przez ramię i puszcza komuś porozumiewawczo oczko. Następnie chowa telefon do kieszeni, po czym przysuwa się do mojego ucha.

– Dawno temu, kurewsko dawno temu, uważano, że kiedy zegar wybija północ, otwiera się portal do piekieł, z którego przychodzą na ziemię wszystkie duchy pragnące tu wrócić. Jednak po dwudziestu czterech godzinach portal otwiera się znowu, a zjawy zostają

wessane z powrotem, aby następnej nocy wyjść ponownie i to liczniej. Taki cykl. Twierdzono, że pierwotnie duchy wyszły z małej rumuńskiej miejscowości.

Spoglądam na Rose wsuwającą nadgarstek w jeden z pasków i próbującą się podciągnąć. Nie daje rady, ale jest zdeterminowana. Nie mam wątpliwości, że sobie poradzi.

– Dziwne. Czy ta miejscowość jeszcze istnieje?

Killian raczy mnie szelmowskim uśmieszkiem. Często tak robi.

– To tylko ludowe bajanie. Ale tak, istnieje. Powiadają, że jeśli po północy kobieta zatańczy przed ogniskiem, to jej ciało zostanie przejęte jako naczynie przez jednego z jej umarłych przodków.

– Koszmarne – szepczę, podczas gdy kończy się pierwszy fragment występu. Widzę blondynkę, chyba ma na imię Val, która chwyta dużą obręcz zwisającą z dachu i obraca ją. Ubrana jest w krótkie spandeksowe spodenki i sportowy stanik. Nic fikuśnego, ale wymyślniejsze kostiumy zapewne oszczędzają na właściwe przedstawienie.

Rose wypatruje mnie w tłumie, wiedząc, że tu jestem. Za późno – Val obiega ją kilka razy z obręczą w dłoni. Podskakuje, zaczepiając się nogami za obręcz tak, aby zawisnąć głową w dół. Następnie obręcz podnosi się z nią nieco wyżej, a chwilę później opuszcza znów. Łapie Rose za kostki, by ją podnieść. W tej chwili jedyne, co chroni dziewczynę przed upadkiem na głowę, jest Val. Kiedy się unoszą, widzę wyraźnie, jak jej triceps pracuje, by utrzymać partnerkę. Rose orientuje się wreszcie, co się dzieje, i chwyta się obręczy, podciągając się. Siadają obok siebie, ale po krótkiej chwili Val wykonuje kolejne ruchy wokół Rose, która wodzi za nią wzrokiem od lewej do prawej. Wtem blondynka przechodzi do szpagatu męskiego tuż przed twarzą Rose, przez co ta opada do tyłu. Jednak w ostatniej chwili Val łapie ją za rękę i przyciąga do siebie, podczas gdy obręcz zbliża się ku ziemi. Serce wali mi jak młotem. Dopiero kiedy wracają na scenę, orientuję się, że stoję cała spocona, z zaciśniętymi pięściami. Muzyka milknie i zapalają się światła.

– Val, kurwa, co to miało być? – krzyczy Kyrin zza pleców Killiana.

– Dopiero się rozkręcało. Po co ją ratowałaś?

Val odwraca ku niemu głowę.

– Bo może ją lubię. A poza tym – mierzy wzrokiem Rose – ma potencjał. Choć nie na tyle, by stać się lepszą ode mnie.

Rose rzuca jej pogardliwe spojrzenie, wstając z ziemi i spinając włosy w wysoki kucyk.

– Pierdol się.

Val odpowiada jej nikiemnym uśmiechem, którego nie powstydziliby się sama Diabolina.

– Bardzo proszę, skarbenku. – Rzuca butelkę wody w kierunku Rose, która łapie ją odruchowo. – Przeszłaś próbę. Tylko mnie nie wkurzaj. – Odwraca się i odchodzi, a ja w tym samym momencie podbiegam do Rose, by sprawdzić, czy wszystko z nią w porządku.

– Nic ci nie jest? – szepczę, zauważając fioletowe i czerwone sińce na jej ciele.

– Nic. – Uśmiecha się łagodnie, ale jej oczy pozostają nieruchome. Co pokazuje tylko, w jak kiepskim jest stanie.

– Przynajmniej jesteś z dziewczynami, a nie z czterema facetami, którzy mogą cię zamordować... – mamroczę.

Dziewczyna spogląda za mnie. Odwracam się i widzę Kinga siedzącego kilka rzędów dalej od miejsca, z którego oglądałam występ. Patrzy leniwie bez jakiegoś konkretnego wyrazu twarzy. Zaciskam zęby. Za każdym razem, kiedy orientuję się, że mi się przygląda, czuję, jakbym dostała pięścią jednocześnie w twarz i pierś. Nie cierpię tego wrażenia. Dlaczego on musi być tak wnerwiająco przystojny?

– Sama nie wiem. – Rose trąca mnie ramieniem. – Chyba nie byłoby tak źle obudzić się w takim otoczeniu.

Przewracam oczami.

– Rosé, jak cię zabiją, to już się nie budzisz.

Śmieje się na dźwięk przezwiska, które jej nadałam. Podnosi z podłogi swoją bluzę z kapturem i narzuca ją na szczupłe barki.

– Zawsześ taka mądra.

Zostawiam ją, po czym wracam do naszego kampera. Otwieram drzwi i leniwym krokiem kieruję się na tył, gdzie mieści się moje łóżko. Zsuwam buty, zdejmuję spodnie, a następnie opadam na materac. Niedługo potem ogarnia mnie głęboki sen.

Rozdział 8

Dove

Ze snu wyrywa mnie jakby szarpnięcie. Promienie słońca wpadające przez szybę grzeją moją skórę. Jedziemy. Złazę z łóżka, po czym wciskam się w króciutkie spodenki i wychodzę na palcach z pokoju. Kieruję się na przód kampera, przytrzymując się ścianek za każdym razem, gdy wóz podskakuje na nierównościach.

– Dokąd jedziemy? – rzucam pytanie w przestrzeń, gdy zauważam za kierownicą tego samego gościa, który był tu, kiedy się wprowadziłam.

– Dzień dobry, Ptaszynko. Jedziemy do Nowego Jorku. Wcześniej wstałaś.

Opieram się o siedzenie pasażera.

– Nie jestem przyzwyczajona do spania w poruszającym się pojeździe.

Śmieje się, obnażając złoty ząb. Kawał chłopca z niego. Trochę za niski jak na mój gust, no i wyraźnie za stary, ale mogę uznać go za atrakcyjnego.

– Do wielu rzeczy będziesz musiała się przyzwycząić, Ptaszynko.

Ściągam gumkę z włosów, żeby ułożyć je w kok zamiast związać w kucyk.

– Domyślam się. Pijesz kawę?

– Czarną poproszę.

– Jasne. – Odwracam się i idę do kuchni. W tym samym momencie z góry schodzi Kingston. W wyraźnie zbyt nisko zawieszonych na biodrach szarych, krótkich spodenkach.

Skup się.

Ignoruję go i zaczynam robić kawę. Biorę dwa kubki, ale wtem czuję emanujący od mężczyzny żar. Stoi tuż obok mnie, sięgając po coś schowanego w szafce nad moją głową.

Świadomość tego, jak blisko mnie się znajduje, sprawia, że zamieram. Owiewa mnie zapach jego mydła: połączenie miodu i popiołu, które szybko przyprawia mnie o grzeszny zawrót głowy.

Jezu.

Zamykam oczy i wypuszczam powietrze z płuc. Wciąż mam na sobie wczorajszą bluzę. Podwijam rękawy, po czym biorę dzbanuszek z kawą i nalewam jej do dwóch kubków. Muszę się stąd ulot...

Ociera się bokiem o moje ramię, na co mimowolnie się odsuwam, udając, że wcale nie przeskoczyła między nami iskra.

– Przepraszam – mamrocze i robię mu miejsce.

King nie odpowiada. Kiedy nakłada sobie porcję granoli do miseczki, nie zwraca na mnie uwagi. Ta dzieląca nas niewielka odległość jest jak toksyna, jak niewidzialny uścisk jego dłoni na mojej szyi i groźba, że mnie udusi. Fraza „pozbawić kogoś tchu” nabiera nowego znaczenia.

Po nalaniu kawy do kubków zaglądam do szuflady ze sztuccami, gdy kamper nagle gwałtownie skręca i wpadam na ciepły tors stojącego obok mężczyzny.

– Przepraszam. – Odpycham się od niego dłońmi, ale natychmiast cofam je pod wpływem elektryzującego dotyku jego skóry.

Odsuwa mnie od siebie, patrząc, jakbym była jakimś irytującym dzieckiem, a on – seksownym opiekunem mającym dość mojego dokazywania.

– Przestań, kurwa, przepraszać. – Bierze łyżkę dla siebie, a łyżeczkę dla mnie rzuca mi ponad blatem.

– Dzięki. – Łapię ją, po czym słodzę sobie kawę.

Siada na jednym ze stołków i zabiera się za jedzenie, zupełnie mnie ignorując. Postanawiam na tym poprzestać. Odwracam się, by wrócić na czoło kampera, kiedy zatrzymuje mnie jego głos.

– A, Dove?

Odwracam się przez ramię.

– Tak?

Oblizuje dolną wargę, wskazując moje plecy łyżką.

– Zdejmij, do cholery, moją bluzę.

– Spoko – odpowiadam ostrym tonem. Jego słowa mnie zaboląły, ale nie dają tego po sobie poznać. Podobnie jak nie informuję go, że

nie miałam pojęcia, czyja to bluza. Oddam mu ją, kiedy tylko wypiję kawę.

Podaję kierowcy kubek i siadam ze swoim na siedzeniu pasażera. Mężczyzna odzywa się po długiej chwili milczenia.

– Jestem Justice.

– Miło mi cię poznać – odpowiadam, ale nie odrywam oczu od drzew i pól uprawnych migających za oknami.

– Nie musisz mi ściemniać, mała. Dobrze wiem, że nie ma w tym nic miłego, biorąc pod uwagę to, w jakiej sytuacji się znalazłaś – burczy, przysuwając do ust kubek z kawą jedną ręką, a drugą trzymając kierownicę.

Przejeżdżam dłonią po czole.

– Dlaczego zakładasz, że wcześniej miałam życie, na którym mi zależało?

Justice milknie na chwilę. Widzę jednak delikatny uśmiech na jego twarzy.

– *Touché*, Ptaszyno.

– Dove! – warczy Kingston z tyłu.

Nie odwracam się. Nie należę do grona jego przydupasek. Ledwie mnie zna, a traktuje mnie jak śmiecia. Wnerwia mnie to.

– Co? – wołam tonem pełnym obojętności, dając mu do zrozumienia, jak bardzo przejmuję się jego irytacją.

– Bluza!

Choć kawa wciąż jest gorąca i parzy z każdym łykiem, nie odrywam kubka od ust.

– Nie prowokuj wilka, jeśli przypadła ci rola owieczki, Ptaszynko – szepcze Justice.

Wstaję i odwracam się w stronę Kinga. Siedzi nieco odchyłony do tyłu, z przekrzywioną głową i szeroko rozstawionymi nogami. Obrzuca mnie spojrzeniem. Kolejni Bracia zaczynają schodzić z góry.

– Ach, teraz ją chcesz? – pytam, rozpinając powoli suwak. Zdaję sobie sprawę z tego, że pod spodem mam tylko biały, wiązany stanik i krótkie spodenki.

Kingston potakuje skinieniem.

– Tak, Ptaszynko. Dobrze by było teraz. Możesz też pokręcić tyłkiem, ale nie myśl, że ci zapłacę. – Przechyla wyzywająco głowę.

Rozpinam ją do końca, po czym zdejmuję.

– Jezu Chryste, dziewczyno – warczy obok mnie Justice.

Kiedy ją składałam, zauważam nadruk na plecach: AXTON, a pod spodem: BRACIA Z KIZNITH. Spoglądam na stojącego nieruchomo Killiana. W ręku trzyma kubek, ale wzrok ma utkwiony we mnie.

– Dupek – mamroczę, pochodząc do Kingstona i rzucając w niego bluzą, na co Killian zaczyna się śmiać.

Mijam ich i kieruję się prosto do swojego pokoju.

Znajdowaliśmy się w Miami Beach. Akurat byłam sama, więc, oczywiście, przelizałam się z jakimś przypadkowym nieznanym po nocnej hulance z Richem i kilkoma dziewczynami z baru.

Przyciągnęłam go do siebie bliżej, kiedy on akurat sięgnął rękami do tyłu, by otworzyć drzwi, które po sekundzie rozchyliły się na oścież, aż łupnęły przy tym o ścianę.

Obydwoje się zaśmialiśmy. To wtedy zauważyłam, jak zaniedbane miał zęby. Chyba właśnie tequila ze mnie ulatywała, ale chuj tam. Byłam pijana. Z nim. Potrzebowałam oderwania się od codzienności. Jasne, poderwanie pierwszego lepszego typu w klubie było dość żałosne, ale tej nocy nie szukałam niczego z klasą – zależało mi tylko na chwili zapomnienia.

Kiedy z trudem dotarliśmy do jego łóżka, padłam na nie, a on wyciągnął prezerwatywę. Rozebrałam się więc – bo przecież po to tu przyszłam – po czym on, też już nagi, założył gumę. Przyciągnęłam go ku sobie, by się na mnie ułożył. Moja noc uniesień trwała całe pięć minut. O ile nie mniej. Nie zdążyłam nawet wypowiedzieć w myślach słowa „orgazm”, a mój przygodny kochanek padł obok mnie, mamrocząc coś przez sen, że mogę zostać na noc i wrócić do domu rano. Zadowolili mnie tym zdecydowanie bardziej niż tą epicką porażką, którą mnie właśnie wychujał.

Przeczółgałam się więc bliżej wezgłowia i naciągnęłam na siebie kołdrę. W tym samym momencie on zaczął głośno chrapać, na co przewróciłam oczami.

Próbowałam zasnąć, ale nie mogłam. W pokoju było otwarte okno, przez które do środka wpadała morska bryza. Po dziesięciu minutach poczułam, że moje powieki robią się ciężkie.

Tak bardzo ciężkie.

Byłam już na progu upragnionego snu, kiedy poczułam szorstką dłoń zaciskającą się na moich ustach. Natychmiast oprzytomniałam.

Wytrzeszczyłam oczy z przerażenia. Dostrzegałam zarys jego kaptura, ale dolną połowę twarzy miał zasłoniętą jakąś chustą.

Nachylił się do mojego ucha, ściskając mi mocniej usta.

– Zagrajmy w „orzeł czy reszka”, Ptaszynko... – odezwał się wyzywająco Cień.

Poczułam, jak wsuwa mi kolano między nogi. Chociaż leżałam pod cienką kołdrą, czułam wszystko.

– Orzeł: będę ssał twoją cipkę, aż zaczniesz krzyczeć. Żeby pokazać temu debilowi, jak pieprzy się prawdziwy facet. Albo reszka: urżnę ci palce i wyrucham cię nimi. Tak czy siak będziesz krzyczeć, maleńka. To jak?

Kopałam i szarpałam się, ale wiedziałam, że to na nic. Cień przychodził i odchodził. Nic nie mogło tego zmienić.

Odepchnął mnie, natychmiast otarłam ślinę z ust, a do oczu napłynęły mi łzy. Dzień, w którym zaczął mnie dręczyć, to dzień, w którym zginęli moi rodzice. Domyślałam się, że to miało jakiś związek z nimi. Nie byłam jednak pewna, ile wytrzymam, zanim wreszcie weźmie tę jedną, upragnioną przez siebie rzecz.

Mnie.

Powoli się wycofał i wyciągnął monetę. Spojrzałam na mojego przypadkowego nieznajomego, ale on nawet nie drgnął. Wciąż chrapał rozwalony na plecach.

– Tik-tak, Ptaszynko. To wyścig z czasem...

Jak dotąd Cień dręczył mnie we względnie subtelny sposób i nigdy nie groził mi napaścią seksualną.

Gdy podrzucił srebrną monetę, przygryzłam dolną wargę. Patrzyłam, jak unosi się, wirując, po czym spada na jego dłoń. Przez chwilę trwał w bezruchu, a potem rozchylił palce, żeby zobaczyć, którą stroną spadła. Ujął ją dwoma palcami i skierował w moją stronę. Przymrużyłam oczy, by lepiej widzieć, ale już wiedziałam, co to było.

– Orzeł – szepnęłam.

Podszedł z powrotem do mnie, tak że zawisł nade mną swoim ciałem, zaciskając dłonie na moich bokach.

– Umowa to umowa, Ptaszynko.

– Ja...

Zsunął kołdrę z mojej nogi.

– Rozchyl uda – warknął, a w moim wnętrzu zaczęła wrzeć niebezpieczna mieszanka strachu i podniecenia.

Powoli odsunęłam nogę, jednocześnie zasłaniając sobie oczy ramieniem. Nie zrobię tego. Nie tutaj. Nie teraz. Nie z mężczyzną, którego od lat się obawiałam. Prawda jest jednak taka, że z biegiem lat w jakiś sposób przywykłam do jego obecności. Ze strachu robiłam różne bezmyślne rzeczy, ale to była zdecydowanie najgorsza z nich.

Zanim w ogóle pomyślałam o ucieczce z pokoju i uwolnieniu się od wszystkiego, co za mną kroczyło, poczułam na cipce jego ciepłe usta. Pod wpływem doznania wywołanego językiem wędrującym wokół mojej łechtaczki moje plecy wygięły się w łuk. Ssał, lizał i drażnił mnie dziko, sprawiając, że zaczęłam cicho kwilić.

– Krzycz – zażądał.

Zacisnęłam usta i spojrzałam w bok na przypadkowego nieznanego. Cień naparł na moją łechtaczkę najgrubszą częścią języka, po czym powoli nim po niej przeciągnął. Gdy znów przywarł do mnie ustami, cały czas pracując językiem, poczułam wsuwający się we mnie palec.

– Kurwa! – krzyknęłam, kiedy oblał mnie pot, a ciałem wstrząsnął orgazm, którego tak bardzo dziś pragnęłam. Moimi mięśniami i wewnątrz targnęły ekstatyczne spazmy. Miałam gdzieś, czy śpiący obok koleś się obudzi. Byłam zbyt odurzona tym doświadczeniem.

Kilka minut później Cień wczołgał się na mnie z twarzą ponownie zasłoniętą chustą.

– Kiedy następnym razem będziesz chciała wskoczyć komuś na fluta, żeby zapomnieć o mnie, zjawię się znowu i przypomnę ci, dlaczego to kiepski pomysł. Trzymaj nogi razem, Ptaszynko, bo inaczej znowu zabawimy się w rzut monetą.

Powiedziawszy to, zerwał się z łóżka, ale zamiast wyjść oknem – jak się spodziewałam – wyszedł drzwiami, jakby to był jego dom, i zatrzasnął je za sobą.

Zerknęłam na przypadkowego nieznanego, który wciąż chrapał obok mnie.

Rozdział 9

King

– Nie waż się odpierdolić czegoś takiego ponownie. – Opróżniam miskę do zlewu.

– Daj spokój. Było śmiesznie. – Killian szczyrzy się roześmiany z drugiego końca pomieszczenia. – Wszyscy wiemy, jak bardzo jej nie znosisz.

Odwracam się do nich, zaciskając dłonie na blacie.

– Wymyśliliście już, od czego zaczniemy dziś wieczorem?

– Mam ochotę odjechać coś konkretnego – rzuca ot tak Keaton, popijając shake’a.

Killian siada obok niego, wciąż szczyrząc się zza swojego kubka.

Pokazuję mu środkowy palec i wracam na górę wziąć prysznic. Chuj. Kopniakiem zamykam drzwi, po czym rozcieram kark. Zauważam, że mój telefon dzwoni, więc natychmiast go podnoszę.

Otwieram go i przykładam do ucha.

– Mamo.

– Synu, nie odzywałeś się od kilku dni. Jak się masz?

Podchodzę do szafy, z której wyciągam jeansy i styraną koszulkę z logo Harleya-Davidsona, które rzucam na łóżko.

– Kula się.

Milczenie.

– Twój ojciec czeka na informacje. – Słyszę w tle, jak pstryka palcami. Pewnie na pokojówkę. – *Sapore tuae ne obliviscaris*, synu. – Nie zapomnij o swoim zadaniu.

Zamieram pełen napięcia, aż tężeją mi mięśnie.

– Nie zapomniałem.

– Synu...

– Mamo, muszę lecieć.

Rozłączam się i rzucam telefon na drugi koniec pokoju. Jestem prawie pewien, że moja matka to reinkarnacja tej suki, która zabiła

całą swoją rodzinę, włącznie z dziećmi, zjeżdżając z klifu. Jeżeli ja jestem zepsuty – a, kurwa, jestem – to co dopiero miałbym powiedzieć o mojej rodzicielce...

Idę pod prysznic. Zostawiam całą tę rozmowę za sobą. Staję w strumieniu gorącej wody z głową opartą o marmurkową ścianę.

Kurwa, ta dziewczucha nie może się dowiedzieć, kim jesteśmy. Kim naprawdę, do kurwy, jesteśmy. Uśmiecham się szelmowsko, a woda strumieniami spływa mi po twarzy. Zemsta nie zawsze jest słodka. Czasami jest gorzkim przypomnieniem obliczy demonów, których się nie zabiło. A wtedy trzeba po prostu przeładować, wycelować i...
bam.

Rozdział 10

Dove

– Dobra, dobra. – Śmieję się, opierając nogi na desce rozdzielczej.

Jest popołudnie, a mam wrażenie, jakbyśmy jechali już od kilku dni. Jeszcze jakieś cztery godziny jazdy, zanim dotrzemy do Nowego Jorku.

– Pewnie masz rację – pocieszam z rozbawieniem Justice'a w reakcji na jego kiepską próbę wymyślenia teorii spiskowej. – Ale Avril Lavigne jako klon to chyba trochę przesada. Za mocno przeceniasz rasę ludzką. Nas też czeka wyginięcie.

Justice krztusi się napojem.

– Dlaczego tak uważasz?

– Prosta sprawa – odpowiadam, spoglądając na niego znad okularów przeciwsłonecznych, które zsunęłam na czubek nosa. – Nasza gospodarka żeruje na upośledzonych społecznie i jest zależna od tego, by nigdy nie wyrwali się ze swojego położenia. A bogaci tylko się bogacą. Na całym świecie toczą się wojny. W dodatku ludzie zrobili się strasznie przewrażliwieni. Każdy czuje się oburzony byle czym, po czym oburza się na własne oburzenie.

– Dobra, pogubiłem się już, cukiereczku. Ale rozumiem, o co ci chodzi.

Wzruszam ramionami, poprawiając okulary.

– No to teraz opowiedz mi coś o sobie.

Justice wybucha śmiechem.

– Nie ma mowy.

– Ptaszynko, podejdź tu! – woła Killian gdzieś z tyłu.

Celowo ignorowałam ich przez całą podróż, wdając się w gadkę szmatkę z Justicem. To jednak pierwszy raz, kiedy któryś z nich w ogóle mnie zawołał.

Odwracam się.

– Nie trzeba, dzięki.

– To nie było pytanie – odpiera Kyrin, nalewając wódkę do szklanki. Parzy na mnie znad niej, po czym oddaje komuś szkło. – Zachowujesz się, jakbyś wcale nie była więźniem. Może powinienem ci o tym przypomnieć i przywiązać cię do mojego łóżka.

Killian śmieje się, kładąc swoje karty na stół.

– Straszysz ją, Ky.

Kyrin gapi się na mnie.

– I dobrze. Lubię, kiedy się boją. To mnie podnieca.

Na szczęście to nasze przekomarzanie się przerywa King, który schodzi z góry. Bardzo chciałabym zobaczyć, jak tam jest. Jednak już na samym początku dali mi jasno do zrozumienia, że nie mam tam prawa wstępu. Nie chcę teraz wystawiać ich cierpliwości na próbę.

King podchodzi do lodówki, z której wyciąga wędliny i musztardę, żeby zrobić sobie kanapki.

Wiem, że jest ich liderem, ale wciąż dziwi mnie dynamika ich relacji. Wszyscy działają płynnie, chociaż King tak naprawdę się z nimi nie trzyma – z tego, co zdążyłam zauważyć. A może po prostu nie przepada za towarzystwem. W momencie gdy się nad tym zastanawiam, obiekt moich rozmyślań siada na stołku obok Kyrina, odgryzając duży kęs kanapki i zerkając na mnie. Trochę to niepokojące. Jakby słyszał moje myśli.

Kyrin podsuwa mu szklankę czegoś wyglądającego jak mieszanka alkoholi. Albo cola.

King bierze ją do ręki i wypija spory łyk, nie odrywając ode mnie oczu.

– Ptaszynko, chodź się zabawić – rzuca wyzywająco Killian, czym wyrzywa mnie z mojego zahipnotyzowania Kingstonem.

– W co? – pytam, przyglądając im się sceptycznie.

Killian unosi idealnie ukształtowaną brew.

– No, gdybym mógł wybrać...

Zdaje się, że grają w karty. Co takiego mogłoby się stać, jeśli bym do nich dołączyła?

– Śmiało, Ptaszynko. Oni nie gryzą – zachęca mnie cicho Justice.

– O, czyżby? – drażni się z nim Killian, puszczając do mnie oczko.

King odsuwa kopnikiem krzesło naprzeciwko niego i wskazuje gestem głowy, bym usiadła.

– No to chodź, Dovey. – Nachyla się nad blatem z łokciami opartymi na kolanach. Cały czas mierzy mnie lodowatym wzrokiem.
– Nie chcesz się przekonać, czy gryziemy?

Nogi drżą pode mną, a oddech zatrzymuje się w gardle. Mimo to ruszam, by usiąść na wskazanym mi krześle. *Jeden krok. Dwa. Trzy...* Siadam, zauważając karty rozłożone na stole.

– W co gramy?

King opiera się o oparcie i odpowiada z szelmowskim uśmiechem:

– W ciebie.

Odchrząkuję. Nigdy nie widziałam u niego takiego wyrazu twarzy i teraz tego żałuję. Jest taki złowieszczy. Jak coś, co widzi się tylko w koszmarach. Jediną różnicą dzielącą go od potwora ze snów jest to, że Kingston ma niesamowite wyczucie stylu.

– To żart. – Keaton patrzy na mnie bez emocji.

– Na pewno? – odzywa się przekornie Killian.

Kyrin przewraca oczami, podając mi karty.

– Gra nazywa się „szóstka” – wyjaśnia i podaje mi sześć kart. – Celem jest odczytanie myśli pozostałych graczy. Potrafisz?

– Szczerze? – odpowiadam, układając karty w dłoni. – Nie.

Kyrin zamiera na chwilę i przesuwając wzrokiem po siedzących przy stole, po czym ciągnie dalej:

– No to się nauczysz. Albo i nie. Przekonamy się. Celem jest odgadnięcie kart innych graczy. Rozdający, czyli w tej turze ja, zadaje każdej kolejnej osobie do trzech pytań. Zaczynasz od osoby po swojej lewej i jedziesz dalej, po okręgu. Musisz wykorzystać swoje pytania na tyle mądrze, by zgadnąć jedną spośród sześciu kart, którą wybrała odpytywana osoba. Gracz z największą liczbą odgadniętych kart na końcu rozgrywki może rzucić innym jedno wyzwanie. Tak więc, jeśli wygram, mogę wybrać któreś z was, aby wykonało moje polecenie. I nie ma odmawiania.

Unoszę przekornie brew.

– A jeśli ktoś odmówi?

Kyrin tasuje karty.

– Jeszcze nigdy nam się to nie zdarzyło, więc nie wiadomo, Dovey. Zapewne postawiłabyś się w ten sposób w bardzo niepewnej sytuacji.

Przełykam po cichu ślinę, żeby nie dać po sobie poznać strachu.

– Jakie są zasady? – pytam, zerkając na swoje karty. Dołączenie do nich było głupim pomysłem.

Kyryn nalewa kolejną szklanekę wódki i przysuwa ją mnie.

– Nie możesz pytać o barwę, kolor ani o to, czy jest to liczba nieparzysta.

– Co? – Wciągam gwałtownie powietrze, ignorując drinka. – To jak mam zgadnąć te karty?

– Wygląda na to, że zaraz się dowiesz – mamrocze Keaton.

Kyryn odkłada resztę talii na środek stołu i zwraca się do Keatona. Patrzy mu w oczy przez kilka sekund.

– Jaki jest twój ulubiony kolor?

– Czarny.

– Naprawdę? Myślałem, że czerwony.

Keaton obrzuca go piorunującym spojrzeniem, na co ten zaczyna się śmiać.

– Król kier.

Keaton wyciąga kartę i pokazuje, że to faktycznie król kier.

– Co? Przecież to niemożliwe! – Nie znam się na grach karcianych, ale takiej jeszcze na pewno nigdy nie widziałam.

Killian nachyla się ku mnie.

– Będzie ci trudno, bo jesteś nowa i czujesz się przy nas nieswojo. Zdradzę ci więc pewną tajemnicę. – Przybliżyła się jeszcze, aż czuję jego usta tuż przy uchu. – Zazwyczaj ludzie sami ujawniają to, co mają.

Nie mam pojęcia, co to oznacza.

– Przestań, kurwa, oszukiwać, Kill – warczy King, kręcąc głową.

– No co? Nigdy przecież nie grała z nami żadna dziewczyna. Staram się zapewnić jej tylko uczciwe warunki gry. Poza tym, wciągając ją w szóstkę, rzuciliśmy ją na głęboką wodę.

– Gówno prawda – kpi Killian wpatrzony we mnie. – Graliśmy w tę grę, odkąd skończyliśmy dwa latka.

Grupa milknie.

– Dwa? – pytam zszokowana. W jaki niby sposób dwulatek miałby rozumieć grę, której ja nie pojmuję?

– Jaja sobie robi – odpowiada Keaton.

Niby odpowiada, ale jakoś tak brzmi nieprzekonująco...

Kolejka się przesuwa, a ja patrzę tylko, jak każdy z nich zgaduje prawidłowo. King ma wciąż najwięcej kart w ręce, kiedy przychodzi moja kolejka. Kładę swoje na stole.

– Będiesz pić? – pyta Kyrin, wskazując ruchem głowy szklanę.

– Nie przyjmuję drinków od nieznajomych.

– O – uśmiecha się Kyrin – może sami moglibyśmy się tego nauczyć. Na przykład nie gościć osób, które nie należą do naszej grupy.

Wzdrygam się nieco, ale na szczęście tego nie zauważyli. A przynajmniej sprawiają takie wrażenie.

Spoglądam na Killiana siedzącego po mojej lewej. Trzyma kartę przy ustach.

– No dalej, Ptaszynko. Dasz radę.

Wcale nie jestem tego taka pewna. Co za dziwaczna gra. Nie mam pojęcia, od czego zacząć ani o co zapytać.

– Całowałaś się kiedyś z nieznajomą? – Nie wiem, dlaczego zapytałam akurat o to, ale niech już będzie. W końcu to Killian. Co się może stać?

– Zabierz mnie najpierw na kolację, zanim będziesz chciała się ze mną pieprzyć, Ptaszynko – żartuje ukryty za swoją kartą.

Dostrzegam drgnięcie w jego lewym oku.

Poruszam się tu zupełnie po omacku.

– Nie wiem... szóstka karo?

– Źle! – Pokazuje dziesiątkę kier.

– Głupia gra – mamroczę, po czym zdaję sobie sprawę, komu zadaję następne pytanie.

Kingston patrzy na mnie bez emocji. Z każdym mrugnięciem jego gęste rzęsy niemal omiatają wysokie kości policzkowe. Jego usta mają idealną wielkość: ani zbyt pełne, ani zbyt cienkie. Ma nieskazitelnie symetryczną twarz, a każdy jej element jest perfekcyjnie umiejscowiony.

Patrzy mi w oczy, trzymając kartę kciukiem i palcem wskazującym. W drugiej ręce ma drinka. Zauważam skórzaną bransoletkę na jego nadgarstku i czarny pierścień na palcu.

Zapada cisza. Mam wrażenie, że w tej chwili słyhać tu tylko mój oddech.

Mrugam powoli.

– Byłeś kiedykolwiek zakochany?

Nawet nie mruga.

– Nigdy.

– A masz taki zamiar?

Napina szczękę.

– Nie.

– Ktoś mógłby powiedzieć, że masz czarne serce.

Przechyla głowę, ale na jego ustach dostrzegam delikatny uśmiech. Kontynuuję, oblizując najpierw dolną wargę. Zerka na mój język, po czym znów wraca wzrokiem do moich oczu. Ponownie robi to bardzo subtelnie.

– Ktoś mógłby powiedzieć... – szepczę. *Kurwa, co ja wyprawiam?* – Że jesteś asem pik.

Zamiera, zwięzając powieki. Wszystko wokół niknie. W tym momencie jesteśmy tylko my dwoje i nasza próba sił.

Mięśnie jego twarzy napinają się kilkukrotnie, po czym odwraca kartę w moją stronę.

Wracam do rzeczywistości, kiedy reszta chłopaków reaguje wybuchowo z niedowierzania. Ponieważ King trzyma w dłoni asa pik.

Mrugam kilka razy, żeby otrząsnąć się z otępienia.

– Podmieniłeś ją! – Wskazuję na kartę, którą kładzie na stole.

– Nie podmieniłem. Nie jestem oszustem.

– Co za pojebana akcja. – Kręci głową zaskoczony Killian. Wstaje od stołu i wyciąga telefon. Robi nam wszystkim zdjęcie, gdy tak siedzimy przy stole. – To przejdzie do historii.

Otrząsam się z emocji i przechodzę do kolejnych dwóch. Keaton – totalna porażka. Nie wiem, po co w ogóle próbowałam. Nie jestem w stanie niczego z niego wyciągnąć. Choć, tak po prawdzie, to nawet się nie starałam, bo wciąż siedzi mi w głowie i rozprasza mnie to, co wydarzyło się przed chwilą.

Z Kyrinem to samo: porażka, porażka, porażka. Wygrałam tylko z Kingstonem Axtonem. Dlaczego akurat z nim? Dlaczego musiał akurat wybrać mojego asa pik?

– Dobra! Nie musimy nawet liczyć, żeby wiedzieć, że wygrał King – oznajmia Killian, rzucając swoje karty na środek stołu i dopijając drinka.

– Co za niespodzianka. – Śmieje się Keaton i kopie Kinga pod stołem.

– Jakie jest twoje życzenie, wasza wysokość? Śmiało. Wal! – drażni się z nim Killian, zjadając się chipsami.

Kingston rozgląda się dookoła z uśmiechem na twarzy.

Zamieram, kiedy jego wzrok zatrzymuje się na mnie, zamiast przesunąć się na Killiana.

Nie.

Kurwa.

Kręcę głową.

– Jestem nowa. Nie możesz mi tego robić.

Unosi brwi.

– Właśnie, że tak – odpowiada wyszczerzony, drapiąc się palcem wskazującym po górnej wardze.

– Ej! – woła Justice zza kierownicy, czym ratuje mnie od tego, co zamierzał powiedzieć King. Dzięki Bogu. – Jesteśmy na miejscu!

Spoglądam na zegar na desce rozdzielczej: siódma trzydzieści siedem. Cholera, szybko zleciało.

Wstaję od stołu i zanoszę szklankę do zlewu, podczas gdy pozostali rozchodzą się każdy w swoją stronę, żeby zająć się czymś, o czym pewnie nie mam pojęcia.

Odwracam się. King wciąż siedzi na krześle. Trochę mnie to irytuje, ponieważ muszę dosłownie otrzeć się o niego, by pójść do siebie. Posiedziałabym dłużej z Justicem, ale chyba nasza krótka rozmowa urwała się już na dobre.

Wstrzymując oddech, zbieram się do odejścia. Kiedy zbliżam się do Kinga, jego dłoń ląduje na wewnętrznej stronie mojego uda. Zatrzymuję się. Podobnie jak moje cholerne serce.

Nieruchomieję, nieco zdyszana. Spoglądam w dół i widzę jego twarz wykrzywioną szelmowskim uśmiechem. Zaciska palce wokół mojej nogi, aż robi mi się tak gorąco, jakbym stanęła w ogniu.

– Wieczorem upomnę się o moje życzenie, Ptaszynko.

Puszcza mnie, a ja docieram szczęśliwie do swojego łóżka bez przewracania się na twarz.

Gdy tylko zdążę odetchnąć, mój telefon zaczyna wibrować. Biorę go do ręki, żeby odczytać wiadomość.

Do rana zabiję Val.

O tak, z chęcią zaangażuję się dla odmiany w jakąś dziewczynską dramę. Pamiętam, jak w liceum panikowało się o byle pierdołę. Teraz – w porównaniu z tym, czego tu doświadczam – tamte problemy wydają się niczym. Z tej perspektywy nawet to, że przed trafieniem do Midnight Mayhem nie raz głodowałam, byłam spłukana i utrzymywałam się z tańca na rurze, staje się czymś błahym.

Nie kończę odpisywać, ponieważ do środka zagląda Killian.

– Mogę wejść? – pyta.

– Jasne. – Przetykam ślinę. Wpatruję się w sufit, odkładając telefon obok siebie.

Siada na moim łóżku, po czym zdejmuje buty i przysuwa się bliżej. Odwracam głowę w jego stronę. Podpiera się na łokciu z głupim uśmiechem na twarzy, który skrywa nieco pod bluzą.

– Wiesz, co jest dziwne? – Jego niebieskie oczy iskrzą jakąś figlarnością. Wysuwa język na tyle, by odsłonić kolczyk, którym następnie przejeżdża po dolnej wardze.

– Co? – zagaduję, zahipnotyzowana ruchem jego języka.

Wsuwa go z powrotem do ust, a dłonią unosi moją twarz, żebym znowu na niego spojrzała.

– Gdybym był w takiej sytuacji jak ty, nie patrzyłbym na mnie takim wzrokiem.

Wyszarpuję się z jego uścisku.

– Nie wiem, co masz na myśli.

– W każdym razie – znowu czaruje – to zabawne.

Przewracam oczami i wkładam sobie pod głowę ramię w oczekiwaniu na to, co ma do powiedzenia.

– Gramy w tę grę, odkąd skończyliśmy dwa lata. Czyli od dwudziestu dwóch lat. Przez cały ten czas jeszcze nikt nie odgadł karty Kinga.

Mrugam parę razy.

Kilka głębokich wdechów później pytam:

– No i?

Chcę wiedzieć więcej. Muszę wiedzieć więcej.

– No i? – papuguje Killian, obnażając w uśmiechu proste, białe zęby. – No i to, kurwa, dziwne. – Mruży oczy, jakby szukał czegoś w moich. – Jesteś kosmitką. Ze strefy pięćdziesiąt jeden.

Schodzę z łóżka z telefonem w ręce i pośpiesznie piszę wiadomość, którą chciałam wysłać, zanim Killian wdarł się na teren mojej strefy pięćdziesiąt jeden.

Możemy się zamienić miejscami?

– A tak w ogóle to jak to z tobą jest, Ptaszynko? – docieka mężczyzna, zsuwając się na brzeg łóżka i opierając łokcie na kolanach. – Dlaczego tu jesteś?

Już miałam odpowiedzieć „bo mnie, kurwa, porwaliście”, kiedy nagle zasłona oddzielająca moją przestrzeń od reszty kampera się odsuwa.

– Wynocha. – Wskazując kciukiem drzwi, Kingston ponagla Killiana.

Prostuję się natychmiast, jakby przyłapano mnie na jakimś występku.

Killian nie reaguje. Milczy wpatrzony w Kingstona z ironicznym uśmiechem.

– Serio? – Śmieje się, po czym schodzi z łóżka i szepcze coś na ucho Kingstonowi. Nawet nie chcę wiedzieć, o czym rozmawiają. Jestem zbyt zestresowana tym, czego chce ode mnie King. Może powinnam zaproponować partyjkę pokera i przekonać się, czy też wygra.

Killian wychodzi, a kamper się zatrzymuje. Cisza panująca między mną a Kingiem jest tak głośna, że mogłaby obudzić martwego.

– Co do tego wyzwania... – odzywam się żartobliwie, ściskając dłońią koc.

– Mam ci wytłumaczyć zasady? Nawet te kurewsko oczywiste? – przerywa mi, czym zbija mnie z tropu.

– O co ci chodzi? – Czuję, że się czerwienię. Nie wiem, dlaczego założyłam, że przyszedł tu w celu wyegzekwowania swojej wygranej.

Podchodzi bliżej. Opiera się o łóżko masywnymi ramionami, unieruchamiając mnie między nimi. To, jak blisko mnie się znajduje, przypomina piosenkę, do której kiedyś tańczyłam. *Breathe* Mako. „Zdolność odwrócenia czyjejś uwagi, kiedy znajdujesz się w sytuacji zagrożenia, może zdecydować o życiu lub śmierci, Ptaszynko”. Przymykam powieki, głównie po to, by uciszyć głos nawiedzający mnie nawet wtedy, kiedy mam otwarte oczy.

– Nie wolno ci się pieprzyć, całować ani nawet obmacywać z żadnym z Braci. Mam dać ci to na piśmie, żebyś utrwaliła sobie tę zasadę w tej swojej małej, ślicznej główce? – mówi cichym tonem. Jego ciepły oddech muska moje usta.

Powoli uchylam powieki i widzę go. Stoimy twarzą w twarz. Nos w nos. Patrzy mi w oczy, po czym zerka na moje usta.

– Odpowiedz, Dove.

– Nie, nie musisz dawać mi tego na piśmie. Nie zbliżę się do żadnego z was.

– I jesteś tego pewna – stwierdza z przekąsem.

Przygląda mi się badawczo, ale wiem, że to tylko pozór. W rzeczywistości nudzi się i zgrywa Boga. Upewnia się, że jego pionki przesuwają się po szachownicy zgodnie z jego życzeniem. Znam ten typ. Melancholijny samiec alfa, który lubi, kiedy jego żołnierze stoją w jednej linii, gotowi do walki. Tylko jeszcze nie wiem, czy jestem częścią jego armii, czy może wrogiem.

Odchrząkuję, wciągając wargi między zęby.

– Tak. Jako tako.

– Dlaczego wątpisz? – pyta.

Niech on się wreszcie odsunie. Chciałabym mu powiedzieć „to przez ciebie, kurwa, wątpię”, ale zamiast tego tylko kręcę głową.

Nareszcie się cofa i prostuje.

– Przekonamy się. – Wychodzi, znikając w dalszej, zacienionej części kampera. Jedynym źródłem światła tutaj jest żarówka przy suficie.

Justice przeciąga się i ziewa z rękami uniesionymi wysoko nad głowę. Kiedy mnie zauważy, natychmiast zamyka usta.

– Wszystko w porządku, Ptaszynko? – Mówi z akcentem, ale trudno mi rozpoznać z jakim. Może to szkocki? Brzmi trochę jak Cygan. Albo to prostu zlepek dialektów podłapanych podczas tych wszystkich podróży.

– Tak. – Wstaję z łóżka, po czym wsuwam telefon do tylnej kieszeni spodni. Idę w głąb kampera. – Co teraz?

Wykonuje kółka ramionami, żeby się rozruszać.

– No cóż, my pijemy, a budowlańcy zabierają się za robotę.

– Budowlańcy?

– No tak. – Idzie do kuchni po butelkę wody z lodówki. – My się tym nie zajmujemy. Wszyscy musimy... – Milknie, żeby się napić i zastanowić, co powiedzieć jako następne. – Oszczędzać siły na przedstawienie.

Znika gdzieś za mną bez pożegnania. Co to w ogóle za przedstawienie? Wszyscy dali mi już wyraźnie do zrozumienia, że to nie cyrk, bo nie mają żadnych zwierząt. Ale wesołe miasteczko też to nie jest, bo nie mają żadnych karuzel i urządzeń. Czym więc jest Midnight Mayhem? I o co chodzi z tymi ludowymi historiami o duchach, o których mówił Killian?

Przed wyjściem ubieram się w cieplejsze ciuchy: obcisłe jeansy, uggi i oliwkową, wojskową kurtkę z futerkiem – mam nadzieję, że sztucznym – wokół kołnierza. Idę poszukać Rose. Kampery zaparkowano jeden przy drugim tak, żeby zapewnić wszystkim trochę prywatności. Nasz natomiast stoi nieco z tyłu, za dużą gładyczną trójcierniową. Gałęzie drzewa wiszą nad samochodem, rzucając na niego cień. Kilku gości rozstawia lampy solarne, tworząc z nich ścieżki między wozami. W pewnym momencie orientuję się, że przyglądamy się sobie nawzajem. Uśmiecham się delikatnie, na co wszyscy pospiesznie odwracają wzrok. Jakby przyłapano ich na robieniu czegoś niedozwolonego.

– Hej! – wołam do dziewczynki, która schyla się i wbija lampę w trawnik obok naszego wozu.

Prostuje się i powoli odwraca w moją stronę. W jej oczach odbija się światło.

– Wiesz, gdzie jest kamper Midnight? – zagaduję.

Przechyla głowę, szukając wzrokiem moich oczu. Otwiera usta, by odpowiedzieć, kiedy jakiś facet staje za nią i kładzie rękę na jej ramieniu, i patrzy na mnie, mówiąc:

– Ariana, idź pomóc przy namiocie. – Choć wykrzywia usta, nadając swojej twarzy surowy wygląd, jego ton jest łagodny, jakby specjalnie przez wzgląd na tę filigranową dziewczynkę.

Ta spogląda na mnie błagalnie, po czym zwiesza głowę i oddala się już ułożoną z lamp ścieżką.

Kieruję swoją uwagę z powrotem na mężczyznę.

– No to wiesz, gdzie ich znajdę?

Przyjmuje groźną pozę, zakładając ręce na piersi.

– To nie miejsce dla ciebie, wiedźmo.

Nie wiem, o czym on bredzi, ale nie zapytam go, bo w właśnie w tym momencie czuję wibracje telefonu w mojej kieszeni.

Wyciągam go, ignorując tego typa, i ruszam sama na poszukiwania. To SMS od Rose, w którym wyjaśnia, jak dojść do ich kampera.

Idę zgodnie z jej instrukcjami, aż wreszcie odnajduję spory, nieustawiony jeszcze namiot, który właśnie rozciągają na trawie. Zastanawiam się, ile czasu spędzają w trasie. I dlaczego nigdy o nich nie słyszałam. Muszę poszperać w Google, gdy tylko znajdę się z powrotem w moim łóżku z dala od innych.

– Dove! – woła Rose.

Odwracam się do niej. Macha do mnie, stojąc obok fioletowego kampera Midnight. Przy wozie zrobili niewielkie ognisko, wokół którego ustawili krzeselka. Są tam wszystkie dziewczyny z Midnight, przez co prawie żałuję, że przyszłam. Trzeba było zostać w łóżku i trzymać się od innych z daleka. Próbuję wymyślić jakąś wymówkę, by się zmyć, ale Rose dopada do mnie i bierze pod rękę.

– Nie są takie złe. To znaczy pozostałe trzy. Val to konkretna suka. Lepiej jej nie prowokować, jeśli wiesz, co mam na myśli – szepcze mi do ucha, gdy zbliżamy się do reszty.

Uśmiecham się do nich, pełna niepewności.

– Hej! – Jakaś brunetka wstaje, by podać mi drinka. – Jestem Mischa! – Wskazuje na ciemnowłosą dziewczynę na krzeselku obok niej. – A to Maya. – Następnie kieruje rękę w stronę blondynki siedzącej po drugiej stronie ogniska.

Ta gapi się na mnie z przekrzywioną głową i skrzyżowanymi nogami. Jest piękna, właściwie jak każda z nich. Po prostu bardzo się od siebie różnią w swoim pięknie.

– A to jest Val. Suka z niej, więc nie musisz jej poznawać. Siadaj!

Maya przygląda mi się uważnie ze swojego miejsca. Jest cicha. Chyba już ją lubię.

– No, jak ci się podoba? – zagaja Mischa. Za co jestem wdzięczna.

– Hm, pomyślmy. Najpierw mnie porwano, potem...

– Chodzi jej o to, że w końcu się przyzwyczaisz – wtrąca się Rose, ściskając wymownie moje ramię.

Zerkam na nią, po czym siadam na krześle obok Mayi.

Mischa i Rose kontynuują rozmowę, a ja udaję, że piję powoli swojego kwaśnego drinka. Jebane margarity. W taką pogodę? Nie, dziękuję. Opieram kubek na kolanach i słucham, jak Mischa opowiada Rose o jakimś gościu, z którym się spotykała.

Maya jest wyraźnie odprężona, a kiedy dolatuje mnie słodki zapach marihuany, domyślam się dlaczego. Wygląda na pół--Afroamerykankę. Ma długie, ciemne włosy i egzotyczne rysy podkreślające jej migdałowe oczy otoczone gęstymi rzęsami. Mogłabym zabić za takie rzęsy. Ubrana jest w boyfriendy i bluzę z kapturem, który naciągnęła na głowę.

– Wiesz, że niegrzecznie jest się gapić. – Maya strzepuje popiół z jointa.

– Racja – odpowiadam, kierując wzrok na milczącą właśnie Rose.
– Wiem.

Maya jest inna. Widzę to. Jakoś nie wyobrażam jej sobie w skąym stroju, wykonującej szpagaty na scenie.

– Nie pijesz drinka, Dove – zauważa Val. Przechyliła głowę na bok tak, że na jej szczęce pojawia się cień pomimo blasku ognia. – Dlaczego?

Wzruszam ramionami.

– Ja...

– Po prostu nie pije. – Kingston wyciąga mi drinka z ręki.

Serce wali mi jak młotem, ale w brzuchu kipi gniew. Wszystkie uczucia, jakie wywołuje we mnie widok Kinga, ostatecznie sprowadzają się do ściskającego mój żołądek gniewu.

Ignoruję go, podobnie jak trzech pozostałych, którzy rozsiadają się wokół ogniska. King siada na trawie naprzeciwko mnie, popijając drinka i nie odrywając ode mnie oczu. Patrzą, jak powoli unosi margaritę do ust, po czym wypija ją jednym haustem. Spodziewałam się jakiejś reakcji. Może obrzydzenia. Od kiedy faceci są w stanie przełknąć margaritę?

Killian przystawia sobie krzesło obok Val, a na trawie stawia boomboksa. Szpera przez chwilę w telefonie i odpala znaną mi piosenkę R&B: *Antisocial*. Wykonują ją Ed Sheeran i jakiś raper. Kiedy wchodzi bit, Killian puszcza Mayi oczko.

– Twój kawałek, co nie?

Maya zbywa go, zapalając kolejnego skręta.

– Bądź miły albo sam będziesz sobie załatwiał zioło.

Zawsze wolałam obserwować innych zamiast gadać. Wielokrotnie uznawano mnie przez to za snoba, ale to nie tak. Po prostu jestem cicha. Zbyt wielu ludzi wypluwa z siebie słowa bez namysłu, dlatego wolę obserwować. Jak inni mówią, jak się noszą, co mówią i w jaki sposób. Niektórym pewnie wydaje się to dość dziwaczne. Tak czy siak, jeśli chodzi o Mayę i Killiana, napięcie seksualne między nimi jest tak gęste, że można by kroić je nożem. Mówią tak wiele, nie wypowiadając słów.

Zaciskam palce na kolanach. Przydałoby mi się coś na rozluźnienie, ale nie przepadam za alkoholem. Piję tylko, kiedy mam na to ochotę, a tak się składa, że rzadko ją miewam. Poza tym po pijaku robię się wyjątkowo nieprzyjemna: ckliwa, szurnięta i wygadująca rzeczy, których wcale nie mam na myśli. I właśnie dlatego ograniczam się tylko do obserwowania innych, a alkoholu nie tykam albo co najwyżej zwilżam usta.

– A dlaczego nie pijesz, Dove? – dopytuje Val, przyglądając mi się uważnie.

Dlaczego patrzy na mnie tak, jakbym kopnęła jej szczeniaczka?

Wzruszam ramionami.

– Nie to, że nie piję w ogóle. – Zerkam przelotnie na Kinga, który wciąż mierzy mnie wzrokiem. Ciekawe, czy zorientował się, że nie tknęłam drinka podczas naszej gry w szóstkę. Nie. Na pewno nie. Musiałby wtedy zwrócić na mnie szczególną uwagę. – Po prostu nie piję często.

Val zastanawia się chyba, co powiedzieć, ale ponieważ do naszego kameralnego spotkania dołącza coraz więcej osób, przekształcając je w imprezę z prawdziwego zdarzenia, odwraca wzrok i skupia się na Kingstonie. Obserwuję, co robi, pomimo tłumu ludzi raczących się drinkami wokół nas. Wstaje z krzesła i siada Kingowi na kolanach, jakby to było jej właściwe miejsce. Zasycha mi w gardle. Kieruję więc pospiesznie spojrzenie w inną stronę, żeby nie rozzłościć jej swoim gapieniem się. Nigdy nie zgadłabym, że między nimi coś jest. King wydaje się taki niedostępny. Jest jak alkohol z najwyższej półki: fajnie na niego popatrzeć i pomarzyć, ale wiesz, że padniesz już po pierwszym łyku. Rose przygląda mi się. Raczy mnie delikatnym

uśmiechem, po czym podaje mi swój kubek i przestawia swoje krzesło tuż obok mojego, po przeciwnej stronie Mayi.

– Jeśli się nie mylę – odzywa się Rose, wskazując na szklanekę – potrzeba ci tego.

Unoszę drinka i biorę niewielki łyk. Czuję smak piwa w ustach, zanim je połykam.

– Właściwie to może bym się przespacerowała. Zobaczymy się później? – mówię Rose, która częstuje się właśnie jointem Mayi.

– Mam iść z tobą? – Wsuwa go do ust i zaciąga się.

– Nie, muszę się tylko przewietrzyć.

Spoglądam na Mayę, która mnie ignoruje.

– Pa, Maya.

Spogląda na mnie leniwie. Ma najgorszą *resting bitch face*², jaką kiedykolwiek widziałam.

– Pa – odpowiada beznamiętnie, po czym kieruje wzrok gdzieś w przestrzeń.

Odwracam się i idę, Bóg wie gdzie, zastanawiając się, czy Maya jest dziwna, niezrównoważona czy może po prostu jest samotniczką. Miałam zamiar pospacerować i udać się z powrotem do naszego kampera, ale moją uwagę nagle przykuwa stojący już namiot.

Neonowe lilie, tajemnicza czerń i przyćmiona szarość rozjaśniają mrok nocy niczym ostrzeżenie przed tym, co ma się wydarzyć. Midnight Mayhem jest wyraźnym dowodem na to, że te mity są prawdziwe: potwory naprawdę wychodzą nocą ze swoich kryjówek.

– Zgubiłaś się, Ptaszynko? – Delila zakłóca moje myśli.

Odwracam się do niej. Wkłada papierosa do ust, zaciąga się nim, po czym wypuszcza lekko dym.

– Nie. Wracałam właśnie do mojego... Do kampera.

Podchodzi do mnie i ujmuje mnie za dłoń.

– Chodź ze mną, zagubiona owieczko.

Nie mam nawet szansy zaproponować, ponieważ już ciągnie mnie za sobą w kierunku wejścia do namiotu. Jest znacznie większy niż ten ustawiony za jej domem i przewyższa też rozmiarem typowy namiot cyrkowy. Zamiast czerwonych i białych pasów ma liliowe i czarne. Materiał poprzetykany jest też niewielkimi światełkami. Nad samym wejściem wisi wielki szyld, na którym widnieje napis „Midnight

Mayhem” wykonany czarną, nierówną czcionką z czerwonymi zdobieniami.

Delila zatrzymuje się w progu i gestem ręki zaprasza mnie do środka.

– Śmiało. Nie wszystko jeszcze gotowe, ale parkiet jest już dostępny.

Powiedziałabym, że jestem pod wrażeniem tego, jak szybko ten gigantyczny namiot został rozstawiony, ale wtem dociera do mnie, co właśnie powiedziała.

– Co to znaczy „parkiet jest już dostępny”? – pytam, stając za nią. Gdy tylko wchodzę, prawie potykam się o własne stopy. Nie ma jeszcze siedzeń, ale podłoga jest już rozłożona. Jest też prowizoryczna scena, przed którą leży obszerna plandeka.

– To znaczy – Delila zdeptuje papierosa – że chcę zobaczyć, jak się zatracasz. – Spogląda na moje stopy. – Niech zgadnę, balet?

Natychmiast kieruję na nią wzrok, którym dopiero co pożerałam całe wnętrze.

– Tak, skąd wiesz?

– Po twoim sposobie chodzenia. – Pstryka palcami i podbiega do nas chłopak mniej więcej w moim wieku, ocierający sobie pot z czoła.

Nie zwracam za bardzo na niego uwagi, ponieważ Delila wciąż mówi.

– Przynieś mi krzesło i trochę szkockiej. Nagłośnienie gotowe?

Chłopak poddańczo potakuje skinieniem.

– Nie całkiem, ale można już włączyć muzykę.

Delila kiwa głową, a on znika, żeby przynieść jej wysokości to, czego sobie zażyczyła.

Przygląda mi się uważnie, jakby czymś zaintrygowana.

– Nie pijesz z pozostałymi. Dlaczego? – Zapala kolejnego papierosa. Zastanawiam się, w co ta kobieta pogrywa. I jak udaje jej się utrzymać kondycję pomimo wypalanych jeden za drugim papierosów.

– Nie przepadam za alkoholem.

– Hmm – mruży w odpowiedzi, siadając na przyniesionym przez chłopaka krześle. Oprócz siedzenia przyniósł jej też stolik z butelką

szkockiej i szklankę z grubym dnem. – Nietypowe jak na taką młodą dziewczynę.

Mam ochotę przypomnieć jej, że nie jestem nastolatką i nie mam potrzeby imprezować jak nastolatka. Zamiast tego jednak mówię:

– Kiedy skutek tragicznych zdarzeń tracisz kontrolę nad swoim życiem, trudno jest wypełnić powstałą w ten sposób pustkę czymś tak płytkim.

Kciukiem i palcem wskazującym chwyta papierosa.

– O, mądra jesteś. Szczęściara ze mnie. – Robi wydech, wskazując mi gestem ręki scenę. – Nie mam niestety dla ciebie trykotu, ale są tam jakieś baletki, szorty i bluza. Zaimprovizuj coś, Dove. Tylko nic na siłę. Niech Dove Noctem Hendry poszybuje nad moją sceną.

– Dobrze. – Odwracam się i podchodzę do parkietu. Nie mam pojęcia, czego tak naprawdę oczekuje, ale, zgodnie z jej radą, po prostu zatańczę.

Będąc już na scenie, wchodzę za czerwoną kurtynę. Zdejmuję jeansy i buty, po czym wciskam się w białe szorty – krótsze, niż się spodziewałam – i zakładam szarą bluzę. Kiedy w tańcu chcę zaakcentować ograniczone ruchy, zwykle dobieram obcisłe ciuchy.

Kątem oka zauważam różowe baletki. Ścisną mnie w dołku na ich widok. Nie nosiłam takich od lat. Właściwie to odkąd zginęli moi rodzice. Ściągam gumkę z włosów, rozpuszczając kucyk. Przeczesałam je palcami, jakbym zastanawiała się, co zrobić. Chciałabym sprawdzić, czy wciąż to w sobie mam, ale nie wiem, czy jestem już gotowa. To ta sama niepewność, która wieczorami wywołuje we mnie natłok myśli i nie daje mi spać.

– Przepraszam – odzywa się ten młody chłopak. – Chcesz jakąś konkretną piosenkę?

– Poproszę *Breathe* Mako.

Znika tam, skąd przyszedł, a ja wracam do stresowania się dylematem baletek. Powoli dotykam ich delikatnego jedwabiu.

– *Twoja arabeska jest znacznie lepsza, Dove. Udoskonalaj ją.* – Sharon, moja instruktorka, spojrzała na swój dzwoniący telefon, po czym odebrała.

– *Halo? Tak, nie, Dove jest tutaj. Świetnie sobie radzi, pani Hendry. Znacznie lepiej. Dobrze, dziękuję.* – Rozłączywszy się, uraczyła mnie

słodkim uśmiechem. – Twoja mama jest z ciebie dumna. Jesteś prawdziwą szczęściarą.

Cofam rękę, jakbym dosłownie dotknęła nią tego wspomnienia.

Bo tak właściwie było.

Postanawiam zostawić baletki na inną okazję i wychodzę na środek sceny.

– Czekam na ciebie, Dovey! – krzyczy Delila, siedząca gdzieś przede mną. Najwyraźniej kazała przyciemnić światła, przez co nic nie widzę. – Pokaż wszystko, co masz.

Nie jestem w stanie pokazać wszystkiego, ponieważ lata temu straciłam ważne części swojej osobowości. Zamykam jednak oczy i uspokajam oddech. Odzywa się gitara, która rozpoczyna piosenkę. Wykonuję spiralne ruchy ciałem, powoli osuwając się do szpagatu ze stopami zwróconymi na zewnątrz. Podnoszę się i pozwalam, by muzyka płynęła przez moje kończyny, zawładnęła moimi ruchami. Nie tańczyłam w tym stylu, odkąd ich straciłam. Od tamtej nocy. To nie jest tradycyjny balet, ale coś pomiędzy gimnastyką, hip-hopem i baletem. Wraz z kolejnymi bitami unoszę nogę do szpagatu na stojąco, falując płynnie ciałem. *Boże, uwielbiam tę piosenkę.* Dopiero kiedy muzyka cichnie, orientuję się, że ze wzruszenia pociekły mi łzy. Ocieram je pospiesznie i staję na obu stopach.

Z widowni dobiegają oklaski. Kiedy zapalają się światła, dostrzegam nie tylko Delilę, lecz także siedzących z nią Braci.

– King? – zwraca się do niego Delila, nie odrywając ode mnie wzroku. – Nie połamcie jej tylko. Oprócz występu z wami będzie miała też swój własny pokaz.

Odchrząkuję cicho, żeby nie dać po sobie poznać, że dałam się ponieść emocjom.

– A co takiego oni robią w swoim przedstawieniu?

Delila wydaje się zastanawiać, a ja w milczeniu błagam ją, by zdradziła mi choć odrobinę. Cokolwiek, co pomoże mi się przygotować na jutro.

– Wiele rzeczy. – Strzepuje popiół z papierosa. – Widziałaś klatkę? To część ich przedstawienia. A Potrójne Koło Śmierci? Też ich. Jeśli zobaczysz noże, to też ich działka. Ale wiesz, co jest moim ulubionym elementem? – Wstaje z uśmiechem na twarzy. – To, co

robią z twoim umysłem. Na to nie da się przygotować. – Przesuwa dłoń w górę i w dół mojego ciała. – Weź zimną kąpiel, żeby rozluźnić mięśnie, i dobrze się wyśpij. – Po jej twarzy przetacza się uśmiezek. – Przyda ci się. – Po czym odwraca się i zostawia mnie z nimi.

– Ptaszynko. – Killian przerywa mój atak paniki.

– Hmm? – Skupiam całą uwagę na nim, żeby nie ryzykować spojrzenia na Kingstona.

Killian wpatruje się we mnie tymi ciemnoniebieskimi oczami przypominającymi głębię oceanu i zachęcającymi, by dać się pociągnąć aż na dno. Unosi brew.

– Podejdź tu.

Ruszam ku niemu. Nie wiem dlaczego. Po prostu to robię. Mimowolnie. Kiedy stoję tuż przed mężczyzną, pomiędzy jego nogami, on kładzie swoje dłonie na tylnej części moich ud. Rozchyła kolana nieco szerzej.

– Co ty robisz? – pytam. Moje usta się poruszają, a słowa wybrzmiewają, ale jakby bez udziału mojej świadomości.

Killian uśmiecha się szelmowsko, przesuwając dłonie wyżej. Zaciskam uda, żeby przestał mnie dotykać, na co tylko zaczyna się śmiać.

– Chcesz się zabawić, Ptaszynko?

Nie. Nie chcę się zabawić.

– Tak.

Spogląda na mnie spod swoich rzęs i mówi:

– Dotknij Kinga.

Co? Dlaczego miałabym dotknąć Kinga? *Nie. Nie.* Robię krok w bok, odsuwając się od Killiana, i stoję między nogami Kinga. Serce wali mi jak młotem, a skronie oblewa pot. King siedzi odchylony do tyłu. Ma na sobie luźno wiszące, designerskie jeansy z rozdarciami i wojskowe buty z rozwiązanymi sznurowadłami. Opiera się na łokciu, przez co wygląda, jakby leżał nieco na boku. Spod podciągniętego lekko T-shirta wystają jego kształtne biodra i gumka bokserek z logo Tommy’ego Hilfigera.

Boże.

Zaciąga się papierosem, którego końcówka jarzy się jasno. Zamyka oczy, po czym w skupieniu spogląda na mnie.

Wypuszcza kłęb dymu.

– *Perserva*³.

– Połóż dłonie na jego kolanach. – Oczy Killiana spowija cień. Wędruje wzrokiem to na mnie, to na Kinga.

Wykonuję polecenie i kładę mu ręce na kolanach. Zaciskam je mocno, gdy palący zapach nikotyny wypełnia moje nozdrza.

– Zdejmij mu koszulkę.

O *Boże*. Nie. Co, do kurwy. Chwytam skraj jego koszulki. Z całych sił staram się ignorować to elektryzujące uczucie wywołane bliskością jego gorącej skóry i moich knykci.

Powoli unoszę ją coraz wyżej. Wciągam wargi do wewnątrz, próbując opanować reakcje swojego ciała. Zupełnie jakby słowa Killiana były sznurkami, a ja marionetką. King nachyla się do przodu tak, że jego szyja muska moje usta. Czuję żar jego skóry na nabrzmiałych wargach.

Robię wdech, a kiedy szarpnięciem ściągam mu koszulkę przez głowę, on zamiera. Odrzucam ją na bok i cofam się.

Killian rozsiada się wygodniej z papierosem, który wypala mu się w palcach. Gładzi się palcem wskazującym po górnej wardze, ale ani na moment nie odrywa ode mnie oczu. Atmosfera zagęszcza się nieznośnie.

– Dosiądź go, Ptaszynko – ciągnie dalej Killian.

Zerkam na niego coraz bardziej spanikowana. Nie chcę. Doskonale wiem, co się dzieje, kiedy jest blisko mnie albo kiedy mnie dotyka. Nie lubię tego. Nie lubię niczego, przez co czuję rzeczy, których nie chcę czuć. A w tej chwili Killian zmusza mnie do robienia rzeczy, których nie chcę robić. Czuć coś, czego nie chcę czuć.

Spoglądam znów na Kinga, który nawet się nie poruszył. Jego oczy są puste, a na twarzy maluje się znudzenie. Ja go nudzę.

Powoli podchodzę do niego i układam kolana na twardym krześle, na którym siedzi. Przygryzając wargi, osuwam się na jego krocze z rumieńcem na twarzy i napiętymi mięśniami ud.

King nadal tkwi w tej samej pozycji. Niewzruszony. Tylko że teraz patrzy na mnie, a ja jestem tuż przy nim. Nie podoba mi się, że jest tak blisko mnie. Kingston tak blisko to nie jest coś dobrego.

Odnoszę wrażenie, jakby pozostali zniknęli w odmetach białego szumu wypełniającego moją głowę. W tle słyszę jednak *Love is*

Madness Thirty Seconds to Mars. King wciąż wpatruje się w moje oczy, trzymając papierosa w ustach. Nie daję mu się nim zaciągnąć – zabieram mu fajkę i wkładam ją sobie między wargi. Zaciągam się lekko dymem, po czym zaczynam falować ciałem w rytm muzyki. Mężczyzna kładzie dłonie na moich biodrach, podczas gdy ja wypuszczam ustami dym. Wiedzie palcami po moim boku, aż wreszcie zanurza je w moich włosach. Wykonuję okrężny ruch głową i wyrzucam papierosa w tył. Jednocześnie łapię mężczyznę obiema dłońmi za kark. Kiedy wchodzi refren, ocieram się piersiami o jego tors. Nasze twarze są tak blisko, że czuję na ustach dotyk jego warg. Śpiew ustaje. Wszystko spowalnia, a muzyka niknie w tle. Mój oddech staje się cięższy. Kiedy już chcę z niego zejść, chwytą mnie obiema rękami i przyciąga do siebie mocniej. Czuję go między nogami. Unosi biodra, po czym ociera się o mnie. Jego usta znajdują się niebezpiecznie blisko moich. Gdy je otwiera, odchyła się na bok i przygryza moje ucho.

– Jeśli chcesz, żebym wyruchał cię jak grupie, rób tak dalej, ale ja nie płacę za seks.

Niewzruszona jego okrucieństwem, nawet nie mrugam. Odchylam się do tyłu, kładąc dłonie na jego policzkach. Uważa mnie za dziwkę. Jakby myślał, że nie byłam striptizerką, tylko właśnie dziwką.

– I tak nie byłoby cię na mnie stać.

Złazę z niego, odpychając go jednocześnie. Wracam do rzeczywistości. Wokół rozlega się rechot Braci – w tym tego chujka Killiana – o których obecności już prawie zapomniałam.

Zanim ktokolwiek zdążył powiedzieć coś jeszcze, albo coś gorszego, Killian znów wdziera się do mojego umysłu, przez co wybiegam z namiotu. Panujący wewnątrz żar ustępuje chładowi nocy. Jak ja się tu znalazłam? Miałam kochającą mnie rodzinę. Świetlaną przyszłość przed sobą. Wszystko się jednak zmieniło.

Podbiegam do naszego kampera i otwieram drzwi. Jestem zła na siebie, że znalazłam się w tej sytuacji – mimo że nie do końca z własnej woli. Zdzieram z siebie ubranie, biorę szybki prysznic i cała roztrzęsiona wsuwam się w długą koszulę, zanim którykolwiek z nich wróci. Kładę się na łóżku i odsuwam zasłony, żeby popatrzeć na gwiazdy. Obserwowanie ich zawsze miało na mnie taki kojący wpływ. To tak jak z oceanem – i tu, i tu nie wiemy, co się kryje w tej

przestrzeni. Wydaje nam się, że nasza wiedza ogranicza się do tego, co dostrzegamy bezpośrednio. Ale to nieprawda. Z wolna moje oczy się zamykają i zapadam w sen.

Rozdział 11

Dove

Budzę się przed wschodem słońca i wciągam na siebie jakieś dresy. Muszę poćwiczyć, zanim Bracia wstaną. Jeśli Killian potrafi zrobić coś takiego, to nie chcę wiedzieć, co potrafią pozostali – zwłaszcza King.

Wsuwam słuchawki do uszu, włączam *So Far Away* Martina Garrixa, po czym wymykam się niepostrzeżenie z kampera. Nie wiem, dokąd idę, ale znam co nieco Nowy Jork i otaczające go przedmieścia. Nogi niosą mnie ku ścieżce prowadzącej Bóg wie gdzie. Biegnę co sił tak długo, aż nie czuję kończyn, a mięśnie zaczynają piec. Gdy wracam do obozowiska cała przepecona, zauważam Delilę idącą w moim kierunku.

Wyciągam słuchawki z uszu.

– Co ty, do diabła, wyprawiasz, Dove?

– No co? – Zaciskam dłoń na słuchawkach. – Poszłam pobiegać.

Rzuca mi wymowne spojrzenie.

– Przekonamy się, czy to był dobry pomysł, wieczorem, podczas twojego występu. Ciężkie treningi powinnaś wykonywać tylko wtedy, kiedy następnego dnia mamy wolne. To dlatego większość ekipy ćwiczy tuż po przyjeździe na miejsce i tuż przed wyjazdem. Poza tym umiejętności doskonalimy poprzez same występy. – Na jej pstryknięcie znów przybiega ten sam młody chłopak co wcześniej. – Ustawcie trybuny. Wieczorem dołączą do nas Aeron i Beat. Chcę, żeby odpowiednio ich ugoszczono. – Spogląda na mnie. – Twój brak zaangażowania zaczyna być irytujący, Dove. Zamierzasz sprawiać problemy?

– Nie – odpowiadam, choć chciałabym jej powiedzieć, że mam gdzieś to, co myśli.

Kiedy już znika, równie szybko, jak się pojawiła, wracam bezwiednie do kampera. Skąd, do diabła, miałam wiedzieć, że nie

wolno nam trenować w dniu występu?

Zatrzymuję się przed wozem, gdzie zastaję Kinga i Killiana rozmawiających z jakimiś facetami, których wcześniej nie widziałam. Oni też raczej nie biorą udziału w pokazie, inaczej zdążyłabym ich zauważyć.

Killian podaje im kilka biletów i zaraz potem mnie zauważa.

– Dokąd to wyfrunęłaś, Ptaszynko?

Przyglądam się uważnie nieznanym. Jeden ma tatuaże i buźkę tak ładną, że mógłby pojawiać się na każdej okładce magazynu „GQ”. Drugi jest brunetem. Sprawia wrażenie melancholijnego i aż za bardzo przypomina mi pewnego faceta, którego kiedyś poznałam. Trzeci natomiast jest tak straszny, że czuję się niekomfortowo od samego patrzenia na niego, ale nie mogę oderwać wzroku, bo jednocześnie jest tak *kurewsko seksowny*.

Killian zauważa, że się gapię.

– Ptaszynko. – Wskazuje gestem tamtych. – Poznaj moich dawnych przyjaciół: Nate’a, Bishopa i Brantleya. Będą dziś na pokazie.

King wkłada papierosa do ust i zbywa mnie.

– Możesz już iść.

Zamykam rozdziawioną gębę, machając im na pożegnanie.

– Miło było was poznać.

Odwracam się pospiesznie w stronę samochodu i wchodzę do środka. Muszę wziąć prysznic. Szkoda, że woda nie zmyje ze mnie tego podłego spojrzenia, którym uraczył mnie przed chwilą King.

Tłum milczy. Słyszę niosący się z głośników głos Delili proszącej o uwagę. *Gdybym tylko mogła to widzieć*. Szarpię rękami i nogami, ale jestem przywiązana na stojąco w pozycji krzyża.

– Panie i panowie, witamy w Midnight Mayhem.

Witamy w Midnight Mayhem? Ludzie powinni uciekać.

– Nie jesteśmy cyrkiem ani wesołym miasteczkiem. Jesteśmy tym, co zjawia się, gdy zegar wybija północ, a wszystkie potwory, o których istnieniu nie mieliście nawet pojęcia, wychodzą z cienia.

Nagle zszokowana publiczność wciąga gwałtownie powietrze. Dostrzegam światło przez opaskę zasłaniającą mi oczy. Ponownie szarpię rękami.

– Usiądźcie, odprężcie się i trzymajcie bramy swoich umysłów zamknięte. Jeśli bowiem uchylicie je nawet odrobinę, mogłoby się wkraść do nich coś niewyobrażalnego.

Sama prawda.

Słyszę głośny warkot motoru. Kilku motorów. Nie muszę ich słyszeć, by wiedzieć, że tu są. Czuję ich, ich obecność i władzę. Publiczność wiwatuje, co tylko wzmacnia mój strach. Zaciskam palce na linie owiniętej wokół mojego nadgarstka, czym próbuję się choć trochę uspokoić. Warkot staje się coraz głośniejszy, aż wreszcie zamykam z całych sił powieki. Głęboki ryk silników wywołuje we mnie dziwne uczucie. Nie jestem jednak w stanie stwierdzić dlaczego. Są blisko, bardzo blisko. Zagłuszają już odgłosy tłumu i heavymetalowy akompaniament w tle. Jeden z nich zwiększa obroty, potem kolejny, następny i ostatni – ruszają z miejsca. Brzmi, jakby okrążali mnie raz za razem. Zastanawiam się, czy to te Harleye, które widziałam wcześniej. To jakiś mniejszy model: nie szosowy, ale też nie pit bike.

Wraz z kolejnymi okrążeniami drobinki ziemi pryskają mi na nogi. Nagle zatrzymują się. Stają na jałowym biegu, warcząc w tle. Na górnej części uda rozpoznaję dotyk dłoni. King.

– To pierwszy pokaz tej Ptaszynki – woła do mikrofonu.

Przełykam ślinę.

Przesuwa rękę wyżej, na mój odsłonięty brzuch. Delila kazała mi założyć czarne skórzane szorty i przycięty skórzany top. Włosy mam wyprostowane, a na twarzy tyle tapety, że nawet drag queen mogłaby mi pozazdrościć.

Zdejmują mi opaskę z oczu. Patrzę wprost w skierowany na mnie promień światła. Orientuję się, że wiszę na drewnianej planszy z szeroko rozpostartymi rękami i nogami. Nie mam jednak możliwości zastanowić się nad tym, co się dzieje, ponieważ nagle coś przelatuje tuż obok mojego brzucha, wbijając się w ściankę, do której jestem przymocowana.

Co. Do. Kurwy...

Znów, tym razem z drugiej strony. W tym samym momencie zauważam czarne rękojeści noży.

Kiedy publiczność cichnie, szarpnię za sznur. Serce wali mi jak młotem.

Kolejny wbija się tuż obok mojego policzka. Czuję na skórze chłodny dotyk ostrza. Moim ciałem wstrząsa dreszcz strachu. Odnoszę wrażenie, że za chwilę zemdleję, ale wtem zjawia się przy mnie Killian. Jego dłonie wędrują w górę mojej nogi. Twarz całkowicie zasłania mu maska zdeformowanego klauna. Wygląda, jakby z oczu – w których ma soczewki kontaktowe z wilczymi źrenicami – płynęła mu krew. Rozchyła wargi, obnażając sztuczne kły doczepione do siekaczy.

– Jezu Chryste – szepczę. Jest przerażający.

– Miłej zabawy. – Przechodzi na drugą stronę i nachyla się do mnie z szelmowskim uśmieszkiem, aż niemal czuję, jak ociera się wargami o moje ucho. – Zmocz te majteczki.

Zamykam oczy, a mój oddech staje się cięższy, bo w tym momencie kolejny nóż wbija się między moimi nogami i napiera na moją cipkę.

Kurwa, kto rzuca tymi nożami? Napinam mięśnie ud.

Tkwię tak jeszcze jakieś pięć minut. Przez ten czas w moim kierunku nadlatują jeszcze cztery noże. Tłum wybucha okrzykiem zachwytu.

Czy oni nie rozumieją, że prawie zginęłam?

Że w ogóle tego nie ćwiczyłam?

Zbliża się King, odsłaniając twarz. Ma niemal taki sam makijaż jak Killian. Wyglądają podobnie, ale nie mam teraz czasu porównywać szczegółów. Mężczyzna nie ma na sobie koszulki. Jego tors, ręce i kark są wysmarowane krwią. *To przedstawienie. Ich przedstawienie. Być może jedno z kilku.*

Pociąga za więzy na moich nadgarstkach, by je rozluźnić. Wokół nas zaszuwa się kurtyna. Patrzą, jak obsługa pospiesznie zabiera drewnianą ściankę i zastępuje ją Potrójnym Kołem Śmierci.

Kingston zdejmuję linę z moich nadgarstków. Rozciągam ręce i rozmasowuję podrażnioną skórę.

– Co to? – pytam go, kiedy łapie sporą metalową obręcz. Jedną z trzech. Trzy duże, metalowe koła bez boków, przymocowane do kilku długich metalowych prętów. Całość wygląda tak, jakby miała się obracać.

– Zobaczysz. – Łapie mnie za rękę i przyciąga do siebie. – Jesteś dobra w rozszyfrowywaniu innych. Karcianka, w którą graliśmy,

„szóstka”, uczy, jak analizować ekspresję ludzi. Dzięki temu przebrniesz przez ten numer.

Rozkojarzona spoglądam w przestrzeń za nim, na co chwyta mnie palcami za brodę, zmuszając, bym znów spojrzała w jego przerażające oczy.

– Teraz musisz się skupić. Obserwuj mnie. Patrz, co robię, i odczytuj wskazówki.

– Dlaczego? – szepczę.

Dlaczego wszystko, co dotyczy tych pokazów, musi być taką tajemnicą? Nie rozumiem tego, choć czuję, do czego są zdolni. Problem z zagadkami jest taki, że ludzie przeceniają zawarte w nich znaczenie. Niektórzy po prostu nie są dość bystrzy, a inni... Chcieliby ich nie rozumieć. Wiem, co potrafi Killian. Chyba domyślałam się też, co właśnie zrobił Kingston. To rzucanie nożami było ryzykowne. O wiele lepiej byłoby, gdyby ostrzegli mnie wcześniej... Może wtedy... dałabym radę pozostać w bezruchu.

Nie odpowiada, spoglądam więc na niego. Wciąż na mnie patrzy.

– Ponieważ wchodzisz do tego koła razem ze mną.

– Aha.

– I z motorem.

Przełykam ślinę.

– Co?

– Podczas gdy ja będę jeździł wokół ciebie.

– Czekaj.

– A ty będziesz wisieć na huśtawce.

– Nie. – Odwracam się, żeby odejść, pogodzona z konsekwencjami, jakimi Delila postanowi mnie ukarać. Jebać tę publiczność. Tym razem będą musieli zadowolić się przeciętnym widowiskiem. Nie jestem tresowaną małpą, do kurwy nędzy.

Chwyta mnie jednak za rękę i przyciąga z powrotem. Wpadam na niego.

– Po pierwsze, nie masz wyjścia. A po drugie, nigdy nie wykonywałam tego numeru z kimś, więc dobrze by było, gdybyś potraktowała to poważnie.

– Dlaczego ci na tym zależy?

King poprawia się i śmieje pod nosem.

– Nie powiedziałem, że mi zależy. Po prostu wolałbym nie musieć zmywać cię potem z mojego motoru. – Nachyla się do mnie, muskając ustami moje ucho. – Nie zrobię ci tam krzywdy, ale nie dlatego, że mi na tym zależy. Jeśli będę chciał cię skrzywdzić, to znam o wiele barwniejsze sposoby.

Kurtyna się rozsuwa i ponownie kierują na mnie snop oślepiającego światła. Kingston patrzy na mnie, podchodząc do swojego motoru. Wskakuje na siedzenie i odpala silnik. W tym samym momencie w głośnikach rozbrzmiewa głos Delili.

– Jak zapewne niektórzy z was słyszeli, nasi Synowie Kiznitch mają w rękawie kilka sztuczek. Jednak tymi najbardziej niesławnymi są pogrywanie sobie z waszymi umysłami, ich klaunada, wyczyny kaskaderskie... – Milknie na chwilę.

Domyślam się, że ta pauza odnosi się do mojego udziału w tym pokazie.

– I, oczywiście, następny numer: Potrójne Koło Śmierci. Dziś naszemu ulubieńcowi, Kingowi, towarzyszyć będzie w kole Ptaszynka. Ponieważ King nie jest skory do dzielenia się swoją przestrzenią z innymi, cała przyjemność będzie leżeć po jej stronie.

Zaciskam pięści tak mocno, że oblewa mnie pot. Głośny ryk motoru tłumi odgłosy publiczności. Mężczyzna kręci manetką gazu kilka razy, po czym zakłada bejsbolówkę, daszkiem do tyłu. Następnie wjeżdża po metalowej rampie do koła.

O Boże.

Podczas gdy mój żołądek zaciska się z nerwów, wszystkie kobiety na widowni szaleją z zachwytem. Ma na sobie poniszczony jeansy, za które zatknął z tyłu koszulkę. Zauważam, że koło, w którym się znajduje, nie porusza się. Mam jakieś trzy sekundy, żeby się wycofać. Kładę dłoń na brzuchu. King, podpierając się stopami o koło, patrzy na mnie. Dostrzegam też platformę, na której mam usiąść. Wygląda, jakby unosiła się w powietrzu wewnątrz okręgu.

– No dalej, Ptaszynko – wrzeszczy za mną Killian. – Wsiadaj na karuzelę. – On jest nienormalny. Przecież to nie ma nic wspólnego z karuzelą. To Potrójne Koło Śmierci, dokładnie tak, jak głosi nazwa.

Tkwię w bezruchu, bijąc się z myślami: chcę tam z nim wejść czy nie? King porykuje silnikiem, a ja nagle ruszam w kierunku koła wbrew własnemu osądowi.

Tuż przed tym, jak stawiam stopę na metalowym elemencie, słyszę krzyk Keatona:

– Grzeczna dziewczynka!

Natychmiast odwracam się w stronę Killiana siedzącego na motorze naprzeciwko. Obserwuje mnie. Kiwa głową, jakby dawał mi znać, żebym zaufała Kingstonowi – mimo że nie chcę tego robić. Nie chcę mu ufać, nie ufam mu. Ale i tak wchodzę do koła. Wokół unosi się zapach benzyny oraz jego wody kolońskiej. Jego dłonie lądują na moich biodrach, po czym podnosi mnie, bym weszła na platformę. Teraz widzę, że jest przyczepiona do dwóch metalowych rurek ciągnących się w dół po obu stronach koła, a na końcu łączą się z kolejną platformą. *To cholerna huśtawka!* Tylko taka, która się nie rusza.

Gdy jestem już na miejscu, siadam, spoglądając na jego rękę. Gestem palca pokazuje mi, bym się zbliżyła, co też robię. Bo pragnę jego uznania, uścisku. Nie potrafię powiedzieć dlaczego. Nie mam jak przeanalizować tych uczuć, ponieważ pojawiają się tak samo szybko, jak znikają.

Koło zaczyna kiwać się w górę i w dół, a ja wraz z nim. Palce Kinga zaciskają się na moich, po czym przyciąga mnie do siebie.

– Nie poproszę cię o to nigdy poza naszymi występami, ale... musisz mi zaufać.

Zamieram. Nie chcę mu niczego dawać. Na zaufanie trzeba sobie zapracować. Nie można obdarować nim kogoś tylko dlatego, że ma ładny uśmiech. Ładne uśmiechy są tym, co niszczy zaufanie, są jak pęknięcia w płytach chodnikowych.

– Mam zaufać tobie? – krzyczę mu w twarz, próbując przebić się przez ryk jego motoru i piosenkę *Closer* Kings of Leon lecącą w tle. Teraz już wiem, że muzyka ma na celu zagłuszyć publiczności nasze rozmowy. – Jak mam ci ufać, King, skoro ledwie cię znam?

Wygląda, jakby zastanawiał się nad moimi słowami, podczas gdy cały aparat kołysze się coraz szybciej i wyżej. King podłapuje rytm i zaczyna odpowiednio balansować motorem. *Świetnie.* Każde z kół zaczepione jest na osobnej ramie. Keaton szaleje na motorze, wykonując różne sztuczki dookoła całej konstrukcji, żeby rozgrzać widownię. Wtem rozrywa swoją koszulkę i zawiązuje sobie wokół oczu. *Pojebany skurwiol.*

– Nie musisz kogoś znać, żeby mu zaufać.

– Och, czyżby? – odpieram.

Potakuje skinieniem.

– Po prostu złap mnie, kurwa, za rękę i pamiętaj, że nie zrobię ci teraz krzywdy.

Zanoszę się sarkastycznym śmiechem.

– Ach, teraz. No widzisz, właśnie z tym mam problem.

W momencie gdy piosenka się rozkręca, Delila zapowiada kolejny numer. Nie wiem, czy nie powinnam była się przedtem czegoś napić. Czegokolwiek, co pomogłoby mi przez to przebrnąć.

– Zamierzasz tak pierdolić o zaufaniu czy może usiądziesz wreszcie na tej huśtawce, żebym mógł zacząć wokół ciebie jeździć?

Choć to chyba nasza jak dotąd najdłuższa rozmowa, nie ma się z czego cieszyć.

Przesuwam się na środek. Miejsca jest sporo. Więcej, niż się wydaje, kiedy patrzy się z zewnątrz. Na tyle dużo, by – pełna niepokoju spoglądam w górę – mógł przejechać nad moją głową.

– Grzeczna dziewczynka – mamrocze.

Chcę powiedzieć, że się boję. To chyba oczywiste. Nie znam tych chłopaków ani Kinga. I nagle, ot tak, mam mu zaufać? Że jeździ na tyle dobrze, by mnie nie zabić? Wyciąga T-shirt, który miał zatknięty za tylną kieszeń, i rzuca mi go w twarz.

Łapię go, domyślając się, że mam go założyć. Naszła mnie myśl, by mu go oddać, bo to on z nas dwojga jest na wpół rozebrany, ale w mgnieniu oka sama zakładam go bezwiednie.

Muzyka staje się głośniejsza, a koło śmierci kołysze się coraz wyżej. Gdybym była religijna, to byłby moment, w którym zaczęłabym się modlić. Zamknięcie oczu nie pomaga. Wręcz przeciwnie – osłabia mój zmysł równowagi. Otwieram je więc szeroko i skupiam się na pewnym punkcie przed sobą: czarnym cieniu przypominającym asa pik widniejącym na metalowym elemencie z boku obręczy. Zawieszam na nim wzrok. Motor przemyka nade mną, wykonując kolejne okrążenia. Wreszcie, po jakimś nieokreślonym czasie, koło śmierci zwalnia i się zatrzymuje. Przekonana, że wróciliśmy na ziemię, spoglądam w dół – nie, jesteśmy na samej górze. Natomiast do koła na dole wjeżdża Kyrin, porykując silnikiem. Jego koło nie ma huśtawki. *Ciekawe.*

Zerkam pospiesznie na Kingstona z paniką w oczach. Gapi się tylko, siedząc na warczącym motorze. Wpatrujemy się tak w siebie przez dłuższą chwilę, po czym z impasu wyrywa nas ryk maszyny Kyrina.

Koło śmierci znów zaczyna się poruszać, a ja wracam wzrokiem na asa. King balansuje motorem, tak że całość rozpędza się jak poprzednio. Moje myśli toną w hałasie silników. Po kilku obrotach ponownie się zatrzymujemy. Spoglądam w dół. Do trzeciego koła wjeżdża Killian. Publiczność szaleje już z radości, ale wtem Delila wywołuje Mayę, na co wszyscy cichną. Z powodu adrenaliny serce wariuje mi w piersi. Czuję, jakbym zaczynała dryfować z prądem uczucia buzującego niczym trucizna tuż pod moją skórą. Jakie to, kurwa, szczęście, że same obręcze, w których się znajdujemy, się nie poruszają.

Maya wchodzi do koła Killiana, po czym przekłada swoje długie nogi przez huśtawkę i sadowi się na niej.

Gdy jest już gotowa, spogląda w górę na mnie, puszczając mi oczko i posyłając całusa.

– Jezu – szepczę, choć nikt mnie nie słyszy.

Killian ponownie zaczyna balansować motorem, a ja po raz kolejny wracam wzrokiem na asa. Koło śmierci nabiera rozpędu. Teraz obraca się jednak szybciej. Zaciskam pięści tak mocno, że mimowolnie podwijam też palce stóp. Pot spływa mi po skroniach, podczas gdy pniemy się ku górze, aż ostatecznie wykonujemy pełne obroty. Kątem oka dostrzegam Keatona, tańczącego i miotającego się wokół ramp i klatek. Zdiera z siebie koszulkę, odrzucając ją precz. Następnie wskakuje na nasze koło, a ja na niego zerkam. Z palcami zaciśniętymi na kierownicy spogląda na mnie. Jego twarz, pomalowaną jak oblicze klauna, wykrzywia szelmowski uśmieszek. Nagle gdzieś zeskakuje. Nie śledzę go jednak wzrokiem, tylko odnajduję z powrotem asa. Widownia wrzeszczy z uznaniem tak głośno, że słyszę ją pomimo motorów i dudnienia heavy metalu w tle. Po dłuższym czasie koło śmierci powoli się zatrzymuje. Odrywam oczy od asa pik. Dopiero kiedy King łapie mnie za rękę, wciągając na tył swojego motoru, orientuję się, że wróciliśmy na ziemię. Zarzucam więc nogę, po czym siadam i ściskam go udami. Tak usadowieni zjeżdżamy z koła na rampę. W połowie drogi

zatrzymuje się jeszcze, by zaryczeć kilka razy silnikiem. Następnie zaczyna kręcić się w kółko, aż wzbity w powietrze kurz całkowicie nas zasłania.

Kiedy jego dłoń ląduje na zewnętrznej części mojego uda, zamieram. Wędruje nią coraz wyżej i zatrzymuje się pod moimi skórzanymi szortami.

Wciążam gwałtownie powietrze. Na pewno to zauważył, ponieważ ściska mnie mocniej, po czym puszcza, chwytając kierownicę z powrotem. Wreszcie wyjeżdżamy z namiotu. Gdy zsiadam z maszyny, czuję na twarzy chłodne powiewy wiatru. Gasi silnik, a w tym samym momencie dołączają do nas Killian i Keaton, którzy wyłączają motory i stawiają je na stopkach.

– Gdzie Maya? – pytam Killiana, rozglądając się.

Ten zaśmiewa się.

– Ona nie jeździ, suko, i to nie dlatego, że nie próbowałem jej nakłonić.

– Mamy pół godziny do następnego występu – oznajmia Keaton wpatrzony we mnie.

– Dobra?

– No i następny pokaz będzie przypominać to, co zrobił Killian.

Odkąd poznałam Keatona, zamieniłam z nim może parę słów. Sprawia wrażenie podobnie nieprzystępnego jak King, tylko że on ma pełno tatuaży i wiecznie naburmuszoną minę.

Spoglądam na Killiana, który raczy mnie wrednym uśmieszkiem.

– Co będę musiała zrobić? – drązę.

Jego uśmiech staje się jeszcze bardziej nikczemny.

– Co tylko zechcę.

– Killian.

Roześmiany schodzi z motoru, po czym zapala papierosa.

– To jest Midnight Mayhem, skarbie. Możesz się opierać, ale tylko podkreśisz tym atmosferę.

Spoglądam na Kinga, który przygląda mi się obojętnie.

– Nie rozumiem, dlaczego tu jestem. To znaczy: porwaliście mnie. Tak się tu znalazłam. Bo w ogóle porywacie ludzi, ale właśnie tego nie pojmuję...

King podchodzi do mnie i chwyta za gardło. Ściska na tyle mocno, że się krztuszę.

– Przestań to rozgrzebywać i zadawać sobie te pytania, bo odpowiedzi na pewno ci się nie spodobają. Myślisz, że znalazłaś się w tamtej celi przez przypadek? – Przechyla głowę. Przygląda mi się uważnie, wiodąc wzrokiem od moich ust do oczu i szyi. – Mylisz się. – Nachyla się do mojego ucha. – I sędzę, że to wiesz.

Odsuwam się od niego, a raczej – to on mnie puszcza. Cofam się, rozmasowując dłonią miejsce, w którym przed chwilą znajdowały się jego palce.

Zza rogu wyłania się Kyrin. Rzuca nam spojrzenie.

– Co przegapiłem?

Gdy wchodzimy z powrotem do namiotu, Delila zaciąga mnie za kulisy i wpycha do rąk nowy strój.

– Przebierz się.

Zdejmuję więc ciuchy, które mam na sobie, wraz z koszulką Kinga, i zakładam nowe.

– Co on każe mi robić?

Spoglądam przez dziurę w zasłonie i orientuję się, że Delila mnie podgląda.

– Cokolwiek zechce. Killian jest samowystarczalny w swoim pokazie, ale ty go fascynujesz.

– Dlaczego ja?

Na jej twarzy maluje się uśmieszek. Rzuca mi szminkę, którą łapię i wysuwam. Nadaje moim ustom jasnoczerwony kolor.

– Jestem pewna, że wkrótce się dowiesz. Teraz jednak po prostu daj się poprowadzić.

– Co jest po pokazie Killiana?

– Występ dziewczyn. Akrobacje, popisy w powietrzu, obręcze i motory, a potem Kyrin pobawi się ogniem. Ty natomiast wystąpisz jeszcze w pokazie zamykającym dzisiejszy program.

– W pokazie zamykającym? – pytam z uniesioną brwią, patrząc na nią w lustrze.

Uśmiecha się, ale w jej uśmiechu nie ma serdeczności. To uśmiech, którym raczy się kogoś, kiedy wie się coś, czego nie wie druga osoba. A ona coś wie.

– Tak. – Zerka na mnie przez ramię i rozbawiona, rzuca: – Czy wspomniałam ci, że to pokaz tylko dla dorosłych? – Po czym znika.

Kurwa.

Rozdział 12

King

Przeszłość

Po tym, jak tata wrócił późnym wieczorem z cygarem w zębach, zamknął się w swoim gabinecie. Był podenerwowany bardziej niż zwykle. Mój ojciec był grzesznikiem – i był w tym dobry. Mimo to teraz coś nie dawało mu spokoju, i to na tyle wyraźnie, że zauważyłem to, kiedy zataczał się, idąc do siebie. Nigdy się nie zataczał. Zawsze poruszał się ze spokojem i pewnością właściwą mafiosowi. Doskonale wiedział, dokąd zmierza i jaki będzie jego następny cel. Przez całe szesnaście lat mojego życia domyślałem się jednak, że ten dzień w końcu nadejdzie. Wyczuwałem to tak, jak rekin wyczuwa krew w wodzie. Ponieważ do tego mnie wyszkolono – bym działał za pomocą zmysłów zamiast słów.

Przeszedłem po cichu przez korytarz naszej posiadłości, mijając idealny portret naszej rodziny. Zawsze powtarzali, że jedno dziecko w zupełności im wystarczy i nigdy nie potrzebowali trójki... Cokolwiek to, kurwa, znaczyło. Położyłem dłoń na złotej klamce jego gabinetu. Nacisnąłem ją i otworzyłem drzwi. Wewnątrz panowała ciemność o barwie jego mahoniowego biurka ustawionego idealnie pośrodku pomieszczenia. Przy ścianach stały regały sięgające samego sufitu. Jedyne źródłem światła była księżycowa poświata wpadająca przez wysokie okno wychodzące na front naszego utrzymanego w stylu kolonialnym domu.

– Tato...

– Usiądź – powiedział cicho. Brzmiał, jakby przełknął garść żużlu.

W odróżnieniu ode mnie ojciec był elokwentny. Bo musiał.

Zrobiłem kilka kroków naprzód, aż wreszcie usiadłem na krześle, które wysunąłem spod jego biurka.

– Este timpul, synu. – Już czas, synu.

Pokręciłem głową.

– Nie jestem gotowy.

Uniósł zwieszoną dotychczas głowę i spojrzał mi w oczy.

– Jesteś, synu. Jedyнным powodem, dla którego wydaje ci się, że nie, jest moja obecność tutaj.

Podrapałem się po piersi, w miejscu, gdzie biło serce i gdzie miałem tatuaż Synów z Kiznitch. Popatrzył na moją dłoń i uśmiechnął się delikatnie. Mój ojciec mówił płynną angielszczyzną, ale jego językiem ojczystym był rumuński – język naszych przodków. Posługiwaliśmy się też greką i łaciną, której używaliśmy najczęściej. Poza tym była ona pierwotnym językiem naszej ojczyzny. Naszym.

– Musisz wreszcie wznieść się w powietrze, zacząć lot. Musisz zebrać Braci i rozpocząć swoją podróż.

– Mam szesnaście lat – wymamrotałem swoją amatorską gębą.

Ze wszystkich odpowiedzi, na jakie mogłem wpaść, „Mam szesnaście lat” przyszło mi na myśl jako pierwsze... Jakby mój wiek miał znaczenie. Jakby fakt, że miałem szesnaście lat, powstrzymał mnie kiedykolwiek od popełnienia najohydniejszych zbrodni. Przecież kilka miesięcy temu po raz pierwszy zabiłem człowieka. A kiedy byłem jeszcze dzieckiem, popadłem w taką obsesję na punkcie pewnej osoby, że później uczyniłem ją pionkiem na swojej szachownicy. Ostatecznie byłem gotów zrobić wszystko, żeby tylko znaleźć się blisko niej – nawet jeśli oznaczało to konieczność złamania jej woli. A mogłem to zrobić właśnie dlatego, że odpowiednio się do niej zbliżyłem.

Tata rozsiadł się wygodniej w fotelu. Wysunął szufladę i wyjął z niej szarą, papierową teczkę.

– Delila was potrzebuje. Wszystkich. Niezależnie od tego, czy czujesz się gotowy, King, czas, byś zajął się tym, do czego szkolono cię przez całe życie. Wykonaliśmy swoją pracę. Teraz kolej na ciebie.

– Ale ty, wuj Kratos i...

– Wszyscy są co do tego zgodni. – Spojrzał mi w oczy, przygważdżając mnie wzrokiem. – Już czas, Kingston. Musisz przejąć stery u władzy. Wypełnić zadania, które ci pozostawiłem.

Zamarłem, zamyślając się nad jego słowami. Wiedziałem, kogo miał na myśli, zanim zdążył wypowiedzieć jej imię. Ją. Dziewczynę o rozbitym uśmiechu i jasnych oczach. Tę, z którą nie rozmawiałem, ale dokładnie wiedziałem, w jaki sposób jej usta wymawiałyby poszczególne litery alfabetu. Nigdy nie dotknąłem jej nastoletniej skóry, a mimo to

wiedziałem, jakim byłoby to doznaniem. Zaprogramowano mnie, bym jej nienawidził. Tymczasem ludzka część mnie pragnęła jej. Kurwa, nie mogłem jej pragnąć. Kutas nabrzmiał mi w spodniach, więc zakaszlałem, udając, że poprawiam się na krześle.

Po dłuższej chwili milczenia odezwałem się:

– Jesteś pewien, że możesz mi powierzyć tę misję?

Mój ojciec, Kaius, uosobienie największej grozy spośród nich wszystkich, spojrzał mi prosto w oczy. Człowiek wywołujący lęk w innych – dla mnie był zawsze był ostoją. Uśmiechnął się, a w kącikach jego oczu pojawiły się zmarszczki.

– Tak, synu, Wierzę, że jesteś odpowiednio przygotowany, silny i rozsądny, by się tym zająć.

Zgarbiłem się i uniosłem dłonie do twarzy.

– Ona mi ją przypomina.

Tata zaśmiał się śmiechem, który napełniłby bojaźnią bożą każdego, kto by go usłyszał.

– Jest dość słaba, nie uważasz? – Jego źrenice się rozszerzyły. – Musisz ją bardziej przycisnąć.

Rozdział 13

Dove

Dowiedziałam się, że pomiędzy pokazami Midnight odbywają się też inne, mniejsze występy. Nie wiem o nich zbyt wiele, ponieważ cały program strasznie się ciągnie – trwa trzy godziny, a do tego dochodzi czterdziestominutowa przerwa, podczas której publiczność może pójść do baru, zjeść coś i pobawić się z innymi. Zauważyłam Killiana rozmawiającego z tymi samymi trzema gośćmi co wcześniej, tylko teraz była z nimi jeszcze jakaś dziewczyna o różowych włosach. Zmyłam się pospiesznie, zanim mnie zobaczyli, żeby King nie pomyślał, że teraz śledzę jego przyjaciół. Popatrzyłam trochę na pokazy, po czym wróciłam na swoje miejsce za kulisami. Następny jest występ Killiana, a potem finał. Skłamałabym, gdybym powiedziała, że się nie boję. Boję się. I to bardzo. Wiem, do czego zdolny jest Killian. Poza tym nie ufam żadnemu z nich.

Wycieram spocone dłonie w uda. Nagle zjawia się Delila, odsuwając zasłonę.

– Killian zapowie twój występ. Nastąpiła zmiana. Mógłby co prawda przekonać cię do czegokolwiek, czego tylko by zechciał, jak oni wszyscy, ale tym razem chce, żeby to był twój występ.

– Czeka! – krzyczę szeptem. – Co to znaczy? – Jestem zdezorientowana. Znowu. Zastanawiam się, czy robią tak każdemu nowemu wykonawcy... Choć Rose musiała przecież wiedzieć co nieco, na czym będzie polegał jej występ, skoro się do niego przygotowywała.

Delila wzdycha, rozmasowując sobie skronie.

– Bądź uważna, Ptaszynko. Potrzebujesz własnego pokazu, a Killian cię zapowie. Tylko tyle musisz wiedzieć.

Skoro tyle mi wystarczy, to skąd te moje pytania?

Wtem kurtyna się rozsuwa i w mgnieniu oka Delila pojawia się po drugiej stronie namiotu, gdzie schodzi po schodkach z mikrofonem

w ręce.

– Kolejny pokaz wykona dla was jeden z naszych ulubionych Braci.

Staje na najniższym stopniu i kieruje się w naszą stronę. W tym momencie tłum na widowni jest już tak pijany, że wszyscy tracą rozum od samych jej słów. Efekt otwartego baru dla każdego.

– Bierz ich, chłopcze!

Killian uśmiecha się, drażniąc mnie swoim klaunim obliczem. Unosi mikrofon do ust.

– Podejdz.

Moje nogi ponownie niosą mnie bezwiednie. Nie mam pojęcia, jak on to robi, i nie wiem, czy chcę to wiedzieć. Niemniej intryguje mnie to, ponieważ nigdy wcześniej nie czułam się tak pozbawiona kontroli nad sobą.

Staję z nim twarzą w twarz w pojedynczym promieniu światła. Publiczność wyczekuje w milczeniu. Mężczyzna oblizuje swoje delikatne usta, po czym obejmuje mnie ramieniem i przyciąga do siebie.

Odsuwa mikrofon od twarzy, szepcząc mi do ucha:

– Ufasz mi?

– Nie – odpowiadam natychmiast.

Prostuje się, wyraźnie rozbawiony mocniej.

– Dobrze. Nie powinnaś.

Znów przysuwa sobie mikrofon:

– Puście *Two Weeks* FKA Twigs.

Chcę oderwać od niego wzrok, żeby rozejrzeć się w poszukiwaniu kabiny nagłośnieniowca znajdującej się gdzieś na szczycie trybun. Killian jednak rzuca mi wredny uśmieszek i przyciąga do siebie z powrotem.

– Tańcz.

Puszcza mnie i wypycha na środek sceny. Zaczynam falować do dźwięków wydobywających się z głośników, zatracając się w ruchach. Poruszam ustami do słów piosenki i unoszę wysoko ręce, by zwabić uwagę publiczności. Kiedy muzyka cichnie, odwracam się do Killiana. Siedzi na krześle z uśmieszkiem na twarzy. Obok niego znajdują się Kingston i Kyrin. Wszyscy są bez koszulek, a na szyjach mają związane bandany z czaszką. I jeszcze ten ich chory makijaż klaunów... To dla mnie zbyt wiele.

Gdy Killian podnosi się z krzesła i zaczyna okrążyć mnie niczym rekin, publiczność wybucha śmiechem. Nagle czuję się obnażona, naga, jakbym była zabawką przeznaczoną do zapewniania uciechy wszystkim wokoło. Czy Killian to odpowiednik szalonego klauna? O ile taki klaun byłby niedorzecznie seksowny, pasowałby idealnie. W końcu jest błaznem, tym zabawnym spośród czwórki.

Krąży wokół mnie nieprzerwanie, aż wreszcie przysuwa sobie do twarzy mikrofon. Od razu zdaję sobie sprawę, że mam kłopoty.

– Kto chce zobaczyć, co potrafi ten mały ptaszek?

Widownia wybucha entuzjazmem. Wtem Killian wypowiada słowa, które już do końca zbijają mnie z tropu:

– Wiem, że King chce.

Zmuszam się, by nie spojrzeć w kierunku wspomnianego Brata, choć chciałabym zobaczyć, co robi. Killian kiwa głową.

– Puśćcie Marilynę Mansona.

O nie. Na jego twarzy pojawia się wredny uśmieszek.

– *Third Day of a Seven Day Binge*. – Odsuwa mikrofon, po czym obejmuje mnie znowu i przyciąga do swojej piersi. Jego usta ocierają się o moje ucho. – Nawet nie muszę udawać przed nimi, że robisz to, co ci każe, prawda? – Mój mózg spowija mgła, a on wpycha mnie Kingstonowi na kolana.

King układa mi dłoń na podbrzuszu, a ustami dotyka mojego karku.

– Rozbierz się, Ptaszynko. Pokaż, co masz – szepcze, stawiając mnie z powrotem na nogi. – Tańcz tak, jakbyś się pieprzyła. *Tak jak smakujesz*.

Czy to znaczy, że King też posiada tę moc?

Unoszę bezwolnie ręce nad głowę. Czuję, jak ciężkie robią się moje powieki. Ocierając się o Killiana, padam przed nim na kolana. Spogląda na mnie z góry i łapie za włosy tak, żeby owinąć je sobie wokół nadgarstka. Szarpnięciem odchyła mi głowę, jednocześnie King łapie mnie za szyję od tyłu. Ciągnie, aż moja głowa opada na jego kolana. Tak wygięta, ułożona w kurewsko niewygodnej pozycji, spoglądam na niego.

– Nie prowokuj mnie, Ptaszynko.

Jego słowa wzniecają w moim wnętrzu jakąś iskrę. Coś, z czego istnienia nie zdawałam sobie sprawy. Być może przez to, że nikt

nigdy tego we mnie nie wzbudził.

Wstaję, podczas gdy w tle wybrzmiewa *Coming Undone* Korn. Powoli rozpinam przód mojego przyciętego topu w taki sposób, jakbym nęciła Kinga. Jednocześnie odwracam się do niego. Wraz z początkiem refrenu przykucam, a Killian stoi za mną. Macham włosami i wykręcam się, ocierając tyłkiem o siedzącego Kingstona. Czuję go na pośladkach, co tylko wzmacnia we mnie wrażenie posiadanej siły. Killian chwytą mnie za rękę, a następnie przyciąga do swojej piersi. Odwraca mnie tak, bym stanęła twarzą do publiczności – choć tak naprawdę jej nie widzę – a następnie ustawia moje ciało w pozycji pochylonej, trzymając za biodra. Zbieram się, by kontynuować swój taniec, ale w tej samej chwili Killian znika, natomiast przede mną staje Kingston wraz z Kyrinem. Nie rozumiem, co się dzieje. Podczas gdy z głośników rozbrzmiewa *Toxicity System of a Down*, otacza nas klatka. Kwadratowa. Zamknięta. Nie mam dokąd uciec. Na czym, kurwa, polega ten finałowy pokaz?

To pokaz tylko dla dorosłych...

Rozglądam się wokoło: jest ich trzech. Gdzie, do cholery, jest Keaton? Oczywiście tylko ja mogę zastanawiać się nad tym w takim momencie, zamiast zapytać, dlaczego zamknięto mnie w klatce z trzema prawdopodobnie niezdiagnozowanymi psychopatami.

Killian przysuwa sobie mikrofon do ust.

– Nie wiem, czy wiecie, ale Ptaszynka to nasz nowy nabytek. Po raz pierwszy weźmie udział w finałowym pokazie. Jeśli już kiedyś widzieliście nasz program, wiecie, co się zaraz stanie. – Milknie.

To wtedy dociera do mnie, że prawdopodobnie mnie tu wyruchają. We trzech. Poza Keatonem.

Teraz.

W tej klatce.

Na oczach publiczności. Nie wiem, dlaczego jako pierwsze przyszło mi do głowy coś takiego. Może to przez całą tę oprawę. Albo przez to, że zamknięto mnie z nimi w cholernej klatce. A oni wyglądają na napalonych. *Wręcz konających z napalenia.*

Tłum natomiast wrzeszczy z podniecenia. Świetnie. Najwyraźniej podoba im się to w stu procentach.

Staram się nie wyglądać na spanikowaną. Nie chcę dawać im nad sobą większej władzy, niż już mają. Jakiś cichy głosik podpowiada mi, że gdyby wyczuli mój strach, wykorzystaliby go jako przystawkę do dania głównego.

Staram się nie rozglądać panicznie na boki, zamiast tego prostuję się i zamykam oczy. Przenoszę się umysłem tam, gdzie zawsze wracam, kiedy zostaję otoczona przez mrok, którego nie jestem w stanie uniknąć. W ten sposób przypominam sobie, jakie to szczęście kąpać się w tym świetle. *Cień*.

Wtem dobiega mnie głos Killiana:

– Chcesz tego? Czy może mylimy się co do ciebie i nie dasz rady?

Oblizuję wargi i kładę mu dłoń na karku. W tej chwili wciąż mam władzę. Czuję to. Nie powiedział mi, co mam robić. Zadał tylko pytanie. Dam radę, ale wyłącznie jeśli odbędzie się to na moich warunkach.

Przyciągam do siebie jego głowę, szepcząc mu do ucha:

– Puśćcie *Breathe* Mako i nie wściecie się używać na mnie swojej kurewskiej magii. Zrobicie to, co mam zrobić, bez niej.

Przez chwilę tkwi w bezruchu, po czym odsuwa się i powtarza do mikrofonu tytuł piosenki. Wraz z jej pierwszymi dźwiękami zaczynam tańczyć wokół nich, skupiając się szczególnie na Killianie. Przysuwam na siłę jego twarz do mojej. Kiedy już czuję bliskość jego ust, odpycha mnie, przez co ląduję na czyichś kolanach. Ogarnia mnie obezwładniające, elektryzujące uczucie, dzięki któremu natychmiast orientuję się, że siedzę na Kingu.

Wydaję z siebie cichy jęk. Nie chcę tu być. Z Killianem jest łatwo, bo nie wzbudza we mnie żadnych większych emocji. Nie tak jak... *King*.

Mężczyzna pode mną nie dotyka mnie, więc obracam się tak, by go dosięść. Przebieram palcami we włosach, kołysząc się na nim. Kładę mu dłonie na karku, żeby odwiązać chustę zakrywającą jego twarz. O co chodzi z tymi bandanami?

Spogląda na publiczność i zaraz potem w moje oczy.

King nadal mnie nie dotyka. Odwracam się więc, siedząc na jego kolanach, gotowa, by podejść do Kyrina. Nagle jednak on zmienia zdanie i chwyta mnie za tył szortów, po czym przyciąga do siebie.

Kyrin, który przez cały ten czas trzymał się jakoś z tyłu, zaczepia palec o szlufkę moich spodni, po czym przysuwa do siebie. Nachyla się do mnie, szepcząc mi do ucha:

– To wszystko, co masz? Muszę przyznać, że jestem nieco rozczarowany.

Żołądek mi się zaciska. Nie cierpię sprawiać innym zawodu. Jednak dobrze wiem, że tak naprawdę to pozostałość z dzieciństwa, kiedy zawsze odnosiłam wrażenie, że rozczarowuję rodziców.

Rozgniewana i poirytowana obracam się w silnym uścisku. Staję na palcach, żeby zbliżyć się do twarzy mężczyzny i przebijam go wzrokiem.

– Nic o mnie nie wiesz.

– Akurat o tobie wiemy wszystko.

Wydobywająca się z głośników *Carousel* Melanie Martinez rozpala moją nierozważną duszę.

Dobra.

Kolejne ramię obejmuje mnie w talii. Odwracam się do Kinga. Nie rozumiem, co się dzieje, ale jest tak, jakby na parkiecie toczyła się bitwa. Nie wiem tylko, czy ma ona cokolwiek wspólnego ze mną.

Kingston przyciska mnie do swojej piersi. Ocieram się tyłkiem o jego krocze, opadając na ziemię. Kiedy Kyrin robi krok do tyłu, łapię go za spodnie w biodrach i kieruję ku sobie. Jest silny, ale się nie opiera. Zbliży się na tyle, że moja twarz znajduje się tuż przy jego kroczu.

Falując tułowiem w rytm piosenki, przesuwam palce ku jego rozporkowi. Gdy go chwytam, King odchyła mi do tyłu głowę szarpnięciem za włosy. Patrząc na niego do góry nogami i widzę, że napina mięśnie szczęki.

– Co? – Rzucam mu wredny uśmieszek. – Czy to nie Midnight Mayhem? – Błefuję. Do teraz nie miałam przecież pojęcia, na czym polegają pokazy tej grupy.

King z sykiem obnaża zęby, po czym odpycha mnie od siebie, przez co ląduję twarzą na kroczu Kyrina.

Dupek.

Zsuwam mu więc spodnie, uwalniając jego kutasa. Nie czuję żadnego pragnienia ani potrzeby. Tylko gniew. Chwytam jego długi,

gruby trzon i lekko pociągam. Oblizuję usta, a Kyrin cofa się nieco, żeby się do mnie nachylić.

– Naprawdę chcesz possać mojego fiuta, Ptaszynko?

Uśmiecham się do niego słodko.

– Tak. – *Nie mam pojęcia.*

Wpycha mi kciuk do ust i naciska na mój język.

– Warto ginąć za mojego kutasa?

Wzruszam ramionami.

– Jest mi to obojętne.

Piosenka się zmienia, ale ja czuję się zagubiona. Odwracam głowę, a moim oczom ukazuje się Maya. Bez koszulki. I stanika. Z odsłoniętymi piersiami niesie w rękach tacę z czymś, co wygląda jak zioło. Ma na sobie tylko króciutkie koszykarskie szorty, a na głowie zawiązaną z tyłu czerwoną bandanę. Długie, proste włosy opadają jej aż na tyłek.

Puszcza do mnie oczko, po czym zapala jointa i zaciąga się nim. Obserwuję, jak nachyla się do czekającej na nią Val. Maya wypuszcza kłęb dymu wprost w jej usta, po czym powoli przejeżdża językiem od jej brody do czubka nosa.

Jezu, kurwa!

Otrząsam się z zaskoczenia i wstaję, nabierając fałszywej pewności siebie dzięki obecności Mayi, Val i kogokolwiek innego, kto też tu jest. Rozumiem. Ci ludzie są po prostu pojebani. Muszę nauczyć się z nimi pływać, bo inaczej utonę.

Klatka powoli się unosi. Maya podchodzi i przykuca za mną, by zaraz wyciągnąć rękę do Kinga. Dławię zazdrość wzbierającą mi w piersi, a kiedy on łapie ją za tylną część uda, to uczucie wręcz pozbawia mnie tchu. Mam wrażenie, jakbym dusiła się powietrzem.

Maya odwraca się do mnie przez ramię tak, że dotyka ustami mojego ucha.

– Dalej, Dove. Wolałabyś, żeby to Val znalazła się tu zamiast mnie?

Słuszna uwaga.

King łapie ją za włosy i szarpie, by wstała. W tym samym momencie Kyrin obraca mnie za biodra, wbijając mi palce w ciało aż do kości.

King rzuca mi spojrzenie. Jego makijaż działa na mnie magnetyzująco. Swoim uśmiechem testuje moją cierpliwość, a ja nie wiem dlaczego. Przecież nie jesteśmy nawet przyjaciółmi, żebyśmy mogli mówić o jakiegokolwiek wyłączości wobec siebie... Moja zazdrość ma czysto arbitralny charakter. Jest nieuzasadniona.

Rozpina swoje spodnie i wyciąga kutasa, pociągając za niego lekko.

– Dziewczyno – zwraca się do mnie szeptem Maya. – To nie jest moje pierwsze rodeo, więc od razu cię przepraszam. – Następnie kieruje swoją uwagę na jego kutasa. Muszę się opanować, bo ogarnia mnie niemal eksplodująca żądza zabicia wszystkich dookoła w tym pokurwionym miejscu.

Rzucam Kingowi uśmiezek mówiący: *przyjmuję do puli twojego obleśnego loda i podbijam stawkę o wpierdol*. Chwytam się stojącego za mną Kyrina, zaciskając mu palce na karku. Padam na czworaki, po czym odwracam do niego głowę z nickszemnym uśmiechem.

– Pieprz mnie.

Jego oczy rozbłyskują ogniem. Wtem podchodzi do niego Killian i przechyla głowę.

– Ziomek, jeśli ty tego nie zrobisz, to ja na sto procent się nią zajmę – mówi, pogwizdując i kręcąc głową.

Kyrin kieruje na mnie wzrok. Nie muszę nawet zgadywać, na co patrzy. Odwracam się do niego i zsuwam mu spodnie. Hm, z jakiegoś powodu nie chce mnie wyruchać, ale mimo to kontynuuję tę gierkę. Jeśli nie on, to zwrócę się do Killiana albo Keatona.

Łapię go więc za kutasa, nie dając mu czasu na jakąkolwiek reakcję, po czym obejmuję ustami jego główkę i... Kurwa. Ssę.

Wsuwam go głębiej, pieszcząc językiem, aż czuję jego wilgoć na tylnej ścianie swojego gardła.

Tłum obserwuje w milczeniu, jak go pochłaniam. Każda osoba na widowni po kolei znika z mojej świadomości. Kyrin wychodzi z moich ust i z uśmiechem na twarzy łapie mnie za brodę. Następnie podnosi mnie z kolan. Wiem, że ze dwa razy prawie doszedł, bo wyraźnie czułam, jak jego kutas pulsował.

– Umiesz się brzydko bawić, Ptaszynko, ale czy dasz radę utrzymać tempo? – Unosi brew, po czym znika, by złapać Mischę i nadzieć ją

na swojego kutasa. Dziewczyna wydaje z siebie jęk i odwraca głowę, nabijając się na niego.

O mój Boże. Czy to w ogóle jest legalne?

Maya odsuwa się od Kinga, a ja wciągam gwałtownie powietrze. Z głośników leci *Nightmare* Halsey.

Wszystko wokół znika, kiedy King spogląda na mnie oczami pokreślonymi demonicznym makijażem.

– Ptaszynko, wyświadcz mi przysługę – szepcze mi do ucha Killian, ale nie odrywam wzroku od Kinga. – Sprawdź, czy cię pocałuje. – Podaje mi szklankę wypełnioną białym płynem, który wypijam jednym haustem.

Robię krok naprzód. King mruży oczy.

Kolejny. Już niemal czuję go wokół siebie, jakby dusił mnie na odległość.

Zarzucam mu pospiesznie rękę na kark i przyciągam jego twarz do swojej. Moje usta muskają jego wargi.

– Dlaczego tylko ja jestem jeszcze ubrana? – Liżę delikatnie jego usta.

Już myślałam, że nie złapie przynęty, ale nagle nachyla się do mnie i przygryza moją dolną wargę.

– Bo nie jesteś dla nich.

Co to, do kurwy, ma znaczyć?

Napieram na niego i sięgam ręką w dół. Łapię go za kutasa i zaczynam trzepać. Albo potrafi stanąć mu na zawołanie, albo Maya nie doprowadziła go do finału.

Wypuszcza powietrze przez zęby, by po sekundzie przygryźć moje ucho i pociągnąć. Czuję, jak obejmuje dłońmi moje uda i podnosi mnie w powietrze. Oplatam go nogami wokół bioder.

– To dla kogo jestem? – Nie wierzę, że powiedziałam to na głos.

– Nie dla nich, ale co ważniejsze... – Ssie mój kark, wsuwając mi palce w majtki.

Jego dotyk sprawia, że przechodzą mnie ciarki. Powoli rozchyła mi wargi sromowe, a moja cipka zaciska się na nim jak imadło. Nie obchodzi mnie, co dzieje się wokół nas, choć dobrze to wiem. Mam tylko nadzieję, że wszyscy są zbyt zajęci obserwowaniem pozostałych, by skupiać się na Kingu i mnie.

Porusza we mnie palcem, jednocześnie pocierając kciukiem moją łechtaczkę.

– ...dla mnie też nie.

Nie przestaje pracować palcami nawet na chwilę. Doznanie wywołuje ucisk w moim brzuchu, a po chwili zaczynają ogarniać mnie znajome ekstatyczne dreszcze, aż wreszcie – pokrywam jego dłoń falą wilgoci.

– Pamiętaj o tym, kiedy następnym razem będziesz chciała wywołać we mnie zazdrość.

Odpycha mnie od siebie i podnosi palce do ust, by zlizać z nich smak mojego podniecenia.

Ponownie wszystko znika w tle, jak zawsze, gdy on jest w pobliżu. Panikuję, o czym świadczy chociażby to, że moje serce wali jak młotem. Czyżbym zawiodła? Wszystko pogorszyła? Nie mogę uwierzyć, że wpadłam w pułapkę Killiana. Wreszcie kurtyna się zasuwa przy szaleńczym aplauzie publiczności. Mam wrażenie, jakbym spędziła na scenie kilka godzin. Pospiesznie wybiegam z namiotu, wstrząśnięta tym, czego tam doświadczyłam. Już wiem, skąd ich nazwa – pasuje idealnie⁴. Podczas gdy biegnę do kampera, wpadam na czyjś twardy tors i odbijam się, po czym upadam tyłkiem na trawę.

– Aua – warczę i rozmasowuję skronie. Chyba wolałabym, żeby mnie zabili, niż żeby była częścią tego. To jest wyjątkowy rodzaj tortury. Nie przetrwam czegoś takiego.

– Jezu, Aeron! – Głos jakiejś dziewczyny zagłusza moje myśli. Ktoś łapie mnie pod ramiona. – Wszystko w porządku?

Kiedy już stoję, mój mózg zaczyna rejestrować, co – czy raczej kto – znajduje się właśnie przede mną. Aeron Romanov Reed: słynny raper i książę mafii. Znany też jako Manik. Mam niemal ochotę wykrzyknąć jego imię, ponieważ większość ludzi tak właśnie je wymawia.

– Tak – mamrocę, spoglądając na dziewczynę, która mnie podniosła.

Jest piękna. Chyba ją poznaję. Widziałam ją w telewizji, kiedy Rich puszczał *E!* w barze. Czyli nigdy, ale to tylko pokazuje, jak często pojawia się w mediach.

– Byłaś niesamowita – odzywa się dziewczyna. Wyciera rękę o jeansy i podaje mi ją w geście powitania. – Jestem Beatrice, ale możesz mi mówić Beat. A to mój mąż, Aeron.

Od razu robi na mnie pozytywne wrażenie, ponieważ nie przedstawiła go słowami w stylu „oto mój sławny mąż, Manik”. Kobietom o wiele łatwiej jest się ze sobą zaprzyjaźnić, jeżeli nie mają potrzeby ciągłego lechtania swojego ego.

– Dzięki. – Nie mogę oderwać od niej wzroku. On też jest przystojny, ale to wiedzą już wszyscy. Beat to jednak zupełnie inna bajka. Długie kruczoczarne włosy i oliwkowa skóra. Ma wszystko, czego pragnęłyby każda modelka.

– Jesteś czymś teraz zajęta? Mój marudny mąż chce już wracać do domu, bo... no cóż... – Uśmiecha się do niego, na co on przewraca oczami. – Bo jest marudny. Ale ja chętnie ucięłabym sobie z tobą pogawędkę. Masz chwilę?

Otwieram usta, żeby wyjaśnić jej, że nie mam czasu i jestem zmęczona, jednak w tej samej sekundzie wtrąca się Delila.

– Beatrice, jak świetnie, że zjawiliście się oboje.

Uśmiech natychmiast znika z twarzy Beat, która odwraca się, by przywitać się z kobietą.

– Delila.

– Mam nadzieję, że rozmawiasz z moją ulubioną tancerką, ponieważ chcesz znów dla nas zatańczyć, a nie dlatego, że próbujesz ją podebrać?

Obserwuję je z niejakim zadowoleniem. Czyżby Delila i Beat miały ze sobą na pieńku? Może powinnam przystać na propozycję nowej znajomej.

– Tak właściwie – wtrącam się, zanim Beat zdąży odpowiedzieć Delili – ani jedno, ani drugie. Miałyśmy właśnie pójść na drinka. No wiesz, żeby uczcić mój pierwszy udany występ. – Staram się opanować i nie brzmieć sarkastycznie, ale zupełnie mi się to nie udaje, sądząc po spojrzeniu Delili.

– Świetnie! – Beat przyklaskuje. – Spotkamy się w limuzynie. Stoi tam, przy krawężniku.

Potakuję skinieniem, uśmiechając się do niej delikatnie. Po chwili dziewczyna znika w ciemnościach wraz ze swoim orszakiem.

Dopiero gdy Delila odchrząkuje, orientuję się, że wciąż tu stoi.

– Uważaj, Ptaszynko. Nie wszystko złoto, co się świeci.

Przewracam oczami. Wracam do kampera i szybko pozbywam się tego skandalicznego stroju. Ignoruję telefon wibrujący mi w dłoni, chwytając mój futrzany płaszcz. Następnie wybiegam na zewnątrz, by nie natknąć się na któregoś z Braci. Nie chcę ich teraz widzieć, a poza tym – szczerze mówiąc – mam ochotę na drinka.

Rozdział 14

King

Wokół mnie rozlegają się przytłumione dźwięki muzyki. Nieustannie wracam myślami do pewnej rudowłosej dziewczyny, o której za chuja nie mogę zapomnieć. *Nie możesz jej mieć.* Niezależnie od tego, ile razy powtarzam sobie to zdanie, nic się nie zmienia. Wiem, dlaczego tak mnie pociąga. Już dawno się z tym pogodziłem. To część umowy. Chorej gry, w którą pogrywam z samym sobą jak jakiś cholerny masochista.

Większość ekipy Midnight Mayhem ledwie trzyma się na nogach od całego tego alkoholu podawanego z rąk do rąk. Mamy właśnie afterparty – jak po każdym cholernym pokazie. Coś takiego szybko może się znudzić, jeśli jest się w trasie praktycznie od piętnastego roku życia.

Telefon wibruje mi w kieszeni. Wyciągam go, zastanawiając się, czy w ogóle odebrać. Fakt, że mama dzwoni o tej porze, powinien mnie niepokoić – i byłoby tak, gdyby była normalną mamą. Ale nie jest. W momencie gdy ignoruję połączenie, Val siada mi na kolanach swoim kościstym tyłkiem.

– Ojej, gdzie się podziała twoja urocza zabaweczka? – Wiedzie dłońią po moim policzku. Jej pełne usta pachną drogim szampanem.

Strzepuję z siebie jej rękę.

– Akurat ty powinnaś doskonale wiedzieć, w jaki sposób traktowane są moje zabaweczki.

Pochmurnieje nagle i podnosi butelkę moëta do ust.

– Wiem, wiem.

Rzucam jej wymowne spojrzenie.

– Nie jestem zainteresowany.

Zaczyna poruszać biodrami. Zaciskam szczęki i rozchylam kolana, wskutek czego zsuwa się ze mnie i pada na ziemię. Kilka osób wokół

nas zatrzymuje się, żeby spojrzeć, co się dzieje, ale kiedy Val zbywa je warknięciem, idą dalej w swoją stronę.

Zerka na mnie.

– Jezu, King. Coś taki nadąsany?

Keaton kopie moje krzesło.

– Czas, żeby ktoś wrócił spać do kampera.

Val wstaje, otrzepując się z kurzu i zbierając z podłoża resztki szacunku do samej siebie, które jej zostawiłem.

– Ale z ciebie dupek.

Ignoruję ją. Spoglądam jej przez ramię, podczas gdy rozbawiony Keaton siada na krześle obok mnie.

– Wiesz, gdzie się podział nasz mały ptaszek?

Biorę łyk whisky, napawając się uczuciem pieczenia w ustach przed przełknięciem.

– Poszła z Beat.

– Z Beat Manika? Znowu się koło nas kręci?

Kręcę głową i sięgam po paczkę fajek leżącą obok mojej stopy, po czym stuknięciem o udo wysuwam papierosa.

– Nie. Po prostu przyjeżdżają na przedstawienia, kiedy jesteśmy w Nowym Jorku. Zdaje się, że Dove przypadła Beatrice do gustu.

Keaton nie odpowiada, więc spoglądam na niego, wypuszczając z ust kłąb dymu.

Przyjaciel uśmiecha się wymownie.

– Nawet tego nie mów, Keats. Ani mi się waż, no chyba że mam ci przefasonować tę śliczną buźkę.

Wybuch krótkim śmiechem i opiera głowę o oparcie krzesła.

– Nie powiem, ale na twoim miejscu ogarnąłbym się, zanim wymknie ci się to spod kontroli. Rozpraszasz się.

– Chuj, a nie się rozpraszam – warczę, strzepując popiół z papierosa. – To nawet nie jest ona.

Nagle odzywa się Kyrin, który musiał niepostrzeżenie przysiąść na krześle po mojej drugiej stronie:

– Nieszczęścia chodzą parami.

Rozdział 15

Dove

Beat zamawia dwie wódki, po czym spogląda na mnie. Jej dwaj ochroniarze zapewne czekają na nas na zewnątrz, ale Aeron wrócił do domu.

– Gdzie nauczyłaś się tak tańczyć? – pyta, bawiąc się oliwkami w martini.

Rozsiadam się wygodniej na krześle.

– Ach, moja mama dawała mi wyraźnie znać, co do swoich oczekiwań wobec mnie, a te zazwyczaj wiązały się z baletem, więc...

Beat śmieje się cicho, zając orzeszki.

– Rozumiem. To znaczy nie do końca. Ja i moja mama...

– Nie, to nie tak! – Kręcę głową i dziękuję za drinka, kiedy nam je wreszcie podają. Biorę łyk, po czym odpowiadam: – Bardzo to lubiłam, ale moi rodzice zginęli, gdy byłam jeszcze dzieckiem.

– Och. – Beat wzdycha współczująco, nieco zwieszając barki. – Przykro mi to słyszeć.

Daję jej znać gestem, by się nie przejmowała. Nie dlatego, że ich śmierć już mnie nie rusza, ale przez to, że po tylu latach powtarzania tego samego, niczym według scenariusza, przychodzi mi to po prostu łatwiej.

– To było dawno temu. – Kłamstwo. Wciąż mnie to prześladowuje. Wypieranie złych wspomnień nie wychodzi nikomu na dobre. A robimy tak, ponieważ daje nam to złudne poczucie bezpieczeństwa.

– Jak się ma Delila? – Beat zmienia temat.

Wzruszam ramionami.

– Totalna suka. Nawet kiedy ma dobry humor. – Czuję, jak alkohol podgrzewa moją krew i ośmiela do mówienia.

– Czyli nic się nie zmieniło. – Beat przewraca oczami.

– Byłaś członkinią Midnight Mayhem? – pytam.

Jej ramiona opadają.

– Tak. Dawno temu. Przez kilka pokazów.

– Jak to wspominasz? – Jest niesamowicie intrygująca, ale chyba jeszcze nie do końca dociera do mnie, jak bardzo. Fascynuje mnie. Chcę ją poznać.

– No cóż – wzdycha. – Uciekałam przed mężem, który mnie porwał. Do tego doszła groźba, że mnie zabije, a nie miałam ochoty umierać...

Wybucham śmiechem, aż odrzucam głowę w tył i czuję skurcz mięśni brzucha. Kiedy wreszcie opanowuję chichot, zauważam, że patrzy na mnie z zaskoczeniem.

– Nie jesteś przerażona tym, co przed chwilą powiedziałam?

Ocieram łzy.

– Nie. Gdybyś tylko wiedziała, jak ja się tu znalazłam...

Beat patrzy mi głęboko w oczy.

– Och, chyba się domyślam. Może. Ale nie jestem pewna.

Wzdycham, kręcąc głową. Po raz pierwszy od długiego czasu czuję się odprężona. Przebywanie w tak naładowanym testosteronem środowisku dało mi w kość.

– Serio, mogłabym napisać dogłębnie niepokojącą książkę o moim życiu.

Beat prycha, po czym sięga do torebki leżącej u jej stóp i wyciąga z niej książkę, którą rzuca na stolik.

– Witaj w klubie.

Spoglądam na okładkę. Moją uwagę natychmiast przykuwa jaskrawozielony tytuł. Jest bardzo prosty: *MANIK*. Pod nim znajduje się zdjęcie Aeron z nagim torsem, ale zamiast twarzy jest cień, z którego wylatują kruki.

– Wow! Wydałaś książkę?

Macha ręką.

– Co prawda nie napisałam jej osobiście, ale tak. Opowiada o tym, jak poznaliśmy się z Aeronem. Uwielbiam takie historie z dreszczykiem. Nie polecam jednak tej autorki: za dużo pije, leni się i łatwo rozprasza.

Odpowiadam śmiechem. Gładzę dłonią okładkę, po czym oddaję jej książkę.

– Powiedz, dlaczego właściwie chciałaś się ze mną napić dzisiejszej nocy? Czy raczej dzisiejszego ranka?

Wydaje się rozkojarzona.

– No tak naprawdę to miałam nadzieję dowiedzieć się czegoś o twoim tańcu. Prowadzę teraz grupę tancerek występujących z Aeronem. Biorąc pod uwagę fakt, za kogo wyszłam, potrafię znieść wiele, ale one mimo wszystko i tak doprowadzają mnie do szału. Możesz więc sobie wyobrazić, przez co przechodzę...

– No to pytaj!

Natychmiast zasypuje mnie pytaniami o technikę, na które chętnie odpowiadam, żwawo gestykulując. Wyjaśniam jej, że zaczęłam tańczyć, gdy tylko nauczyłam się chodzić. A poza tym brałam też lekcje – co było dla nie oczywistością. Na takiej rozmowie zleciała nam godzina, po której zorientowałyśmy się, że siedzimy przy pustych szklankach.

– Wow – opiera się o oparcie krzesła – chciałabym mieć cię w swojej grupie.

Oczy mi się już zamykają.

– Ja też chciałabym do ciebie dołączyć. I to bardzo.

– Gdzie mieszkasz? – pyta. – W sensie: gdzie jest twój dom. Masz już jakiś?

– Jeszcze nie, ale Delila chyba lubi, kiedy wszyscy jesteśmy blisko.

– Tak, racja. Czyli będziesz gdzieś niedaleko posiadłości. Nie zdziwiłabym się, gdyby sama zajęła się budową twojego domu na jej terenie. – Milknie na chwilę, dopijając drinka. – Powiedz, chcesz to robić?

Zastanawiam się nad odpowiedzią na jej pytanie, bo chcę udzielić jej szczerze.

– Chcę przeżyć.

Po kilku kolejnych drinkach wymieniamy się numerami. Następnie Beat odwozi mnie z powrotem do „obożu”, jak to nazywają, kiedy Midnight Mayhem jest w trasie. Kręci mi się w głowie i mam natłok myśli. Wódka zdążyła już chwycić mnie w swoje szpony.

Otwieram drzwi kampera i zataczając się, idę do swojego przedziału. Po zrzuconiu z siebie ciuchów wyciągam telefon wraz ze słuchawkami, żeby odpalić moją playlistę z nadzieją, że dzięki muzyce wszystko wokół przestanie wirować. Rozpoczyna się *Far*

Away Nickelback. Nucę po cichu słowa, spinając włosy w wysoki kucyk, po czym wsuwam się pod kołdrę. Muszę wyjść po coś do jedzenia. No i przydałoby się zrobić pranie, żeby nie chodzić ciągle w tym samym. W momencie gdy zaczynam śpiewać refren, odsuwa się moja zasłona. Keaton przygląda mi się uważnie z drinkiem w dłoni. Wyciąga telefon, a ja wyjmuję słuchawki z uszu.

– Co? – Nie chcę być wobec niego nieuprzejma.

On sam jak dotąd nie traktował mnie źle, no chyba że uznalibyśmy ignorowanie mnie jako nieuprzejmość.

Włącza piosenkę ponownie i wskazuje na mnie swoim drinkiem.

– Zaśpiewaj to jeszcze raz.

Nie reaguję, a gdy kawałek się zaczyna, przewraca oczami i sam zaczyna niedbale śpiewać. Ale nawet bez zaangażowania wykonuje ją znakomicie. Nie miałam pojęcia, że w ogóle jest muzykalny. Nie wygląda na piosenkarza, nawet jeśli to chujowy osąd z mojej strony. Kiedy wchodzi refren, dołączam do niego. Nasze głosy tworzą idealną harmonię. Nagle, przy dźwiękach gitary, wskakuje na moje łóżko, upuszczając butelkę na podłogę. Kontynuuje śpiewanie, a ja dołączam znów na refren, uderzając w wysokie tony, podczas gdy on śpiewa niżej i z chrypką.

Przechyliła głowę, spoglądając na mnie z jakąś nową fascynacją.

– Kto cię nauczył tak śpiewać, Ptaszynko?

– Urodziłam się z tym. A potem mama zapisała mnie na lekcje i po balecie chodziłam na śpiew.

– Wydaje się suką – cedzi przez zęby, po czym schodzi z łóżka i podnosi butelkę.

Nachylam się jednak i też ją chwytam.

– Nie była suką. Po prostu... bardzo jej zależało. Myślę, że dość już wypiliśmy.

Kładzie się na plecach, pozwalając, by szkło wysunęło mu się z ręki. Łapię je w ostatniej chwili. Kręci mi się w głowie, ale wciągam wargi do wewnątrz, żeby powstrzymać się od śmiechu.

– Co cię tak bawi, Ptaszynko? – mamrocze. Zasłania przy tym oczy przedramieniem. Zdejmuje buty i koszulkę, po czym układa się wygodnie na łóżku.

– Chyba coś ci się pomyliło, Keaton. Nie zostaniesz tu – mówię, szarpiąc go za rękę.

Za późno. Jakbym ciągnęła trupa. Ani drgnie.

Wzdycham, złączając z łóżka, i udaję się do kuchni. Zatrzymuję się jednak, kiedy zastaję tam Kingstona rozwalonego na jednym z krzeseł i popijającego drinka. Staram się nie zwracać na niego uwagi, gdy podchodzę do lodówki. Zaskakuje mnie fakt, że jest cała zapełniona. Wyciągam tylko butelkę wody.

– Jak ci się podobał pokaz, Ptaszynko? – Jego głos jest zimny, zgorzkniały.

Parzy mnie jak łyk mocnej tequili w gardle. Na samą myśl o alkoholu przykładam dłoń do ust.

– Był tak beznadziejny, jak się spodziewałam. – Odkręcam butelkę i pijam wodę.

Śmieje się, wstając z krzesła. Zauważam, że nie ma na sobie koszulki, tylko luźne jeansy. Sprawia wrażenie kogoś nieokrzesanego i niezrównoważonego, przy kim nie powinnam się teraz znajdować. Jest wyraźnie pijany.

– Niczego jeszcze nie widziałaś.

– Bo nie widziałam wszystkich waszych pokazów? – pytam, ściskając mocniej wodę. Doskonale wiem, co potrafią i do czego są zdolni. W dodatku Keaton umie śpiewać. Dosłownie jak Lewis Capaldi. I to po pijaku. Nie widziałam jednak całego programu od początku do końca.

Staje kilka kroków ode mnie z przechyloną głową. Staram się opanować, żeby tylko nie spojrzeć na to, co robi ani jak wygląda. To jednak silniejsze ode mnie. Ma zmierzwiłone włosy, lekko zarumienione od alkoholu policzki, a jego ciało... *Jego cholerne ciało.* To nie fair. Dostrzegam dwie róże wytatuowane nad jego lewym biodrem i znikające za gumką bokserów. Jedna zaraz nad drugą. Druga tuż nad linią bielizny. Ale ma mniej szczegółów, jakby wykonano ją z mniejszym zaangażowaniem. Tamta jest wyraźniejsza, dokładniejsza. Emanuje pasją.

– Nie możesz się napatrzeć? – pyta, przepychając się przeze mnie, żeby odstawić szklankę do zlewu. – Mam już powoli dość tego twojego obłapienia mnie wzrokiem, Ptaszynko. Może powinienem wreszcie sprawdzić, czy potrafisz coś więcej, niż tylko rzucać takie spojrzenia. – Odwraca się do mnie. Czuję jego oddech na ciele.

Opuszczam powieki i odpycham się od niego. Muszę się oddalić. Od niego. Od ognia, który może mnie doszczętnie spalić.

Ociera się torsem o moje piersi. Odsuwam się więc, ale wpadam na blat, a on chwyta jego brzeg obiema rękami i unieruchamia mnie między nimi.

– Żeby była jasność: nienawidzę cię.

– Nie znasz mnie – odpieram, spoglądając mu w oczy.

Rzuca mi pogardliwy uśmieszek. A mnie na ten widok przechodzi dreszcz.

– Wiem o tobie więcej, niż ty będziesz kiedykolwiek wiedzieć.

Roztrzęsiona próbuję się odwrócić, ale on łapie moje włosy z tyłu głowy, po czym szarpnięciem zmusza, bym na niego spojrzała.

– Nie muszę cię lubić, żeby chcieć się z tobą pieprzyć. Jeśli więc będziesz się nudzić, mój pokój jest na końcu korytarza na górze. Kiedy następnym razem najdzie cię ochota na obciążenie komuś tymi twoimi usteczkami, lepiej zastanów się dwa razy.

– Dlaczego? – Wyrywam się z jego uścisku.

Przymyka oczy, po czym zbiera się w sobie i robi krok do tyłu.

– Bo z kimś innym się zmarnujesz.

Odwraca się i idzie na górę, a ja obserwuję, jak mięśnie jego pleców się napinają.

Biegnę do siebie, gdzie zastaję Keatona chrapiącego na moim łóżku, przez co przeszywa mnie jeszcze większy gniew.

Wypuszczam powietrze z płuc i padam obok. Odwracam się do niego, żeby obejrzeć jego tatuaże, które ciągną się aż do karku mężczyzny. Wyglądają niemal demonicznie. Podobno dla niektórych tatuaże to sposób wyrażenia emocji, jakie w sobie noszą. Jeśli tak rzeczywiście jest w jego przypadku, to wolałabym nigdy nie poznać jego prawdziwego oblicza. To forma sztuki, a nie ma czegoś takiego jak dobra lub zła sztuka. Nikt nie jest w stanie określić, jaka sztuka jest dobra, jaka zła. Jeśli nie dostrzega się tego, co chce przekazać artysta, to takie dzieło nie jest dla danej osoby. Ale to nie sprawia, że jest złe. Może tylko złe dla kogoś.

Po jakimś czasie zmęczenie bierze nade mną górę i zapadam w głęboki sen.

Dorastając, popełniłam wiele błędów. Nie postrzegałam ich jednak jako porażki. Nigdy nie żałowałam swoich decyzji, ponieważ w gruncie rzeczy równie dobrze można by stwierdzić, że to one uchroniły mnie przed jeszcze gorszymi wyborami.

Ta noc z Cieniem nie dawała mi spokoju. Pozostawiła mnie z wrażeniem, jakbym gniła od środka.

Nie dlatego, że była okropna albo że jej żałowałam.

I nie dlatego, że wzbudziła we mnie uczucie wstrętu czy obrzydzenia wobec samej siebie.

Czułam się zepsuta, ponieważ zrozumiałam, że on coraz bardziej mnie pociągał. Jak ogień ćmę, która nie zwraca uwagi, jak niebezpieczne może być zbliżenie się do tego, czego pragnie. Z czasem jednak to uczucie stało się męczące. Obecność Cienia nabrała bardziej agresywnego wymiaru. Ale nigdy później nie tknął mnie tak, jak tamtej nocy.

Nigdy się ze mną nie drażnił ani mnie do siebie nie wabił.

Zabrał strach, który wpojono we mnie, gdy zginęli moi rodzice, po czym rzucił mi go w twarz z prędkością naddźwiękową.

Rozdział 16

King

W wieku piętnastu lat

– *Jedziecie już? – zapytał ojciec przez telefon.*

Spojrzałem na Killiana, Keatona i Kyrina siedzących naprzeciwko mnie w limuzynie.

– *Tak. Kiedy będziesz?*

Po długiej chwili milczenia odpowiedział:

– *Dwadzieścia minut.*

Naciągnąłem bandanę na twarz, rzucając telefon na siedzenie obok.

– *Co powiedział? – odezwał się Killian, również zasłaniając twarz.*

– *Będzie za dwadzieścia minut.*

– *King – wymamrotał Kyrin.*

Zignorowałem go, wiedziałem, co chciał powiedzieć.

– *Nie zabiją jej. Nie mogą.*

Strzeliłem karkiem.

– *Nie zasługuje, by żyć.*

– *Ona nie może nawet... – Kill pokręcił głową, wyraźnie znużony. – Nieważne.*

Wiedziałem również, co chciał powiedzieć. Miał rację, ale to w żaden sposób nie zmieniało faktu, że Dove była powodem, dla którego wydarzyło się tak wiele złego.

Terazniejszość

Trzymam jedną rękę na brzuchu, a drugą zasłaniam sobie oczy. Próbuje zasnąć, ale wciąż nie mogę przestać o niej myśleć. Wkurwia mnie to. Nie chcę mieć z nią nic wspólnego ponad to, co mam tu zrobić. Przez nią jestem bliski utraty panowania nad sobą. Nienawidzę jej z taką siłą, że najchętniej oblałbym ją benzyną

i podpalił. Ale nie mogę. Muszę trzymać się jebanego planu – nawet jeśli doprowadza mnie to do szału.

Rozdział 17

Dove

Budzę się następnego ranka cała zdrętwiała i z pulsującym bólem głowy. Ściska mnie czyjeś ramię. Nieruchomieję, przypominając sobie natychmiast zeszłą noc. Unoszę tę masywną, umięśnioną rękę, by przełożyć ją na bok, po czym schodzę z łóżka.

Wydaję z siebie warknięcie, a włosy opadają mi na twarz. Wydawało mi się, że wypiałam mniej...

Idę do kuchni po szklanek wody.

– Dobrze ci się spało?

Odwracam się, a moim oczom ukazuje się Killian. A na jego nagim torsie pokrytym potem zauważam ten sam trójkąt, który ma na sobie King, ale Killian ma go nad lewym biodrem.

Widzi, że się gapię, więc odchrząkuje.

– Mała zboczucha z ciebie.

Prycham, odwracając się, by opróżnić szklanek.

– Nie tak, jak ci się wydaje.

Śmieje się i kładzie mi rękę na biodrze. Zamieram, gdy dokłada do tego muśnięcie ustami mojego ramienia.

– Wyluzuj – szepcze, na co dostaję gęsiej skórki. – Nie jestem jak King czy pozostali.

Zamykam oczy, napawając się jego słowami, choć wiem, że nie mogę mu ufać. Przeganiam go od siebie, po czym odwracam w jego uścisku.

– To nie ma znaczenia, Killian. Wszyscy jesteście źli.

Wygląda, jakby zastanawiał się nad moimi słowami, ponieważ szuka spojrzeniem moich oczu. Wykorzystuję okazję, by nasycić się widokiem jego niebieskich tęczywek, opalanej skóry i ciemnych włosów opadających na czoło.

– No i co z tego?

Zaskakuje mnie tymi słowami.

– To twoja odpowiedź? Nie będziesz nawet udawał, że jest inaczej? Killian rzuca mi ironiczny uśmiezek. Chcę się cofnąć, ale nie mogę, bo znowu blokuje mnie ten cholerny blat, który wpija mi się w tyłek.

– Jeśli serio chcesz, Ptaszynko, żebyśmy zapewnili cię, że nie jesteśmy złymi ludźmi, to chyba jesteś naćpana.

– Och, doprawdy?

Mruży oczy i otwiera usta, by odpowiedzieć, ale w tym samym momencie zauważam kogoś za nim. Czuję jego obecność, zanim jeszcze znajdzie się w moim polu widzenia. Może i brzmi to kiczowato, ale to jedyny sposób, w jaki potrafię opisać moją fascynację Kingstonem w tej chwili. Albo jedyny, w jaki chcę ją opisać.

Staje w miejscu, które właśnie opuścił Killian, i zerka na moje usta.

– Nie jesteśmy dobrymi ludźmi, Gołąbeczko. – Spogląda na mnie.

Jego zielone oczy kuszą mnie, by go sprowokować. Tylko trochę. Opuszcza nieco powieki.

– Ale chyba to już wiesz.

Przełykam ślinę, a on łapie mnie za brodę i unosi moją twarz ku niemu.

– Dobrze spałaś?

– Tak.

– Keaton ostro cię wyruchał?

– Co? – Wyrrywam się z jego uścisku. – Nie.

Już pomyślałam, że on tak na poważnie, ale teraz dostrzegam jego uśmiech. Nie jest to jednak zwykły nikczemny uśmiezek, a raczej szatański. Taki, który może oznaczać, że lepiej dziś nie zadzierać z tym mężczyzną.

Zbieram się do odejścia, jednak on łapie mnie za ramię.

– Dziś będziemy w drodze. Ale przed następnym pokazem weźmiesz udział w próbach.

– W porządku – odpowiadam. Chcę, żeby jego ręka mnie puściła, ale nie chcę, żeby on mnie puścił. Co za chora sytuacja.

Zapędza mnie do kąta, znowu unieruchamiając między swoimi rękami ułożonymi na blacie.

– I nigdzie się już samowolnie nie oddalisz tak jak wczoraj.

Odpycham go, po czym wybiegam z kuchni do siebie. Keaton siedzi pochylony na łóżku z łokciami opartymi na kolanach i głową skrytą w dłoniach.

– Kac dręczyciel, co? – drażnię się z nim, bo czuję się dziwnie komfortowo w jego obecności.

Opuszcza ręce i przechyla głowę na bok.

– Coś w ten deseń.

Irytuje mnie to, że, z wyjątkiem Kyrina, Bracia odpowiadają zawsze w tak niejasny sposób. Otwieram szafkę i wyciągam z niej jakieś wygodniejsze ciuchy, skoro dziś i tak będziemy cały dzień w drodze.

– Dove – odzywa się Keaton tak cicho, że prawie go nie słyszę.

– Tak? – odpowiadam, zatrzasnąwszy drzwiczki szafki.

Spogląda mi w oczy i przez krótką chwilę mam wrażenie, jakby przeskoczyła między nami jakaś iskierka szczerości. Nie, wyraźnie to czuję.

– Lepiej rób, co mówi. – Wstaje, by zaraz potem zniknąć za zasłoną i zostawić mnie oniemiałą. Znowu.

Upewniam się, że nie ma ich nigdzie w pobliżu, udaję się do niewielkiej łazienki, gdzie błyskawicznie doprowadzam się do porządku. Wiążę włosy na czubku głowy i naciągam na siebie moje spandexowe szorty. W tym momencie jednak rozlega się pukanie do drzwi.

– Dove, to ja! – Głos Rose natychmiast mnie uspokaja.

Otwieram więc, po czym rzucam jej się na szyję.

– Czuję się, jakbym nie widziała cię od lat! – wzdygam. Idę do łazienki, biorę szczoteczkę do zębów i nakładam pastę. – Jak ci minęła noc?

Rose ma na sobie luźne dresy i bluzę z kapturem, a włosy związała na odwal. Przewracając oczami, opuszcza nogą deskę klozetową i siada na sedesie.

– Za dużo wypiałam. Chyba jak wszyscy zresztą. Oprócz Mayi oczywiście.

Rozmasowuje sobie skronie.

– Co się dzieje między nią a Killianem? Doprowadzają wszystkich do szału.

Przestaję szczotkować, po czym wypluwam pianę, przepłukuję usta i powtarzam wszystko od początku.

– Nie wiem, ale też coś wyczułam.

Otwiera usta, jednak zaraz je zamyka, widząc coś za mną. Robi się jakaś rozkojarzona i spięta.

– Co jest? – mamrocze ze szczoteczką w ustach.

Do środka wchodzi King, który zabiera mi szczoteczkę i wkłada ją sobie do ust. Oblizuje przy tym wargę w kąciку, po czym patrzy mi w oczy.

– Zabierz swoją koleżaneczkę z mojego miejsca.

– King! – warczę odruchowo. Zazwyczaj nie pyskuję, ale głównie przez to, że wiem, do czego są zdolni, a chciałabym jeszcze trochę pożyć. Nawet jeśli moje życie jest dalekie od idealnego.

Unosi wyzywająco brwi, zaciskając zęby na rączce mojej szczoteczki.

– Chcesz się bić? Chętnie się rozruszam z rana.

Rose ujmuje mnie za ramię i z delikatnym uśmiechem mówi:

– W porządku. I tak zaraz odjeżdżamy. Chciałam cię tylko zobaczyć.

Słyszę, że King myje zęby moją szczoteczką.

Wzdycham.

– Zobaczymy się na następnym postoju, czyli w...

– Teksasie – odpowiada Rose.

– Właśnie, w Teksasie. – Dlaczego o tym nie wiedziałam? Dlaczego mam wrażenie, że chociaż obie z Rose zostałyśmy „pochwycone” w tym samym czasie, jestem traktowana przez członków Midnight gorzej niż ona?

Tulimy się jeszcze na pożegnanie, a ja obiecuję jej, że napijemy się razem po następnym pokazie lub przed. Chwilę później dziewczyna wychodzi.

Spoglądam w oczy Kinga odbijające się w lustrze. Patrzył na mnie przez cały ten czas. Nawet teraz, kiedy przepłukuje usta i wypluwa wodę do umywalki.

– Co?

– Możesz być dla niej miłszy?

– Dlaczego? – pyta, przechylając głowę.

– Nie wiem... bo nie zrobiła niczego, czym mogłaby cię rozgniewać?

– Ona nie. Ale ty tak. A kiedy jestem wredny dla ciebie, to odbija się też na niej. – Wyciera twarz i zbliża się do mnie. – Za bardzo ułatwiasz mi tę gierkę.

– Dlaczego? – wykrzykuję, kiedy łapie za klamkę.

Zatrzymuje się, a ja ciągnę dalej:

– Dlaczego mnie tak nienawidzisz?

Przechyla głowę.

– Bo coś mi odebrałaś.

– Niczego ci nie odebrałam! Dopiero co cię poznałam! – Co za bzdura, że muszę wytykać mu taką oczywistość. A na dodatek chyba to do niego nie dociera.

– Nie musisz kogoś znać, żeby coś mu odebrać.

Wychodzi, a ja po raz kolejny zostaję sama, zdezorientowana jak idiotka, z nawałem myśli.

Rozdział 18

King

– Ile jeszcze? – pyta trzymający stopę na desce rozdzielczej Killian, podczas gdy odpalam kampera.

Zamieniłem się z Justicem, ponieważ czeka nas dwadzieścia sześć godzin jazdy. On zaś wziął forda raptora Keatona, którym wiezie nasze motory plus przyczepę ze sprzętem. W trasie wszyscy zmieniamy się za kierownicą.

– Aż będzie zrobione – odpowiadam i już wiem, że Kill zamierza wiercić mi dziurę w brzuchu o Dove.

Wszyscy to wiemy. Bycie upierdliwym ma chyba w genach.

– Zachowujesz się tak, jakby to była jej wina – szepcze.

Aż muszę się opanować, żeby nie pociągnąć mu z łokcia w gębę.

Z tyłu kampera dobiega nas śmiech Dove. Zerkam w lusterko i dostrzegam, że zaśmiewa się z czegoś z Keatonem.

– Ale to kurewsko dziwne – komentuje Kill. – Uśmiechnięty Keaton to taka sama rzadkość jak uśmiechnięty ty. Dwaj poważni dranie.

– Wcale nie jest to aż takie dziwne. – Kieruję swoją uwagę z powrotem na drogę. Oby ta jazda minęła mi jak najszybciej.

Kilka godzin później zajeżdżamy na stację benzynową. Kopię Killiana w nogę, żeby go obudzić.

– Co? Już?

Nie odpowiadam. Wychodzę z kampera zatankować. Sekundę później Killian jest już w sklepie i niczym zagłodzone dziecko ładuje do koszyka każde dostępne śmieciowe żarcie. Po dwudziestu minutach znów jesteśmy w trasie. Tym razem jednak to ja siedzę w kuchni i przeglądam Facebooka.

Keaton nadal rozmawia z Dove, ale teraz wziął jeszcze swoją gitarę.

Dove kręci głową uśmiechnięta. Nie cierpię tego, jak bardzo mi ją przypomina. Kiedy już wydaje mi się, że jest zupełnie inna, robi coś, co *ona* by zrobiła.

Zauważa, że na nią patrzę. Rumieni się równie szybko, jak odwraca wzrok. Pizda. Nigdy nie potrafi utrzymać dłużej kontaktu wzrokowego.

Keaton zaczyna grać jakiś kawałek Joe'a Strianiego. Staram się nie zwracać na nich uwagi i postanawiam znaleźć ją na Facebooku. Przewijam profil Val z jej pasywno-agresywnym statusem: **Myślisz, że mnie nie potrzebujesz? Jeszcze się przekonamy...** Jeśli o mnie chodzi, to wyraźnie się przecenia.

Otwieram wyszukiwarkę i wpisuję „Dove Hendry”. Natychmiast odnajduję ją na liście znalezionych profili. Wchodzę na jej profil, zerkając jednocześnie na nią i Keatona. Zdjęcie profilowe przedstawia ją na snowboardzie, w pełnym rynsztunku. Deska jest zwrócona w stronę aparatu, a ona wykonuje surferski gest – shake⁵. Może to jakaś fotka z wakacji... Dziwne, kurwa, z tego, co wiem, to nie miała przecież luksusowego życia.

Po przewinięciu trochę jej tablicy orientuję się, że odkąd do nas dołączyła, rzadko się loguje. O, Rose raz ją oznaczyła w jednym ze swoich statusów. A tu jakiś Richard zapytał, kiedy wróci. *Nigdy, skurwielu*. Wchodzę w galerię i zaczynam przeglądać jej zdjęcia. Na wielu tańczy, są też takie z jej kumpelami. Chyba z jakiegoś klubu. Ale nie jej klubu. Kolejne z nią i tym Richardem. I jeszcze jedno.

Kiedy Keaton znika na górze, zostajemy tylko z Dove i panującą między nami ciszą. Obserwuję ją przez dłuższy moment, aż nagle mój telefon zaczyna wibrować.

Muszę odebrać.

Rozdział 19

Dove

Moim pierwszym prawdziwym chłopakiem był Lionel O'Connor. Dwa lata starszy ode mnie pasjonat wyścigów ulicznych. Pochodził z obrzydliwie bogatej rodziny o dawno ustalonej pozycji w branży paliwowej. Każde zdanie kończył z wyraźnym południowym akcentem, co miało niemały wpływ na to, że się w nim zakochałam. Głównie jednak chodziło o to, że potrafił rozbudzić we mnie duszę buntowniczką – zwłaszcza podczas wyścigów odbywających się w każdą sobotę. W dodatku zawsze pozwalał mi jeździć ze sobą, przez co inne dziewczyny zieleniały z zazdrości. Nie mogły znieść, że to właśnie mnie wybrał Lion. Miał mocno zarysowaną szczękę i wysoko osadzone kości policzkowe, a papierosy palił jeden za drugim, jakby to one stanowiły jego źródło tlenu. Chodziliśmy ze sobą prawie rok w liceum. To z nim przeżyłam moje wszystkie pierwsze razy. Ostatecznie jednak okazało się, że był ogromną pomyłką – znudził się mną i zdradził z moją ówczesną najlepszą przyjaciółką, co zbiegło się mniej więcej w czasie ze śmiercią moich rodziców.

Oddałabym wszystko, żeby King się mną znudził i zaczął terroryzować kogoś innego zamiast gapić się na mnie jak wygłodniały niedźwiedź na ostatnią świeżą rybę w rzece. Byłoby mi wtedy trochę łatwiej uporać się z tym, czego doświadczam i co dzieje się teraz w moim życiu.

Mężczyzna siedzi na krzeselku w kuchni. Nie wygląda przy tym, jakby miał się z niego ruszyć, w dodatku trzyma telefon w ręce, więc postanawiam zadać mu pytanie, które dosłownie paliło mnie w gardle, odkąd doprowadził mnie do orgazmu podczas pokazu. Dosłownie.

– Dlaczego dotykałeś mnie w taki sposób podczas pokazu? – wypowiadam te słowa bez jakichkolwiek zahamowań czy wahania.

Przechyla głowę.

– Bo tak, kurwa, chciałem. – Im dłużej na mnie patrzy, tym trudniej mi oderwać od niego wzrok. – Podejdz.

Kieruję wreszcie wzrok gdzie indziej.

– Kurwa, przestań to robić, Dove.

– Co robić? – pytam, pozwalając sobie zatracić się w nim ponownie.

– Odwracać ode mnie wzrok. Podejdz. Tu.

– Czyli gdzie? – odpieram, patrząc na przestrzeń wokół stołu.

King byłby nieodpowiedni dla dowolnej dziewczyny żyjącej na tej planecie. Jasne, ma perfekcyjną twarz i ciało niczym wyrzeźbione ze stali, ale to nie to czyni go mniej toksycznym. Jest bowiem wszystkim, czego uczy się unikać małe dziewczynki. Jest największym koszmarem ojców i mokrym snem matek. W swoim sposobie bycia ocieka wręcz pewnością siebie i groźbą. Jego nikiemny uśmieszek to jedno, ale to, jak odtrąca kogoś samym swoim spojrzeniem, to zupełnie inna bajka. King jest właśnie jak Lion – tylko gorszy. O wiele, wiele, wiele gorszy. No bo, nawet po tak długim czasie spotkania się z Lionem, nigdy nie czułam się z nim tak, jak czuję się, przebywając w pobliżu Kinga. Choć Lionel był draniem, nigdy nie zrobiłby czegoś tylko po to, by mnie skrzywdzić. Przeraza mnie więc to, że od samego początku czuję się zagrożona przez Kinga.

Nie da się żywić uczuć do trupa, ponieważ ich nie odwzajemni.

King poprawia się na krześle, rozchylając szeroko kolana. Jego oczy jak zwykle, emanują spokojem, ale dostrzegam lekko uniesiony kącik ust.

Zerkam na jego krocze, po czym z powrotem na twarz. Nie ufam mu i wolałabym nie wdawać się w jego gierki, ale stopy znów niosą mnie ku niemu jakby bez udziału mojej woli. Nie z powodu jakiejś przerażającej umiejętności wpływania na umysły innych, którą zdają się posiadać wszyscy czterej, lecz przez to, że pomimo moich problemów z zaufaniem do ludzi – szczególnie nasilających się w odniesieniu do Braci – tak naprawdę chcę się dowiedzieć, czego on chce. Co prawdopodobnie czyni mnie kurewsko głupią.

Staję tuż przed nim, na co on patrzy na mnie z przechyloną głową. Killian napieprza z głośników *Deuces* Chrisa Browna, z czego się

cieszę, ponieważ hałas pozwala mi nie słyszeć myśli, które prowadzą mnie właśnie do podjęcia złych decyzji.

Kingston łapie mnie za rękę, po czym szarpnięciem przyciąga do siebie tak, że siadam mu na kolanach.

Obracam się w jego uścisku, aż nasze twarze znajdują się na wprost siebie.

– Co ty robisz?

– A czy to ma znaczenie?

– Eee... Tak?

Przywiera wargami do moich ust, wsuwając w nie język. Moje wnętrze rozpala się, jakby wypełniał je żar. Śmiercionośny, ale jednocześnie przyjemnie ciepły. Powoli otwieram się dla niego nieco szerzej i muskam czubkiem języka jego dolną wargę. No cóż, Killian powiedział, żebym sprawdziła, czy mnie pocałuje...

Wtem dobiega mnie śmiech z tyłu, na co od razu się odsuwam. Przyłapano nas. King jednak łapie mnie za kark i trzyma przy sobie. Pogłębia pocałunek, więc obejmuję go ramionami za szyję.

Przy stole usiadł Kyrin. Pisze coś na telefonie, zupełnie jakby to, co właśnie zobaczył, w ogóle go nie zaskoczyło. Pewnie i tak niewiele rzeczy go zaskakuje.

– King! – woła Keaton ze szczytu schodów.

Mężczyzna odrywa ode mnie oczy i spogląda w jego kierunku. Klepie mnie w nogę, więc schodzę z niego, odgarniając włosy z twarzy. Mam wrażenie, jakby krew gotowała mi się w żyłach i pulsowała w uszach, i próbuję to ignorować, ale to trudne, ponieważ jego pocałunki są jak heroina – przejmują nade mną kontrolę, rozbijając moją wolę w drobny mak. King znika bez słowa na górze, zabierając ze sobą moją dumę.

Nie wierzę, że go pocałowałam. Mogę mieć pretensje wyłącznie do siebie: jestem przecież trzeźwa i zdrowa na umyśle.

– Nie wyobrażaj sobie za dużo – odzywa się Kyrin znudzonym tonem, nie odrywając oczu od telefonu. To chyba najdłuższa wypowiedź, jaką do mnie skierował.

– Nic sobie nie wyobrażam.

Wreszcie na mnie spogląda. Rysy jego twarzy są tak ostre, jak ostrze samurajskiego miecza. Sprawia wrażenie zbyt ładnego na

człowieka. Ma tak ciemne i gęste rzęsy, że wygląda, jakby przez cały czas miał zrobiony makijaż oczu. Mimo to jednak wzbudza strach.

– King nigdy nie robi niczego bez powodu. Zwłaszcza jeśli chodzi o dziewczynę. Taką jak ty. Bez urazy, ale – mierzy mnie wzrokiem od stóp do głów, na co aż się wzdrygam – nie jesteś w jego typie.

– Poprawka – woła Killian zza kierownicy. – On nie ma swojego typu.

Odsuwam się od Kyrina, który wraca do robienia tego, co robił. Idę na przód kampera, gdzie zajmuję miejsce na siedzeniu pasażera.

– Nie bierz do siebie niczego, co mówi Ky. Kiepsko u niego z umiejętnością nawiązywania relacji międzyludzkich.

– Zauważyłam. Czyżbyś był czarną owcą pośród Braci? – żartuję, kładąc stopy na desce rozdzielczej, żeby napawać się popołudniowym słońcem grzejącym moją skórę.

Killian wybucha cichym śmiechem.

– Słyszałem to już nieraz.

– Tak właściwie to o co chodzi z całym tym konceptem „Braci z Kiznitch”? – pytam wreszcie o to, co nurtowało mnie, odkąd usłyszałam tę nazwę.

Pewnie mi nie odpowie. Po dłuższej chwili milczenia rzuca tylko:

– To długa historia.

Między nami zapada cisza. Lubię ciszę. Nie lubię przebywać z ludźmi, z którymi nie mogę posiedzieć w milczeniu i czuć się przy tym komfortowo. Cisza to najbardziej niedoceniany dźwięk.

– Kyrinowi chodziło o to, że King nie uznaje wyłączości. Nawet jeśli z nim jesteś, to tak naprawdę nigdy nie będzie w pełni twój.

Unoszę brwi.

– Ale my się tylko pocałowaliśmy. – Udaję, że to nic takiego, ignorując łupanie w piersi i ściskanie w żołądku.

– No, jestem zaskoczony, bo King nigdy się nie całuje. Nigdy – prycha Killian. – W dodatku to był taki gorący pocałunek, niemal rodem z pornosa.

Zerkam na lusterko wsteczne i znów na drogę.

– Po prostu wiedz, że nigdy nie miał dziewczyny. Nigdy. I nigdy nie będzie miał. Dopóki nie będziesz mieć z tym problemu, dopóty wszystko będzie okej.

– Dlaczego mi to mówisz? – Przełykam mimo suchości panującej w moim gardle. Cholerna masochistka ze mnie: to, co mówi, sprawia mi ból, a i tak nadal korci mnie, by wypytywać go dalej, choć wiem, że będę czuć się tylko gorzej.

Wzrusza ramionami.

– Trudno ci uwierzyć, że nie chcę, żebyś została zraniona?

– Tak – odpowiadam natychmiast. – Dziwisz się? To przecież wy trzymaliście mnie zamkniętą w celi przez tydzień.

Śmieje się pod nosem.

– No to pamiętaj o tym, kiedy następnym razem będziesz wpychać język diabłu do gardła – mówi, rechocząc. – Wszystko, co złowiesz, smakuje słodko niczym miód.

Wzdycham i kładę głowę na oparciu siedzenia. Przyrzekam sobie w duchu, że już nigdy nie pocałuję Kinga.

Rozdział 20

Dove

Jesteśmy w Teksasie. Ekipa techniczna już zabrała się za rozstawianie sprzętu. Choć przyjechaliśmy późno w nocy, po czym od razu poszliśmy spać, rano wielki namiot jest już jakimś cudem częściowo gotowy. W Teksasie jest gorąco, i to tak bardzo, że trudno mi się oddycha. Chodzę więc po kamperze w samym staniku sportowym i króciutkich szortach. Pot dosłownie leje się ze mnie i jeśli szybko nie znajdę czegoś, co pomoże mi się schłodzić, to chyba umrę. Wtem otwierają się przednie drzwi: staje w nich King – bez koszulki, w bawełnianych szortach seksownie wiszących mu nisko na biodrach. Włosy ma zmierzwiłone, a tors błyszczy się od potu.

Skup się.

– Dlaczego jest tak gorąco?

King mierzy mnie wzrokiem od stóp do głów, po czym spogląda w oczy.

– Teksas.

– Ale nie mamy tu klimatyzacji? Zaraz zdechnę.

– Oby – mamrocze, wchodząc do środka po schodkach. – Weź bikini. Idziemy nad wodę, a ekipa w tym czasie ustawi agregat.

Wracam do siebie i biorę pierwsze lepsze bikini, które natychmiast na siebie zakładam. Nic nadzwyczajnego: żółto-biały, dwuczęściowy strój kąpielowy. Zabieram też kilka butelek wody z lodówki, po czym ubieram się jeszcze w białe, podarte szorty i koszulkę na ramiączkach. Popijając wodę, czekam na Kinga na zewnątrz. Zjawia się wreszcie, więc dołączam do niego i idziemy razem.

Mijamy pozostałe kampery w milczeniu, ale nie czuję się nieswojo z tą wiszącą między nami ciszą. Kiedy zbliżamy się do wozu Midnight, napotykamy wychodzące z niego Mayę i Rose. Val z Miszą siedzą już na zewnątrz, nacierając się nawzajem olejkami. Następnie zjawiają się Killian, Kyrin i Keaton z paroma innymi

osobami, których jeszcze nie poznałam. Spoglądam w oczy kilkorgu z nich, jednak wymownie mnie ignorują.

Val zaprzestaje na chwilę wcierania olejku w nogę i spogląda na mnie. Schodzi z krzesła, żeby podbiec do Kinga.

– Nasmarujesz mi plecy?

King nie zwraca na nią uwagi.

– Nie. – Mija ją i podchodzi od razu do Mayi. Nachyla się do niej, szepcząc jej coś do ucha, na co ona kieruje na mnie wzrok.

– Nie przyzwyczajaj się za bardzo. On i tak do mnie wróci – oznajmia Val, kiedy ją mijam.

– Nie wiem, o czym mówisz – rzucam jej przez ramię. Naprawdę nie wiem. Może zauważyła coś, czego ja jak dotąd nie zauważyłam. Albo po prostu czuje się niepewna, bo jestem z nimi.

Podchodzi do mnie Rose mająca na sobie tylko kuse czerwone bikini. Bierze mnie pod rękę.

– Muszę popływać, bo zaraz się roztopię.

– Ja też.

– Ej. – Ciągnie mnie za nadgarstek w momencie, gdy wszyscy nagle ruszamy Bóg wie gdzie. – Wszystko w porządku? Możesz poprosić Delilę o własną przyczepę. Słyszałam jej rozmowę z Justice'em kilka dni temu. Oboje są zgodni co do tego, żeby dać ci twój własny pokaz po występach SK.

– SK? – pytam, ale zaraz się domyślam: Synowie Kiznitch. – Racja. Nie wiem tylko, co miałabym robić.

– No... – Rose przewraca oczami. – Tańczyć, oczywiście.

Nasuвам okulary przeciwsłoneczne na oczy.

– Nie jestem przecież w tym wyjątkowa.

– Mylisz się. I to bardzo. – Rose spogląda przelotnie przez ramię, po czym odwraca się z powrotem do mnie. – Dove, kiedy tańczysz, to tak, jakbyś tworzyła nowy świat. Hipnotyzujesz całą publiczność. Twoje ruchy emanują spokojem.

King, który podchodzi do mnie od tyłu, obejmuje mnie ramieniem i przyciąga do siebie.

– No, tylko pamiętaj, że w spokoju zawsze czai się chaos.

Próbuję wyszarpnąć się z jego uścisku, ale bezskutecznie. Kiedy wchodzimy na parking, King wyciąga kluczyki i odryglowuje drzwi

czarnego forda raptora, który natychmiast miga światłami. Wskazuje na niego palcem, mówiąc do mnie:

– Wsiadaj.

– A nie może jechać z nami? – prosi Rose. – Nie widziałam się z nią od tak dawna!

King zatrzymuje się, mierząc ją swoim martwym wzrokiem.

– Nie.

Przynajmniej nie jest dupkiem wyłącznie w stosunku do mnie. To po prostu ogólna cecha jego charakteru.

– Zobaczmy się na miejscu – mówię Rose, podchodząc do samochodu. Wsiadam do tyłu, ale zanim w ogóle zdążyłam wejść do środka, ktoś łapie mnie i stawia przed drzwiami pasażera. Odwracam się, a moim oczom ukazuje się Killian z wrednym uśmieszkiem.

– Ptaszynka jedzie z przodu.

Wzdycham. Otwieram drzwi i w tym samym momencie zauważam gapiącą się na mnie z drugiej strony parkingu Val. Wsiada właśnie do białego range rovera, ale przystaje na sekundę, żeby dać do zrozumienia, jak bardzo mnie nienawidzi.

– Nie przejmuj się nią – szepcze mi do ucha Killian, czym mnie zaskakuje. – Jest zazdrosna, bo King nigdy nie interesował się nią i niczym, co z nią związane, poza tym, co oferowała w sypialni.

– Co? – odpowiadam, odwracając się do niego.

Killian wzrusza ramionami.

– King ją pieprzy i jednocześnie ma ją gdzieś. Dosłownie tylko ją pieprzy. Nigdy jej nie dotyka ani nie całuje. Cokolwiek robią, ogranicza się do ruchania w sypialni. Jej sypialni, nie jego.

– Skończyliście już plotkować? – King odpala pikapa, a ja wdrapuję się do środka i zanurzam w skórzanym siedzeniu.

Kątem oka dostrzegam, że na mnie patrzy, ale nie reaguję. Jestem zaskoczona tą naszą nagłą aktywną interakcją. Zupełnie przegapiłam moment, kiedy coś się między nami zrodziło. I to mnie martwi. Ponieważ to oznacza, że stało się to całkowicie naturalnie. Nawet nie zauważyłam zaplatających się wokół nas więzów. A teraz nie mam pojęcia, jak je przerwać.

– Nie myśl tyle o tych głupotach, które Kill śący ci do łba. – Wyjeżdżamy z parkingu za range roverem i jeszcze innym samochodem.

– Nie myślę.

Śmieje się cicho.

– Właśnie, że tak.

– A co to, teraz czytasz mi w myślach? – drażnię się z nim i spoglądam na niego ukradkiem.

Napina mięśnie szczęki. Mam ochotę walnąć się za pozwolenie sobie na żarty z nim. Nie dość, że chcę się z nim całować i siedzieć mu na kolanach, to teraz jeszcze na żarciki mi się zebrało... Poza tym on pewnie czyta mi w myślach. Nie zdziwiłabym się, gdyby oni wszyscy to potrafili.

King włącza muzykę, która natychmiast wypełnia pustą przestrzeń między nami. A tej jest dużo, bo samochód jest ogromny. Z głośników leci *Hail the King* Avenged Sevenfold – jak na ironię. Przewracam oczami i staram rozproszyc myśli, obserwując mijane drzewa i budynki. Wjeżdżamy na jakąś żwirową, wyboistą drogę, na której podskakujemy raz za razem.

Odwracam się, żeby spojrzeć na Killiana, Kyrina i Keatona siedzących z tyłu.

Killian już raczy mnie swoim uśmieszkiem.

– Co? Boisz się, że wywozimy cię gdzieś, żeby cię zabić?

– Zaskakująco nawet o tym nie pomyślałam, ale gdzie się podzieli pozostali?

– Zgubiliśmy ich po drodze. – Odzywa się Keaton. Rozmowa z nim podczas jazdy kamperem była dla mnie chyba najjaśniejszym punktem całej tej wyprawy. Nie wygląda na takiego, co zaprzyjaźnia się z każdym, ale z jakiegoś powodu postanowił zaznajomić się ze mną.

Odwracam się znowu, dokładnie w momencie, gdy King wjeżdża na jakąś przesiekę.

– Wow! – Zauważam wysoki wodospad wypływający z klifu, z którego woda rozbija się w czystej sadzawce. – Czekaście, a nie ma tu żadnych aligatorów czy czegoś takiego?

King wzrusza ramionami i wysiada. Gdy tylko otwiera drzwi, natychmiast uderza mnie w twarz panująca na zewnątrz wilgoć. Zapominam o aligatorach. Jedyne, o czym jestem w stanie myśleć, to żeby pozbyć się tego uczucia lepkości. Kiedy zamykam drzwi,

dołączają do nas range rover i drugi samochód. Parkują obok, a mnie ogarnia irytacja z powodu obecności Val.

Wysiadają wreszcie i po chwili czuję, jak Rose szarpie za mój ręcznik.

– Zdejmuj ciuchy, Dovey! – Podaje mi schłodzony niskoalkoholowy napój, po czym stukamy się butelkami.

Biorę łyk, obserwując, jak pozostałe dziewczyny rozbierają się do półnaga i wskazują do wody tuż za Braćmi.

– W porządku? – słyszę czyjś głos za mną. – Nie wchodzisz do wody?

Odwracam się i moim oczom ukazuje się gość, którego jeszcze nie poznałam. Jest wysoki i szczupły, o łagodnych, brązowych oczach. Na pierwszy rzut oka wydaje się atrakcyjny.

– Właśnie się zbieram – odpowiadam ze śmiechem.

Cicho prycha, obnażając swoje bielutkie zęby kontrastujące z opaloną skórą. Spogląda na mnie. Ma przyjazną twarz.

– Jestem Jackson, ale wołają na mnie Jack.

Podaję mu rękę.

– Dove.

– Wiem, kim jesteś. – Puszcza do mnie oczko, zdejmując koszulkę. Zero tatuaży. Nawet gwiazdy, którą noszą Bracia. Ciekawe.

Wskakuje do wody, podczas gdy ja zdejmuję sandały.

– No chodź, Ptaszynko. Właź do wody! – wrzeszczy Killian.

– Czego się boisz? – odpala Val wchodząca na jeden z głazów. Strząsa nadmiar wody ze swojego wyrzeźbionego ciała. Bracia nie zwracają na nią żadnej uwagi.

Rzucam swój ręcznik na ziemię i odkładam na niego napój. Podchodzę do głazu, z którego skoczył Jack.

– Ja pierdołę, Dovey! – rechocze z wody Mischa. – Ciało jak na tancerkę przystało!

– Co? – Spoglądam na swoje delikatne krągłości osadzone na atletycznej sylwetce. Choć mam wyraźny sześciopak i jestem bardziej umięśniona niż koścista, to mimo wszystko tu i tam faluje mi tłuszcz. Nie przeszkadza mi to, bo uwielbiam jeść. – Nienormalni jesteście. Przecież wszyscy macie świetne figury.

– A ty to nie? – rzuca mi przekornie Rose z wymownie uniesioną brwią.

Przewracam oczami i wskakuję do wody, która natychmiast przynosi ulgę, uwalniając mnie od stresu wzmożonego upałem. Wynurzam się i roześmiana przecieram oczy.

– Lepiej ci już? – szepcze za mną King, jednocześnie obejmując mnie ramieniem.

Odwracam się i odgarniam włosy z twarzy.

– O wiele. – Wciąż się śmieję. Nagle przysuwam się do niego i całuję go delikatnie w usta. Zamieram natychmiast, po czym odsuwam się. – Przepraszam...

On jednak przywiera ustami do moich warg i obejmuje mnie mocniej. Puszczą mnie po kilku sekundach, patrząc mi głęboko w oczy.

– Co my wyprawiamy?

– Nie rób tego – mamrocze tuż przy mojej twarzy.

– Czego? – Chcę wiedzieć, co ma na myśli. Nagle wszyscy i wszystko znikają w tle: jesteśmy tylko my dwoje.

– Nie zadawaj pytań, na które odpowiedzi nie jesteś jeszcze gotowa usłyszeć.

– Według ciebie nie jestem? – dopytuję w nadziei, że się czegoś dowiem. Czegokolwiek. – Powiedziałeś, że mnie nienawidzisz.

– Tak, a co powiedziałem potem? – odpięra, ale jego ramiona wciąż oplatają mnie pod wodą.

Szperam w pamięci, aż jego słowa wracają do mnie gwałtownym echem: *Nie muszę cię lubić, by chcieć się z tobą pieprzyć.*

– W porządku. – Poruszam rękami, żeby utrzymać się na powierzchni, ale bezskutecznie, więc zanurzam się z powrotem. Łapie mnie znowu za tyłek, po czym unosi ponad tafłę wody. Muszę opleść go nogami w biodrach. Śmieję się cicho, obejmując go ramionami za szyję.

– Nie dokończyliśmy tej rozmowy. Dlaczego mnie nienawidzisz?

Mruży oczy. Przez krótki moment zatracam się w jego bezczelnej męskości. Ciemnych włosach i rzęsach. Wydatnej szczęce, która wygląda tak, jakby nieustannie napinał jej mięśnie. I w tym, jak jego oczy potrafią wyrazić niemal każdą ludzką emocję, nie wyrażając zupełnie nic.

– Wszystko w swoim czasie.

– Dovey! Chcesz drinka? – woła Rose, czym wyrywa mnie z transu. Odpycham się od mężczyzny i płynę do brzegu, aż odnajduję stopami piaszczyste dno. Wychodzę z wody, a następnie biorę swoją butelkę. Rozkładam ręcznik obok koleżanki, podczas gdy ona przegląda coś w telefonie i włącza muzykę.

– Wszystko gra? – pyta wpatrzona w ekran.

Mam wrażenie, że jej pytania mają jakieś drugie dno.

– Dlaczego miałyby być inaczej? – odpowiadam, przeczesując palcami włosy, zanim poplączą się na dobre.

Wzdycha i skupia na mnie całą swoją uwagę.

– Proszę, uważaj na siebie, Dove. Oni nie są tym, na kogo wyglądają. To...

– Hej! – Mischa, brunetka mająca zadziwiająco dużo energii jak na kogoś z tak drobnym ciałkiem, kładzie swój ręcznik tuż obok Rose. – Czyli ty i King?

– Eee...

Koło mnie z kolei siada Maya, narzekając na swoje bikini, chociaż ma na sobie jeszcze szorty.

– Nienawidzę tego jebanego teksańskiego upału.

– No? – naciska Mischa.

– Ja pierdołę, Mischa, zamknij się już i daj jej spokój. – Maya wkłada do ust jointa, po czym zapala go, zaciągając się. Podaje mi, ale odmawiam.

– Śmiało. – Uśmiecha się. – Dopiero co ją z ciebie zdjęłam. Mogłabyś chociaż ze mną buchnąć.

– Jakież problemy? – odzywa się Killian, a Maya natychmiast pochmurnieje. – Zostaw Dove. Wiesz, że King lubi mieć swoje zabaweczki w nienaruszonym stanie.

Tym razem wybucham śmiechem, kładąc się na plecach, żeby napawać się słońcem.

– No to lepiej niech znajdzie sobie nową, bo ja na pewno nie jestem „nienaruszona”. – Gestem ręki daję Mayi znać, by podała mi tego skręta. Chciałabym wspomnieć o tym, co stało się w celi, ale ostatecznie tego nie robię. Nie chcę, aby o tym wiedzieli, bo dałoby im to zapewne tylko więcej satysfakcji z mojego cierpienia. Czuję ucisk w piersi na te wspomnienia. Moje zauroczenie Kingstonem

Axtonem jest jak trucizna i najwyraźniej jestem gotowa za nie zginąć.

Czuję dym między palcami, więc przykładam skręta do ust i zaciągam się głęboko. Wstrzymuję dość długo oddech, po czym wypuszczam powietrze wraz z dymem. Oddaję skręta Mayi. Rose wreszcie skończyła się spierać z Mischą co do wyboru piosenki i muzyka zaczyna grać. Nie słyszałam tego wcześniej.

– Mówię serio, Dovey – szepcze Rose. Leży na brzuchu z głową wspartą na rękach, twarzą do mnie.

Robię wydech, kładąc się na brzuchu razem z nią. Nikt nas nie słyszy przez głośną muzykę, a poza tym leżymy tak blisko siebie, że nie musimy krzyczeć.

– Dlaczego?

– To, że się tu znalazłam, było częścią ich inicjacji – szepcze. – A to, co mówiła Delila, rzeczywiście pokryło się z tym, dlaczego się tu znalazłam.

– No dobra. – Patrzę jej głęboko w oczy. – A ja? – Upał tylko pogłębia moją konsternację. I to bardzo.

– Z tobą było inaczej niż z typowym rekrutem, Dove. To dlatego byłaś tam tak długo. I teraz jesteś z nimi, a nie sama lub z inną rodziną.

– Tylko czym dokładnie powinnam się martwić? – Serce wali mi jak młotem. Nie jestem naiwna. Wiem, że to wszystko jest grubymi nićmi szyte. I pewnie dlatego King powtarza mi, że zrobiłam coś, czym go rozgniewałam, że coś mu odebrałam. Stąd najwyraźniej ta jego nienawiść do mnie.

– Nie zakochuj się w Kingu...

– Przeszkadzam wam w czymś? – Val przykuca tuż przed nami, rozkopując piach, który spada mi na twarz. Mam ochotę ją zabić.

Siadam, zasłaniając ręką oczy przed słońcem. Kłębią się we mnie różne emocje, ale najsilniejsza z nich to poczucie braku kontroli. Utraciłam już swoje życie na rzecz czterech gości, a oni nawet mnie jeszcze nie zabili.

Wydając z siebie warknięcie, wstaję i wracam do wody. King wraz z resztą Braci stoją przy samochodzie, ale Jack wciąż pływa ze swoimi znajomymi.

– Hej... – odzywa się ten ostatni z twarzą uniesioną tuż nad powierzchnią.

– Nie – odpowiadam ze śmiechem, kręcąc głową i zanurzając się powoli. – Jeśli zamierzasz zapytać mnie o Kinga, odpowiedź brzmi: nie.

Jack wybucha zaraźliwym śmiechem. Uświadamiam sobie, że autentycznie lubię z nim przebywać. Choć znam go dopiero od dwudziestu minut, czuję się komfortowo w jego towarzystwie. Jakbym znała go już wcześniej. Wiem jednak, że nigdy go nie spotkałam. Zapamiętałabym jego twarz. Ostatnim facetem o tak miłej aparycji, którego poznałam, był Richard.

– Znam już trochę Kinga i nigdy go takiego nie widziałem – dodaje, podpływając do mnie.

– Czyżby – drązę. Wypływam na głębiej, a on rusza tuż za mną, ale nie narusza mojej przestrzeni osobistej. Doceniam to.

Kiedy jesteśmy już dość daleko od brzegu, odwracam się do niego. Spoglądam ponad jego ramieniem na chłopaków stojących przy wozie i obserwujących nas.

– Jak dobrze go znasz?

Przezesuje włosy palcami.

– Od dziewiątego roku życia. Nasze rodziny są ze sobą blisko, więc wiesz...

– Ach tak. – Nie chcę sprawiać wrażenia wścibskiej, więc zmieniam temat. – A czym się zajmujesz w Midnight Mayhem?

Milczy przez chwilę.

– Oprócz występowania w pokazie finałowym?

Przechyla głowę.

– Chyba nie doświadczyłam pokazu finałowego w pełni.

Śmieje się.

– Racja. I wszystko wskazuje na to, że nigdy nie doświadczysz go w pełni – odpowiada, oglądając się przez ramię.

– Opowiesz mi o nim?

Ponownie gładzi się po włosach.

– To coś zarówno dla nas, jak i dla publiczności.

– Seks na scenie.

Śmieje się, odchylając głowę do tyłu.

– I tak, i nie.

Kręcę głową.

– Nie wystarczy wam to całe szaleństwo, które odwalacie?

– To raczej coś w rodzaju rekonstrukcji. Jutro zobaczysz. Niezależnie od tego, czy będziesz w tym uczestniczyć w pełni, czy nie.

– A kto bierze udział w finałowym pokazie?

Obdarza mnie półuśmiechem.

– Wszyscy.

Nagle naszą pogawędkę przerywa gwizd. King macha, byśmy wrócili na brzeg.

– Wzywają nas – mamroczę, po czym obydwójce płyniemy do pozostałych.

– Zawsze jest taki nadąsany? – pytam, gdy natrafiam wreszcie stopami na dno.

– Nie – odpowiada Jack. – Zazwyczaj to mechanizm obronny.

Nie mogę dopytać go, co przez to rozumie, ponieważ natychmiast dołącza do swojej ekipy, zarzucając sobie ręcznik na szyję. Jego kumpel klepie go w tył głowy, na co Jack wybucha śmiechem i się odwraca, by puścić do mnie oczko.

Co za dziwaczna zgraja. I to nie w zachęcający sposób. To dziwaczność, w której nie chce się brać udziału ani nawet obserwować z bezpiecznej odległości.

Podchodzi do mnie Maya z odwróconą daszkiem do tyłu bejsbolówką na głowie.

– Co to, Dovey, życie ci niemiłe? – Wiem, o co jej chodzi: o widzącego wszystko Kinga.

– Nie, tylko rozmawialiśmy.

– Hej! – zwraca się do mnie, gdy ją mijam.

Odwracam się do niej znowu.

– Powinnaś wpaść dziś do nas na drinka. Będzie ognisko i takie tam. Wtedy porwała cię Beat, więc teraz czas na bratanie się z nami...

Uśmiecham się.

– Jasne.

– Dove! – ryczy King.

– Oj, dziewczyno – drwi Maya. – Masz przechlapane.

Spoglądam w jego kierunku i zauważam, że pozostali wsiadają do pikapa.

– Do wozu!

Rose rzuca mi mój ręcznik. Łapię go, zerkając na nią.

– Mówię serio, Dove. Uważaj na siebie.

– Nie kłamie – bąka Val przewracająca się na plecy.

Powoli podchodzę do samochodu. Podczas gdy King siada za kierownicą, ja zajmuję miejsce obok. Zatrzaszkuje drzwi i rusza, zanim jeszcze zdążę zapiąć pas.

– Dove, czy ty naprawdę musisz drażnić niedźwiedzia?

– Co? – Odwracam się do Killiana kręcącego głową.

Przypominam sobie, że przecież siedzimy wszyscy w tym samym samochodzie, kieruję więc swoją uwagę na Kingstona, opierając się o drzwi.

– Co znowu zrobiłam nie tak?

– Skąd takie przeświadczenie? – odpowiada, ale brzmi, jakby myślami był gdzie indziej. Daleko stąd.

– No nie wiem. Może stąd, jak się na mnie przed chwilą wydarłeś?

Śmieje się sarkastycznie.

– Tylko tyle? – Na sekundę odrywa oczy od drogi i rzuca mi świdrujące spojrzenie. – Jeśli nie jesteś w stanie znieść czegoś takiego, to jesteś jeszcze słabsza, niż myślałem.

Zaciskam zęby i nie odzywam się przez całą drogę powrotną. Jednocześnie jednak czuję, że im dłużej z nimi jestem, tym swobodniej mówię to, co myślę. Jakbym coraz bardziej zapominała, przez co przeszłam, odkąd mnie porwali.

King otwiera schowek i wyciąga z niego jakąś kopertę. Wskazuje na nią ręką.

– To twoje. Całość. Wykorzystaj wedle uznania.

Kiedy ją otwieram, na moje kolana wypada pojedyncza czarna karta kredytowa.

– Jak to?

– Bo jesteś jedną z nas – dodaje Keaton.

Obracam ją w palcach, zastanawiając się co zrobić.

– Możesz sprawdzić stan swojego konta i zrobić wypłatę albo założyć fundusz. Wszystko w jednym

Mam ochotę odmówić. Chcę wiedzieć, dlaczego nagle zmienił swoje nastawienie i nie jest na mnie tak wściekły, jak wydawało się wszystkim nad jeziorem. Nie drażę jednak tego. Sama wolę zdecydować, kiedy się z nim kłócić. Myślę, że teraz byłoby to marnotrawstwem energii.

Wracamy do obozowiska, ale nie spieszę się, by wysiąść. Wszyscy się rozchodzą i wewnątrz zostajemy tylko ja z Killianem. Odwracam się do niego.

– Z jakiegoś powodu ci ufam.

Zamiera.

– Lepiej mi nie ufaj.

– Dlaczego tak mówisz? – pytam szczerze zainteresowana.

– Bo chociaż cię lubię, Ptaszynko, moją rodziną są Bracia. Nie wyobrażasz sobie, jak głębokie więzi nas łączą: tajemnice, wzajemne powinności i cała masa ciemnych spraw, o których nie możesz się dowiedzieć. Dlatego nie powinnaś mi ufać. Gdyby rozkazano mi wpakować ci kulkę między oczy, zrobiłbym to bez wahania. Mogę być dla ciebie miły, Ptaszynko, ale nie myl tego z lojalnością wobec ciebie. Ktoś taki jak ja, jak oni, nigdy nie będzie szczęśliwy z dziewczyną. Właśnie z tego powodu. – Wysiada i zatrzaskuje za sobą drzwi.

Tkwię w bezruchu. Sfrustrowana i pełna gniewu. A przede wszystkim – zagubiona. Czuję się zagubiona. Jakbym już nie wiedziała, kim jestem ani gdzie jest moje miejsce. Nie jestem aż tak szurnięta, by myśleć, że pasuję do Braci z Kiznitch. Ale naprawdę wydawało mi się, że ufam Killowi.

Otwieram drzwi i zeskakuję. W tym samym momencie podchodzi do mnie Delila.

– Ptaszynko, gdzieś ty się podziewała? Chodź, chcę ci coś pokazać.

Zamykam samochód i idę za nią. Choć o Delili można powiedzieć wiele – z tego, co mówiła też Beat – to jak dotąd nie groziła mi śmiercią. A to już coś znaczy.

Wchodzę z nią do namiotu. Macha ręką w kierunku sceny.

– Będziesz miała własny pokaz.

Dłonie mi się pocą, więc wycieram je o uda.

– Mam tańczyć?

Potakuje skinieniem, jej ścięte na pazia włosy kołyszą się wraz z ruchem głowy.

– Tak. Ty zdecyduj, co to będzie. Najlepiej, jakbyś połączyła kilka stylów, ale ostatecznie to zależy od ciebie. Masz pięć minut. Możesz korzystać z dowolnych rekwizytów. Jest też rura, jeśli będzie ci potrzebna.

Przechylam głowę.

– Wiesz, że taniec na rurze to dyscyplina sportu, prawda? Nie tylko striptiz.

Wzdycha.

– Tak, Dove, i mam nadzieję, że odpowiednio jej użyjesz. Poćwicz dziś i na jutro wszystko ma być gotowe. – Znika w jednej z naw.

Właściwie to fajnie byłoby mieć własny pokaz. Wiem, że i tak musiałabym uczestniczyć co najmniej w pokazie Kinga i w finałowym. Ale w ten sposób zyskałabym poczucie indywidualności i czegoś w rodzaju celu. I to bez udziału Braci.

Biegnę sprintem z powrotem do kampera, żeby się przebrać. Zamieram na widok stojących na moim łóżku toreb z zakupami. Kiedy zaglądam do jednej, okazuje się, że to wszystko nowe ciuchy. Natychmiast zakładam jakieś obcisłe szorty Nike i sportowy stanik, po czym wciągam przyciętą pod biustem bluzkę Valentino. Do tego jeszcze ocieplacze na nogi i szybko przeczesuję włosy szczotką. Następnie wracam do namiotu. Nie chcę widzieć teraz żadnego z Braci, a w szczególności Kinga. W jednej chwili mnie całuje, potem drze się na mnie, by później wmawiać mi, że mnie nienawidzi i że coś mu odebrałam. Nie ma chyba bardziej obłąkańczej sytuacji niż bycie przedmiotem uwagi Kingstona Axtona. Nie wiem, czy chcę czegoś takiego.

Każę kilku chłopakom kręcącym się w pobliżu ustawić rurę na środku sceny. Kątem oka zauważam, że Val rozciąga się na równoważni. Ignoruję ją i skupiam się całkowicie na sobie.

– Val? – krzyczę, na co odwraca się do mnie, a jej złociste włosy powiewają niczym fryzura Sereny van der Woodsen – Będzie ci przeszkadzała muzyka?

Przewraca oczami.

– Nie, Ptaszynko, nie będzie.

Tim, tak chyba zwracała się do niego Delila, wskazuje na mój telefon.

– Połącz się z nagłośnieniem za pomocą Bluetootha i wybierz, co chcesz. Bracia będą ćwiczyć dopiero za kilka godzin, więc całe to miejsce jest twoje.

Uśmiecham się.

– Dziękuję.

Przeglądam playlistę, aż wreszcie wybieram *Mother's Daughter* Miley Cyrus, po czym odkładam telefon na ziemię. Muszę się rozgrzać i porozciągać, bo dawno tego nie robiłam. Wykonuję skłony, by rozciągnąć mięśnie ud. Następnie opadam na podłogę z szeroko rozłożonymi nogami, pochylam się do przodu i kończę szpagatem francuskim. Ćwiczenia rozgrzewają mnie tak samo mocno jak muzyka. Gdy jestem już gotowa, biorę telefon, by jeszcze raz przejrzeć playlistę. Chcę w każdym mieście tańczyć do innej piosenki. Wyrażać tańcem swój nastrój w danym momencie. Zawsze byłam dobra w uzewnętrznianiu swoich emocji za pomocą ruchu. Teraz czuję się rozgniewana, nierozważna i w pewnym stopniu jakbym nie była sobą. Puszczam *Carousel* Melanie Martinez. Na mojej twarzy maluje się uśmiezek, gdy rzucam pod nosem:

– Pasuje idealnie.

Kiedy wchodzi pierwszy bit, chwytam się rury i zaczynam obracać się dookoła niej. Zatracam się na trzy minuty i pięćdziesiąt pięć sekund. Postanawiam, że to właśnie do tej piosenki zatańczę dziś wieczorem. Klikam więc „Odtwórz ponownie” i zaczynam pracę nad swoim układem.

Rozdział 21

King

– Musimy o niej pogadać – odzywa się Killian. Ta jego upierdliwość zaczyna mnie już irytować. Robi dobrą minę do złej gry, jest w tym najlepszy, ale wszyscy wiemy, że jego cierpliwość też zaczyna się kończyć.

– Nie musimy.

– Co ty wyprawiasz, King? Całujesz ją, ocierasz się o nią jak pies o sukę w rui. Od kiedy to było częścią planu? – pyta Keaton, rzucając mi spojrzenie.

Schodzę z kanapy i zdejmuję koszulkę.

– Rozumiem, jest seksowna jak diabli. Ale wszyscy byliśmy tego świadomi. Ty też.

Siadam ponownie, po czym wkładam papierosa do ust i zapalam go.

– Po prostu bawię się swoim jedzeniem. Co z tego?

– King – ostrzega Killian – to kiepski pomysł. A co, jak przyjdzie ten moment?

Patrzę na niego znudzonym wzrokiem.

– O czym ty, kurwa, bredzisz, Klaro Plotkaro? Widziałem, jak na nią patrzysz.

– Nagle zachciało ci się zamoczyć? – dorzuca Keaton.

Skoro chce mojej uwagi, to proszę bardzo.

Zeskakuję z kanapy i podchodzę do niego. Opiera się o ścianę w przejściu.

– Czego się boisz, Keats? Że jak się z nią zabawimy, to się załamie?

– Przechyliłam głowę, patrząc mu głęboko w oczy. – I tak ma już blisko do mety, więc co to za problem?

– Nie jest taka, jak się spodziewałem. – Stoi prosto, a w oczach iskrzy mu opór.

– W jakim sensie?

– Czyżby nie była pionkiem w naszej grze mającej na celu zakończenie długotrwałego konfliktu?

Keaton warczy: – Nie wiem, kurwa. Po prostu jest inna, niż się spodziewałem, że będzie.

Oblizuję wargi z uśmiechem na twarzy.

– No, chyba nawet wiem dlaczego.

Mruży oczy ze zdziwienia, coraz bardziej podejrzliwy.

– Niby dlaczego?

Wracam na kanapę, wypuszczając chmurę dymu z ust. Mam dwie możliwości: mogę powiedzieć temu idiocie dokładnie to, co powinien wiedzieć – żeby już się nie męczył – albo zachować wszystko dla siebie i zabawić się dzięki tej wiedzy później.

Nagle telefon w mojej kieszeni zaczyna wibrować. Wyciągam go i natychmiast odbieram.

– Mamo.

– Kingston, jak się sprawy mają? – Już ją sobie wyobrażam: siedzi za tym swoim długim stołem, z fajką w jednej ręce i kieliszkiem wódki w drugiej.

Rozsiadam się wygodniej.

– Gdzie jesteś?

– Włochy. Za kilka tygodni wracam do Stanów. Powiedz Killianowi, że jego ojciec zwołuje zebranie, na którym wszyscy będziecie musieli się stawić.

Na mojej twarzy maluje się uśmiezek. Czyli postanowione: zostawiam sobie tę wiedzę na później.

Rozdział 22

Dove

Jedno z moich najwcześniejszych wspomnień to mama, która ze łzami w oczach zawiozła mnie na zajęcia z baletu. Nie powiedziała mi, dlaczego wtedy płakała. Miałam sześć, może siedem lat i nie pamiętam nic, co było wcześniej, a kiedy pytałam ją o to, odpowiadała jedynie, że jako dziecko cierpiałam na zespół stresu pourazowego, wskutek którego wyparłam wszelkie wcześniejsze wspomnienia. Zazwyczaj jednak w takich wypadkach ludzie miewają jakieś luki w pamięci czy przebłyski tego, co się wydarzyło. Tymczasem u mnie była zupełna pustka. Nic. To dziwne uczucie: nie mieć żadnych wspomnień ze wczesnego dzieciństwa. Zawsze leżało mi to na sercu, nawet wtedy, kiedy o tym bezpośrednio nie myślałam. Rzucało się cieniem na mój umysł jak jakieś złe wspomnienie. Ostatecznie nigdy się nie dowiedziałam, dlaczego wtedy płakała – bo normalnie nigdy nie płakała. Uleganie takim pierwotnym emocjom nie leży w jej naturze. Nie *leżało* w jej naturze. Dlatego widok zapłakanej matki tak mocno utkwiał mi w pamięci, że nawet teraz, wracając do kampera po bitych dwóch godzinach ćwiczeń nad moim układem tanecznym, myślę o tym wydarzeniu sprzed ponad dziesięciu lat.

– Dove! – woła Maya, gdy jestem już przy samochodzie.

Odwracam się do niej.

– Hej!

Jest nieco zdyszana.

– Przepraszam. Boże, nie cierpię ćwiczyć.

– Nie cierpisz ćwiczyć? – Chichoczę. – A co z twoim pokazem?

Zbыва mnie machnięciem ręki i przewraca oczami.

– Ja tylko śpiewam na huśtawce, a chłopaki skaczą motorami przez obręcze. Więc to tak, jakbym nic nie robiła. A w każdym razie nie to, co robi Midnight. Nawet nie jestem częścią Midnight. Jestem

z nimi, bo... – Kręci głową. – Tak czy inaczej nie dlatego tu jestem. Daj mi swój telefon!

Podaję go jej, po czym patrzę, jak coś wpisuje.

– Zapisałam ci swój numer i teraz mam też twój. Już nie wymigasz się od drinka dziś wieczorem. – Oddaje mi telefon.

– Nie miałam nawet takiego zamiaru.

Zakłada swoje niepokorne, kręcone włosy za ucho.

– Dobrze. To na razie! – Znika tak szybko, jak się zjawiała.

Wchodzę do kampera i kieruję się prosto do swojego przedziału. Muszę pozbyć się ciuchów, które mam na sobie, i zrobić pranie, ale kiedy otwieram szafkę, okazuje się, że brudne ubrania, które odłożyłam do kosza, zostały wyprane, a teraz leżą równo poskładane na półeczkach.

Wychodzę na korytarz, by rozejrzeć się, kto jeszcze tu jest. Wtem z góry schodzi jakaś kobieta.

– O, pani to pewnie panna Hendry. Pani pranie jest już poskładane. Uzupełniłam też zapasy w lodówce i w szafkach.

– Aha. – Jej kiczowaty strój pokojówki zdradza w pełni, kim jest i po co tu przyszła. Nie wiedziałam jednak, że mamy tu coś takiego jak pomoc domowa.

– Przepraszam – mówi, wycierając ręce w szmatkę wystającą z jej przedniej kieszeni, po czym podaje mi dłoń. – Jestem Rhonda. Pokojówka. Każdy kamper ma swoją, ja pracuję u was.

– Miło mi cię poznać, Rhondo. – Podaję jej rękę, którą następnie lekko ściska. – Długo jesteś pokojówką Braci?

– Wystarczająco długo – żartuje. – Jeśli czegoś pani potrzebuje, proszę wysłać SMS na numer złożony z trzech siódemek. Przekierują panią do mnie. – Przechodzi przez kuchnię i opuszcza wóz. Zostaje tu sama, w ciszy i spokoju.

Wracam do siebie, żeby wziąć szybki prysznic. Obiecałam dziewczynom drinkowy wieczór – pora dotrzymać obietnicy.

Rozlegają się strzały. Bam. Bam. Bam. Jeden po drugim. Kule świszczą w powietrzu i rykoszetują, trafiając we mnie. Na mojej sukience pojawiają się plamy krwi...

Otrząsam się z tego wspomnienia. Tekskański upał sprawia, że tonę we własnym pocie. Aż wolałabym chyba chodzić nago. Po kąpieli decyduję się więc tylko na białe szorty ucięte tuż pod pośladkami i obcisłą koszulkę na ramiączkach odsłaniającą brzuch. Mam to gdzieś. Jest mi gorąco i niewygodnie – jeśli zatem tak skąpy strój pozwoli mi poczuć się choć odrobinę lepiej w tym ukropie, biorę go w ciemno. Próbuję wyprostować włosy, które opadają mi aż do kości ogonowej, ale od tej wilgoci niemal natychmiast skręcają się ponownie. Moja skóra od razu złapała opaleniznę po naszym wcześniejszym pobycie nad jeziorem i zarumieniły mi się policzki. Zazwyczaj się maluję, choć niewiele, jednak dzisiejszego wieczoru decyduję się na absolutne minimum: bronzer, róż i trochę tuszu do rzęs. Naprawdę cieszy mnie perspektywa spędzenia czasu z dziewczynami, a nie czterema nabuzowanymi chłopakami.

– Hej! – Podchodzę do Rose, machając do niej. Wokół ich niewielkiego ogniska stoją krzeselka. Korci mnie, by powiedzieć, że jest za gorąco na ogień, ale zamiast tego siadam w milczeniu.

Maya podaje mi drinka i stukamy się szklankami:

– Na zdrowie, Ptaszynko.

Mówi to jakimś takim tonem pełnym uległości i znudzenia, ale nauczyłam się już, że Maya po prostu tak ma.

Wznosimy kolejny toast pośród gęstniejącego tłumu. Czuję ich obecność, choć jeszcze ich nie widzę. Ignoruję jednak wszystko, co dzieje się dookoła, skupiając wzrok na ogniu tańczącym w ciemności. Muzyka gra głośno, bardzo głośno. To cud, że ktokolwiek jest w stanie przy niej spać. A może właśnie nikt nie śpi i wszyscy przyszli tutaj. Tłum jest naprawdę spory.

– Jednak przyszłaś – oznajmia Jack, siadając na krześle obok.

– Cześć, tak. Ale nie wiem, jak długo tu będę. Cały dzień ćwiczyłam, jestem zmęczona.

Śmieje się cicho pod nosem.

– Rozumiem.

Zerkam na ludzi wokół nas. Zaczyna do mnie docierać, że w Midnight Mayhem jest znacznie więcej osób, niż sądziłam.

– Zagramy w grę! – woła Killian i ścisza muzykę, czym odrywa mnie od moich obserwacji.

– O nie – mamrocze Jack, osuwając się niżej na krześle.

– Co, dlaczego? – pytam nachylona do niego.

Przybliża się do mnie.

– Ostatnim razem, kiedy Killian zarządził grę, ktoś zginął.

Przełykam ślinę i prostuję się.

– Żartujesz, prawda? – szepczę.

– Chciałbym. – Jack bierze łyk swojego drinka, po czym wrzuca kubek do ognia.

Płomień wzbija się wysoko, a ja zatracam się we własnych myślach. Ktoś zginął? Co za banda świrów.

– Szkoda – odzywa się głośno Jack, wrywając mnie z zamyślenia.

– Co masz na myśli? – pytam i spoglądam mu w oczy.

– To, że zwróciłaś na siebie uwagę Kinga.

Wybucham śmiechem, kręcąc głową.

– Wcale nie.

Mruży oczy, przez co zaczynam się wić na swoim miejscu. Dziwny odruch jak na takie miłe oczy.

– Znam go od dawna, więc możesz mi wierzyć, kiedy mówię ci, że zwróciłaś na siebie jego uwagę.

Znow odzywa się Killian, spychając ten bełkot Jacka na drugi plan. A przynajmniej ja już go nie słucham, ale z innych powodów, niż mogłoby się to wydawać.

– Weźmiecie bandanę i zawiążecie ją sobie na ustach.

Kyryn podchodzi do każdego i rozdaje chusty. Pokrywające je białe wzory wdrukowują się w mój umysł, niczym przypomnienie tej nocy sprzed wielu lat.

Zamykam oczy. Unoszę powieki dopiero, kiedy podsuwa mi tę szmatę pod nos.

Kyryn bacznie mi się przygląda. Przyklęka, by znaleźć się na równi z moimi oczami.

– Co jest? Nie lubisz chust? – Rzuca mi półuśmieszek, ale jego spojrzenie pozostaje nieruchome.

Wrywam mu ją z ręki, nie zwracając uwagi na to, co mówi. Wstaje i idzie dalej.

– Zasady są proste.

Ktoś z tyłu prycha drwiąco. Słysząc też jakieś szuranie.

Killian śmieje się krótko, ale po chwili kontynuuje:

– Zasady są proste. Pamiętajcie zabawę w chowanego?

Zawiązuje ją sobie na ustach i w tym samym momencie dostrzegam czaszkę na jego chuście. Następnie odnajduję wzrokiem Kinga, który mi się przygląda z zawiązaną na ustach bandaną. Też z czaszką. Wszyscy Bracia mają czaszki na swoich chustach. Pozostali natomiast, zarówno chłopaki, jak i dziewczyny, ich nie mają.

– To coś podobnego, tylko że to wy się chowacie, a my szukamy.

– I? – odzywa się Val, obwiązując sobie twarz. Sekundę później robię to samo.

– Co i? – Unosi brew Killian.

– Co się dzieje, kiedy nas znajdziecie? – Val kładzie rękę na swoim smukłym biodrze.

– Przekonacie się – odpowiada i puszcza jej oczko.

Val się prostuje.

Kyrin wykrzywia do niej usta, kręcąc głową.

– Val, łatwa jak zawsze.

Dziewczyna rzuca mu spojrzenie.

– A co, znowu chcesz mnie wziąć do trójkąta?

Uśmiezek Kyrina się poszerza.

– Nikt cię nie zapraszał. Sama do nas przylazłaś, bo miałaś kisiel w majtkach na samą myśl o Travisie.

Nie czaję. Spoglądam to na jedno, to na drugie. Wreszcie nachyliłam się do Jacka.

– Kyrin jest gejem? Nigdy bym nie pomyślała.

Jack rechocze z głową odchyloną do tyłu.

– Nie, nie jest.

– Czyli co, bi? – dopytuję, przyglądając się Kyrinowi. Jasne, ładny jest, ale roztacza też wokół siebie dość mroczną aurę.

– Znowu pudło – odpowiada Jack, po czym zauważa konsternację na mojej twarzy i wyjaśnia: – On nie ma żadnej preferencji seksualnej, ale też nie identyfikuje się jako bi. Nie cierpi etykietek. Wyznaje zasadę „będę pieprzyć, kogo będę chciał”.

– To ma sens... – Odrywam wzrok od Kyrina i zerkam na przyglądającego mi się Killiana.

– Skończyłaś gadać, Ptaszynko?

Potakuję skinieniem.

– Damy wam dwie minuty przewagi. Ten, kto was znajdzie, decyduje, co z wami zrobić. Może będziecie niewolnicami na jedną noc? A może będziecie musiały wykonać jakieś polecenie. Same się przekonacie.

Kingston wstaje z krzesła wpatrzony we mnie. Czuję się z tym niekomfortowo, ale nie jestem w stanie oderwać od niego oczu.

– Trzy, dwa, jeden... – Po twarzy Killiana przetacza się uśmiezek.
– Uciekajcie, uciekajcie...

Zamieram, niczym w transie wywołanym spojrzeniem Kinga. Wszyscy dookoła zrywają się z miejsc, kierując się do pobliskiego lasu, ale ja stoję jak wryta.

Powoli King otwiera usta i widzę, jak wypowiada słowo „uciekaj”.

Natychmiast odwracam się w tył i biegnę do lasu z sercem walącym jak młotem. Adrenalina w mojej krwi daje mi nagły skok energii. Nogi praktycznie same niosą mnie przez przesiekę. Przeskakuję gałęzie leżące na ziemi i schylam się, by nie zahaczyć o nisko wiszące konary. Biegnę tak przez dobrą minutę, po czym się zatrzymuję. Nasłuchuję, czy ktoś jest w pobliżu. Ktokolwiek. Przecież tylu ich wbiegło do lasu... Gdzie oni się podziali?

Robię krok w tył, szeleszcząc leżącymi na ziemi liśćmi. *Kurwa, gdzie oni są?*

Dalej już idę, żeby jak najmniej hałasować. Jaśniejący w górze księżyc toczy batalię z ciemnością nocy i oświetla mi drogę pośród całej masy gałęzi. Po jakichś dwudziestu minutach takiego marszu postanawiam zawrócić i kierować się z powrotem do obozowiska. Wtem dociera do mnie, jak gęsty jest ten las. Niczym niekończący się labirynt, zamykający mnie w swojej naturalnej formie.

Nagle z lewej słyszę jakiś szelest.

– Jack?

– Źle – szepcze King, kiedy natykam się plecami na jego tors.

Z piskiem odwracam się, by spojrzeć mu w twarz.

– To nie było fair.

Podchodzi bliżej, ale cofam się z każdym jego krokiem ku mnie. Aż wreszcie natrafiam na drzewo.

Jego pierś ociera się o moją, a on góruje nade mną.

– Jak masz na imię?

Wstrzymuję oddech z obawy, że jeśli zaciągnę się jego zapachem, jego jad przeniknie na stałe do moich kości. Przysuwa dłoń do mojej brody i unosi ją, tak bym na niego spojrzała. King nie musi domagać się od nikogo odpowiedzi. Samą swoją prezencją potrafi obezwładnić innych.

– Dove – odpowiadam, przełykając uczucie lęku.

Ściąga mi chustę z ust i powoli wsuwa kciuk między moje wargi. Zaczynam ssać, wciągając go głębiej. Dopiero kiedy na moje kubki smakowe pada silny posmak metalu, cofam się i odpycham od siebie jego rękę.

– Uch, co to jest?

– Jak masz na imię? – powtarza. Jednocześnie napiera kolanem na moje złączone nogi, które rozchylają się pod jego naciskiem.

– Dove! – krzyczę. Wierzchem ręki ocieram usta z tego czegoś. Oby to nie była krew. – Co ty masz na dłoni, King?

Nachyla się do mnie i przejeżdża językiem po moich ustach.

– Moją zemstę.

Całuje mnie, ale w tym samym momencie zjawia się Killian wlokący za sobą Mayę. Spoglądam na jej nadgarstki. Są związane jego bandaną.

– Killian!

Wzrusza tylko ramionami, a Maya przewraca obojętnie oczami.

Killian rzuca spojrzenie Kingowi.

– Gotowy?

Ten łapie mnie za rękę i rusza, ciągnąc mnie za sobą.

– Spotkamy się przy kamperze.

Idę za nim w milczeniu, podczas gdy Killian z Mayą znikają w oddali.

– Powiesz mi, czy to była krew?

– A ma to znaczenie? – Przyspiesza, chowając swoją bandaną do tylnej kieszeni jeansów.

– Czy ty kiedykolwiek nosisz koszulki? I tak, bo włożyłeś mi kciuk umazany tym czymś do ust.

Nie odpowiada, na co łapię go za rękę. Mam wrażenie, jakby przeskoczyła między nami iskra. Odwraca się, przygważdżając mnie w miejscu spojrzeniem.

– Co, Dove?

Nagle atmosfera między nami gęstnieje, a mój oddech robi się cięższy.

– Dlaczego najpierw mnie dotykasz, a potem traktujesz z nienawiścią? – Brzmi to dość dziecinnie, ale przynajmniej tego chciałabym się dowiedzieć. Nawet bardziej niż tego, czyją krew właśnie miałam w ustach.

Łapie mnie za kark i przyciąga do siebie. Przywiera ustami do moich warg. Otwieram się, pragnąc więcej. Niech napełni mnie paliwem, którego tak desperacko potrzebuję. Sam pocałunek mi nie wystarczy, bo za każdym razem, gdy odrywa się od moich ust, czuję się tylko bardziej spragniona.

Odsuwa się, ale napiera swoim czołem na moje.

– Nie wiem, kurwa. – Po tych słowach odpycha mnie i znika za jednym z kamperów.

– Dove! – Podbiega do mnie Rose z drinkiem w ręku.

Wciąż czuję się dezorientowana tym, co powiedział King. Nawet nie zauważyłam, że Rose do mnie mówi.

– Masz! – Podaje mi kubek. – King cię dopadł?

Wypijam wszystko na raz, po czym ocieram usta.

– Tak.

– Jesteś ostrożna? – pyta, biorąc mnie pod rękę. Prowadzi mnie do ich kampera, gdzie pozostali raczą się alkoholem.

– Jak tylko potrafię. – Od razu podchodzę do lodówki, którą wystawili na zewnątrz, i wyciągam z niej butelkę wina. Następnie siadam na jednym z krzesełek. Tłum się nieco przerzedził. Widzę, że nie ma Val. Spoglądam na Mayę siedzącą obok Killiana. Otwieram butelkę i biorę długi łyk, nie odrywając od niego wzroku.

– Co jest z wami? – pytam, wskazując na nich butelką.

Maya rzuca mi spojrzenie, jakbym naruszyła jej przestrzeń osobistą i powinnam przeprosić. Muszę przyznać, że trudno ją rozczytać, ale mam wrażenie, jakby ona względnie mnie tolerowała. Obym tego nie zepsuła swoim następnym pytaniem.

– Sypiacie ze sobą?

Killian zamiera, spoglądając na mnie.

– Nie, Ptaszynko, nie sypiamy. Może martw się o to, kogo zastaniesz dziś w swoim łóżku. Albo pod nim. – Jego spojrzenie

pochmurnieje. Milczymy tak przez kilka sekund. Kątem oka zauważam, że wracają kolejni odnalezieni.

Biorę kolejny łyk wina.

– Słuchaj – odzywa się Rose, nachylając się do mnie. – Znalazłam to w naszym kamperze. Być może ma to coś wspólnego z tobą, ale nie wiem, czy rzeczywiście cokolwiek znaczy. To gołąb. – Czuję jej rękę wsuwającą się pod moje szorty i umieszczającą mi jakby kawałek papieru pod bielizną. – Obejrzyj, jak będziesz sama. Podejrzewam, że nie miałam tego znaleźć. Jeśli wiesz, co mam na myśli.

Wzruszam ramionami.

– Nic nie rozumiem.

– O czym mówisz? – pyta Rose, zabierając mi butelkę, by samej się napić.

Patrzę na nią, a ciepło ogniska grzeje mój prawy policzek.

– O Kingstona.

Zerka na mnie i powoli stawia sobie butelkę na kolanach.

– Nie dziwię ci się. Wystarczy spojrzeć, jak się przy tobie zachowuje. Maya powiedziała, że nigdy taki nie był. Przy żadnej dziewczynie.

– Sama nie wiem – odpowiadam, zabierając od niej wino. Popijam, choć prawdopodobnie nie powinnam, bo wypiałam już dość na dzisiaj. Biorę głęboki wdech, po czym wypuszczam powietrze z płuc. Słodki posmak alkoholu łaskocze mnie w gardło. – Mam wrażenie, jakby chodziło mu o kogoś innego. Co najmniej o jakąś przyjaciółkę.

Rose kładzie mi dłoń na udzie. Natychmiast spoglądam jej w oczy.

– Pieprzyłaś się z nim?

– Co? – Powinnam być oburzona jej bezpośredniością, ale zamiast tego wybucham śmiechem i biorę kolejny łyk. – Nie. To nie to. To znaczy doprowadził mnie do orgazmu, ale nie pieprzyliśmy się.

Wzrusza ramionami.

– Chodzi mi o to, że trudno byłoby temu zapobiec.

Wzdycham, opadając plecami na oparcie krzesła. Wiem, co chce przez to powiedzieć. Ale miałam już do czynienia z wieloma przystojniakami, więc zdążyłam wyrobić sobie pewną odporność. Bardziej interesuje mnie to, jak się czuję przy danej osobie, a nie to, jak ktoś wygląda.

Tak czy inaczej przegrywam tę bitwę z Kingiem, bo przez większość czasu wywołuje we mnie podniecenie. Lub gniew. Albo połączenie jednego z drugim.

Siedzimy tak w milczeniu przez jakiś czas. Obserwując, co się dzieje dookoła, stwierdzam, że są już chyba wszyscy oprócz Jacka. Od alkoholu kręci mi się w głowie, ale czuję się dobrze. Jest mi ciepło i miło. Z głośników leci *Company Tinashe*'y. Kołyszę się na boki, a tańcząca ze skrzętem w ustach Maya zaprasza mnie gestem, bym do niej dołączyła. Co też robię, roześmiana. Muzyka jest odurzająca – chyba już wiem, do czego zatańczę podczas następnego pokazu. Odpowiadam ruchem ciała na każdy bit. W końcu Rose dołącza do nas, podczas gdy Maya zaczyna śpiewać.

Podczas obrotu dostrzegam Kinga znów siedzącego na swoim krześle. Nogi ma szeroko rozchylone i przesuwając palcem po górnej wardze. Nie mogę oderwać od niego wzroku.

Wyciąga się jak długi, by chwycić mnie za rękę. Następnie przyciąga mnie do siebie, sadzając sobie na kolanach i kontynuując rozmowę z Keatonem.

Bycie tak blisko niego działa na mnie kojąco i jednocześnie przerażająco. To mieszanka, której nikt nie powinien nigdy doświadczać.

Kładzie mi na brzuchu dłoń i rozszerza palce, by trzymać mnie pewniej. Znudzona i nieco już wstawiona spoglądam w bok, by zobaczyć, kto tam siedzi. Spodziewałam się Killiana, ale zastaję Delilę.

– Delila. – Kiwam do niej głową z delikatnym uśmiechem.

Poza półuśmiechem na ustach jej twarz nie zdradza żadnych emocji.

– Ptaszynko, chyba wygodnie ci na kolanach Kinga.

Prycham, ale natychmiast chcę się skarcić za tę reakcję. Robię się strasznie głupia po pijaku.

– Mam pomysł – mamroczę, przyglądając się jej. To prawda, mam, ale wpadłam na niego dwie sekundy przed tym, jak znalazłam się na kolanach Kinga.

Macha rękami, po czym unosi kubek do ust.

– No to mów.

Poprawiam się i odpowiadam:

– Dobra.

Czuję dłoń zaciskającą się na moim biodrze. Dotyk wywołuje falę impulsów elektrycznych przepływającą przez moje mięśnie i kończyny. Kiedy już mam coś powiedzieć, usta Kinga lądują na moim uchu.

– Porusz się tak jeszcze raz, a wyrucham cię, jak tu siedzę. I nie myśl sobie, że ktokolwiek poczułby się speszony: widzieli to i robili już nieraz. Lepiej mnie nie prowokuj, kiedy siedzisz dupą na moim kutasie. – Odsuwa się i wraca do rozmowy z Keatonem, nie dając mi szansy na odpowiedź.

Zarumieniona spoglądam z powrotem na Delilę, śmiejącą się zza swojego drinka.

– To dopiero – mamrocze, zerkając najpierw na Kinga, a potem na moje ramię. – Zanim jednak opowiesz mi o swoim pomysle... – Macha do kogoś ręką, więc odwracam się, by zobaczyć, co się dzieje.

W tej chwili zjawia się sześciu mężczyzn. Nie wiem, skąd przyszli, ponieważ wszystko jest już lekko zamglone. Zauważam jednak, że towarzyszy im siedem dziewczyn. Same blondynki, nieco starsze od nas. Na pewno po trzydziestce. Mężczyźni są interesujący. Jeden ma długie włosy i brodę, a inny ogoloną głowę i długą brodę. Gdybym miała wybierać, który z nich jest atrakcyjniejszy, wybrałabym długowłosego. Każdy z nich jest intrygujący na swój sposób, ale nie tak wyraźnie seksowny jak Bracia.

– Oto Sześć i Siedem – rozlega się głos Delili, podczas gdy tamci rozsiadają się na krzesłkach. – To jeden z naszych pokazów. W skrócie: Sześć Demonów Piekieł i Siedem Aniołów Boga.

Odrywam od nich wzrok i spoglądam na Delilę.

– Jak to możliwe, że jeszcze ich nie widziałam?

Ta chichocze pod nosem, zapalając papierosa. Rozsiada się wygodnie na krześle i mówi:

– Bo po pierwsze, jesteś z nami od niedawna, a po drugie, poza pokazami trzymają się raczej w cieniu. Są z nami od dawna, a mimo to ludzie wciąż przyjeżdżają z daleka i płacą, żeby ich zobaczyć.

– A na czym polega ich pokaz? – pytam, szczerze zaciekawiona. Wędruję bezwiednie wzrokiem ku temu przystojniejszemu. – Tak z ciekawości.

Delila wyjmuje papierosa z ust i strzepuje popiół na ziemię.

– Głównie na seksie. No bo co takiego może się dziać, kiedy demony napotykają anioły? – Spogląda najpierw na mnie, a potem na Kinga. – Co się dzieje, kiedy niewinność zderza się z zepsuciem?

Oblizuję wargi.

– Czyli co, uprawiają seks na oczach publiczności?

Delila chyba nieźle się bawi z pijaną mną, bo znów chichocze.

– Tak, Ptaszynko. Ale każdy występ jest inny. To coś jak pornografia na żywo.

– Czy przypadkiem nie na tym polega pokaz finałowy? – pytam, nie mogąc się opanować.

Delila mruży oczy.

– Nie. Pokaz finałowy to domena Braci. Oni decydują, co to będzie. Muszę cię jednak ostrzec, tutaj każdy był już z każdym. – Zerka na Kingstona, po czym znowu wybucha cichym śmiechem. – No, prawie każdy.

Ramiona mi opadają i podnoszę odruchowo rękę na brzuch.

– A wracając do tematu: o czym chciałaś mi powiedzieć? – pyta. – Zanim pójdę.

Zastanawiam się, w jaki sposób przedstawić jej propozycję mojego własnego pokazu – takiego, w którym mogłabym zaoferować tej szurniętej ekipie coś innego – skoro właśnie powiedziała mi, że mają grupę świetnie wyglądających ludzi, którzy raczą publiczność diabelsko-anielskim przedstawieniem porno.

Chyba muszę się napić wody.

– Porozmawiamy o tym jutro.

Wyrzuca papierosa i wzrusza ramionami.

– O ile nie będę zbyt zajęta. Dobranoc, Ptaszynko. Nie zrób sobie dziś krzywdy. – Odchodzi, ciągnąc za sobą echo swojego rechotu.

Nagle palce Kinga wbijają się w skórę moich bioder, aż nie jestem w stanie myśleć o niczym innym. Odwraca mnie do siebie, tak abym go dosiadła. Szuka wzrokiem moich oczu.

– Podoba ci się to, co widzisz?

– Trochę. – Mam na myśli jego, ale jemu chodziło chyba o coś innego. Naprawdę przydałaby mi się szklanka wody. Albo dziesięć.

Przymyka powieki i od razu wiem, że zrobiłam coś nie tak.

Wstaje z krzesła, po czym zarzuca mnie sobie na ramię do góry nogami. Pospiesznie przykładam dłoń do ust, żeby nie krzyknąć.

Przed oczami mam jego zniszczone jeansy Dolce & Gabbana, które seksownie opinają mu tyłek. Lampy słoneczne wyznaczające ścieżkę powoli znikają z każdym jego krokiem.

– To naprawdę nie jest konieczne, King. Mogę iść.

Zatrzymuje się przed naszym kamperem i otwiera drzwi. Wnosi mnie do środka, ale zabiera mnie na górę, do siebie. Nie daje mi przy tym nawet sekundy, by przyjrzeć się jego królestwu, bo natychmiast rzuca mnie na łóżko. Nic nie widzę przez moje zmierzwiłe włosy i jestem pewna, że makijaż całkiem mi się już rozmazał. Jednak dzięki spożytej wcześniej miksturze odwagi czuję się jak dziesiątka. No dobra, może szóstka.

Wody.

– Co się dzieje, King?

Rozpina pasek i odpina guzik spodni. Jego włosy opadają mu w nieładzie, a opalone policzki nieco się rumienią. To pewnie od tego dźwigania. Kiedy jednak spoglądam na jego mięśnie, dociera do mnie, że to coś innego. Jest w zbyt dobrej formie, by zmęczyć się czymś takim. Wyciągam rękę, wyprzedzając własny rozsądek, i dotykam palcami róży nad jego biodrem.

Natychmiast jednak powstrzymuje mnie przed tym, odpychając moją rękę, i chwytając za brodę, unosząc tak, bym na niego spojrziała.

– Nie.

– To co w końcu robimy? – powtarzam i oblizuję wargi.

Zawiesza wzrok na moich ustach, po czym odwraca się, szarpiąc się za włosy. Chwilę później znów na mnie spogląda z jakąś dzikością w oczach.

– Za chuja nie wiem, Dove. Nie mam już pojęcia. Ty, ty jesteś...

Moją uwagę przykuwają czerwone strużki na jego nadgarstku. Dopadam pospiesznie do niego, łapiąc go za rękę, zanim zdąży ją odsunąć.

– Krew.

Wrywa mi się, na co on w mgnieniu oka przywiera ustami do moich warg. Pcha mnie z powrotem na łóżko, układając się na mnie. Nie obchodzi mnie już, co robimy, bo cokolwiek to jest – czuję się z tym dobrze. Przynajmniej w tej chwili.

Rozchyłam nogi, na co on zapada się we mnie, przechylając głowę na bok, by wygodniej sięgać moich ust. Jest ciężki. Czuję jego oddech

na moim obojczyku. Wszystko to wywołuje nawałnicę motyli w moim brzuchu. Przypomina mi się ta piosenka Halsey, mówiąca o sygnałach ostrzegawczych mylonych właśnie z motylkami w brzuchu. Od razu jednak o niej zapominam, gdy tylko King zaczyna się o mnie ocierać. Choć cała się kleję, bo jestem spocona od tego upału i biegania po lesie, alkohol i napięcie seksualne panujące między nami od tak dawna biorą górę.

Moje biodra unoszą się, by wyjść mu naprzeciw. Ocieram się o wybrzuszenie w jego spodniach.

Warczy na to doznanie, aż czuję wargami vibracje jego ust, a te mikrowstrząsy elektryzującą falą wnikają w moje wnętrze. Chwytam jego spodnie i zsuwam mu je na tyle, by móc przejechać paznokciami po jego pośladkach. Przygryza mi wargę tak mocno, że znów czuję ten znajomy posmak krwi.

– Chcesz tego? – pyta, choć jego ręce są już zaciśnięte na mojej koszulce. – Odezwij się teraz albo zamilcz na wieki, Ptaszynko.

Robię to, co zrobiłaby każda dziewczyna z Kingstonem Axtonem leżącym na niej i pragnącym ją pożreć.

Milczę.

Na to rozrywa koszulkę i nakrywa dłonią moją pierś. Schodzi na nią ustami, po czym zasysa sutek. Ogarnia mnie ciepło oraz uczucie mrowienia.

Wydaję z siebie jęk, przywierając mocniej do niego piersią. Pragnę więcej. Potrzebuję więcej. Czegóż więcej. Sięgam na dół, by rozpiąć spodenki, po czym zsuwam je z siebie i skopuję na podłogę.

King zamiera. Jego pierś wyraźnie faluje, poruszana ciężkimi oddechami. Powoli schodzi z łóżka, nie odrywając jednak wzroku od mojego ciała. Wreszcie staje w miejscu, w którym to wszystko zaczął.

Wciąga dolną wargę do ust i wsuwa rękę pod jeansy. Wypukłość, którą zauważyłam wcześniej w jego kroku, powiększa się dwukrotnie, kiedy zaczyna powoli sunąć ręką w górę i w dół.

– Dotknij się.

– Co? – szepczę. Nie chcę się dotykać. – Dlaczego? Ty mnie dotykaj.

Napina mięśnie szczęki.

– Bo nie mogę cię mieć. Chcę więc popatrzeć, jak ty robisz to sama ze sobą.

Zsuwa spodnie, uwalniając swojego sterczącego kutasa. Ślinię się na jego widok. Napięta skóra okalająca grube prącie. Ma kolczyk w koronie żołądki, który przebiega od szczytu do spodu. *Jak mogłam to wcześniej przegapić?*

– Boże... – Moje plecy unoszą się wygięte w łuk, jak u wygłodniałego szaleńca.

– Dotknij się, Dovey. Pokaż mi, jak się bawisz, kiedy jesteś sama.

Przygryzam dolną wargę. Wyteżam wzrok, widząc, jak zaczyna sobie powoli trzepać. Co za traumatyzujący widok: jakbym miała przed sobą wszystko, czego kiedykolwiek pragnęłam, ale jednocześnie powiedziano mi, że nie mogę tego mieć.

Zamiast robić to, co zazwyczaj – czyli zadawać zbyt dużo pytań – poddaję się chwili. Wędruję dłonią najpierw na sutki, by po chwili przesunąć ją na swój napięty brzuch. Moja skóra jest śliska od naszych płynów ustrojowych. Kiedy natrafiam na nieco bardziej mokre miejsce tuż pod moim pępkiem, unoszę się na jednym łokciu, by na nie spojrzeć. Zauważam na nim smugę krwi.

King rzuca mi ogniste spojrzenie. Z wyrazem bóleści w oczach patrzy, jak rozcieram ją kciukiem, który następnie wkładam sobie do ust, by zlizać posokę, wykonując wymowny ruch wargami. Przychodzi mi to z łatwością – w końcu usta to jeden z moich największych atutów.

Widzę, jak stojący przede mną mężczyzna emanuje dzikością, wydając z siebie głębokie warknięcia. Atmosfera między nami robi się coraz gorętsza i od razu wiem, że trąciłam w nim jakąś mroczną strunę, budząc coś nieokiełznanego i gwałtownego. Nie dbam o to. Chcę tego. *Pragnę go całego.* Przesuwam rękę niżej, aż wreszcie trafiam dłonią do celu. Powolutku zanurzam w sobie palec wskazujący, obracając rękę tak, aby miał jak najlepszy widok. Zaczynam też krążyć kciukiem po łechtaczce, na co on ściska główkę swojego kutasa.

– King – szepczę, pragnąc go w sobie. – Potrzebuję cię.

– Kurwa – wzdycha i zatrzymuje się. Nachyla się, łapie moją dłoń i przyciąga ją sobie do ust, po czym ssie moje palce.

– Dokończ to, co robisz – mówi, po czym podciąga spodnie i odwraca się, zostawiając mnie leżącą na jego cholernym łóżku,

niezaspokojoną i rozdrażnioną. Zatrzymuje się jeszcze w drzwiach, by powiedzieć: – Zostań tu na noc.

Zatrzaszkuje drzwi, a ja wykorzystuję okazję, by rozejrzeć się po jego pokoju. Jestem zdenerwowana, przez co dość chaotycznie wiodę wzrokiem po całym pomieszczeniu: obskurne ścianki, jedno duże okno, łóżko *królewskich* rozmiarów, kilka szafek i duży telewizor.

To wszystko. Wystrój jest prosty, ale męski. Z jego bawełnianej pościeli unosi się natomiast ten oszałamiający zapach skóry, przypraw i miodu.

Przechodzę do przeciwległego kąta pomieszczenia, zakładając na siebie pierwszą lepszą koszulkę, którą znajduję na podłodze. Z zaciśniętą gniewnie na framudze drzwi dłonią zastanawiam się, czy tu zostać, czy może wrócić do siebie. Moja frustracja dochodzi jednak do głosu, więc gaszę światło i ukradkiem wracam do mojej klitki. Orientuję się, że w kamperze nie ma nikogo więcej, ale w tej chwili mnie to nie obchodzi. Chcę już tylko się położyć i zasnąć. Wciąż czuję na sobie zapach Kinga. Kiedy padam twarzą na poduszkę, uświadamiam sobie, że kładę się w jego koszulce. Zamykam jednak oczy i zapadam w sen.

Rozdział 23

Dove

Budzę się następnego ranka. Czuję się o wiele lepiej, niż na to zasługuję. Ziewam, rozkładając szeroko ramiona, a po pulsowaniu między nogami orientuję się, że wczorajsze podniecenie wcale mi nie minęło. Wręcz przeciwnie. W dodatku, co pogarsza tylko sprawę, dobrze pamiętam wydarzenia zeszłej nocy. Wolałabym zapomnieć o tym, jak zostawił mnie w połowie drogi – chętną, gotową i zabawiającą się z samą sobą na jego łóżku.

Wlokę się do kuchni, gdzie zastaję pijącego już kawę Killiana z fryzurą w całkowitym nieładzie.

– Dobrze się wczoraj bawiłeś? – drażnię się z nim, przecierając oczy.

– Najwyraźniej nie tak dobrze jak ty. – Patrzy na mnie zza kubka z uśmiechem na twarzy.

– Mogło być lepiej – mamroczę. Nalewam sobie czarnej jawańskiej kawy, po czym siadam na jednym z krzeseł. Dmucham na gorący płyn i jednocześnie napawam się ciepłem pary muskającym mnie w czubek nosa.

– Gotowa na dzisiejszą noc? – pyta Keaton, który dołącza do nas i siada obok mnie.

– Tak i nie – odpowiadam szczerze. Biorę pierwszy łyk, na co moje mięśnie natychmiast się rozluźniają.

– Poradzisz sobie – zapewnia mnie ciepło, rozmasowując mi kark, po czym wychodzi na zewnątrz.

– Dziwnie jest widzieć go, jak zachowuje się po ludzku wobec kogoś, kto nie jest nim samym albo jednym z nas.

– Co masz na myśli? – odwracam się do Killiana.

– No, przecież to... Keaton. – Wtem spogląda na moją koszulkę, a potem na mnie. Początkowo na jego twarzy maluje się wyraz

zaskoczenia, ale szybko ustępuje nikczemnemu uśmieszkowi. – Ależ z was dziwołagi.

Zerkam w dół. No tak, mam na sobie koszulkę Kinga z wczoraj. Jest rozerwana w kilku miejscach, ale mimo wszystko czuć, że to materiał dobrej jakości. A zatem przyczyną tych zniszczeń jest próżność, a nie ząb czasu.

Wstaję, wydając z siebie warknięcie, i dopijam kawę.

– Nawet nie zaczynaj, proszę.

Kiedy zawiesza wzrok na czymś za mną, poważnieje. Napina mięśnie szczęki i zaciska mocniej dłoń na kubku. Powoli odwracam się, żeby zobaczyć, co go tak speszyło, ale powstrzymuje mnie ręką. Odpycham go i zerkam w tył: dostrzegam schodzącą na dół Val z pyszałkowatym uśmieszkiem na twarzy.

– Serio... – Kręcę głową, tłumiąc w sobie chęć rzucenia się na nią i wydrapania jej oczu.

Wzrusza ramionami.

– Próbowалам cię ostrzec, Ptaszynko. Ty grzejesz ławę, a mnie zdobywa się jak trofeum. – Wychodzi i zatrzaskuje za sobą drzwi.

– Nienawidzę jej – oznajmiam na głos.

Killian obejmuje mnie w talii i przyciąga do swojej piersi. Jego usta muskają moje ucho, podczas gdy myślami cały czas jestem na górze. W tym cholernym łóżku, w którym jeszcze niedawno leżałam. Gdzie mnie porzucił i jeszcze tej samej, kurwa, nocy zastąpił mnie Val.

– Nie bierz tego do siebie, Ptaszynko. Na tym świecie seks to broń, a my nie mamy żadnych oporów przed tym, by jej użyć.

Przechyliłam głowę, żeby dać mu lepszy dostęp. Postąpiłam lekkomyślnie i zostałam zraniona.

– Zostawił mnie.

– Mhm – mruczy Killian, nachylając się tuż nad tym delikatnym miejscem między barkiem a szyją.

– Nagą.

Zamiera.

– W momencie gdy trzymałam już w sobie palec.

Killian rozchyła palce dłoni na moim brzuchu i powoli zjeżdża nią niżej. Zamykam oczy, rozważając, czy z nim tego nie zrobić. W końcu jestem napalona i niezaspokojona – dzięki Kingstonowi. Widocznie, w odróżnieniu od Val, nie byłam godna penisa jaśnie pana.

Killian wędruje dłonią na moją kość biodrową.

– Pokażesz mi, co robiłaś? Obiecuję wyruchać cię tak mocno, jak on cię nienawidzi.

Z góry dobiega trzask drzwi i nagle wyskakuję z objęć Killiana. Po czym natychmiast tego żałuję. Zarumieniona z zażenowania wracam pędem do siebie, żeby się przebrać. Muszę jakoś spożytkować tę rozpierającą mnie energię. A skoro nie mogę tego zrobić poprzez seks – to zrobię to poprzez taniec.

Zakładam odpowiednie ciuchy – spodnie do jogi i stanik sportowy – i idę do namiotu, przeklinając pod nosem.

Potrzebuję seksu. Nigdy wcześniej nie czułam się tak napalona, mimo że przecież nie mogłam narzekać na powodzenie. Miałam swoich regularnych partnerów. To znaczy dwóch: Richarda i Olliego. Z Olliem miałam mały kłopot, bo zawsze chciał czegoś więcej pod względem uczuć, a ja nie byłam w stanie mu tego dać. Dlatego też nie był moim pierwszym wyborem. Był nim Richard. W jakiś sposób potrafiliśmy sprawić, by seks nie zakłócał nam równowagi między życiem osobistym a pracą. Może to dlatego, że spotykaliśmy się, jeszcze zanim przejął bar. A może po prostu byliśmy ze sobą kompatybilni w łóżku – co należałoby rozumieć jako: nudni. Wystarczyło to jednak, żeby obie strony były zadowolone. Coś jak drapanie swędzącego miejsca akryłami. Niby spoko, ale wiesz, że o wiele lepiej byłoby to zrobić naturalnymi paznokciami.

– Dzień dobry, Ptaszynko. Jak ci minęła noc? – pyta Delila, dołączając do mnie w momencie, gdy wchodzę do namiotu.

Ignoruję jej gadkę i zadaję pytanie, które chciałam zadać od początku.

– Dlaczego nie macie karuzel?

– Z prostego powodu: kogo przyciągają karuzele?

Natychmiast to do mnie dociera. Aż robi mi się głupio.

Kretynka.

– Racja.

Siadam na środku sceny i zaczynam rozgrzewkę.

– O co chciałaś mnie zapytać zeszłej nocy?

– Wolałabyś, abym zapytała czy ci to pokazała?

Na jej twarzy pojawia się uśmiech. Zapala papierosa, którego przez cały czas trzymała w ustach.

– Wiesz, że lubię dobre widowisko, Dovey. Zapomniałaś?

Fakt. Nie wiem jednak, jak jej to pokazać, bo nie mam jeszcze całego planu. Stwierdziłam, że podoba mi się życie w trasie z Midnight Mayhem, choć wciąż nie rozumiem ich procesu pozyskiwania artystów. Wcześniej nie wiodło mi się zbyt bajecznie. Aczkolwiek jedno muszę zauważyć: od momentu, gdy się tu znalazłam, Cień zniknął. Nie pojawił się ani w klubie, ani na parkingu. Nie nawiedza mnie też, gdy wieczorem zamykam oczy, kładąc się do snu. Nie sączy mi też do ucha swoich jadowitych słówek, kiedy siedzę w milczeniu.

Jakby wraz z jego zniknięciem zrobiło się cicho. Zbyt cicho.

Kiedy jestem już rozgrzana, wchodzę za główną kurtynę i staję przy całym sprzęcie wykorzystywanym w pokazach: potrójnym kole śmierci, klatce, motorach, drążkach, rampach. Oprócz tego jest tu cała masa rekwizytów, a wokół – niczym pszczoły – uwijają się zastępy pracowników. Nie chciałabym tu być podczas pokazów. Na pewno mają tu wtedy urwanie głowy.

– Wygląda na to, że przetrwałaś wczorajszą noc, D? – Podchodzi do mnie Maya z wielkimi okularami przeciwsłonecznymi, w czapce Adidasa, wysoko podciągniętych spodniach od kombinezonu i luźnej koszuli fluro w kolorze różowym, wyglądającej na o rozmiar za dużą. W jednej ręce trzyma kawę, a w drugiej skręta.

– Wszystko dobrze. A u ciebie? – pytam, mierząc ją wzrokiem od dołu do góry.

– Co mi się tak przyglądasz, uparciuchu? Robię to, na co mam ochotę. – Odwraca się i znika za kurtyną.

To nasze spotkanie przypomina mi, że muszę jeszcze zobaczyć się z Kingiem. Wczorajsza noc, Val wychodząca dziś z jego przedziału, fakt, że coraz bardziej mi się tu podoba – to wszystko tylko coraz bardziej mnie nakręca, by przekonać Delilę do mojego pomysłu. Jak się okazuje, nie zawsze jest niemiła i nawet potrafi być przystępna. Nie ma w tym jednak żadnej reguły: w jednej chwili cała promienieje, by w następnej zamienić się w chmurę burzową. Przynajmniej tyle zdążyłam zauważyć podczas mojego krótkiego pobytu w tym miejscu.

W każdym razie trudno za nią nadążyć.

Wtem dostrzegam kątem oka jakiś ruch. Kieruję tam wzrok i moim oczom ukazuje się King. Serce podchodzi mi do gardła, kiedy się orientuję, że on też na mnie patrzy. Podchodzi coraz bliżej i bliżej. Gdy jest już tuż przede mną i spodziewam się nawiązania jakiejś rozmowy, przechodzi obok, jakby w ogóle mnie tu nie było.

Jakbym nie istniała.

Wydawało mi się, że bycie w centrum uwagi Kingstona Axtona to najgorsze uczucie na świecie, ale myliłam się. O wiele gorsza jest jego obojętność. Zwłaszcza teraz, kiedy już widział mnie nagą.

Zaciskam powieki i liczę w myślach do pięciu.

Jeden.

Dwa.

Trzy.

Cztery.

Pięć.

Następnie odwracam się i wracam na scenę, ponieważ wiem, że nie mogę zlekceważyć pracy, którą mam tu do wykonania.

Jak na ironię owe pięć sekund wystarczyło mi, aby zebrać się w sobie, choć chwilę wcześniej również w ciągu pięciu sekund straciłam cały zapal. Co stało się dokładnie w momencie, gdy szłam na scenę i przykucnęłam za jednym z krzeseł.

– Dove? – woła Keaton wchodzący do namiotu. – Będziemy ćwiczyć Potrójne Koło Śmierci. W porządku?

Przełykam ślinę.

– Tak. – Nienawidzę Koła. Chciałabym, abyśmy poćwiczyli coś innego, ale natychmiast dociera do mnie, że tak naprawdę to nie ma żadnego znaczenia, czego ja pragnę, bo przecież King chce, żebym umarła.

– Twój pokaz jest już gotowy, Dove? – pyta Delila, patrząc na mnie z nawy.

Potakuję skinieniem głowy.

– Tak. Tak myślę. Gotowy, na ile się da. Ale będę potrzebowała kilku rzeczy.

Przywołuje mnie skinieniem palca, więc idę do niej, powtarzając sobie w myślach listę potrzebnych mi rzeczy. Nic wielkiego: kilka butelek wina i taca kelnerska. Nie mam pojęcia, jak przedstawić jej

pomysł tego, że oprócz własnego pokazu chciałabym też zrekrutować kilka osób, które by do mnie dołączyły.

– Dove! – warczy King gdzieś za mną, a po chwili rozlega się donośny ryk jego motocykla wypełniający całą przestrzeń.

Odwracam się, doskonale wiedząc, jak niezręczne i irytujące to będzie.

– Załatwię ci twoje rekwizyty, Ptaszynko! – wrzeszczy Delila, przekrzykując motory. Zerka na Kinga i na mnie. – Powodzenia.

Wchodzę do koła i siadam na huśtawce, po czym za mną wjeżdża King. Zaczyna balansować maszyną tak, aby wprowadzić całość w ruch. Kiedy jesteśmy już częściowo w powietrzu, Killian podjeżdża swoim motocyklem do kolejnego koła. Czekają jeszcze na Mayę, więc przez kilka sekund jestem tylko ja, on i jego motor. Bycie tak zawieszonym w powietrzu sprawia, że chwila wydaje się wiecznością.

Mam ochotę na niego nawrzeszczyć.

Zapytać, co – do cholery – robiła u niego Val.

Co miał na myśli, mówiąc, że nie może mnie mieć.

I że coś mu odebrałam.

Chcę wiedzieć to wszystko, ale moje usta pozostają zamknięte, a słowa tkwią w gardle bez jakiegokolwiek zamiaru wydostania się na zewnątrz.

Znów zaczyna balansować, wskutek czego unosimy się wyżej. Robię wszystko tak, jak poprzednio. Ponownie zawieszam wzrok na asie pik. Wychodzę mentalnie z koła, cały czas mimo wszystko będąc świadomą, co dzieje się wokół mnie. Kiedy wracamy na ziemię, pospiesznie opuszczam koło i czekam na dalsze instrukcje. Obserwuję Keatona wykonującego jeszcze sztuczki motocyklowe na okręgach i łączących je ramach.

Wow.

Wkrótce potem pozostali też zjeżdżają z Koła Śmierci, a następnie ustawiają motocykle na drugim końcu namiotu, który – jak się zastanowić – jest chyba pięć albo sześć razy większy od zwykłego namiotu cyrkowego. Dach opiera się na czterech masztach i jest tak wysoko, że przypomina nocne niebo przez te neonowe światełka zwisające z każdego szwu pokrycia i mieniące się bielą i kolorem liliowym.

– Myślę, że nie musicie ćwiczyć niczego więcej – zapewnia Delila.
– Rzucanie nożami już znasz, podobnie jak telekinetyczne sztuczki i iluzje Braci.

– Wiem, jak rzuca nożami Killian. Bo tylko on się tym zajmuje, prawda? – domagam się doprecyzowania.

Delila milknie, spoglądając na mnie i na Keatona, który stoi teraz za mną.

– Powiedz mi, że ona żartuje. Żartuje, prawda? – dopytuje kobieta. Na jego twarzy maluje się uśmiešek.

– Żartuje.

Delila pośpiesznie oddala się, by zająć się swoimi sprawami, a ja odwracam się do Keatona.

– Czekał, czyli wszyscy macie zdolność telekinezy? Myślałam, że to mit.

Przechyla głowę ze zmrużonymi oczami.

– Z mitami jest tak, Ptaszynko, że zazwyczaj są prawdziwe, ale ludzie wolą używać słowa „mit”, żeby nie musieć zmagać się z tą prawdą.

Znika, zostawiając mnie pośrodku sceny, bym mogła pomyśleć o tym, czego właśnie się dowiedziałam. Delila założyła, że jestem zaznajomiona ze zdolnościami Braci, ale do tej pory wydawało mi się, że tylko Killian je posiada.

– Ona nie może tu teraz być, Amber. Nie teraz. – Głos mojego ojca niósł się pustym korytarzem i wpadał do pokoju spod zamkniętych drzwi.

– Jak to? – Z kolei ton mojej mamy był nieco ściszony, ale nie zdradzał zdenerwowania. – Przecież musimy to dla niej zrobić. Tylko w ten sposób ocalimy to, co jej zostało.

Mama zamilkła. Co było bardzo wymowne, ponieważ zawsze miała coś do powiedzenia.

– Co zrobiłam nie tak?

Tym razem to ojciec milczał przez chwilę, po czym warknął cicho:

– Wszystko.

Potrząsam głową, żeby wyrwać się z zamyślenia, zdezorientowana wspomnieniem, które pojawiło się tak nagle w moim umyśle.

– Wszystko w porządku? – pyta Killian, patrząc mi w oczy.

Wciąż stoję na środku sceny. Czuję, jak łyzy szczypią mnie pod powiekami. Chciałabym móc sięgnąć ręką do swojej pamięci, chwycić wszystko, co straciłam, i przypomnieć sobie każdy szczegół.

– Tak – odpowiadam uśmiechnięta. – W porządku.

– Na pewno? – dopytuje.

Nie wiem, jakiej odpowiedzi oczekuje: twierdzącej czy przeczącej.

– Na pewno. To tylko wspomnienie. Nie wiem, co je wywołało.

Killian prostuje się, przeciągając językiem po dolnej wardze.

– Może zapach? Podobno pewne zapachy mogą wydobyć nawet najgłębiej zakopane w umyśle wspomnienia.

– Hmm. – Uśmiecham się ponuro. – Może.

Znów jestem ubrana w czarne skórzane szorty i top. Wiem już, że to mój strój na pokaz z motorami i rzucanie nożami. Przydałoby się jeszcze ukończyć cały program bez jakichś dziwnych zdarzeń, jakich doświadczyłam ostatnio.

Mam nadzieję, że właśnie dziś będzie inaczej. Tutaj, podczas naszego pierwszego widowiska w Teksasie.

Występ idzie jak z płotka: rozlega się ryk motorów, a ja wchodzę do Potrójnego Koła Śmierci. Wykonujemy układ, publiczność się cieszy i kończymy scenę. Znikam za kurtyną. Czekamy, aż Sześć Demonów Piekieł i Siedem Aniołów Boga skończą swój pierwszy dzisiejszy pokaz, po czym wychodzimy, by zaprezentować numer z rzucaniem nożami.

King wydaje się jakiś podenerwowany. Tym razem nóż ociera się o zewnętrzną część mojego uda. Wzdrygam się i rzucam mu spojrzenie. Chciałabym wiedzieć, czy zrobił to specjalnie, czy był to tylko przypadek... Nie jest przecież typem, który popełniałby takie błędy, więc możliwe, że się nie dowiem.

Potem swój numer demonstruje Midnight: Val i Rose wykonują akrobacje w powietrzu, a po nich śpiewa Maya, kołysząc się na huśtawce. Przerazająca jest ta piosenka. Ma niepokojąco znajome słowa, ale towarzyszący im podkład jest jakiś zniekształcony. Czyli

Maya wykonuje covery, nadając im upiorny wyraz jak w filmach Tima Burtona.

Wreszcie przychodzi moja kolej, ale nie wiem, czy jestem gotowa.

Wycieram dłonie o uda, słysząc, jak Delila mnie zapowiada.

– Dove? – odzywa się młody chłopak trzymający w rękach butelkę wina i tacę. – Czy mam je wnieść?

Potakuję skinieniem, jeszcze raz wycierając ręce w swoje ażurowe pończochy. Postanowiłam nie korzystać z rury. Mogę dokonać więcej zniszczeń bez niej, a poza tym muszę dać do zrozumienia Delili, że podchodzę do tej sprawy poważnie.

– Co będziesz robić? – pyta z tyłu Kyrin mierzący mnie wzrokiem od stóp do głów.

– Tańczyć – odpowiadam krótko i treściwie. Nie mogę pozwolić, by wytrącił mnie teraz z równowagi.

– Ostrożnie, Ptaszynko. On obserwuje nieustannie.

Wypycha mnie przed kurtynę, nie dając mi szansy zapytać, kogo ma na myśli. Natychmiast pada na mnie snop światła. Jest jednak przytłumione i skrywa moje ciało niejako w cieniu. Z głośników zaczyna lecieć *Carnival*, więc natychmiast przyjmuję pozę wyjściową. Opadam i podnoszę się, a moje ciało niesione jest przez słowa oraz rytm piosenki. Następnie zbliżam się do pierwszego rzędu siedzeń łoży VIP-ów. Skoro ci ludzie płacą co najmniej tysiąc czterysta dolarów za bilet, to należy im się dobre widowisko z mojej strony.

Upatruję sobie jednego mężczyznę. Jest dość przystojny i wyraźnie wstawiony. Osuwam mu się na kolana i zaczynam ocierać o niego w rytm muzyki, obdarowując go całą swoją uwagą. Następnie przechodzę do jego żony. Natychmiast się rozchmurza, gdy raczę ją swoim tańcem.

Puszczam do niej oczko, po czym wracam na scenę. Biorę tacę, padam na tyłek i rozkładam szeroko nogi, zasłaniając się nią jednocześnie. Publiczność wiwatuje tak głośno, że prawie nie słyszę muzyki, czym tylko mnie podbudowuje. Upatruję sobie kolejną ofiarę i biorę ze sobą butelkę wina. Tańczę wokół kolejnej pary, nalewając im alkohol do kieliszków, po czym sama biorę łyk i ocieram usta. Mam wrażenie, jakby mój występ trwał dosłownie chwilę, ponieważ piosenka kończy się dokładnie w momencie, kiedy oddalam się od

mojej drugiej ofiary. Znikam za kurtyną, a widzowie poprawiają się na siedzeniach w oczekiwaniu na kolejny pokaz.

– Co to, kurwa, miało być? – cedzi przez zęby King czekający na mnie tuż za kurtyną.

– Co? – pytam zdyszana. – Właśnie to chcę robić na scenie.

King kręci głową.

– Nie. Nie potrzebujesz własnego pokazu.

– Że co, proszę? – Unoszę głowę. – Powiedz lepiej Val, co może i czego nie może robić, a ode mnie się odpiardol. – Odpycham go na bok, kiedy próbuje się do mnie zbliżyć. Doskonale też słyszę te wszystkie szepty wokół nas.

– Dove, nie ma chuja, żebyś wykonała ten numer ponownie. Kropka.

– Ależ wręcz przeciwnie – wtrąca się stojąca za mną Delila, łapiąc mnie za ramię. – A co więcej – spogląda na mnie – pozwolę jej zrekrutować dodatkowych tancerzy.

Na mojej twarzy maluje się szeroki uśmiech.

– Naprawdę?

Przewraca oczami.

– Nie udawaj, że nie o to chciałaś mnie poprosić, Ptaszynko. Jesteś taka łatwa do przejrzenia.

– Delila – warczy King. – Mam ci przypomnieć, jakie stanowisko zajmujesz?

– Nie, ale musisz pamiętać, że sam nie chciałaś Dove w swoim pokazie, King. Tak więc ustalone. Po waszym spotkaniu z ojcem Killiana w Nowym Orleanie rozpoczniemy proces rekrutacji. – Znów kieruje wzrok na mnie. – W Nowym Orleanie będziemy mieć czterotygodniową przerwę. Potem oczekuję, że twój zespół będzie składał się z... – Czekam na moje wyjaśnienie.

– Trzech osób. Chcę dwie dziewczyny i jednego chłopaka.

– A zatem trzy osoby. Jest jednak pewien haczyk, Ptaszynko. – Delila przejeżdża swoimi jasnoczerwonymi paznokciami po moim staniku. – Musisz przestrzegać zasad procesu rekrutacyjnego.

Otwieram usta, po czym zamykam, ale wreszcie się odzywam:

– Czyli zrobić to samo, co spotkało mnie?

Delila poklepuje mnie po ramieniu.

– Dokładnie. – Nie mogę jej jednak o to dopytać, ponieważ odciąga ją ode mnie Val, która przeżywa chyba jakieś załamanie nerwowe między pokazami.

– To jeszcze nie koniec – rzuca mi King, po czym znika za kurtyną.

Nie rozumiem, co mu nie pasuje. Delila ma rację. Od początku był mi nieprzychylny. Wtem Killian obejmuje mnie od tyłu i przyciąga do siebie.

– Doszłaś już? – szepcze do mnie.

– Killian, zostaw ją – bąka Keaton, siadając na ziemi, by zdjąć buty motocyklowe.

– O, to nie wiesz? – Killian spogląda na Keatona.

– O czym? – Keaton rzuca buty i wstaje, żeby się rozebrać.

Killian śmieje się, kręcąc głową.

– Nie mogę, ale to jest świetne. – Zerka znowu na mnie. – Przygotuj się do ostatniego pokazu, Ptaszynko. – Podchodzi do mnie i gładzi mnie po tyłku. – Tylko załóż coś, co podkreśli twoje cycki.

Odpycham go żartobliwie, ale jego twarz nawet nie drgnie.

– Nie żartuję. Po tym występie będziesz moją dłużniczką. – Puszczam do mnie oczko i odchodzi.

Nie chcę być dłużniczką Killiana.

Ubrana w czarne paski, które krzyżują się, zasłaniając moje sutki – i tylko sutki – oraz krocze, stoję ze związanymi nad głową rękami i nogami spletanymi w kostkach. Otaczająca mnie ciemność jest jak bariera ochronna. Na oczach mam zawiązaną bandanę, a w uszach zatyczki, ponieważ Killian nie chciał, abym cokolwiek słyszała. Nie wiem, kto kontroluje muzykę, ale chciałabym im podziękować za puszczenie czegoś na tyle dobrego, że mnie rozprasza.

Z głośników leci *You Can Cry* Marshmello. Czuję delikatny podmuch na nagim brzuchu. Kiedy powiew się wzmacnia, powieki opadają mi bezwładnie. Nie wiem, co to, ale chcę to poczuć niżej i mocniej. Mocniej. Doznanie wzmacnia się, aż moje plecy wyginają się w łuk, przez co odrywam się od tego, do czego jestem przywiązana. Mam wrażenie, jakby po moim rozgrzanym ciele przesuwano lód. Rozchyłam usta i powoli zaczynam poruszać biodrami. W głowie migają mi krwistoczerwone światła stroboskopowe, jakbym znajdowała się na parkiecie klubu nocnego. Kolejna piosenka to *Play*

Alana Walkera. Mój umysł to pusty wir, pulsujący jedynie owym czerwonym blaskiem i dudniący uzależniającym basem piosenki. Wczuwam się w nią idealnie, aż w tej szkarłatnej oddali dostrzegam jakiś cień. Ma na głowie kaptur. Muzyka na chwilę nieco zwalnia, on zaś zbliża się do mnie coraz bardziej. Wtem piosenka i miganie świateł znów nabierają tempa. Czuję to w sobie wyraźniej, aż nagle – wszystko ustaje. Martwa cisza. Następnie czerwone światło powoli ożywa ponownie, a przede mną stoi ten mężczyzna w bluzie i z do połowy zasłoniętą twarzą. Po profilu poznaję, że to King. Ostro zarysowana szczeka i zapadnięte kości policzkowe. Co? Na widok jego nikczemnego uśmiešku dopada mnie dziwne przeczucie.

Podchodzi do mnie. Moje ciało pulsuje, reagując na to, co dzieje się dookoła, choć tego nie widzę. Wyciągam ku niemu rękę. Chwytam kaptur palcami i zsuwam mu go z twarzy.

Wydaje z siebie syk, obnażając zęby jak dzikie zwierzę. W jego oczach płonie dzikość, a jego dłoń ląduje między moimi udami.

– Moja – warczy, po czym szarpie mnie za ramię.

Muzyka wciąż dudni w tle, podczas gdy on rozchyła mi nogi kolanem i przywiera ustami do moich warg. Czuję mrowienie w piersi. Cała drzę z pragnienia. Co za okrutna tortura. Otwieram oczy, wypatrując go, ale w pomieszczeniu nie ma nic oprócz tego czerwonego światła.

Wtem więzy na moich nadgarstkach puszczają. Wyciągam zatyczki z uszu. Kurtyny są już zasunięte, ale nie rozglądam się dookoła, by sprawdzić, co się dzieje, ponieważ do oczu napłynęły mi łzy, przez które niewiele widzę. Uciekam od pozostałych i biegnę do naszego kampera, mijając tłumy wychodzące z namiotu.

Szarpnięciem otwieram drzwi, po czym udaję się prosto do mojego przedziału, gdzie padam na łóżko. Wciąż dudni mi w głowie po tym, czego właśnie doświadczyłam.

– Ptaszynko – odzywa się Killian z progu kilka minut później.

Pobiegł za mną? Dlaczego to nie King za mną pobiegł? Dlaczego to zawsze musi być Killian?

– Odejdź, Killian. Co to, do cholery, było?

Milczy, szukając wzrokiem moich oczu.

– Mało o mnie wiesz. O nas. Ale to, o czym myślisz podczas pokazu, zależy od ciebie, nie ode mnie. Nie zmuszam cię do

zobaczenia tego, co widzisz. Ja tylko pomagam tym rzeczom wynurzyć się na powierzchnię.

Przewracam się na plecy, licząc kropki na suficie.

– Dlaczego tu jestem?

Słyszę jakieś szuranie wokół mnie, a kiedy odwracam głowę na bok, żeby zobaczyć, dlaczego mi nie odpowiada, moim oczom ukazuje się King.

– Co zobaczyłaś? – szepcze, patrząc na moje ciało.

– Nie chcę o tym mówić. – Przewracam się na bok, ignorując go.

Czuję drgnięcie materaca. Powstrzymuję się przed sprawdzeniem, co robi.

– Dove.

– Odejdź, King.

– Nigdzie nie idę! – Jego głos jest jak kwas, który może się rozlać i poparzyć wszystkich dookoła. Jest zły, oczywiście, tylko nie wiem dlaczego.

Odwracam się. Irytuje mnie to, że znów narusza moją przestrzeń po tym, co zrobił zeszłej nocy. I to, co wyobraziłam sobie dziś. Nie wierzę, że Killian nie miał nic wspólnego z tym, co zobaczyłam. To było zbyt wyraźne. Zbyt znajome. Zbyt jak... *King*.

– Dlaczego jesteś taki dezorientujący? Dlaczego po prostu nie zabiłeś mnie w tamtej celi, zamiast ciągnąć mnie przez to wszystko.

Mruży oczy.

– Myślisz, że nie chciałem?

Nie na taką odpowiedź liczyłam. Wzdrygam się na jego słowa, zdradzając swoje odczucia.

– Jak to?

Spogląda mi w oczy i przez sekundę poza nami dwojgiem nie istnieje nic więcej. Wszystko zalewa się smugami jak zamazane malowidło, mieszanka nieistotnych barw wokół nas.

– Myślisz, że nie chciałem cię zabić?

– Gadasz bez sensu – wzdycham zmęczona. Jestem wyczerpana tymi naszymi przepychankami. Tym, jak wysysa życie prosto z mojej duszy.

Odwracam się do ściany.

– Dove – odzywa się.

– Co, King? – pytam, znowu na niego spoglądając. – Próbuję zrozumieć, dlaczego wszyscy mówią mi, że zachowujesz się przy mnie nietypowo jak na siebie, ale kiedy jesteś w pobliżu, widzę tylko, jak bardzo jesteś nadąsany i irytujący, a w dodatku wysyłasz niejasne sygnały.

Unosi nieco brwi, po czym powoli wygina usta w półuśmiechu.

– Czy ty się właśnie uśmiechnąłeś?

Poważnie nagle.

– Nie.

Wzdycham *wymownie* i kładę się na plecach.

– Mam już dość tych kłótni.

– To powiedz, że nie nazywasz się Dove Hendry.

– Dlaczego miałabym to zrobić?

– Żeby nie musiał już dłużej tłumić w sobie pragnienia, by zanurzyć swojego kutasa w twojej cipce tak głęboko, aż zaczniesz wykrzykiwać moje imię. Powiedz, że nie nazywasz się Dove Hendry.

Oblizuję wargi, wpatrując się uważnie w jego oczy.

– Co za różnica, czy jestem Dove, czy nie? Przecież i tak się nie znamy.

Śmieje się cicho, kręcąc głową. Jest coś zaskakująco mrocznego w dwojgu leżących obok siebie w ciemnym pokoju ludziach, których pcha ku sobie wywołujący szereg burzliwych emocji pociąg.

– Boże, King! – wykrzykuję. – O co tu, kurwa, chodzi?

Nagle kładzie się na mnie, napierając swoim ciałem na moje. Podbrzusze pulsuje mi z pragnienia. Powoli rozchyłam nogi, dając mu przyzwolenie, by wsunął się między nie.

– Gdybym ci powiedział, nie uwierzyłabyś – mówi szorstko, choć jego usta, którymi mnie całuje, są delikatne jak pluszowa maskotka.

Wstrzymuję oddech, przytłoczona jego bliskością, a jednocześnie uzależniona od jego dotyku. Podoba mi się taki. Pragnę go takiego. Zawsze przyciągało mnie to emanujące od niego niebezpieczeństwo. W doznaniach wywołanych dotykiem i pieszczotami niebezpiecznego mężczyzny tkwi swoista siła.

– No to spróbuj – szepczę, po czym unoszę się ku jego wargom.

Jęczy i opada na mnie, odwzajemniając pocałunek. Zarzucam mu ramię na kark i rozchyłam szerzej usta. Muszę być bliżej niego. Jestem wygłodniała jego warg.

Zdziera ze mnie koszulkę i wstaje, żeby zdjąć buty.

– Jeśli tego nie chcesz, to masz trzy sekundy, żeby mi o tym powiedzieć. Później nie będzie mnie to obchodziło.

Powoli przesuwam dłoń na moje jeansy i rozpinam je.

Odpowiada mi stłumionym śmiechem, który rozrywa panującą w pomieszczeniu ciszę, trafiając do wszystkich zakamarków mojej duszy. Żadne z nas nic nie mówi. Łapie mnie więc za kostki i przyciąga do siebie. Ściąga mi szorty, podczas gdy ja pozbywam się stanika. Po sekundzie obie rzeczy lądują na podłodze.

Wstrzymuję oddech w oczekiwaniu na jego kolejny ruch. Jednocześnie jednak jestem świadoma, że może też w każdej chwili po prostu mnie zostawić, jak ostatnio, i pójść ruchać się z Val.

Muska palcem moją łechtaczkę.

– Z iloma się pieprzyłaś?

– Co? – pytam zasapaną. – Dlaczego mnie o to teraz pytasz?

– Muszę wiedzieć, z iloma się pieprzyłaś. – Napiera czubkiem palca na moje wejście. Obraca nim powoli, rozpalając moje zakończenia nerwowe.

– Nie wiem.

– Aż z tyloma? – pyta rugająco.

– Z pięcioma?

– Pięcioma...

Nagle klepie mnie w cipkę – skurwiel dał mi klapsa w cipkę – po czym wsuwa we mnie palec.

Wydaję z siebie okrzyk, unosząc wygięte w łuk plecy.

– Z pięcioma mężczyznami? – szepcze to niemal do samego siebie. – Mam nadzieję, że ostro cię przerznąli. – Jego palec masuje moje wnętrze, a kciuk napiera na łechtaczkę. Mam wrażenie, że mój żołądek się zaciska, a wnętrzności skręcają, nieustannie zwiastując ekstazę, która spłynie na mnie wraz ze szczytowaniem. Wtem nakrywa moją łechtaczkę swoimi ustami. Jego język jest taki śliski... Wykonuje nim okrężne ruchy i naciska. Wreszcie krzyczę wstrząsana orgazmem, którego fale zalewają mnie raz po razie, słabnąc z każdą kolejną falą.

Wpełza na mnie i chwyta za biodra, tak aby unieść mnie nieco. Następnie wchodzi we mnie swoim kutasem. Zaciskam się na nim jak imadło. Nie chcę go wypuścić.

– O kurwa – warczy, opuszczając moje biodra z powrotem na łóżko. Nakrywa mnie całym sobą. – Jakaś ty ciasna. I tak kurewsko moja. – Chwyta mnie za szyję i wysuwa się, by po chwili znów się wsunąć. Powolnymi ruchami pcha mnie, rozciągając stopniowo moje wnętrze.

Czuję chłód jego srebrnego kolczyka ocierającego się o okalającą go ściankę mojej pochwy. Krzyczę ponownie i obejmuję go w biodrach nogami.

Śmieje się, ściska mocniej moją szyję i przyspiesza.

– Ale jesteś kurewsko mokra dla mnie.

Otwieram usta, ale uderza we mnie tak mocno, że słowa nikną mi w gardle.

Wbija palce w moje udo, a drugą ręką łapie za nadgarstki i przygważdża je do łóżka tuż nad głową. Jęczę z bólu. To zbyt wiele. Tonę w przytłaczających doznaniach, odczuwając je każdym centymetrem ciała.

– Do kogo – warczy, po czym kąsa mnie w szyję i szarpie skórę – należysz?

Znów we mnie wnika, ale tym razem zwalnia tempo, choć utrzymuje mocny rytm. Z każdym pchnięciem wypełnia mnie po brzegi, aż nasze spocone ciała obijają się o siebie.

Krzyczę – *wydieram się, kurwa* – kiedy rozdziera mnie kolejny orgazm, pod którego wpływem wyję, dając upust dzikiemu pragnieniu. Pulsuję na nim, co wywołuje w nim rozbawienie.

– Do Kinga – jęczę i obejmuję go za szyję ramieniem.

– Dokładnie, maleńka. – Podnosi się, żeby ułożyć mnie na brzuchu, po czym klepie w tyłek, aż skóra piecze. Kwilę, podczas gdy on łapie mnie za biodra, unosi na czworaki i owija sobie wokół dłoni moje włosy. Szarpnięciem odchyła mi głowę, przywierając ustami do ucha. Wchodzi we mnie od tyłu całą swoją długością. Wzdrygam się z bólu, ale kiedy słyszę, jak wypuszcza przez zęby powietrze i łapie mnie za szyję, chcę kontynuować – nawet jeśli miałyby mnie to zabić.

– Dokładnie, kurwa, należysz do Kinga.

Z jedną ręką na moich włosach, a drugą trzymając na moim karku, uderza we mnie bezlitośnie raz za razem. Znów nadchodzi ten ucisk

w żołądku. Moja cipka pulsuje coraz mocniej, a łechtaczka wzbiera z rozkoszy – kolejny mój krzyk odbija się od ścian.

Wychodzi ze mnie, by po chwili zalać moje plecy gorącym nasieniem. Ledwie jestem w stanie otworzyć oczy. I bez unoszenia powiek wiem, że wszystko wokół mnie wiruje. Opadam na brzuch. Nie mam nawet siły, by przejmować się spermą spływającą mi z pleców.

Czuję, że schodzi z łóżka.

– King? – szepczę cichutko, wykorzystując reszki sił, jakie jeszcze w sobie mam. – Powiesz mi, dlaczego jesteś taki dezorientujący?

Śmieje się cicho.

– Pewnego dnia.

Rozdział 24

Dove

Przypominam sobie moją obsesję na punkcie ptaków. Mama powiedziała, że chciałam mieć wielki wybieg, w którym trzymałabym ich tyle, ile tylko by się dało. Oczywiście to marzenie nigdy się nie ziściło, ale pamiętam to uczucie: *pragnienie*. Ta obsesja, która przyćmiewała mój zdrowy rozsądek.

To uczucie w jakiś sposób powróciło.

Wczorajszej nocy pieprzyłam się z Kingiem.

Warczę, przewracając się na bok i krzywiąc się z powodu bolesnych siniaków na biodrach i obojczyku.

Wtem słyszę czyjś śmiech. Podnoszę się natychmiast, a moim oczom ukazuje się Killian stojący w wejściu z szerokim uśmiechem na twarzy i opychający się granolą.

– Co? – Zwieszam nogi z łóżka. Staram się nie dać po sobie poznać, że cokolwiek mnie boli. Rozglądam się dookoła. Ale bałagan... Wygląda, jakby przez wnętrze przebiegło stado wściekłych zwierząt. Wszędzie leżą rozrzucone ciuchy, a niewielka komoda została przesunięta na środek pomieszczenia i niewiele brakuje, by się przewróciła. *Uniósł mnie i rzucił na komodę, po czym znów się we mnie zanurzył...*

– Muszę przyznać, że nie jestem zaskoczony. To była chyba najdłuższa gra wstępna w dziejach ludzkości – zauważa Killian, kiwając głową. – Przebierz się, wbijamy na imprezę.

– Imprezę?

Potakuje ruchem głowy.

– W Teksasie?

Kolejne kiwnięcie. Wtem jednak dociera do niego, że jestem zdezorientowana.

– No co? Nie wpadłaś na to, że skoro odwiedzamy te miejsca co jakiś czas, to w końcu zapoznajemy się z tutejszymi mieszkańcami?

Zastanawiam się nad tym, co mówi. W sumie racja.

– Naprawdę nie mam ochoty iść na żadną domówkę.

Killian wybucha śmiechem.

– I tak nie masz wyboru.

Wychodzi, a ja dalej siedzę na łóżku, cała obolała i zmieszana. Dlaczego mielibyśmy iść na imprezę w Teksasie? Z jakiegoś powodu podejrzewam, że ci goście nie zaprzyjaźniają się z przypadkowymi ludźmi.

Zakładam na siebie jedną z rzuconych niedbale koszulek, po czym wychodzę, kierując się prosto do ekspresu, by nalać sobie kubek czarnej jawańskiej.

– Wcześniej wstałaś – mruczy Kyrin za mną.

Zaskakuje mnie, więc odwracam się do niego.

– A ja nie mogłem spać przez to, co słyszałem, a czego słyszeć nie chciałem – odzywa się Keaton, który schodzi z góry, kręcąc głową. Ten przerażający, wytatuowany, umięśniony mężczyzna wygląda właśnie, jakby zobaczył ducha.

– Och, czyli wam wszystko wolno, ale mnie już nic? – pytam z uniesioną brwią.

– Po pierwsze, nie sprowadzamy tu dziewczyn – wyjaśnia Keaton.

– Po drugie, nie ruchamy się ze sobą.

– Nie żebym nie próbował – Na ustach Kyrina pojawia się uśmiešek.

Keaton pokazuje mu środkowy palec i siada na siedzeniu obok mnie.

– Jasne, nie sprowadzacie... – odpieram drwiąco. – Przecież sama widziałam kilka nocy temu. – Właściwie to nie chciałam tego mówić, ale jakoś nie mogłam się opanować.

– O czym tym bredzisz? – odpowiada Keaton, przygotowując sobie szejka proteinowy. – Nie sprowadzamy tu dziewczyn. To wbrew naszym zasadom.

– Mówi o Val – wtrąca się King, który wchodzi właśnie do kuchni. Bez koszulki, ze zmierzwionymi włosami, jakby dopiero co uprawiał seks. Rzucił mi spojrzenie wyraźnie mówiące „kim ty, kurwa, jesteś?” Co ponownie tylko mnie dezorientuje. A może jest zły, że wspomniałam o Val.

– Przygruchałeś sobie do łóżka Val? Myślałem, że dałeś sobie już z nią spokój. – Keaton spogląda na Kinga. Dołącza też do nas Killian.

King mierzy mnie wzrokiem. Odnoszę wrażenie, jakby patrzył bezpośrednio na moją duszę i chwycił ją gołymi rękami przez moje ciało. Jakby należała do niego.

– Bo dałem.

Jego słowa powinny mnie uspokoić, ale intensywność, z jaką się we mnie wpatruje, w połączeniu z tonem jego głosu sprawiają, że żołądek mi się skręca.

Postanawiam przeć dalej naprzód i zmienić temat, żeby odwrócić nieco od siebie ich uwagę.

– O co chodzi z tą imprezą?

Killian rozsiada się wygodniej z szelmowskim uśmieszkiem na twarzy. Jego ciemnymi włosami porusza podmuch wiatru, który wpada do kampera, ponieważ ktoś właśnie otworzył drzwi.

– No to coś więcej niż impreza.

– Proszę was wszystkich, mówcie szeptem. – Dołącza do nas Maya, rozmasowując skronie. Na nosie znowu ma te wielkie okulary, a włosy opadają jej na twarz jak lwia grzywa. – Powiedzcie mi, że nie jestem jedyną osobą, która piła prawie do rana.

Zapada cisza. Wstaję z siedzenia.

– O której jedziemy? – rzucam pytanie w przestrzeń.

– A dokąd? – wtrąca się Maya.

– Nigdzie – ucina Killian.

Dziewczyna spogląda na niego zza okularów. On chwycił ją za brodę i gładzi kciukiem.

– Po prostu zabieramy Dove na przejażdżkę.

– Trzeba było tak od razu, Kill, a nie zaraz „nigdzie”.

Uśmiecham się do niej uprzejmie, po czym wracam do siebie. Otwieram szafkę, ale ponieważ nie wiem, jak powinnam się ubrać, zakładam to, co założyłabym u siebie w domu: wygodne ciuchy. Takie, w których chciałabym umrzeć. *Zaraz. Nie powinnam myśleć przy nich o takich rzeczach.* Wybieram więc podarte jeansowe szorty z wysokim stanem i luźną, białą koszulkę Givenchy. Zawiązuję ją w supełek, tak aby odsłaniała kawałek mojego brzucha – nie dużo, ale w sam raz. Do tego zakładam rdzawoczerwone trampki, rozczesuję swoje długie falowane włosy i nieco pudruję twarz.

Następnie biorę okulary przeciwsłoneczne i portfel, po czym udaję się do kuchni, żeby poczekać na chłopaków. Choć nie miałam jeszcze okazji, by użyć karty od Kinga – głównie przez to, że nigdzie jeszcze nie byłam – dobrze wiedzieć, że w razie czego mam pieniądze, na które poniekąd zapracowałam. Wczoraj ściągnęłam też aplikację bankową, więc teraz mam do nich łatwy dostęp.

Zastaję Kinga wciąż jedzącego posiłek przy stole.

– Nie przebierasz się? – pytam zaskoczona.

Oblizuje usta, kręcąc głową.

– Nie. W tym idziesz?

Spoglądam na siebie. Nie rozumiem. Zerkam znowu na niego.

– Tak, a co?

Wzrusza ramionami.

– Nic. – Wstaje, po czym wyrzuca resztki jedzenia i myje talerz. – Gdybym był dobrym człowiekiem, ostrzegłbym cię przed dzisiejszym dniem, Dove – mówi spokojnym tonem przypominającym ciszę tuż przed lawiną śnieżną.

– A jesteś? – zastanawiam się na głos, nie odrywając od niego wzroku.

Mięśnie jego pleców się napinają. Korci mnie, by podejść do niego i ich dotknąć. Przesunąć palcami po każdej wypukłości i załomie jego skóry. Przed oczami miga mi wyraźnie wczorajsza noc. Zaczynam się ślinić na myśl o tym, co jeszcze chciałabym z nim zrobić... *Wędruję ustami po jego biodrach. Ssę jego skórę, aż natrafiam językiem na czubek jego zakolczykowanego kutasa.*

Zaciskam uda. Zdecydowanie muszę to kiedyś zrobić...

– Ptaszynko – zwraca się do mnie King, wyrywając mnie z zamyślenia. Patrzy na mnie oparty o blat. – Jeśli nadal będziesz gapić się na mnie w ten sposób, to oboje skończymy martwi.

Śmieję się, ponieważ jeszcze nie dotarł do mnie sens jego słów.

– Nie gapiłam się.

Unosi idealne brwi.

– No dobra, może trochę. – Nie będę udawać, że mi się nie podoba ani że nic do niego nie czuję. Nie przespałabym się z nim wczoraj, gdyby rzeczywiście tak było. Nie zamierzam ukrywać swoich uczuć, czego dobitnym świadectwem była ostatnia noc.

Odsuwa się od stołu i rusza w moją stronę. Z każdym krokiem coraz bardziej zapiera mi dech w piersiach.

– Nie rób tego.

– Czego? – odpowiadam, patrząc mu w oczy. Przymyka je, ale dostrzegam w nich ogień.

Próbuję się cofnąć, kiedy wyciąga ku mnie rękę i obejmuje moją talię. Następnie przyciąga mnie do swojej piersi, z którą zdążyłam już się dobrze zapoznać.

– Nie możemy tego powtórzyć.

– Jak to? – pytam, tonąc w jego spojrzeniu. Dobrze wiem jednak, że przytroczona do moich kostek kotwica pociągnie mnie na dno oceanu, jeśli nie wykrzeszę z siebie dość sił, by utrzymać się na powierzchni.

– Nie. Możemy. Tego. Powtórzyć.

Jego słowa odbijają się od ścian mojego umysłu jak krzyk obłąkanego kaznodziei podczas niedzielного kazania. Odchyłam głowę do tyłu, żeby choć stworzyć choć odrobinę dystansu między nami.

– Dobrze, ale dlaczego?

Puszcza mnie w momencie, gdy dobiegają nas czyjeś kroki na schodach. Nie sprawdzam, kto to. Mam to gdzieś. Chcę wiedzieć, dlaczego nie możemy tego powtórzyć. Wyraźnie ma ku temu jakiś powód. King nie jest przecież typem człowieka, który owijałby w bawełnę, żeby tylko kogoś nie zranić. Powiedziałyby mi wprost, gdyby mnie nie chciał.

– King, kurwa, dlaczego nie jesteś jeszcze gotowy? – strofuje go Killian.

Mężczyzna puszcza mnie i robi krok w tył, nie odpowiadając, po czym znika na górze.

– Ptaszynko – wtrąca się Killian – tak będzie najlepiej. Zaufaj mi. Prycham.

– Niedawno powiedziałaś mi, że bym ci nie ufała.

Beztrouski uśmiezek znika z jego twarzy.

– Wiem, ale w tej kwestii możesz mi ufać.

„Impreza” musi być gdzieś daleko, bo droga nieco mi się dłuży. Jedziemy wszyscy czarnym, podrasowanym SUV-em marki Rolls-

Royce. Ma przyciemniane szyby i czarne koła oraz maskownicę. King prowadzi, ja siedzę obok – sama nie wiem dlaczego – a Kyrin, Kill i Keaton z tyłu. Próbowałam podpytywać ich o tę imprezę, ale żaden nie powiedział mi niczego konkretnego. Jedziemy przez kolejny kwadrans, wymijając samochody na autostradzie i przebijając się przez bezlitosną wilgoć Południa. Słońce już zaszło, ale na niebie widać jeszcze pomarańczową poświatę. Wreszcie wjeżdżamy na niewielkie ogrodzone osiedle. Brama jest zdalnie sterowana, a samo ogrodzenie prezentuje się miejscami dość okazale. King ścisza muzykę i opuszcza szybę. Wychyla się, po czym wybiera długą kombinację cyfr na panelu.

Wydaje mi się to dziwne, ale się nie odzywam. Wraca na fotel, podczas gdy brama staje otworem.

– Co to za miejsce? – pytam. Przez chwilę mam dziwne wrażenie, jakbym już tu była, ale mija ono na tyle szybko, że nie jestem w stanie wycisnąć z niego nic więcej.

– Trzymaj się blisko nas – instruuje mnie King, zerkając we wsteczne lusterko.

– Co? Dlaczego? Myślałam, że to tylko impreza.

Jedziemy zacienioną ulicą, przy której stoją domy wielkości Białego Domu: duże, białe posiadłości w stylu kolonialnym z idealnie przystrzyżonymi trawnikami. Przy każdym znajduje się lampa uliczna z wysoko zawieszonym kloszem, który trzyma jakby szponiasta łapa. Wyglądają jak coś średniowiecznego, zupełnie nie pasują do tak ekskluzywnej okolicy.

King wjeżdża na podjazd wieńczący ulicę. Jest długi, otoczony starannie przystrzyżonymi żywopłotami ciągnącymi się aż do domu, przed którym znajduje się fontanna. Jego front podtrzymują cztery monstrualne filary. Całość fasady jest lśniąca biała, podkreślona czystymi jak świeży śnieg parapetami. Jednakże drzwi wejściowe sprawiają wrażenie tak masywnych, że raczej zachęcają do ucieczki, a nie zapukania w nie.

– Dove. – Głos Kinga wyrywa mnie z zamyślenia.

– Tak? – Spoglądam na niego, szukając jego wzroku.

– Nie przyjmuj niczego od nikogo, jeśli to nie będzie jeden z nas. Rozumiesz?

I tak, i nie. Ale rozumiem. To w końcu impreza.

– Wiem, że nie należy przyjmować drinków od nieznajomych, King.

– Nie o to chodzi, Dove – odpiera nieco zirytowany. – Nie o drinka powinnaś się martwić. – Mówi to, patrząc dziko na moje ciało i zawieszając wzrok między moimi udami.

– Dobra! – Urywam. – Rozumiem.

Wzdycham i otwieram drzwi w tej samej chwili co pozostali. Ciepły podmuch wiatru szarpie moimi rudymi włosami, spychając mi je na twarz.

– Chodź – mamrocze Killian, kiwając na mnie głową.

Ruszam za nim. Jednocześnie rozglądam się po okolicy w poszukiwaniu jakichkolwiek wskazówek co do charakteru tej imprezy. Wtem orientuję się, że Kill, Keaton i Kyrin idą tuż przede mną, a King zaraz za mną. Czuję się jak dzikie zwierzę w klatce, desperacko pragnące wyrwać się na wolność lub przerażone wizją opuszczenia niewoli. Tak czy siak, w jakiś pokręcony sposób, biorąc pod uwagę to, co ci goście mi zrobili – a były to przecież rzeczy straszne i co najmniej podejrzanе – w tej chwili mam wrażenie, jakbym była zdobyczą, której strzegą przed innymi. Oni mogą się mną pożywić, ale rozerwą na strzępy każdego, kto się do mnie zbliży.

Trudno mi określić emocje, jakie to we mnie budzi. Strach? Tak. Dezorientację? Zdecydowanie. Czy mimo to czuję się silna? Nie wiem. Chyba powinnam, ale tak nie jest.

Kiedy podchodzimy do drzwi, Kill otwiera je pchnięciem. Naszym oczom ukazuje się przestronny, nieskazitelnie czysty przedpokój. Z sufitu zwisa szklany żyrandol. Natychmiast też rozpoznaję słodki zapach lawendy zmieszanej z popiołem.

– Dokąd idziemy i dlaczego nie ma tu nikogo? – Odwracam się, widząc Kinga zamykającego drzwi plecami i wpatrującego się we mnie. – Niech zgadnę: przywieźliście mnie tu, żeby mnie zabić.

– Wręcz przeciwnie, Ptaszynko. – King raczy mnie uśmieszkiem, pokazując gestem ręki, bym się nie zatrzymywała. W ciszy wykonuję więc w polecenie i idę za tymi trzema wesołkami. Mijamy salon, w którym dostrzegam dwa ciemne skórzane fotele zwrócone w stronę obszernej sofy w kształcie podkowy. Choć fotele wydają się wygodne, jednocześnie sprawiają wrażenie zimnych.

– Przestań się gapić, Ptaszynko, bo ściągniesz na siebie kłopoty – szepcze King, kładąc rękę na moim tyłku.

Pod wpływem jego dotyku wciągam gwałtownie powietrze.

Killian otwiera szklane drzwi i wychodzimy na zewnątrz. Znajdujemy się na obszernym patio, za którym rozciąga się rozległy trawnik. Dobiegają mnie odgłosy rozmów, a po chwili zauważam jakiś tuzin osób stojących wokół sporego ogniska, którego płomień agresywnie rozjaśnia ciemność nocy. Kiedy się tam zjawiamy, wszyscy zamierają i kierują oczy na nas. Przyglądam się zgromadzonym: niektórzy mają na sobie garnitury, inni ciuchy nieformalne, aż wreszcie dociera do mnie, że to sami mężczyźni.

– Witajcie, Kiznitch. Jak miło z waszej strony... – Głos kobiety cichnie, kiedy ona mnie dostrzega. Ma długie, czarne włosy sięgające do tyłka i oczy w kształcie idealnych migdałów, podkreślone czarną kredką. Tak ciemną, że ledwie odróżniam ją od cienia do powiek. Jest wysoka, szczupła, ze złocistą opalenizną i ostro zarysowanymi obojczykami. Dopiero kiedy odzywa się ponownie, zauważam, w co jest ubrana – ma na sobie wiązaną, czerwoną suknię, całkowicie prześwitującą, o tak głębokim dekolcie, że jej piersi niemal się z niego wylewają.

– Co to? – pyta z uśmiechem tak sztucznym, jak doklejane pasemka opadające jej na twarz. Trudno mi ją rozczytać i określić, jakiego rodzaju osobą może być.

– Och, przepraszam – odzywa się żartobliwym tonem Killian, po którym widać, że zaraz odpowie jej jakimś przemądrzałym komentarzem. – Nie wiedziałem, że to impreza tylko dla zaproszonych, matko.

To jego mama? Za chuja nie uwierzę. Przecież ta kobieta wygląda co najwyżej na trzydzieści pięć lat. Dobrze wiem, jak można się zakonserwować botoksem i innymi tego typu środkami, ale po niej w ogóle nie widać, żeby stosowała jakiegokolwiek upiększacze. Poza tym po cholere tu jestem?

– Killian – cedzi przez zęby. – Proszę cię na słówko.

Wymija nas i kieruje się prosto do domu, a Killian rusza za nią, uśmiechając się głupkowato.

– Dobra, wyjaśnijcie mi, o co tu chodzi – odzywam się na tyle głośno, by usłyszeli mnie Bracia, ale nie nieznajomi. – Co to za

impreza i czy ona naprawdę jest jego matką?

King ignoruje mnie i dołącza do gości stojących wokół ogniska. Z tego, co widzę, ci ludzie są starsi od moich towarzyszy. Wszystkich cechuje klasyczna uroda, którą dodatkowo podkreślają skrojone na miarę garnitury.

Jeden z nich w szczególności przyciąga moją uwagę, głównie przez to, że na mnie patrzy. Ma siwiejące, krótko przystrzyżone po bokach włosy, uniesione u nasady i zaczesane do tyłu. Ubrany jest w ciemny garnitur bez krawata i ma rozpięty kołnierzyk, a w brustaszy tkwi czerwona poszetka. Spomiędzy dwóch palców jego dłoni wystaje cygaro. Dopiero kiedy King staje przed nim, odrywa ode mnie wzrok.

– Kto to? – pytam, wskazując gestem głowy mężczyznę, a raczej mężczyzn, z którymi rozmawia King.

Keaton wie wzrokiem za moim spojrzeniem, po czym spogląda z powrotem na mnie.

– Nikt.

Rozdział 25

King

– Synu. – Wita mnie z uśmiechem tata.

Postarzał się, odkąd wdziałem go ostatnim razem. Zmarszczki wokół jego oczu się pogłębiły, a skóra twarzy wygląda na równie steraną jak jego Desert Eagle.

– Nie wiedziałem, że przyprowadzisz towarzystwo.

Oglądam się przez ramię.

– Nie wiedziałem, że muszę zapytać, czy mogę.

Tak naprawdę nie muszę, ale w końcu to Czterej Ojcowie, a my to Czterej Bracia. I pewnego dnia zajmiemy ich miejsce, a po nas przyjdą następni. Poza tym dobrze wie, że jeśli mam ochotę kogoś tu przyprowadzić, to zrobię to bez konsultowania.

– Nie musisz. – Wkłada cygaro do ust, przygryzając je. – Ale czy na pewno koncentrujesz się na tym, co masz do zrobienia, czy może coś cię rozprasza? – Jego słowa rozplývają się w powietrzu, a ja się prostuję.

– Wiem, kto ma pierwszeństwo, starcze. Nauczyłem się od najlepszego.

– Synu. – Ojciec nachylił się do mnie, bawiąc się trzymanym w dłoni cygarem. – Nadejdzie taki czas, kiedy poproszę cię, byś zaczął robić rzeczy, których nie będziesz chciał robić.

Przyssany do przepysznej lodowej gałki przechyliłem głowę. Przymrużyłem oczy rażony ostrym światłem popołudniowego słońca.

– Na przykład co?

Od zawsze wiedziałem, w jaki sposób funkcjonuje moja rodzina. Kiedy rodzisz się i dorastasz w społeczności rządzącej się własnymi prawami i wymierzającej kary na własną rękę, uczysz się tego, zanim poznasz, jak działa świat zewnętrzny. Zawsze wolałem nasze zwyczaje, choć już w wieku dziesięciu lat rodzice powiedzieli mi wprost, że moje

wychowanie jest jak programowanie maszyny. Nastawionej na lojalność wobec bractwa ponad wszystko inne.

Tata opuścił nieco powieki, ponownie wkładając sobie cygaro do ust.

– Na przykład walczyć z potworami nawiedzającymi cię w twoich koszmarach.

Zamarłem z palcami zaciśniętymi na wafelku.

– Nie mam koszmarów.

Wyprostował się.

– Ale zaczniesz mieć.

Przewierca mnie wzorkiem, odrywając moje myśli od przeszłości.

– Dobrze. Masz tylko jedno miejsce w swoim sercu, aby obdarzyć kogoś miłością, i nie jest ono przeznaczone dla małej Dove Noctem Hendry.

– Nikt nie wspominał o miłości – odpowiadam dowcipnie, unosząc brew. Poklepuję go uspokajająco po ramieniu. – Wciąż prowadzimy naszą grę, choć zmieniliśmy nieco zaplanowane ruchy. – Zerkam na nich trzech.

Skłamałem.

Rozdział 26

Dove

King wciąż rozmawia z tymi trzema mężczyznami, kiedy Killian wraca wreszcie do nas ze swoją matką.

– Witam – zwraca się do mnie, podając mi rękę.

Dopiero teraz zauważam, jak jasne są jej tęczówki. Niebieskozielone z czarną obwódką.

– Jestem Drayar, mama Killiana. – Spogląda powoli na niego, po czym znów na mnie. Unosi kącik ust w nieszczerym uśmiechu. Od razu domyślam się, że mnie nienawidzi. Nie wiem tylko dlaczego. Przecież nie umawiam się z jej synem ani nic z tych rzeczy.

Podaję jej dłoń, którą delikatnie ściska.

– Dove. – Nagle w mojej głowie pojawia się mętlik. Jakbym znalazła się znowu na tym jachcie, niezdolna do wypowiedzenia jakiegokolwiek słowa. Nie chcę nic mówić, a moje usta pozostają mocno zaciśnięte.

– Hmm – mruczy Drayar. – Zostań, jeśli chcesz, dziecko. Jednak bym ci to odradzała. – Kiedy odchodzi zwrócona do mnie plecami, wiodę wzrokiem po linii jej kręgosłupa i zatrzymuję się na kości ogonowej. Zauważam, że na lędźwiach ma ten sam tatuaż w kształcie gwiazdy co chłopaki. Milczę, choć chciałabym wreszcie zadać pytanie, które chodzi mi po głowie, odkąd ich poznałam. Wtem Killian bierze mnie pod rękę, po czym prowadzi do ogniska. Tam siada na ziemi, spoglądając na moją twarz.

– Usiądziesz czy będziesz tak stać? Noc może być długa.

Odnajduję wzrokiem Kinga obserwującego mnie z naprzeciwka. Właściwie to oni wszyscy mnie obserwują. Natychmiast siadam obok Killiana, chcąc ukryć się przed uwagą mężczyzn, którą tak łatwo na siebie ściągnęłam.

– Dlaczego tu jestem? – Nachylam się do niego. Przyglądam mu się uważnie w poszukiwaniu jakichkolwiek oznak kłamstwa. Nie

spodziewam się jednak wiele, bo przecież kłamstwo jest jak ich druga natura. Udowodnili to swoimi umiejętnościami iluzjonistycznymi, telekinetycznymi i innymi. W dodatku jestem niemal pewna, że Killian posiada też zdolności hipnotyczne. Mimo wszystko będę próbować dalej.

– Uwierzyłybyś, gdybym powiedział ci, że od lat planowaliśmy twoje przybycie do tego miejsca? – wyznaje niskim głosem.

Nie mogę przestać patrzeć, jak porusza się dołeczek pod jego dolną wargą.

– Nie – odpowiadam szeptem. – Bo to oznaczałoby, że wiedzieliście, kim jestem, zanim zostałam porwana i umieszczona w tamtej celi. A to z kolei byłoby sprzeczne ze wszystkim, co wiem. I wprowadziłoby mnie w nie lada zakłopotanie.

– Nas nie obchodzi twoje samopoczucie, Ptaszynko. – Kyrin siada obok mnie. Przy nim zawsze czuję się niekomfortowo, więc odruchowo przysuwam się do Killiana. Trudno uznać go za godnego zaufania.

Jestem w stanie ocenić każdego z Braci po samych oczach.

Kingston: *silny, asertywny, zamyślony, poważny. Kłamca.*

Killian: *figlarz, przebiegły, oszust. Kłamca.*

Keaton: *pewny siebie, sceptyczny, ostrożny. Kłamca.*

Kyrin: *maniak, furiat, gniewny, pełen resentmentów. Kłamca.*

Może i nie znam ich tak dobrze, jak bym chciała, ale zaczynam myśleć, że oni faktycznie znają mnie. Z drugiej strony być może jestem w błędzie i widzę to, co chcą, abym widziała. Jednak gdy obserwuję, kiedy mówią prawdę oraz kiedy kłamią, zauważam, że jedynym niezmiennym punktem ich twarzy są właśnie oczy.

Kyrin wzbudza we mnie coś, z czym nie powinno się igrać, co jest głównym powodem, dla którego ufam mu najmniej. I dlatego też odsunęłam się od niego, gdy tylko się przysiadł.

– Zdażyłam się już tego domyślić – odpowiadam w momencie, gdy zaczyna grać muzyka. Reszta nocy upływa bez żadnych niespodzianek. Ludzie gapią się na mnie co rusz, więc odwzajemniam spojrzenia. Zauważam jednak, że z upływem czasu atmosfera nieco się zmienia: im dłużej płonie ogień, im więcej wszyscy piją, tym bardziej się otwierają.

Drayar zaczyna tańczyć przed ogniskiem do dźwięków transowej muzyki. Jestem pełna podziwu i oczarowana jej ruchami. Faluje tak płynnie na tle gniewnie podrygujących płomieni, kłusujących panujący wokół mrok. Nie mogę oderwać od niej oczu, kiedy wygina plecy, wymachując jednocześnie rękami. King musiał w tym czasie usiąść za mną, ponieważ nagle słyszę za sobą jego głos.

– Chcesz pogadać? – szepcze.

Czuję na karku delikatne muśnięcie jego ust. Chcę odpowiedzieć „tak”, ale uparta część mnie, stanowiąca większą część mojej osobowości, woli się z nim spierać. Jestem w tej chwili nieźle podminowana, jak dzieciak, któremu dokuczają w szkole z powodu rudych włosów – choć mnie nigdy to nie spotkało. Tata zawsze powtarzał: „Świat nie jest w stanie znieść rudzielców. Dlatego Bóg stworzył ich tak niewiele”. Rozumiałam to. Czasami. Tak czy inaczej, zawsze byłam dość wyluzowanym dzieciakiem.

No chyba że coś wyprowadziło mnie z równowagi.

I teraz właśnie mam ochotę być takim wyprowadzonym z równowagi dzieciakiem.

– Jasne – odpowiadam, wstając. Idę za nim z dala od tłumu. Wchodzimy schodami na werandę. Odwracam się jeszcze, żeby spojrzeć na mamę Killiana, ale okazuje się, że wszyscy oprócz niej patrzą na mnie. Co za upiorne uczucie, aż dreszcz mnie przechodzi. Mimo to idę dalej za Kingstonem. Cały czas sobie powtarzam, że gdyby chciał mnie zabić, zrobiłby to już dawno.

Wchodzimy do domu, z którego następnie wychodzimy frontowymi drzwiami. Poza parkingowym stojącym spory kawałek dalej, jesteśmy tu sami.

Siada na schodku i spogląda na mnie. Staram się ignorować widok jego napinających się mięśni, kiedy opiera się na jednej ręce oraz to, jak jego oczy przemawiają do mojej duszy bez wypowiedania słów. A także fakt, że jest kurewsko przerażający. Wbrew temu wszystkiemu nie jestem w stanie oprzeć się magnetyzmowi bestii.

Powoli się do niego przysiadam. Krzyżuję przy tym ręce na brzuchu i podciągam pod siebie kolana.

– O czym chciałeś pogadać?

– O tym, co stało się tamtej nocy. – Prostuje jedną nogę, a ja zauważam na jego stopach wojskowe buty. Ciekawe, dlaczego akurat

te.

– Już mi wszystko wyjaśniłeś – odpieram bez wahania, niejako dumna z siebie, że nie straciłam pewności siebie.

– A gdybym ci powiedział, że zmieniłem zdanie? – Tym razem odwracam się do niego. Jest nie tylko oszałamiająco przystojny, ale i niesamowicie straszny. W jego oczach tli się jednak jakaś pustka, której nie byłam w stanie jak dotąd rozczytać.

– Zapytałabym „dlaczego?”.

Wpatruje się we mnie tym samym spojrzeniem, którym obrzucił mnie dziś rano, gdy powiedział, że nie spał z Val.

Wysuwa język i oblizuje dolną wargę.

– Czy to nie oczywiste? – Kącik jego ust unosi się lekko, po czym mierzy wzrokiem moje ciało od góry do dołu.

– Aha, a jakie stawiasz warunki? – Nie jestem głupia. Zdaję sobie sprawę, że ktoś taki jak King nie uznaje wyłączości. – I co gdybym to ja zmieniła zdanie?

Śmieje się cicho i opiera na łokciach odchylony do tyłu. Przybliża się do mnie, żeby spojrzeć mi w oczy. Z bliska jest jeszcze bardziej przerażający. A teraz znajduje się tak blisko, że mógłby mnie ugryźć.

– Powiedziałbym, że jesteś jebaną kłamczuchą.

– Może – szepczę, wpatrzona w jego dolną wargę. – Ale jestem też uparta.

Odpowiada mi półuśmiechem, na którego widok niemal tracę dech w piersiach. Ktoś tak grzesznie piękny nigdy nie powinien uśmiechać się tak diabolicznie.

Nagle rozlega się trzaśnięcie drzwi i za nami zjawia się Killian.

– Spierdalamy stąd. Nie mam zamiaru patrzeć, jak moja matka paruje się z nimi.

King przewraca oczami i wstaje.

– Gdzie Keaton i Kyrin?

Killian rzuca mu wymowne spojrzenie.

– A jak myślisz?

– Pieprzą twoją mamę – odpiera, kręcąc głową. – Widzimy się w samochodzie.

Killian oddala się pospiesznie, podczas gdy parkingowy bierze kluczyki i pędzi do samochodu.

– Killian! – wołam, biegnąc za nim. – Co masz na myśli, mówiąc, że będzie się z nimi pieprzyć?

Zatrzymuje się dopiero, kiedy parkingowy podjeżdża SUV--em. Dziękuję mu, ponieważ Killian najwyraźniej nie ma takiego zamiaru, po czym wskakuję na siedzenie pasażera i odwracam do jednego z Braci. Patrzy przez okno z gniewną miną.

– Kill? – zagaduję.

– Co, Dove? – warczy, rzucając mi spojrzenie. – Dlaczego aż tak cię to, kurwa, obchodzi?

– Po prostu mnie obchodzi. Taka już, kurwa, jestem! – odpyskuję.

– No to nie powinnaś. – Jego oczy robią się szkliste i nagle mam wrażenie, jakbym nie rozmawiała z Killianem, lecz z jego powłoką.

– Niby dlaczego? – pytam, kładąc dłoń na jego nodze. – Zawsze byłeś dla mnie najmiłszy.

Prycha, po czym nachyla się do mnie, aż jego usta muskają moje.

– Gdybyś wiedziała choć o połowie gówna, jakie wyrządziliśmy, nie tylko innym, ale i tobie, nie byłabyś taka przejęta. Ani też nie skakałabyś Kingowi na chuja. – Wraca na swoje miejsce, zupełnie jakby dopiero co nie zrównał mnie swoimi słowami z ziemią.

– Co to znaczy? – dopytuję, klepiąc go po nodze. – Killian!

Ignoruje mnie ze wzrokiem utkwionym gdzieś w dali.

– Nic, Ptaszynko. Zgrywam się tylko.

Odwracam się i z westchnieniem opieram głowę o zagłówek. Czuję zapach marihuany. Zerkam więc do tyłu, gdzie Killian odpala właśnie skręta. Uśmiecham się delikatnie do niego, ale peszy mnie nagły trzask drzwi wejściowych domu.

Moim oczom ukazują się roześmiani Keaton i Kyrin, którzy idą, zakładając koszulki. Za nimi zaś podąża King mierzący ich gniewnym wzrokiem. Ostatecznie się nie dowiedziałam, co Killian miał na myśli z tym ruchaniem przez nich jego matki. Nie wierzę, że mówił serio.

Kiedy wsiadają do samochodu, Kyrin sadowi się obok Killiana.

– Daj spokój. Wiesz, że nie może mieć Kinga, więc zadowolą się nami. Dałbym ci moją, ale, wiesz, jest stara i takie tam.

Killian pokazuje mu środkowy palec.

– Dlaczego nie możesz nawet na trzy sekundy oderwać od niej swojego kutasa?

Keaton zamyka z trzaskiem drzwi.

– Na swoją obronę muszę stwierdzić, że chyba użyła na mnie swojej magii.

Kyrin ponownie wybucha śmiechem. Zerkam na Kinga, który kręci głową. Po chwili opuszczamy osiedle i ruszamy z powrotem do obozowiska.

Przez to, jak dziwna była dzisiejsza noc, niemal całkowicie zapomniałam o Midnight Mayhem.

Rozdział 27

Dove

Pokaz w Teksasie odbył się bez zakłóceń. Swój taniec wykonałam perfekcyjnie – szczególnie że do moich występów solowych włączyłam więcej elementów baletu. Kiedy uda mi się zrekrutować nowych tancerzy, całkowicie odświeżę mój układ, aby nabrał bardziej nieprzyzwoitego i czysto rozrywkowego charakteru. Delila zgodziła się zabrać mnie na jacht w przyszłym tygodniu. Idealnie się złożyło, ponieważ dotarliśmy właśnie do Nowego Orleanu na naszą miesięczną przerwę. Nie pytałam, dlaczego akurat tutaj, ale podejrzewam, że może mieszka tu rodzina jednego z Braci. A może po prostu lubią to miejsce.

King jest tajemniczy od tamtej nocy i chociaż za każdym razem, gdy pokazywaliśmy się publicznie, trzymał na mnie rękę lub coś w tym stylu, to poza publicznymi miejscami raczej się do mnie nie zbliżał. Pasowało mi to, bo chciałam w spokoju zastanowić się nad jego ofertą. Choć wciąż jeszcze nic nie wymyśliłam.

– Dove! – King odsuwa zasłonę mojego przedziału w momencie, kiedy wybieram ciuchy. Stoję w samym w staniku i majtkach.

– Rany, nie mogłeś zapukać?

Rzuca mi spojrzenie i przygląda mi się od stóp do głów.

– Przecież już to widziałem.

Wzdycham głośno. Im więcej czasu z nim spędzam, tym bardziej się otwiera. I to pomimo tej twardej skorupy, której – o ile mi wiadomo – jeszcze nikt nie zdołał nawet zarysować. Chwilami jednak dostrzegam, że zмага się z czymś wewnątrz.

– Dzięki – mamroczę, przewracając oczami. – Dlaczego tylko na mnie krzyczysz albo besztasz?

Kładzie ręce na tylnej części moich ud, a kiedy mnie podnosi, wydaję z siebie pisk.

– Może i dużo krzyczę – warczy i przygryza moją wargę – ale ty wrzeszczysz znacznie więcej. – Całuje mnie z tym swoim uśmiechem.

– King, czy między nami coś jest? – pytam, wpatrując się w jego oczy.

Wzdycha z odchyłoną do tyłu głową, po czym spogląda znowu na moją twarz.

– A musi coś być? Dlaczego nie możemy po prostu poddać się chwili?

Może dlatego, że kiedy ludzie „poddają się chwili”, to ostatecznie zostają zranieni...

Wzruszam ramionami.

– Chcę chyba przez to powiedzieć, że nie wiem, jak rozgraniczyć to nasze krzyczenie na siebie od spania ze sobą.

Wydaje się zastanawiać nad moimi słowami. Jednocześnie poprawia uścisk dłoni na moich nogach, napinając przy tym mięśnie szczęki.

– W porządku – odzywa się i unosi mnie wyżej.

Obejmuję go nogami w biodrach.

– Zróbmy tak: żadnych zobowiązań i żadnych etykietek.

Warczę, odchylając głowę do tyłu. Łapię go za włosy i mrużę oczy.

– Czyli co, będziesz mógł sypiać z innymi?

Milknę na chwilę.

– Nie jestem psem na baby.

– Co to niby znaczy? – Wyjmuję palce z jego włosów, ale natychmiast tego żałuję, bo sterczą mu teraz, jakby sygnalizowały: „ten potwór właśnie się z kimś pieprzył”. *Mój potwór. Dlaczego w ogóle o tym myślę? Powinam udać się do psychiatry. Ten człowiek jest niebezpieczny. Ale jednocześnie jest świetny w łóżku. I nie skrzywdził mnie. Jeszcze. Gadam głupoty.*

Rzuca mnie na łóżko.

– To znaczy, że nie pieprzę się z byle kim. Panuję nad sobą. A ty? – pyta, przechylając głowę.

– Co? Oczywiście, że tak. A co z Val? – Nie mogę się powstrzymać.

Śmieje się, po czym przyciąga mnie do siebie za kostki, aż w połowie wiszę poza łóżkiem. Opiera się na pięściach po obu stronach mojej głowy, po czym napiera na mnie swoim ciałem.

– Dlaczego obchodzi cię, co jest między mną a Val?
– Czyli coś jest między wami? – Przechylam głowę.
– Nie – odpowiada. – Ona powinna być najmniejszym z twoich zmartwień.

– No to już czuję się lepiej, King. Proszę, kontynuuj.

Mruży oczy, kręcąc głową.

– Jesteś obłąkana.

Wzruszam ramionami i unoszę się na łokciach.

– Może. – Oplatam go nogami w pasie i przyciskam do siebie. – Ale to zupełnie tak jak ty.

Jego usta łądują na moich, a on zdiera ze mnie ubranie.

– Czeka! – Próbuję go odepchnąć.

Warczy zniecierpliwiony, jakbym przerwała mu ucztę.

– Co?

– Przyszedłeś tu po coś. Co to było?

– Żeby powiedzieć ci, że jesteśmy na miejscu. – Wzrusza ramionami, po czym znów łapie zębami moją skórę, a ja jęczę jego imię.

Wstaje z łóżka, szybko zdejmuję koszulkę i jeansy. Chwyta dłonią swojego nabrzmiałego kutasa i zaczyna nią powoli poruszać.

– Pragnę tych usteczek na moim kutasie, Ptaszynko. I to już.

Przesuwam się na skraj łóżka, żeby objąć palcami jego męskość. Zerkam na niego spod rzęs i muskam językiem końcówkę, trącając przy tym jego kolczyk.

Jęczy z odrzuconą do tyłu głową, zanurzając palce w gęstwinie moich włosów. Czuję go już w gardle, przez co nieco utrudnia mi oddech, więc po chwili desperacko nabieram powietrza. Biorę go w usta coraz intensywniej, aż obija się o tylną ścianę mojego gardła. Oblizując go i ssąc, czuję słony posmak preejakulatu, którym mnie raczy.

Przyspiesza i zaciska mocniej palce na moich włosach. Wbijam mu paznokcie w skórę ud. Wtem wstrząsa nim spazm, a po chwili zalewa moje gardło gorącą spermą. Przełykam ją jak spragniona dziwka myśląca tylko o tym, by zarobić na czynsz.

– Jesteś moją obsesją – szepczę do niego, wciąż liżąc jego kutasa.

Znów cicho się śmieje, po czym chwyta mnie za biodra i podnosi. Obejmuję go nogami, podczas gdy on dociska mnie do ściany,

przywierając ustami do mojego sutka. Jedną ręką trzyma mnie wokół talii, a drugą za udo. Przesuwa ją tak, by po kilku okrężnych ruchach kciukiem na mojej cipce wreszcie w nią wnikać.

– Zawsze jesteś tak kurewsko mokra dla mnie, Ptaszynko. Tak kurewsko mokra.

Jęczę pod wpływem doznania wywołanego jego kciukiem. Dopada ustami do mojej szyi, po czym liże ją i podgryza. Nagle cofa kciuk i kładzie tę dłoń na mojej szyi.

– Ruchano cię już w dupę? – Ściska moją szyję mocniej i domyślam się, że to ostrzeżenie.

Zamieram.

– Nie.

Puszcza mnie.

– Dobrze.

Wpycha mi kciuk do ust i warczy:

– Ssij.

Robię, co mówi. Okalam językiem jego palec, zlizując słodycz własnego ciała. Ponownie cofa rękę i wsuwa ją między moje nogi, przypierając mnie mocniej do ściany.

Szuka wzrokiem moich oczu z diabelskim uśmieszkiem na ustach.

– Pocałuj mnie, Ptaszynko, może będzie ci wtedy łatwiej. – Znów zanurza we mnie kciuk, drażniąc ścianki. Następnie wyciąga go i wsuwa mi w tyłek. Spinam się pod wpływem zupełnie nowego doznania.

– King – ostrzegam.

– Rozluźnij się albo będzie bolało.

– I tak będzie – odpieram, rozglądając się nerwowo po przedziale.

Wskazuję mu moją torebkę z przyborami do makijażu leżącą obok łóżka. – Weź z tej torebki małą czerwoną tubkę.

Rzuca mi spojrzenie.

– Mówię serio, King. Jesteś bardzo duży – spoglądam na dół między nas – i w dodatku zakolczykowany. Zrobisz mi krzywdę. Weź tubkę.

Stawia mnie na podłodze i podnosi torebkę. Grzebie w niej przez chwilę, po czym wyciąga tubkę.

– Co to za gówno?

Biorę ją od niego i wyciskam trochę na dłoń, podczas gdy on ponownie łapie mnie pod tyłkiem i unosi w powietrze, przygważdżając do ściany.

– To olejek kokosowy. Ma wiele zastosowań, ale dziś...

King śmieje się tuż przy mojej szyi.

– Dziś znajdzie się w twoim tyłku. – Unosi mnie wyżej i zbiera balsam z mojej dłoni. – Wyluzuj.

Zgodnie z poleceniem odprężam się nieco, czując jego napierający na mnie palec.

Przygryza moją dolną wargę, wciągając ją do ust. Dotyk jego podbrzusza na mojej łechtaczce i kciuka na tyłku otwierają nowe bramy rozkoszy. Zaczynam się o niego ocierać, gdy on całuje mnie w szyję, tuż pod uchem.

– Gotowa? – wysapuje ciężko.

Kiwam pospiesznie głową. Pragnę tego. Pragnę wszystkiego, dzięki czemu mogę go mieć. Cofa kciuk, ale zaraz potem wsuwa dwa palce, rozciągając mnie mocniej. Dokłada trzeci. Kwilę pod wpływem dezorientujących wrażeń, które trzymają mnie niczym zakładnika.

Czuję, jak porusza się we mnie. Następnie wciera nieco mojej wilgoci w swojego kutasa. Unosi dłoń do ust i, nie odrywając ode mnie wzroku, spluwa w nią, po czym nanosi ślinę na siebie i na wrota mojego tyłka.

Przywiera ustami do moich warg.

– Zawsze wiedziałem, że będę pierwszy – mówi z uśmiechem. Wpycha mi kutasa w tyłek, na co wydaję z siebie krzyk, wbijając paznokcie w jego barki.

– O kurwa – szepcze, ale nie przestaje, dopóki nie wniknie aż po samą nasadę. – W porządku?

Potakuję skinieniem, ocierając łzy, które nagle napłynęły mi do oczu.

Zaczyna pchać. Po kilku chwilach orientuję się, że wstrząsają mną dreszcze. Podczas gdy jego kutas szaleje wewnątrz, palcem ląduje na łechtaczce. Rzucam się w pogoń za uniesieniem jak ćpun szukający wrażeń, a potem spadający na samo dno. Obejmuję go ramionami, objając się o ścianę z każdym jego pchnięciem. Opuszcza głowę, byssać mój sutek, po chwili pociąga go i podgryza. Wreszcie osiągam szczyt i wydaję z siebie gardłowy okrzyk, sycąc się nim do oporu.

Czuję, jak jego kutas pulsuje we mnie, ale King stawia mnie z powrotem na podłodze i przysuwa do łóżka.

Kładzie się na plecach i chwytą mnie za rękę.

– Dosiądź mnie.

– Co? – wysapuję, starając się ukryć, jak kurewsko jestem już zmęczona i jak wiotkie są już moje kończyny. – W sensie, że cipką?

Przewraca oczami i wsuwa mi palec między nogi, który następnie wnika do mojego wnętrza, wykonując okrężne ruchy.

– Chciałbym dać ci doświadczenie podwójnej penetracji, Ptaszynko, ale myśl o innym kutasie w twoim pobliżu wywołuje we mnie przypływ agresji.

Zamieram na moment, po czym wchodzę na łóżko, a on układa się z powrotem. Sadowię się na nim, zanurzając w sobie jego fiuta, i nachylam się do niego, by go pocałować.

– Dziękuję, ale nie chcę żadnego innego kutasa.

Zaczynam go powoli ujeżdżać, a on chwytą mnie za biodra, powarkując.

– Szybciej. – Nie prosi, rozkazuje.

Nie przyspieszam. Potrzebuję chwili, by złapać oddech po orgazmie, który dopiero co przeżyłam. On jednak nie zamierza czekać i bierze sprawy w swoje ręce – podnosi mnie z siebie i gwałtownie nadziewa na kutasa z powrotem. Potem przyciąga mocno do siebie, przywierając ustami do moich warg.

Warczy i wraz ze mną przewraca się tak, aby ułożyć mnie pod sobą. Jednocześnie zakłada sobie moje udo na biodro. Powoli napiera, po czym wchodzi zdecydowanie. Choć nie porusza ustami, omiata językiem mój, niczym huragan piątej kategorii zabijający wszystkich na swojej drodze. Uderza we mnie, aż zaczynam się trząść. Ledwo daję już radę utrzymać nogi w górze. Jedyne moment, w którym przerywa pocałunki, następuje, kiedy opiera swoje czoło o moje, aby spojrzeć mi głęboko w oczy. Pot ciekący z czubka jego nosa wpada mi do ust. Zlizuję go, ujmując jego twarz w dłonie. Zanim się orientuję, co właściwie wyprawiamy, znów zaciskam się na jego kutasie. Powoli moja obawa przed tym, ile jestem w stanie fizycznie znieść, odpływa wraz z falami drugiego orgazmu.

Tym razem King przegrywa walkę o panowanie nad sobą.

– Kurwa – warczy tuż przy moich ustach.

Choć odgłos jest delikatny, równie dobrze może zwiastować moją zgubę. Przyspiesza ponownie, nakrywając moje usta swoimi. Zaciskam się wokół niego i czuję, jak moja łechtaczka nabrzmiewa. Odpowiadam mu kwileniem.

– Nie opieraj się, maleńka. Odpuść dla mnie – szepcze tonem pełnym bóleści.

Rozluźniam się jak na zawołanie. Tym razem dochodzę w ciszy. Przywieram twarzą do jego szyi i jęczę, niemal płacząc. Po warknięciach Kinga i spazmach jego kutasa we mnie poznaję, że i on wreszcie szczytuje.

– O kurwa! – Wysuwa się delikatnie ze mnie, po czym opada na plecy, przysłaniając oczy jedną ręką. – Tylko nie myśl, że z tobą skończyłem.

Odpowiadam chichotem, ale nieszczercze. To, co zrobiliśmy pod koniec, było tak intensywne, że słowa o braku zobowiązań wydają mi się teraz zupełnie niepoważne.

Pozbyłam się już Kinga, więc mogę teraz udać się do namiotu na spotkanie z Delilą. Choć boli mnie tyłek i cipka, to nic w porównaniu z tym, jak bardzo skołowana się czuję. Zatrzymuję się nagle, ponieważ znowu zauważam tę dziewczynkę. Nie pamiętam jej imienia.

Rozglądam się w poszukiwaniu jej ojca, czy kim on tam jest, który ostatnio zabronił jej ze mną rozmawiać.

– Cześć. – Macham do niej.

Za tydzień jest Święto Dziękczynienia, a potem będzie Boże Narodzenie. Co prawda nie jest tu tak zimno jak na północy kraju, ale jeśli dopiero co przyjechało się z Teksasu, to różnica temperatur jest wyraźnie odczuwalna, a mała ma na sobie sukienkę, jasny bezrękawnik i kalosze.

– Cześć. – Macha rączkami w tył i przód. – Tatuś powiedział, że jesteś wiedźmą.

Wzdrygam się. Nagle King kładzie dłoń na moim barku.

– Idź do domu, Jessie.

Dziewczynka wzrusza ramionami, po czym odwraca się i rusza pędem przez leśną przesiekę. To pierwszy raz, kiedy faktycznie

przyglądam się miejscu, w którym się znajdujemy. W niczym nie przypomina naszych typowych postojów.

Zwracam się do Kinga obejmującego mnie ręką:

– O co chodziło?

Wciąż wiedzie wzrokiem za dziewczynką, aż wreszcie spogląda na mnie.

– To tylko dzieciak.

Unoszę brwi.

– Wydaje się dość przekonująca jak na dzieciaka.

Puszcza mnie.

– Ma przekonujących rodziców.

Porzucam temat. Przyglądam się dalej otoczeniu.

– Gdzie jesteśmy?

Wskazuje coś przed nami.

– To inna posiadłość Delili. Przyjeżdżamy tu na Święto Dziękczynienia i Boże Narodzenie.

– Przestrzegacie tradycji? – pytam, dotrzymując mu kroku. – Jestem w szoku.

– Nie nazwałbym tak tego. Po prostu robimy coś swojego.

Powiedziałabym mu, że to właśnie jest tradycja, ale mam wrażenie, że King ma jakby dwa nastroje: jeden, kiedy jesteśmy w łóżku – mój ulubiony, i drugi, kiedy znajdujemy się pośród cywilizacji. Jest wtedy poważny i nerwowy, przez co czuję się, jakbym miała dostać batem przez plecy.

Przechodzimy przez przesiekę. Jako pierwszy moim oczom ukazuje się duży namiot stojący na tyłach domu, staromodnego, ceglanego budynku. Delila, jak i cała reszta, mają najwyraźniej za dużo kasy.

– Nie składają namiotu, żebyśmy mogli ćwiczyć.

Odwracam się do Kinga.

– Dlaczego trzymaliście mnie przez tydzień w tamtej celi?

Ani drgnie. Nawet nie mruga.

– Bo nie byłaś gotowa. – Zerka na coś przez moje ramię.

– Tym się właśnie zajmujecie? Porywaniem ludzi z ulicy i zmuszaniem, by dla was pracowali? Wszyscy tak tu trafili?

Rzuca mi nieco poirytowane spojrzenie.

– Tak, Dove. Każdy, kto tu pracuje i nie należy do rodziny założycielskiej, został zrekrutowany. Nie, nie musimy nikogo zmuszać, żeby się przyłączył. Zazwyczaj decyzja przychodzi im bardzo łatwo, ale też nie są cywilami.

– A jeśli odmówią? – pytam wpatrzona w niego. Domyślam się, że rodzina założycielska to twórcy Midnight Mayhem, więc nie o nich mi chodzi.

– To odmówią – odpięra, nie dodając nic więcej.

Mam jednak przeczucie, że nie pozwalają nikomu odejść ot tak. Taka osoba mogłaby im zagrozić swoją wiedzą. Być może Delila nie żartowała, kiedy powiedziała, że ocaliła mi życie.

– A w jaki sposób ich wybieracie? – dopytuję.

Zbliżamy się już do namiotu, a że akurat mam na sobie ciuchy do tańca, to muszę potaćzyć.

– Jesteś dziś strasznie wścibska, Ptaszynko – żartuje. Wtem ujmuję mnie za rękę i wprowadza do środka. – Czyżbym nie wybił ci z głowy tych pytań, pieprząc cię?

Wewnątrz są już Killian, Keaton i Kyrin. Wydają się dość żarliwie ze sobą dyskutować, ale kiedy nas zauważają, ich zagniewane twarze nagle się odmieniają.

– Co tam? – Killian kiwa nam głową na powitanie.

King spogląda na niego i uśmiecha się delikatnie, wędrując ręką po mojej talii.

– Dove będzie ćwiczyć. Na mnie. Chcecie popatrzeć? – Dlaczego się z nimi drażni? – No, Keats, ty na pewno byś chciał.

Nagle czuję się jak róża w ogrodzie cierni.

– King – szepczę. – Co się dzieje?

– Nic – odpowiada donośnie, nie odrywając wzroku od Braci. – Małe nieporozumienie. Przygotuj się.

Wychodzę na środek i kładę swoje baletki na ziemi. Potrzebuję jakiegoś ostrego i szybkiego kawałka, dzięki któremu mogłabym się porządnie rozgrzać. Rozciągam się, po czym sprawdzam konsolę. Zawijam koszulkę na brzuchu i poprawiam szorty Nike, strzelając gumką o ciało. Zaciskam mocno powieki, by po chwili je otworzyć. Włączam *Dark Times* The Weeknd i Eda Sheerana. Bit natychmiast wdziera się do mojego umysłu i przejmuje kontrolę nad ciałem. Kiedy wchodzi główny motyw piosenki, ponownie zamykam oczy,

a włosy opadają mi na plecy. Dryfuję delikatnie, podkreślając płynnymi, i jednocześnie stanowczymi, ruchami ciała rytm. Podczas refrenu wykonuję machnięcie głową, jednocześnie łapiąc się za kostki.

Nagle ktoś chwyta mnie za biodra, czym mnie zaskakuje. Odgarniam włosy i odwracam się przez ramię. Uśmiecham się wymownie na widok Kinga bez koszulki. *Niech mnie diabli*. Obraca mnie energicznie do dźwięków refrenu. Niemal frunę nad ziemią, aż wreszcie przyciąga mnie z powrotem do swojej piersi. Teraz poruszamy się płynnie razem – ja prowadzę, a on podąża moim śladem.

Nigdy nie pomyślałabym, że King umie tańczyć. Jest zbyt poważny i zbyt przerażający, by mieć aż tyle talentów. Wpisałby się idealnie w wyobrażenie „faworyta Boga”. A może Lucyfera? Kiedy muzyka zwalnia, ocieram się o niego, wraz z ostatnim refrenem raczę go uśmiechem i napieram na niego tyłkiem. Znow przyciąga mnie do siebie, na co odchylam się do tyłu, sunąc włosami po ziemi. To intymny taniec, który rozpala ogień pod naszymi stopami.

Piosenka się kończy, ale zaraz po niej rozbrzmiewa następna. Zatrzymuję jednak odtwarzacz i staję twarzą do Kinga.

– Co, do kurwy?! Nie miałam pojęcia, że umiesz tańczyć!

Wzrusza ramionami. Podnosi butelkę do ust, ale nie odrywa ode mnie oczu.

– To żaden sekret, Ptaszynko – wtrąca się Val.

Wtem orientuję się, jak wiele osób obserwowało nasz mały występ.

– On po prostu nie chce tańczyć.

– Spierdalaj, Val – warczy King i rzuca butelkę na ziemię.

Szukam wzrokiem pozostałych Braci, ale dostrzegam tylko Kyrina. Keaton i Killian musieli zmyć się wcześniej.

Kyryn wchodzi leniwie na scenę, na co King wybucha śmiechem i odpycha go za ramię.

– Ty też możesz spierdalać.

Kyryn przenosi wzrok ze mnie na Kinga.

– A co? Daj mi przynajmniej wejść.

King zamiera, a Kyryn zaczyna się śmiać.

– Czy może jej nie ufasz?

– Nie muszę jej ufać, tylko się pieprzemy.

Dostrzegam grymas na twarzy Val, która szybko zbiera się w sobie i odchodzi. Mnie też w głębi duszy ubodły te słowa.

– Skoro tylko się pieprzymy, to proszę bardzo, Kyrin, usiądź. – Gapiąc się na Kinga, biorę jedno z krzeseł stojących na widowni.

– O to chodzi – odzywa się z aprobatą jeden z Demonów siedzących przed sceną.

Kyrin kręci głową, po czym zerka na mnie.

– Wiesz, gdzie mnie znaleźć, kiedy przyjdzie czas. – Odwraca się, by wyjść z namiotu, a ja rzucam Kingowi spojrzenie z rękami opartymi na biodrach.

– Nie obrażaj mi się tu, Ptaszynko. Doskonale wiesz, że to wszystko, co nas łączy. – Po tych słowach odchodzi, żeby dogonić Kyrina.

Zapewne chce załagodzić całą sprawę. Nie rozumiem, co się dzieje, a w dodatku wyczuwam jakieś napięcie między nimi. Nie znam tylko jego przyczyny. Wiem, jak się czułam, kiedy wcześniej uprawialiśmy seks. Wielokrotnie. Ale chwilami miałam wrażenie, że to było coś *więcej*. Nie wiem, czy on też to zauważył. Kiedy zatracą się we mnie, jest tak, jakby ta jego skorupa pękała, odsłaniając mi fragmenty jego duszy.

– Hej, laska! – Rose trąca mnie biodrem. – Wreszcie spiknęliście się z Kingiem.

– Tak – odpowiadam. – Nie wiem tylko, czy powinnam o tym mówić.

– Ej – rzuca, rozglądając się podejrzliwie dookoła. – Sprawdziłaś tę kartkę, którą ci dałam?

– O kurwa – szepczę. – Zapomniałam o niej. Ale wciąż musi u mnie być. Chodźmy.

– Ja też idę! – woła Maya, która oddziela się od skonsternowanych Val i Mischy.

– Ona jest inna, Dove. Możesz ufać Mayi.

Nie wiem, dlaczego Rose czuła potrzebę powiedzenia mi tego, ale dziękuję jej mimo to. Ruszamy więc do kampera. Podczas gdy Maya i Rose rozmawiają o jakimś zaginionym gościu, ja zastanawiam się, czego może dotyczyć ten spór między Braćmi. Czy chodzi o mnie, czy może to wciąż ta sprawa z uzależnioną od seksu mamą Killiana? I kim byli ci wszyscy dziwni mężczyźni? Mama Killiana miała taki

sam tatuaż jak Bracia. Zamykam na chwilę oczy, ale to wystarczy, by dopadło mnie wspomnienie.

Rude włosy podskakiwały na ramionach dziewczyny biegnącej w stronę pola. Zatrzymałam się. Trzymałam mocno ojca za rękę. Pociągnęłam go.

– Dokąd ona biegnie?

Ojciec spojrzał w dal i uśmiechnął się.

– Pewnie chce pooglądać balony na ogrzewane powietrze. To twoja ulubiona atrakcja w wesołym miasteczku.

– Wiem przecież. – Przewracam oczami, ponieważ ojciec przypomina o czymś oczywistym. – Ale dlaczego jest podekscytowana?

– No cóż, nie tylko ty uwielbiasz te balony, Ptaszynko. Twoja siostra też się nimi fascynuje.

Zamieram niczym skuta lodem. Od kampera dzieli nas tylko kilka kroków, więc Rose i Maya odwracają się, żeby sprawdzić, dlaczego się zatrzymałam.

– Co się dzieje? – pyta Maya.

Zastanawiam się nad tym, co właśnie zobaczyłam w swojej głowie: czystą, sprężystą trawę pod podeszwami butów; wschód słońca rozjaśniający niebo na pomarańczowo; rudowłosą dziewczynę wyglądającą jak mój klon.

– Nic.

Ruszam dalej, skołowana. Nigdy wcześniej tego nie widziałam. Nigdy nie miałam wspomnień z tak odległej przeszłości. Może to mój umysł płata mi figle. Zamykam oczy i liczę do trzech, po czym otwieram drzwi.

– Co jest? – pyta King, przyglądając mi się uważnie.

– Nic. – Mijam go, a dziewczyny idą tuż za mną.

Nie zatrzymuje ich, ale krzyczy za nami:

– Jasne, kurwa.

Po drodze do mojego przedziału zerkam jeszcze przez okno. Zauważam na zewnątrz Killiana, który patrzy na mnie spojrzeniem o głębi, jaką widzę u niego po raz pierwszy. Przeraza mnie to na tyle, że przyspieszam.

– Dove! – King staje w przejściu i blokuje mi drogę, szeroko rozpościerając ramiona. Choć próbuję nie patrzeć na jego tors, pokusa, by zerknąć na jego tatuaże, zwłaszcza na te dwie czerwone róże nad jego biodrem, tylko narasta. – Co się dzieje?

– Nic. Chyba. Miałam przed chwilą dziwne wspomnienie.

Siadam na łóżku. Zerkam na Rose patrzącą na mnie z kuchni. Maya szykuje sobie coś do jedzenia, więc wyrazem twarzy staram się dać Rose do zrozumienia, żeby mnie nie zostawiała. To ta sama cisza, za pomocą której porozumiewaliśmy się, kiedy trzymano nas na jachcie.

Potakuje skinieniem i od razu wiem, że zrozumiała.

Wzdycham z ulgą.

King staje się spięty.

– Często cię nachodzą?

Kręcę głową. Kieruję wzrok na ubrania, które miałam na sobie w noc, kiedy byłam z Rose. Karteczka powinna być w kieszeni szortów. Widzę nawet wystający skrawek papieru.

– Nie. Zwykle nie. Właściwie to nie pamiętam nic sprzed momentu, w którym zginęli moi rodzice.

Nastrój w pomieszczeniu się zmienia. Po raz pierwszy, odkąd poznałam Kinga, czuję się nieswojo z powodu jego bliskości. Robi mi się duszno, jakby spowijał mnie jakiś mrok. Kołyszę się z niepokojącym wrażeniem bycia obserwowaną przez coś lub przez kogoś. Nie czułam tego, od kiedy mnie porwali.

Od tamtej nocy.

Znam to uczucie. Jakby dawny przyjaciel, wraz z typową dla siebie aurą, zjawił się w twoim domu po bardzo długim czasie.

– Cień – szepczę, wstając. Prawie potykam się o własne nogi i upadłabym na tyłek, gdyby mężczyzna mnie nie przytrzymał.

– Dzięki – mówię wpatrzona w niego. Jego oczy są ponure, czarne i przyprawiają mnie o dreszcz. Nagle jego dotyk staje się dziwnie nieprzyjemny.

– King? – szepczę. – Dlaczego coś się nagle zmieniło?

Napina mięśnie szczęki, po czym jego spojrzenie łagodnieje.

– Co? Nie, nic się nie zmieniło. Przebierz się – rzuca i odwraca się, by wyjść. – Jedziemy na kolejną imprezę. Tym razem z moimi rodzicami.

Rozdział 28

Dove

Kiedy tylko King wychodzi, podbiega do mnie Rose z przejęciem w oczach.

– Co to było?

Nie czuję już obecności Cienia. Jakby nigdy go tu nie było. Zostawił mnie jednak z mieszanką emocji, spośród których najsilniejszą jest dezorientacja.

– Naprawdę nie wiem. – Padam na podłogę i wyciągam karteczkę spod ubrań. Rozprostowuję ją. Przedstawia szkic gołębia. Bardzo prosty, być może narysowany przez dziecko, ale całkiem niezły.

– Dziwne – odzywam się, przechylając na bok głowę. – Co to znaczy?

Rose siada na moim łóżku i podciąga kolana do piersi.

– Nie wiem. Miałam nadzieję, że ty będziesz wiedzieć. No bo trochę to dziwne, że akurat gołąb.

Oglądam obrazek ponownie.

– Tak, to dziwne.

Rose schodzi z łóżka i przykłęka przede mną, kładąc mi dłonie na ramionach.

– Mam złe przeczucia co do Kinga, Dove – mówi szeptem, a jej oczy jaśnieją. – Jeśli wziąć pod uwagę zniknięcie Jacka, to sądzę...

– Czekaj – przerywam jej. – Jak to zniknięcie Jacka?

– Nie wiedziałaś? – pyta, unosząc brew. – Zniknął w noc, kiedy Killian zarządził zabawę w chowanego. – Wzdycha. – Nie zapominaj, jak się tu znalazłyśmy. Maya na przykład urodziła się w rodzinie założycielskiej, a mnie zrekrutowano.

Zamieram.

– Zaraz, co to oznacza?

Rose macha ręką.

– Że moja rodzina miała jakieś powiązania z Kiznitch, przez co automatycznie jestem częścią tych wszystkich rodzin. Delila wytłumaczyła mi to pierwszej nocy. Poza tym, Dove – robi kolejny wdech, a na jej twarzy maluje się ból – moja mama żyje. Tylko po prostu mnie nie chce.

Ogarnia mnie gniew.

– No to niech spierdala. Nie potrzebujesz jej.

Rose chichocze, ocierając oczy.

– Miałyśmy rozmawiać o tobie i o tym rysunku, a nie o mnie. – Bierze głęboki wdech. – Wiemy już, dlaczego ja tu jestem, ale dlaczego ty tu jesteś, Dovey? To mnie przeraża.

Ma rację. Głowiłam się nad tym, odkąd spotkałam Delilę. Kiedy obudziłam się w celi, spodziewałam się, że sprzedadzą mnie jako niewolnicę czy coś w tym stylu. W ogóle nie spodziewałam się wciągnięcia w tak dziwny świat. Poza tym, skoro Jack zniknął tamtej nocy, dlaczego nikt o tym nie wspomniał? Dlaczego w ogóle tego nie zauważyłam? Spośród wielu osób, które tu widuję, Jack wywarł na mnie konkretny wpływ, więc powinnam była się zorientować, że coś jest nie tak.

– Rose – mamrocze. – Wiem. Dzieje się coś dziwnego, ale muszę przygotować się na tę imprezę, a nie chcę, żeby King wpadł tu i przyłapał nas na rozmowie na ten temat. Znajdę cię, kiedy wrócę, dobrze?

Wstaje, rzucając na mnie cień swojego smukłego ciała.

– Dobrze, Dove, tylko bądź ostrożna. Słyszałam, że rodzina Kinga jest jak rodzina królewska.

– Jak to? – Łapię ją za rękę. – Co masz na myśli?

– Rodzina Braci z Kiznitch jest rodziną królewską, ale Axtonowie to jakiś wyższy poziom. Jego ojciec jest jak Don Vito, jebany Ojciec chrestny. Mają swoje... – Milknie. – Nic nie wiesz, prawda? – Kręcę głową. – Później ci opowiem, czego się dowiedziałam. Choć nie ma tego wiele.

– Czeka! – powtarzam, kiedy zbiera się już do wyjścia. – Musisz iść na tę imprezę.

– Nie może – wtrąca się Maya stojąca za Rose. – To wbrew prawu.

– Prawu? – pytam i podchodzę do dziewczyn. – Nie rozumiem.

– Wiem, i na tym im właśnie zależy. – Maya patrzy na mnie tak długo, że aż robię się niespokojna. – Poszłabym z tobą – wzdycha. – Ale Kaius przeraża mnie na śmierć. A Dahlia, mama Kinga, jest jeszcze gorsza.

– Dzięki – bąkam, przeczesując włosy palcami. – Bardzo mi pomagasz.

Maya przewraca oczami.

– Powinnaś czuć się szczęściarą: to oczywiste, że nie zabili cię jeszcze z jakiegoś konkretnego powodu. – Maya milknie, po czym pyta: – Zakochałaś się w nim?

Zamieram i rzucam jej spojrzenie.

– Co?

– Kurwa, zakochałaś się w nim. – Zbliżyła się do mnie, ujmując moją twarz w dłonie. – Nie wolno ci, Dove. Musisz się chronić. Nie możesz ufać ani jednemu jego słowu.

Chciałabym powiedzieć jej, że nie wie, o czym mówi, ale... Ma przecież rację. Może przez te kilka tygodni spędzonych w jego towarzystwie faktycznie rozwinęłam w sobie jakieś uczucia wobec tego faceta, ale trudno, żeby było inaczej, skoro tak mnie podnieca. A ponadto wiem już, jak smakuje.

– Maya – odzywa się z tyłu King, na co dziewczyna cichnie, ale się nie wzdryga.

Nie boi się go, co jest ciekawe, skoro boją się go wszyscy, których dotąd poznałam.

– Wyjdź.

W tym samym momencie wraca to jej leniwe spojrzenie.

– Przyjdź do mnie po imprezie. – Odwraca się do Kinga. – Bo ona wróci.

– Może – odpowiada beznamiętnie King. – A może nie.

Jak tylko Rose z Mayą wychodzą, rzucam mu spojrzenie.

– Co mam na siebie założyć?

Rozdział 29

Dove

Pamiętam, że moja mama uwielbiała świece. Nie na zasadzie „zapalę sobie świeczkę dla podkreślenia nastroju” – miała na ich punkcie prawdziwą obsesję. O ile dobrze kojarzę, to w domu było ich chyba więcej niż żarówek. Wciąż pamiętam tę mieszankę zapachów: przypalana skóra plus słodka lawenda. Do pewnego stopnia działała na mnie kojąco.

Nie widziałam tak wielu świec od dzieciństwa, dlatego kiedy weszliśmy do domu rodziców Kinga, od razu przypomniały mi się tamte czasy. Po lewej stronie jakiś młody chłopak bez koszulki grał subtelną melodię na fortepianie. Miał kwadratową szczękę, a pod oczami rozmazany czarny tusz. Kiedy spojrzał na mnie spod przymkniętych powiek, zauważyłam jego zapadnięte policzki. Nasze spojrzenia spotkały się, na co uśmiechnął się delikatnie kącikiem ust. Wzdrygnęłam się, pocierając dłońmi o ramiona.

– King! – woła Killian wchodzący w głąb domu, podczas gdy King właśnie się cofa.

Odwraca się, po czym strofuje Killiana wściekłym tonem:

– Zamknij się, kurwa, i pilnuj swojego miejsca w szeregu, braciszku. – Spogląda na mnie. I znów na niego. – Pilnuj jej.

– Myślałem, że masz wyjebane – zwraca się do niego Keaton zza moich pleców.

King rzuca mu spojrzenie.

– Nie przed tobą odpowiadam. – Odwraca się i znika za rogiem.

Przez całą drogę był podenerwowany. Bardziej niż zwykle. Nie znam ani Nowego Orleanu, ani stanu Luizjana, ale okolica, w której mieszkają jego rodzice, ma bardzo wiejski charakter. To jakieś pół godziny drogi od miasta, gdzie mieszka Delila. Wydaje mi się, że Killian wspomniał nawet nazwę tej miejscowości: Destrehan. Ich dom to okazała, współczesna rezydencja pośrodku podstarzałego

pola. Powiedziałabym, że wyróżnia się spośród pozostałych kolonialnych domów stojących nieopodal. Wszystko jest przeszkłone i utrzymane w odcieniach bogatej, głębokiej czerwieni. Stonowany wystrój cechuje natomiast delikatność przywodząca na myśl kameralną restaurację.

Keaton łapie mnie za ramię.

– Trzymaj się mnie, Dove.

Zbliżam się do niego, ale nie na długo, ponieważ Killian ciągnie mnie ku sobie. Nagle czuję się jak zabawka, którą nikt nie może się nasycić. Przypomina mi się obrazek gołębia, który pali mnie teraz, ukryty w moim staniku.

– Powinna być z kimś, kto potrafi podjąć obiektywną decyzję.

– Czyli ze mną – odzywa się Kyrin, obejmując mnie od tyłu i przyciągając do swojej piersi.

– Nie, nie – odpiera Killian. – Miałem na myśli kogoś obiektywnego, a nie kogoś, kto ją zabije.

– To może ja? – odzywa się ktoś z tyłu.

Odwracamy się, by na niego spojrzeć. Gość, który grał na fortepianie, stoi, gapiąc się na nas. Jest mniej więcej tego samego wzrostu co King i cechuje go niesamowite podobieństwo do fascynującego mnie mężczyzny.

– Ech – wzdycha Killian. – No nie wiem, Kohen.

Kohen bierze łyk białego alkoholu z kieliszka, po czym się uśmiecha.

– Dlaczego nie?

Spoglądam na jego tułów. Wygląda niemal identycznie jak King, tylko nie ma tatuaży. Nie mogę dostrzec rysów jego twarzy przez makijaż i tusz pod oczami. Tak czy inaczej, na pewno jest spokrewniony z Kingiem. Kiedy mija nas kelner, Kohen odwraca się do nas tyłem, by zabrać z tacy kolejny kieliszek. Ma na sobie ten sam tatuaż co reszta chłopaków i mama Killiana, tylko jego jest ogromny, na całe plecy. Każdy z rogów gwiazdy sięga wręcz krawędzi jego ciała.

Odwraca się, podając mi kieliszek. Spoglądam najpierw na drinka, a potem na chłopaka.

– Dla mnie?

Uśmiecha się i macha drugą ręką.

– Jasne. Niezłe maniery mają te pojeby, skoro jeszcze nie zaproponowali ci drinka.

Kiedy oblizuję wargi, śledzi wzrokiem ruch mojego języka. Powoli wyciągam rękę po kieliszek, nie odrywając od niego oczu.

– Zostanę z Kohenem. Możecie iść.

Podoba mu się to, co widać po dumnym uśmiešku i po tym, jak się wyprostował.

– Ptaszynko – mamrocze Killian, a ja od razu zauważam zmieniający się wyraz twarzy Kohena. Teraz na jego pięknie umalowanych rysach maluje się szok, jakby coś sobie uświadomił.

– Ptaszynko? – pyta, ale bez gniewu. Albo przynajmniej nie ujawnia go. Jest raczej... zaintrygowany.

– Kurwa – klnie Killian. – Kohen, ona musi zostać z nami. Na pewno teraz już to rozumiesz. – Wygląda na to, że rozumieją się bez słów, tylko jak zwykle ja nie wiem, co się dzieje.

Biorę spory łyk drinka.

– Nic mi nie będzie. Jestem tu dopiero od pięciu minut.

Kohen łapie mnie za rękę. Orientuję się, że moje palce mimowolnie się rozszerzają, tak aby nasze dłonie mogły się spleść.

– Chodź, Ptaszynko. Poznaj moich rodziców.

– Rodziców? – pytam, spoglądając na niego, kiedy idziemy przez główny przedpokój do salonu. Wyciąga rękę w stronę kobiety i mężczyzny siedzących na fotelach wyglądających, jakby zaprojektowano je dla pary królewskiej. W pokoju są też inne osoby, ale jestem tak poruszona emanującą od tej dwójki siłą, że, niczym w transie, nie dostrzegam ich.

Zagubiona.

Być może w niebezpieczeństwie.

– Tak – oznajmia Kohen. – Mamusia i tatko!

Kurwa. To muszą być rodzice Kinga, czyli Kohen to jego brat. Kurwa mać do kwadratu! King chyba nie wspomniał nic o rodzeństwie. A może tylko mi się wydawało? Wygląda na to, że sobie to uroiłam.

Kohen ściska moją dłoń mocniej i odwraca mnie ku sobie. Nie mogę oddychać. Moja pierś faluje ociężale, kiedy spogląda mi głęboko w oczy.

– Ptaszynko – szepcze, jakby zdarł sobie gardło, krzyżąc to słowo.

Zatracam się w jego spojrzeniu. Oczy Kinga są jak płonąca zieleń, podczas gdy Kohena są czarne jak smoła. Przerażające, ale jednocześnie jest w nich jakiś spokój, który mnie przyciąga. Jak małego, głupiego ptaszka.

– Czy ja cię znam? – odzywam się szeptem wpatrzona w niego.

Wypuszcza powietrze z płuc, muskając opuszką kciuka moją dolną wargę.

– Ty...

– Kohen! – warczy skądś King.

Natychmiast odsuwam się od tego chłopaka jak od płomienia, który sparzył moją skórę.

Od razu zauważam Kinga. Nienawidzę się za to, że pragnę, by dotknął mnie tam, gdzie właśnie dotykał mnie Kohen. By zastąpił jego dotyk swoim. *Cholera jasna. Dlaczego zachowuję się jak pijana?*

W pokoju zapada cisza, wszelkie rozmowy milkną. Zawieszam wzrok na rodzicach Kinga. Dahlia patrzy wprost na mnie. To pewnie po niej Kohen odziedziczył te ciemne oczy, a jej długie, brązowe włosy wyglądają, jakby przesadziła nieco z prostownicą. Jest bezbłędnie odstrasająca – mimo że nawet się jeszcze nie odezwała.

– Kingston – zwraca się do Kinga. – Czy muszę o to pytać?

Kohen przestępuje z nogi na nogę i staje przede mną.

– Obietnica to obietnica, matko.

Co tu się, kurwa, dzieje? Rozglądam się w poszukiwaniu Killiana. Kiedy dostrzegam go, stojącego wraz z Keatonem i Kyrinem, uspokajam się trochę.

– Hmm, może. – Pstryka palcami. – Dove Noctem, podejdz, proszę. Niech ci się dobrze przyjrę.

Zamieram i po chwili wycieram ręce w swoje białe, obcisłe jeansy. Odsuwam się od Kohena i zaczynam iść w jej kierunku, ale on łapie mnie za ramię.

– Dove. – Patrzy na mnie z uniesionymi brwiami i czołem zmarszczonym z dezorientacji.

Chciałabym zobaczyć, jak wygląda bez tego makijażu, ale skłamałabym, gdybym powiedziała, że nie udała mu się ta maska szalonego pirata.

Próbuję uwolnić rękę z jego uścisku. Bezskutecznie. I wtedy to zauważam: spokojny, bezpośredni chłopak, którego poznałam przed

kilkoma minutami, zmienił się w kogoś zupełnie innego. Upiornego wręcz. Spogląda na swoich rodziców.

– Ona nie jest Dove.

– Że co, proszę? – pytam, wpatrzona w jego oczy. – Co...

– Owszem, jest – odpowiada King ze wzrokiem utkwionym w Kohena. – Przebywałem z nią nie raz. To Dove.

Kohen szarpnięciem przyciąga mnie do swojej piersi, ale wyciągam rękę, żeby odepchnąć się od niego i zachować dystans.

– Naprawdę, braciszku? Miałbyś coś przeciwko, gdybym zweryfikował tę teorię? – Kohen nie czeka na odpowiedź Kinga i natychmiast przywiera ustami do moich warg. Zamykam oczy, nie odwzajemniając pocałunku, a w myślach liczę do dziesięciu.

Jeden. Oczami wyobraźni dostrzegam rzekę i tę samą rudowłosą dziewczynkę co wcześniej.

Dwa. Odwraca lekko twarz. Próbuję się jej przyjrzeć, jednocześnie moja ręka łąduje na karku Kohena, a głowa przechyla się, żeby ułatwić mu dostęp do moich ust.

Trzy. Dziewczyna wreszcie staje do mnie twarzą, ale to nie ja. Wygląda jak ja, tylko inaczej. Wsuwam mu język do ust, na co on przyciąga mnie do siebie mocniej.

Cztery. Dziewczynka macha, na jej twarzy maluje się szeroki uśmiech. Jej policzki znaczą dwa dołeczki, ale to nie do mnie macha.

Pięć. Powoli się odwracam, żeby zobaczyć, do kogo macha. Widzę dwóch chłopców, nieco starszych od nas.

Sześć. Jeden ma na głowie bejsbolówkę odwróconą daszkiem do tyłu, a drugi niewielką fedorę.

Siedem. Kohen unosi mnie, a ja obejmuję go nogami w biodrach. Trzymam się go mocniej, pogłębiając pocałunek. Chłopiec w czapce podchodzi do mnie. Coraz bliżej. Wygląda znajomo. Kurewsko znajomo.

Osiem. Uśmiecha się tak promiennie. Jego proste, białe zęby wręcz błyszczą w słońcu. Drugi natomiast mija mnie i podchodzi do tej drugiej rudowłosej dziewczynki.

Dziewięć. Kim ona jest? Nie wiem. Ten chłopiec jest już niemal przede mną. Ujmuje mnie za brodę i unosi moją twarz ku sobie.

Dziesięć. „Kohen znowu coś zjebał i teraz mama z tatą się kłóca”.

Odkakuję od Kohena, odpychając go od siebie.

– Co się właśnie stało? – Ocieram usta i szukam wzrokiem Kinga.
– Co to, kurwa, było?

King patrzy na mnie gniewnym wzrokiem, ale w jego oczach dostrzegam coś jeszcze.

– Mówiłem – oznajmia zupełnie bez emocji. – To Dove.

Zwracam się ponownie w stronę Kohena, który obserwuje badawczo moje oczy.

– Skąd ja cię znam? I ciebie! – Odwracam się, by wskazać ręką na Kinga. – Znam cię, do kurwy nędzy!

– Nie, nie znasz – odpowiada, po czym bierze szklankę whisky i wypija jej zawartość jednym haustem. Przeczesuje włosy palcami i pokazuje Kohena. – To jego znasz. – Widziałam już Kinga w takim stanie, choć nie w ostatnim czasie. Nawet kiedy emanował tą swoją nieprzystępnością w kamperze, nigdy nie był zimny. A teraz zachowuje się tak, jak wtedy, gdy spotkałam go po raz pierwszy w klatce.

Kręcę się dookoła ze łzami napływającymi do oczu.

Słyszę westchnienie jego mamy, która po chwili do mnie podchodzi. Wyraźnie przewyższa mnie wzrostem. Na pewno ma ponad metr osiemdziesiąt.

– Jesteś Dove Noctem i, co więcej, moja mała wiedźmo – chwytam mnie paznokciami za brodę – nie jesteś tu mile widziana.

– Zrobiłem, o co prosiliście – odzywa się King, spoglądając na ojca. – Goniłem za tą suką przez większą część jej jebanego życia, rozkochałem ją w sobie na tyle, by zechciała tu ze mną przyjechać, i dopilnowałem, by Kyrin jej nie zabił. – Rzucam spojrzenie Kyrinowi, który wzrusza ramionami, podczas gdy King wbija mi coraz głębiej nóż w pierś. – No i nie zapominajmy o jej cholernych rodzicach.

Ocieram łzy spływające mi po policzkach.

– Czyli to wszystko ustawka... – szepczę, zaciskając mocno powieki. Chcę krzyknąć i kopać. Dowiedzieć się, co się tu, kurwa, dzieje. Dlaczego znam ich z mojej przeszłości. I gdzie podziała się reszta moich wspomnień. Po tym, jak zamordowano moich rodziców, żyłam w traumie latami. Moja rodzina zastępcza załatwiła mi terapię, głównie żeby pomóc mi odzyskać mowę. Bo nie odzywałam

się całymi latami. *Kiedy tylko się odezwiesz, Dovey, będę słuchał. Zawsze będę tam, gdzie ty.* To wystarczyło, by uciszyć mnie na długo.

Kiedy zaczęłam pracę w barze, poznałam nowych ludzi. Poczułam się przy nich względnie pewnie. Stali się moją rodziną, bezpieczną przystanią. Do dziś jednak potrafię stracić mowę pod wpływem stresu, choć dawno się to nie zdarzyło.

– Byłem pewien, że nie pozostaniesz na nią obojętny, synu. – Ojciec Kinga wstaje ze swojego tronu. Nikt nawet nie pisnie. – Ale kolejny raz dowiodłeś, że jesteś silniejszy, niż myślałem.

– Czekaście. – Keaton wślizguje się przede mnie. – Nie możecie jej zabić.

King rzuca mu spojrzenie. *Naprawdę chciał mnie, kurwa, zabić?* Wszystko, co myślałam, że wiem o Kingu, było kłamstwem. Skurwysyńskim *KŁAMSTWEM*.

– Kłamca – szepczę, ale po chwili dławię się słowami. Wpatruję się w zadbaną marmurową posadzkę w poszukiwaniu odpowiedzi, których wiem, że nigdy nie otrzymam. Czuję, jak pod moją skórą kipi gniew. – Wszystko, co mi kiedykolwiek powiedziałeś, było kłamstwem! – wykrzykuję w twarz Kingowi, gdy wbija we mnie intensywny wzrok.

Odpowiada mi z uśmiechem:

– Czyżby?

– Pierdol się! – krzyczę, padając na podłogę. Zakrywam twarz dłońmi, kołysząc się w przód i w tył.

– Nie możecie jej zabić – powtarza Keaton.

Zapadam się w swojej rozpacz.

– Wiem, że chcecie to zrobić z powodu zadawnionego konfliktu, ale nie możecie.

Wiedziałam, że King jest twardy, dziki. Ale nie sądziłam, że jest bezduszny.

– Niby dlaczego, Keaton? Proszę, wyjaśnij mi, dlaczego nie mogę zabić kogoś, kto należy do rodziny, która uparcie próbowała zniszczyć i zdemaskować bractwo? Rodziny, której szurnięta, psychopatyczna matka złamała całą masę praw, a potem urodziła dziewczynkę, która z zimną krwią chciała zabić moje dziecko we śnie? Zgodnie z umową on miał znaleźć jej dom zastępczy, a nie uciekać i ukrywać się z obojgiem! Nie żywię już gniewu – wypluwa

sarkastycznie ojciec Kinga. – Nie chcę krzywdzić tej dziewczyny, ale to, czego chcę, a to, co muszę zrobić, to dwie różne rzeczy. Wyrządziła krzywdę. Była złym dzieckiem. W niczym nie przypominała swojej siostry.

– Ale Dove nie miała wpływu na to, co się stało między nią a Kohenem, kiedy byli dziećmi. Nie była normalna. Zawsze wynajdywali sobie jakieś chore zabawy, w których sprawdzali, jak daleko są w stanie się posunąć. Jasne, że jej wpływ na Kohena był toksyczny, ale to nie znaczy, że zamierzała go zabić, gdy wepchnęła go do jeziora. Była tylko dzieckiem, a poza tym nie możecie jej zabić, ponieważ... – Choć Keaton mówi dalej, dociera do mnie tylko niewyraźny bełkot.

Musiał przyklęknąć obok mnie, bo czuję na ramieniu jego rękę.

– Od kiedy to najnikczemniejszy z nich ma serce? – odzywa się mama Kinga.

I tak jest już za późno. Jestem martwa wewnątrz. Otępiała. Owiewa mnie chłodny podmuch, a moje usta się zamykają.

Nie chcę walczyć. Kiedy w życiu tylko walczysz – żeby przeżyć, oddychać, istnieć – w końcu się męczysz. I ja jestem już zmęczona. Wyczerpana. Nie wiem, skąd znam Kinga i Kohena, ale jestem już na to zbyt zmęczona. Chciałabym wrócić do Midnight Mayhem. Tylko czy Delila w ogóle by mi pomogła? Czy może od początku była w to zamieszana? Nikomu nie mogę ufać.

Nikomu.

– Dove? – szepcze mi do ucha Keaton. – Musisz się skupić.

Nie odpowiadam. Moje usta pozostają zamknięte siłą mojej niechęci do podporządkowania się. Po co mam cokolwiek mówić, skoro wszystko wokół mnie to fałsz?

– Keaton – odzywa się jakiś mężczyzna z tyłu.

Nie wiem, kto to, jestem uwięziona we własnych myślach, tonę w moim żalu.

– Keres – wtrąca się ojciec Kingstona. – Proszę, wysłuchajmy, co twój syn ma do powiedzenia.

Keaton staje prosto, ale wciąż osłania mnie, trzymając rękę na moim barku.

Wciągnij ból wraz z wdechem, pozbądź się agonii wraz z wydechem – przeżyj kolejny dzień.

Po długiej chwili milczenia, zaciska palce mocniej i oznajmia:

– To moja siostra.

– Że co? – pyta z zaskoczeniem chyba ojciec Kinga.

– Przepraszam, tato – mamrocze pod nosem Keaton. – Muszą to wiedzieć, bo inaczej naprawdę ją zabiją.

Na pewno kłamie. Chce, żebym przyłączyła się do tej jego desperackiej próby ocalenia mojego życia. Nie wiem tylko dlaczego. Nie rozumiem, dlaczego Keaton był dla mnie taki miły. Wydawało mi się, że po prostu nie jest taki zły, na jakiego wygląda. A może się myliłam... Może to wszystko jest częścią ich planu. *Nikommu nie mogę ufać.*

– Keres, zechcesz nam to wyjaśnić? – zwraca się do niego Dahlia.

Zbieram się w sobie, by na nią spojrzeć. Byłaby piękna, gdyby nie przepełniała jej nienawiść. Z tymi długimi, ciemnymi włosami i zielonymi oczami tak bardzo przypomina synów, że to aż niepokojące. Ale wystarczy spojrzeć na ich ojca, by wszystko zrozumieć. Po niej odziedziczyli piękno, a po nim męskość.

– Wstań. – Killian chwyta mnie za ramię i podnosi.

Posłusznie opieram się na nim, ale nie chcę na nikogo patrzeć. Ufam Killowi.

– To prawda – odpowiada ojciec Keatona.

Odwracam się, żeby zobaczyć, jak wygląda mężczyzna o tak aksamitnym głosie. Brzmi tak, że przywodzi na myśl gorącą czekoladę w zimny dzień. Ma brązowe, lekko naznaczone siwizną włosy i niebieskie oczy. I muskularną twarz, zupełnie jak Keaton.

A całkiem inną od mojej.

– Jej matka jej nienawidziła – wyjaśnia Keres, ale patrzy na mnie.

– Były zrodzonymi z miłości dziećmi Klausa i Ash.

– Czekaj! – matka Kinga pstryka palcami. – Chcesz mi powiedzieć, że ta dziewczyna jest jedną z Kiznitchów, a nie małą wiedźmą? – Wzdycha. – To nadal nie zmienia faktu, że jest niezrównoważona psychicznie i chce nas zniszczyć. Stanowi balast. Zrobimy po prostu dla niej wyjątek.

Keres kręci głową i kieruje na nią wzrok.

– Dobrze wiesz, jak działa ten świat, Dahlia. Jej ojciec, który nie był Kiznitchem z krwi... – Milknie. Dostrzegam jakieś poruszenie

wśród zebranych. Dlaczego wciąż mówią „one”? – Ona zginęła, ale ta nie.

– Ta, czyli która? – dopytuje King, ale nie patrzę na niego.

Nie chcę. Nie chcę już obdarzać go swoją uwagą. Niczym bankrut żadnej już dla niego nie mam.

– Dove, przepraszam za to, co spotkało ciebie i twojego ojca. – Keres podchodzi do mnie z rękami w kieszeniach spodni. – Ash kocha ciebie i twoją siostrę. – Zmarszczki wokół jego oczu pogłębiają się.

– Dobra – odpowiadam łamanym jak popękany cement głosem. Nie mogę się doczekać, by poznać tę Ash. Żeby zadać jej parę pytań. Na tę chwilę jednak nie czuje z nią żadnej więzi emocjonalnej.

– Dove – odzywa się cicho Kohen za mną.

Odwracam się do niego, ignorując wszystkich pozostałych, a zwłaszcza Kinga.

Patrzy na mnie intensywnie, aż świat wokół spowalnia na kilka sekund. Wreszcie otwiera usta:

– Masz jeszcze ten ślad po oparzeniu nad biodrem?

– Co? – pytam zdezorientowana.

W jego oczach pojawia się jakaś iskra, jakby ogarniało go poczucie zwycięstwa.

– Masz jeszcze ten ślad po oparzeniu nad biodrem?

Unoszę koszulkę, jak gdybym sama nie znała odpowiedzi.

– Nie? – Przejeżdżam kciukiem po mojej nagiej, gładkiej skórze.

W pomieszczeniu zapada cisza.

Keaton wciąga gwałtownie powietrze.

– O kurwa! – wykrzykuje Killian.

– Jezu Chryste. – Dahlia rozmasowuje skronie i siada z powrotem na tronie.

Wszyscy przyglądają mi się w zdumieniu.

– O mały włos, a doszłoby do tragedii – wzdycha matka Kinga.

– Dlaczego mnie o to zapytałeś? – pytam Kohena szczerzącego się jak Kot z Cheshire.

– Bo Dove Hendry poparzyła się w Boże Narodzenie tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiątego ósmego roku po tym, jak wpadła do paleniska ogrodowego.

– Nic takiego mi się nie stało – odpieram. – To znaczy, nie pamiętam czegoś takiego. Ale ja w ogóle niewiele pamiętam.

– Co ty, kurwa, nie powiesz – warczy Dahlia. – Stracimy go... – szepcze, a mimo to i tak wyraźnie ją słyszę.

– Nie – mamrocze Kohen. – Nie oparzyłaś się. Nie jesteś moją tygrysią.

– Nie rozumiem. – szepczę, gdy on do mnie podchodzi, a pokój nagle robi się mniejszy.

– Bo ty nie jesteś Dove Hendry

– Co? – wypalam z irytacją. – Oczywiście, że jestem!

Kohen kręci głową. Spogląda na kogoś za mną.

– Nie, nie jesteś. Poznałbym cię, bo Dove była moją dziewczyną. To nie ty.

Odwracam się. Zauważam Kinga stojącego sztywno, bez ruchu, i bladego jak ściana.

– Wyjaśnij mi to! – zwracam się do Kohena, który patrzy na mnie tym swoimi kłamliwymi oczami.

– Nazywasz się Persephone Noctem Hendry, a nie Dove Noctem Hendry. I nie jesteś moją dziewczyną. – Znów rzuca spojrzenie przez moje ramię, wskazując Kinga. – Tylko jego.

Rozdział 30

King

Po tym, jak kazałem wszystkim spierdalać, łączę teraz tam i z powrotem po gabinecie mojego ojca. Dove – kurwa – Persephone wciąż siedzi w salonie. Tym razem rozmawia z Keatonem i Keresem. Jej imię zawsze wydawało mi się kurewsko dziwne. Dlatego zawsze mówiłem do niej „P”.

– Nie ma mowy, że to ona – mamroczę, przeczesując włosy palcami. – P nie żyje, do kurwy nędzy. I właśnie dlatego zajebałem jej starych! – Spoglądam na tatę. Są tu też Keres, Kratos i Kallisto, razem z Kyrinem i Killianem.

Tata wypuszcza powietrze z płuc i wkłada cygaro do ust.

– Nie ma blizny po oparzeniu, synu. Byłeś przy tym, gdy to się stało Dove. Mogła nawet zginąć. Trafiała do szpitala z poważnymi poparzeniami. Takie blizny nie znikają. Nie ma innego wyjaśnienia, a poza tym – sprawdza cygaro, po czym zerka na mnie – twój brat wiedział.

– A ja to, kurwa, nie? – odpieram. Daję upust złości, bo skoro Kohen wiedział, to dlaczego, do kurwy, ja nie wiedziałem?

– Pieprzyłeś ją? – pyta tata, czym nieco zbija mnie z tropu.

– Tak – odpowiadam w złości.

– Pieprzyłeś ją, choć myślałeś, że to Dove? – Teraz będzie mnie osądzał, przemądrzały chuj.

– Co mam powiedzieć? – dodaję oschle. – Byłem wygłodniały.

Przygląda mi się uważnie.

– Udam, że tego nie powiedziałeś. Kohen się o tym nie dowie. Ale ta dziewczyna to naprawdę nie Dove Hendry, tylko Persephone. Twój brat będzie musiał teraz pogodzić się z faktem, że Dove od dawna nie żyje, a tą, która przeżyła, jest właśnie Persephone.

Uderzam pięścią w ścianę. Czuję, że powoli zaczynam tracić panowanie nad sobą. Wszystko wokół mnie się wali.

– Jak możemy pomóc jej odzyskać wspomnienia, które odebrał jej Keres? – pytam, wydymając usta. Spoglądam na ojca. – Poza tym Kohen jest na skraju obłądu. Rozpoznał ją dopiero, kiedy jeden z nich nazwał ją „Ptaszynką”. – Wszyscy wołali tak na nie obie. Dezorientujące to, ale przynajmniej wygodne.

Keres zerka na mnie. Jego ostre rysy nieco łagodnieją.

– To była prosta hipnoza. Jak w przypadku leczenia uzależnienia. Nie odebrałem jej wspomnień. Sprawilem tylko, że poczuła, jakby w ogóle ich nie potrzebowała po tamtym incydencie. – Wstaje i nalewa sobie whisky. – Jeśli je odzyska, przypomni sobie wszystko, King. *Wszystko*. Na pewno tego chcesz? – Odwraca się do mnie, po czym kieruje wzrok na mojego ojca. – Stałaby się balastem. Nie zna naszego życia. Nigdy go nie poznała. Nie zna kodeksu, według którego żyjemy, ani nie została wprowadzona w swoje obowiązki jako członkini rodu Kournikova. Jej ojciec miał do niej słabość, a matka była tylko cywilną dziwką.

– *Nie możesz, P. Rodzice się dowiedzą. – P wzruszyła malutkimi ramionami z pełnym przekornej figlarności uśmiechem na delikatnych ustach.*

– *No i co? – odpowiedziała. – Dopóki jestem najlepsza w klasie, mamy nie obchodzi, co robię.*

Spojrzałem na nią uważnie. P zawsze miała tylko psoty w głowie. Uwielbiała droczyć się z innymi, dręczyć ich i doprowadzać do białej gorączki, by po chwili obłaskawiać ich swoim urokiem. Oby tylko nie zaczęła zabawiać się z nimi inaczej, kiedy podrośnie. Bo Persephone Hendry została stworzona dla Axtona. I to nie byle jakiego – bo dla mnie. Otrzymała imię po greckiej bogini, żonie Hadesa, z którym rządziła zaświatami. Urodziła się, by być wrzodem na dupie. Oczywiście mojej.

– *P, przestań, proszę! – szepnęła Dove, zjawiając się nagle w pokoju.*

Dove i Perspehone Hendry były bliźniaczkami jednojajowymi i jak na takie przystało, wyglądały identycznie. Jednak to właśnie na wyglądzie podobieństwa między nimi się kończyły. Dove cechowała powściągliwość. Była spokojem, dla którego P, jako chaos, stanowiła przeciwieństwo. Gdziekolwiek się pojawiały, spokój emanujący z jednej zawsze mieszał się z chaosem rozsiewanym przez drugą.

P huštała się coraz wyżej na starej huśtawce zaczepionej przerdzewiałymi gwoźdźmi do wiekowego drzewa przy ich domu.

– P! – warknąłem, widząc, że próbuje wzbić się jeszcze wyżej. Kręciłem się wokół huśtawki, pełen gniewu. Spojrzałem na nią. – No zwolnij, kurwa.

Zaśmiała się tak głośno, że jej chichot poniósł się echem po okolicznym lasku – zapewne docierając też do plaży z drugiej strony.

– Ale z was panikarze.

– Jasne, kurwa! – wrzasnąłem.

Doskonale wiedziała, jak lekkomyślny byłem. Ale bycie lekkomyślnym, a pozwalanie jej na lekkomyślne zachowanie to dwie zupełnie inne rzeczy.

P przewróciła oczami i uspokoiła huśtawkę, aż wreszcie ta się zatrzymała. Dziewczynka podeszła do mnie i swoją małą dłonią objęła moją zaciśniętą pięść.

– King, nie możesz się wiecznie gniewać na cały świat. – Była mądra jak na dziewięciolatkę. A na pewno mądrzejsza ode mnie, choć miałem jedenaście lat.

Uniosłem moje pokryte odciskami knykcie do jej delikatnych policzków.

– Będę, dopóki tobie będzie cokolwiek zagrażać z jego strony.

Nachyliła się ku mojej dłoni, a w tym samym momencie jej mama wyszła na werandę.

– King, rodzice wołają cię na kolację.

Wyszedłem wtedy. I był to ostatni raz, kiedy widziałem Persephone Hendry. Tamtego dnia zaczęła się moja żaloba po niej. A potem okazało się, że opłakiwałem nie tę siostrę. To był koniec mojego świata. Mój umysł zamknął się, odcinając wszystkich. Teraz, kiedy okazało się, że jednak żyje, na samą myśl kręci mi się w głowie. Wiem jednak, że zjechałem. A gdy odzyska wspomnienia, będę miał jeszcze bardziej przejebane – bo przypomni sobie wszystko o nas i poczuje się tylko mocniej zraniona faktem, jak chujowo ją ostatnio traktowałem.

Rozdział 31

P

– Muszę wiedzieć, co się stało, Keaton – szepczę. – Rozumiem, dlaczego skłamałeś, mówiąc, że...

– To nie było kłamstwo. – Siada obok mnie na kanapie i podaje mi szklankę czegoś brązowego. – Jestem twoim przyrodnim bratem, Persephone.

Wzdrygam się na dźwięk tego imienia.

– Przepraszam, wołałabyś, abym zwracał się do ciebie „Dove”? Wydaje mi się to dziwne, kiedy wiem już, że nią nie jesteś.

Milknę. Przechyliłam głowę, przyglądając się jego rysom. Nie wydaje mi się, żebyśmy byli do siebie podobni. Choć z drugiej strony on wdał się zdecydowanie w ojca. Może przypominam naszą matkę. *Ale bałagan*. Wszystko, co wydawało mi się, że wiem o moim pochodzeniu i rodzinie, było iluzją. Moja matka nie była moją prawdziwą matką. Teraz już rozumiem, skąd ten jej dystans do mnie.

– Jak ona wyglądała? – pytam, skupiając wzrok na światłach rozjaśniających basen na zewnątrz.

– Ona żyje.

Moje serce zaczyna szybciej bić.

– Słuchaj, Persephone. Kurwa. Mogę cię tak nazywać?

Kiwam głową, biorąc łyk.

– W porządku. Trochę mi zajmie, zanim się przyzwyczaję. Wciąż tego nie rozumiem, ale rzeczywiście od zawsze czułam jakiś dyskomfort w związku z imieniem „Dove”. Wydawało mi się ono...

– Zbyt łagodne? – żartuje Keaton, pocierając dłonią swój wytatuowany kark.

Prycham.

– Tak, łagodne.

– Wszystko ci opowiem. – Wypija drinka jednym haustem. – Co pamiętasz z dnia, kiedy się przeprowadziliście?

– W ogóle go nie pamiętam – szepczę wstrząsana dreszczem.
– To dlatego, że nie chcieli, byś pamiętała – mamrocze Killian stojący w wejściu.

Wstaję, kierując na niego wzrok.

– Dlaczego?

Patrzy na mnie. Po raz pierwszy, odkąd go poznałam i uwikłałam się w to pojebane życie, wygląda normalnie. W jego słowach nie wyczuwam żadnego podstępu, a w jego łagodnym uśmiechu nie dostrzegam ani krzty złości.

Spogląda przelotnie przez ramię i wskazuje na kanapę.

– Usiądź.

Wykonuję jego polecenie, a on podchodzi do mnie, przeczesując włosy.

– Od jakiegoś czasu nachodzą cię wspomnienia, prawda?

– Tak – odpowiadam, wykręcając palce ułożonych na kolanach rąk. – Nawet nie tyle wspomnienia, co bardziej uczucia i obrazy. Jakbym przypominała sobie coś, co czułam kiedyś, a do tego widzę na przykład szopę nad oceanem. Tego typu rzeczy.

– Dobrze. – Killian ujmuje moją brodę palcami. – Kiedy całowałaś się z Kingem, przypominałaś sobie coś więcej?

Kręcę głową.

– Nie wiem. Miałam sny, kiedy już poszedł. Ale te wspomnienia nachodziły mnie przeważnie w twojej obecności.

Na jego twarzy maluje się uśmiešek.

– Domyśliłem się.

– Kurwa, wiedziałaś?

Zaskakuje mnie głos Kinga. Nie chcę na niego patrzeć ani dawać mu satysfakcji moją uwagą.

– Wiedziałaś, kim jest?

Killian wciąż trzyma dłoń na mojej brodzie. Nie odrywam od niego wzroku.

– Tak – odpowiada, oglądając się przez ramię. – Ale nie od razu. Dopiero kiedy to zobaczyłem.

– Czyli, kurwa, co? – krzyczy King.

Nadal nie rozumiem, dlaczego się złości. Jeszcze niedawno był gotów podać mnie swojemu ojcu i matce na tacy jak posiłek złożony z sześciu dań.

Killian śmieje się, kręcąc głową.

– To, co się działo między wami dwojgiem, debilu. A najlepsze, że ty tego nie widziałeś, King. Jesteś tak cholernie pozbawiony emocji, że nic nie poczułeś, kiedy powód, dla którego je w sobie stłumiłeś, stanął tuż przed twoim nosem. I to we własnej osobie.

Łzy napływają mi do oczu, ale tłumię je gniewnie. Nie chcę, żeby spłynęły mi po policzkach, obnażając moją bezbronność. *A czy ja poczułam to przy Kingu?* Nie wiem. Coś poczułam, ale zawsze tłumaczyłam to hormonami i reakcją dziewczyny na *takiego* chłopaka.

– Zwróć jej wspomnienia. Natychmiast. – King osuwa się po ścianie i siada na podłodze.

Wreszcie na niego spoglądam. Od razu tego żałuję, bo mam wrażenie, jakby moje serce się otworzyło, aż wydaję z siebie szloch. Jego zwykle ponure i stoickie oblicze teraz przepełnione jest niepokojem i bólem. Może też żalem?

– Przepraszam – szepcze, po czym sięga po butelkę szkockiej i bierze haust.

Ignoruję jego ciche przeprosiny i spoglądam na Killiana.

– Zwróć mi je.

– Spróbuję, ale nie mogę ci niczego zagwarantować. Pamiętaj tylko o jednym, Perse... – King wciąga powietrze przez zęby, a Killian kontynuuje: – Wraz z tymi wspomnieniami wrócą ból i cierpienie, które ci odebrano. Mój ojciec nie usunął tych wspomnień z twojej głowy. Musiałby chyba być wampirem, żeby to zrobić. Po prostu sprawił poprzez hipnozę, żebyś myślała, że nie są ci potrzebne. Umieścił je jakby w pudełku, które odstawił w kącie twojego mózgu, a następnie przekonał twój umysł, by go nie otwierał. Wiedz jednak, Ptaszynko... – Obejmuje moją brodę palcami, żebym skoncentrowała się na tym, co mówi. – Że kiedy pudełko się otworzy, wszystko może wrócić do ciebie dziesięciokrotnie silniejsze. Nagle przypomnisz sobie, poczujesz i przeżyjesz każdą rzecz, która w nim jest. W efekcie potem możesz przestać czuć się sobą.

Tak naprawdę już od dawna nie czułam się sobą, ale gdybym powiedziała to na głos, oznaczałoby to, że wiem, kim jestem. A nie wiem.

– Nie obchodzi mnie to – szepczę, przełykając cierpienie. – Niech się otworzy.

– Połóż się – mówi cicho Killian.

Wykonuję jego polecenie. Gdy tylko przykłada dłonie do moich skroni, ktoś wchodzi do pokoju.

– Pozwól mi, synu, będzie miała większe szanse, jeśli ja to zrobię.

Killian się wycofuje, a jego miejsce zajmuje Keres. Przez chwilę patrzymy na siebie, ale zanim jestem w stanie cokolwiek powiedzieć, oczy odpływają mi do tyłu, a plecy wyginają się w łuk. Obrazy zaczynają pędzić w mojej głowie.

– *King! Tak nie można! Oszukujesz!* – skarciłam go, sięgając ręką do jego kart.

– *Wcale nie, Ptaszynko. To Kohen oszukuje.*

Oczy mi drżą, a głowa przekręca się gwałtownie na boki. Keres szepcze coś w jakimś antycznym języku, sprawnie wymawiając sylaby martwej mowy.

– *Persephone, nie pójdziesz dziś do domku na plaży. Potrzebuję cię w domu.*

Mój oddech się pogłębia.

– *Niech idzie, Klaus. Nie bądź taki władczy.* – Mama podeszła do mnie i przykłęknęła tuż obok. Jej długie, jasne włosy przypominały kurtynę. – *Chcesz iść do domku na plaży, Persephone?*

Potaknęłam skinieniem, trzęsąc się z podekscytowania.

– *Mogę zobaczyć się z Kingiem?* – zapytałam.

Mój ojciec nazywał się Kiznitch, ale nie należał do tego rodu w takim sensie, jak rodzice Kinga, Kohena, Killiana, Kyrina i Keatona. To dlatego czasem nie pozwalali mi i mojej siostrze, Dove, spotykać się z nimi. Bracia z Kiznitch pochodzą z małego miasteczka Kiznitch w Rumunii. Mój ojciec był tak naprawdę cywilem i nie wiem, jak wszedł w ten świat. Natomiast Bracia byli częścią rodziny założycielskiej. Axton, Cicero, Nero, Corneli, Kournikova – oto nazwiska rodów, które założyły Kiznitch. W siedemnastym wieku rodzina Patrova powołała do życia cyrk zwany Midnight Mayhem, aby zapewnić rozrywkę mieszkańcom Kiznitch. Tak przynajmniej wyjaśnił mi to tatuś. Ale King powiedział, że ich występy służyły odwróceniu uwagi od różnych złych uczynków. Rodziny Kiznitch określono jako dzieci i od tamtej pory noszą z dumą swój znak w postaci tatuażu. Cartier miała niedługo mieć swój,

a była dwa lata młodsza ode mnie i od Dove. Po prostu miała szczęście mieć Kyrina za brata. Zawsze ją chronił, choć nie obchodzili go inni. W dodatku podkochiwała się w Keatonie. Kyrin próbował mnie raz utopić, kiedy miałam cztery lata. To wtedy King po raz pierwszy złamał mu nos.

Mama uniosła moją brodę palcem, żebym na nią spojrzała.

– Tak. King i Kohen też tam będą.

– Hura! – zawołała Dove, zbiegając po schodach. – Nie widziałam Kohena wczoraj wieczorem.

Przewróciłam oczami. Nie dlatego, że nie rozumiałam łączącej ją z tym chłopakiem więzi, bo rozumiałam, choć moja i Kinga była mocniejsza. Już jako niemowlęta leżeliśmy w jednej kołysce i wszystkim się dzieliliśmy. Ale im King robił się starszy, tym mocniej się zmieniał. Wraz z upływem czasu stawał się coraz bardziej jak swój ojciec. Pomyślałam, że dopóki miał mnie, dopóty zawsze będzie posiadał w sobie tę część osobowości, którą w nim kochałam.

Mama była dziś jakaś dziwna. Nigdy nie chciała, żebyśmy widywały się z Kingiem i Kohenem. Co więcej, żywiła niechęć do całej rodziny Kiznitch i nawet jej dalszych krewnych. Słyszałam niekiedy, jak ludzie szeptali, nazywając moją mamę wiedźmą. Złą wiedźmą. Rozumiałam, skąd to uprzedzenie, ale miałam dziewięć lat, więc mimo wszystko była po prostu moją mamą. Tłumaczyła mi, że to przez to, że była osobą z zewnątrz. A oni nie dopuszczali do sekty nikogo z zewnątrz. Bo tak ich nazywała: „sektą”. Tatuś natomiast zawsze mówił o nich raczej jako o rodzinie.

Byłam nieco rozdarta. Wiedziałam, że King, Kohen, Kyrin, Keaton, Killian i Cartier byli moją rodziną – ale to by było na tyle.

Wyszliśmy i skierowaliśmy się do samochodu. Kiedy mama wyjechała z podjazdu, odwróciłam się, by popatrzeć na tatę. Im bardziej się oddalaliśmy, tym mniejszy się robił.

Nie mogłam pozbyć się dokuczliwego ucisku w gardle.

Coś było nie tak. Jakby działo się coś złego. Mama nigdy nie zawoziła nas do domku na plaży, a tata nigdy nie zostawiał nas samych na długo. Odwróciłam się do Dove, która obserwowała mijane drzewa. Dostrzegłam jednak w jej oczach to samo – tę niepewność. Spojrzała na mnie, gdy tylko to pomyślałam, a jej oczy zaszły łzami.

– Dove – szepnęłam, ujmując ją za rękę.

Dręczyły ją problemy. Tata powiedział, że czasami nie była „do końca” sobą. Że niekiedy opanowywała ją inna osobowość, która mogła być nawet niebezpieczna. Widziałam to nie raz, ale nigdy się jej nie bałam. Moim zdaniem nie była obłąkana, lecz raczej niezrozumiana.

Ścisnęła moją rękę, natomiast ja spojrzałam w lusterko wsteczne. Matka obserwowała mnie ciemnymi, przymrużonymi oczami. Serce waliło mi jak młotem przez resztę jazdy. Mama skręciła w drogę, która nie prowadziła do domku na plaży. W pewnej chwili sięgnęła do brązowej torebki leżącej na siedzeniu pasażera.

– Mamo? – odezwałam się, bo zawsze byłam tą ciekawską, a Dove zazwyczaj się przysłuchiwała. – Dokąd jedziemy?

Nie odpowiedziała. Zacisnęła mocniej palce na kierownicy naszego aston martina.

– Nie, nie, nie! – krzyczę, szamocząc się. – Nie chcę! Nie chcę pamiętać! – Mój głos jest ochrypły, wydobywa się z mojego wyschniętego gardła, drażniąc struny głosowe.

– Muszę kontynuować, King. Jest już blisko celu. Jak tylko przypomni sobie ten dzień, reszta powinna wrócić sama. Zaufaj mi, synu.

Mama wjechała na długą, żwirową szosę. Kiedy otarłam łzy, zobaczyłam, gdzie jesteśmy. To domek na plaży. Przyjechałyśmy, tylko inną trasą. Może od początku taki miała zamiar, a ja się myliłam. Może miała dla nas jakąś niespodziankę – do Halloween zostało przecież tylko kilka dni.

Wysiadając, nie odezwała się ani słowem.

Ani też kiedy otworzyła drzwi Dove i wyciągnęła ją na zewnątrz. Nagle wszystko zaczęło dziać się jakby w zwolnionym tempie: uniosła lewą rękę, w której trzymała broń, i wycelowała w Dove kręcąc się nerwowo po drodze.

– Mamo? – zakwiliła Dove.

Odbezpieczyła broń i odciągnęła kurek. Moje usta znieruchomiały. Nie byłam w stanie krzyżeć. Wszystko działo się tak powoli. Bam! Bam! Bam-bam! Nagle wydarłam się tak głośno, że poczułam ból w piersi. Moją białą sukienkę pokryły plamy krwi. Serce mi pękło i z oczu popłynęły łzy. Jednocześnie chwyciłam klamkę, by uciec. Otworzyłam drzwi i popędziłam w kierunku budynku, który kiedyś nazywałam domem. Minęłam huśtawkę, na której bawiłam się z Kingiem.

King. Zaczęłam płakać, ponieważ moja udręczona dusza zapragnęła jego obecności. Potrzebowałam go, by się przy nim schronić. Bam! Bam! Strzały padły za mną. Kule jednak minęły mnie i utkwily w płocie z przodu. Postanowiłam skierować się na podjazd przed domem, ponieważ nie był tak daleko, o ile zdołałabym wbiec na główną drogę lub na teren sąsiadów. Strzały ucichły. Dzwoniło mi w uszach i zorientowałam się, że przeszywa mnie ból. Nie wiedziałam, czy to z powodu jakiejś rany, czy dlatego, że właśnie straciłam moją siostrę bliźniaczkę. Biegłam dalej. Usta miałam nieruchome. Słowa zalegały mi w gardle. Przytłaczało mnie to, co przed chwilą zobaczyłam. Wtem zatrzymał się przede mną range rover ojca, a on sam otworzył drzwi i wyskoczył. Natychmiast przykucnął obok mnie, a jego twarz spochmurniała.

– Perse, co się stało?

Z samochodu wybiegła Ashley, mama Keatona. Gdy mnie ujrzała, jej broda zaczęła drżeć.

– Co się stało? – Spojrzała przez moje ramię. Stała prosto, chwytając mnie za rękę i zasłaniając swoim ciałem.

– Coś ty zrobiła, ty pojebana suko! – krzyknęła Ashley. – Zajebię cię! Ojciec wskazał na SUV-a.

– Ash, wsadź ją do samochodu, proszę. Zajmę się tym.

– Nie, Klaus. Nie zostawię cię tu z tą kreaturą! Gdzie jest Dove? – Ashley znów spojrzała na podjazd. Zawsze potrafiła bez problemu odróżnić nas od siebie.

Nie byłam w stanie się odwrócić, by zobaczyć, z kim rozmawia.

Nie mogłam mówić.

Moje ciało się trzęsło. Usta drżały.

Chciałam Kinga.

Potrzebowałam Kinga.

– Nie... – zdołałam wydobyć z siebie głośniejszym szeptem, ale kiedy próbowałam wydusić z siebie pozostałe słowa, moje usta zatrasnęły się na dobre. Nie chciałam już nigdy nic mówić. To tylko przypominałoby o mojej siostrze. Miałyśmy identyczne głosy, tak samo płakałyśmy i wołałyśmy „Mamo!”. Wspomnienie wżerało się w mój mózg, dźgało go ostrym nożem, który następnie przekreślało, aż ogarnęło mnie otępienie.

Wszystko ucichło. Zaczęłam szlochać, idąc do samochodu. Zamknęłam drzwi, zaryglowałam je i zwinęłam się w kłębek.

Moja siostra nie żyła.

Moja siostra bliźniaczka nie żyła.

Moja matka ją zamordowała, a potem próbowała zabić mnie.

Usłyszałam odgłos otwieranych drzwi, a potem szept Ashley:

– *Wszystko będzie dobrze, Perse. Zajmiemy się tym i wszystko naprawimy.*

Zrywam się z kanapy, cała zlana potem.

– Ona... ona... – Nogi uginają się pode mną i padam na podłogę. Ukrywam twarz w dłoniach, a ktoś obejmuje mnie silnymi ramionami.

– Tak mi kurewsko przykro – słyszę głos Kinga za sobą i czuję jego usta na głowie. Wrywam się pospiesznie, odwracam i rzucam mu spojrzenie pełne obrzydzenia.

– Gdzie byłeś? – krzyczę tak głośno, że wszyscy aż zamierają.

King ociera usta ręką, patrząc na mnie.

– Nie wiedzieliśmy, P. Mama i tata nie wiedzieli, że tam będziesz. To Jessica wszystko ustawiła.

Rozcieram dłońmi swoje ramiona.

– Żyłam kłamstwem. Ukradłam jej życie.

– Prawda – odzywa się Kohen wchodzący do pokoju z butelką whisky w palcach.

– Przepraszam, Kohen – szepczę, ale on nie zwraca na mnie uwagi.

– Przepraszasz? – Śmieje się, kręcąc głową, i siada na fotelu La-Z-Boy.

– Kohen – rzuca ostrzegawczym tonem King.

– O nie – mówi przez śmiech Kohen. Ociera czarny tusz spod oczu.

– Ty straciłaś wtedy siostrę, ale ja straciłem swój rozum.

Wierzę mu. Wszystkie wspomnienia wróciły mi z pełną gamą szczegółów: każde święta, każda moja sprzeczka z Kingiem.

– Myślałeś, że to ona żyje, a ja nie? – pytam cicho.

Kohen nieruchomieje i spogląda na Kinga.

– Nie. Myślałem, że obie nie żyjecie. Aż do dziś.

– Po tym wszystkim zabrałam cię do Keresa – odzywa się ktoś delikatnym głosem. Spoglądam w górę i zauważam blond włosy o truskawkowym odcieniu opadające jej na obojczyki. Ciemne,

zielone oczy błyszczące niewypłakany łzami. Drobną twarz i spiczasty nos. *Ashley*. Podchodzi bliżej, ale zachowuje dystans.

– Zahipnotyzował cię, po czym przysięgłam nikomu o niczym nie mówić. Uznaliśmy, że bezpieczniej będzie powiedzieć, że zginęłyście obie. – Ociera gniewnie pierwszą łzę. – Plan jednak nie wypalił.

– Co się stało? – pytam. Ufam jej. Wiem, że mogę jej ufać. Pomimo upływu lat wciąż pamiętam, jak bezpieczna się poczułam, kiedy mnie sobą zasłoniła.

– No cóż... – ciągnie dalej, wyjmując papierosa z paczki i wkładając go sobie do ust. Zapala go, po czym wypuszcza gęsty kłęb dymu. – Twój ojciec skłamał. Był beznadziejnie zaślepiiony przez tę wiedźmę. Wydawało mu się, że jej pomoże. Uciekł więc od Kiznitch, zabierając was ze sobą. Uciekał bez końca.

– Dopiero kiedy wreszcie was znaleźliśmy – warczy King, ale nie patrzę na niego – odkryliśmy, że żyjesz i że twój ojciec mówił na ciebie „Dove”. Obie byłyście „Ptaszynkami”, więc to nic nam nie mówiło. – Bierze butelkę od Kohena i wypija duży łyk. – Myśleliśmy, że to P zginęła, a Dove przeżyła. Nie chcieliśmy mówić Kohenowi ze względu na jego kruchą psychikę i skłonność do przemocy. Nie mogliśmy ryzykować, że na wieść o żyjącej Dove znowu mu odpierdoli. – Spogląda mi w oczy. – Znienawidziłem cię, kiedy zobaczyłem cię po raz pierwszy. Gdy otrzymałem moje pierwsze zadanie, chciałem cię po prostu zabić. Dlaczego Dove miała żyć, skoro P zginęła? – Przechyla głowę, bacznie mi się przyglądając. – Nienawidziłem cię, ale musiałem wykonać swoje zadanie.

– I na czym ono polegało? – pytam. Nagle odnoszę wrażenie, jakbyśmy byli w pokoju tylko we dwoje. I nikt więcej.

Jego spojrzenie zasępia się, a usta wykrzywiają w trupim uśmiechu, od którego przechodzi mnie dreszcz.

– Na tobie.

– Nie rozumiem – mamroczę, rozglądając się po pozostałych. Jeśli dobrze policzyłam, to są tu wszyscy ojcowie, wraz z matką Kinga, *Ashley* i Kohenem.

King robi krok naprzód. Przechyla głowę, a z idealnych ust zwisa mu papieros. Ust, które wędrowały po moim ciele tak wiele razy. *Boże. Zawsze miał rację.* Nawet kiedy byliśmy dziećmi. Zawsze powtarzał, że będę jego ostatnią. Nawet jeśli nie będę tą, z którą

doświadczy czegokolwiek pierwszy raz, to na pewno będę jego ostatnią.

Zatrzymuje się tuż przede mną. Spuszczam wzrok na swoje stopy. Trampki kontra buty wojskowe. Doskonała ilustracja nas obojga. Nachyla się do mnie i szepcze mi na ucho:

– Jeszcze się spotkamy, Dovey. Kiedy tylko się odezwiesz, kiedy tylko będziesz tańczyć, ja będę słuchał i patrzył. Będę cię obserwował przez cały czas.

Szklanka, którą trzymałam, spada na podłogę i choć dzwoni mi uszach, słyszę trzask rozbijanego szkła.

– Ty jesteś Cieniem.

– Dałaś mi pieśczośliwą ksywkę? – Cofa się, mierząc mnie wzrokiem. – Uroczo.

Nie mogę się powstrzymać i nagle biorę zamach, by go uderzyć. Ból przeszywa moją rękę, kiedy natrafiam na jego szczękę twardą jak stal.

Śmieje się tylko, niewzruszony. Próbuję jeszcze raz, ale łapie mnie za nadgarstek tak mocno, że się wzdrygam.

– Pierwszy masz za darmo, ale za drugi przełożę cię przez kolano.

– Pierdol się – syczę gniewnie, wrywając się z jego uścisku.

Rechocze.

– Wróciła.

– Perse – wtrąca się Keres.

Dziwne, jak bezproblemowo przychodzi im posługiwanie się moim dawnym przezwiskiem. Wszyscy mówili na mnie „Perse”. Oprócz Kinga. Dla niego zawsze byłam po prostu „P”.

– Powodem, dla którego byłaś zadaniem Kinga, nie było zabicie cię. Tak naprawdę zabiłem twojego ojca, ponieważ nie potrafił zapewnić ci bezpieczeństwa. Twoją matkę zabił King. Z wiadomych powodów. Była jego pierwszą ofiarą.

– To ty ją zabiłeś? – pytam cicho, spoglądając Kingowi w oczy.

Nie da się już zanegować łączącej nas więzi. Tej surowej emocji, która iskrzy między nami. King należy do mnie, a ja do niego. Ale to nie znaczy, że ujdzie mu na sucho to, co mi zrobił.

Jebać to. Będę go nienawidzić tak długo, jak uznam za stosowne. Jego problem.

– Tak, P. Tak, zrobiłem to.

Kiwam głową jakby w podzięcie. Bo właściwie to jestem mu wdzięczna. Suka odebrała mi siostrę. Teraz jej morderstwo, które jawiło mi się jako koszmar, staje się normalnym snem. *Suka!*

Pamiętam tamtą noc, jakby to był zły sen. Nie pamiętam, kto ją zastrzelił, ale pamiętam krew. Jej posmak. I krzyki mojej matki. A potem uciekam. I ich – nie gonią mnie. Myślałam, że mi się udało, ale się myliłam. Niektórzy myśliwi nie łowią przy pierwszej okazji. Wolą napawać się gonitwą, bo potem uczta smakuje im lepiej.

– Dlaczego? – zwracam się do Keresa. – Dlaczego byłam taka ważna? Z powodu talentu do tańca i śpiewu? – pytam, choć znam już odpowiedź.

– I tak, i nie – odpowiada. – Midnight Mayhem utrzymuje nasze nazwisko na językach. Stanowi niezmiennie zasłonę dla Braci i Czterech Ojców z Kiznitch. Ale to nie dlatego. Chodzi o krew, która płynie w naszych żyłach.

– Więc porwacie nas wszystkich – szepczę, powoli rozumiejąc już wszystko. – Wszyscy, którzy znajdowali się na tym jachcie, byli w jakiś sposób częścią rodziny Kiznitch, prawda? – Czuję, jak narasta we mnie gniew.

– Tak – potwierdza Keres. – Jesteśmy utalentowanym rodem. Dlatego nasza krew musi pozostać czysta. Nie wszyscy są z nami spokrewnieni w linii prostej jak ty, ale mimo wszystko są.

W głowie mi się już od tego kręci. Moje powieki robią się ociężałe. Mam ochotę zapaść w sen na kilka dni. Jak to dobrze, że to wszystko dzieje się podczas naszej przerwy. Nie wyobrażam sobie, bym miała teraz występować.

– Wraz z siostrą byłyście wyjątkowe, P. Jesteście rodzonymi córkami Ashley Kournikovej. Jej linia genealogiczna należy do jednych z najbardziej poważanych w Kiznitch. Poślubiła mnie, Brata, urodziła Keatona, a potem miała romans, którego owocem byłyście wy dwie. To dlatego zawsze trzymaliśmy was blisko bliźniąt Axton. Uznaliśmy to za przeznaczenie. – Na mojej twarzy maluje się szok. Wspomnienia są tak bezpośrednie i wyraźne. King i Kohen to bliźniaki. Cała nasza czwórka zapisała się w historii. Keaton też musi być jakąś wyjątkową hybrydą, skoro jest jednocześnie bezpośrednim potomkiem Braci i rodu Ashley.

– Ale dlaczego myślałam, że jestem Dove, a nie Perse?

Do rozmowy włącza się Kaius:

– Chyba nigdy się tego nie dowiemy. Próbowałem wyciągnąć to z twojego ojca tamtej nocy, ale nawet nie pisnął. Przysiągł, że zabierze tę tajemnicę ze sobą do grobu. I tak się stało.

Mrugam kilka razy.

– Może dlatego, że Dove zawsze była jego ulubienicą. Postanowił dać mi jej imię, dzięki czemu było tak, jak gdyby nigdy nie zginęła.

Kaius przestępuje z nogi na nogę. Patrzę mu w oczy.

– Nie wydaje mi się. Mam kilka teorii, ale to tylko gdybania. W końcu się tego dowiemy, choć na razie tkwimy w martwym punkcie.

Wzdycham. Głowa już mnie boli od tych wszystkich informacji.

– Jeśli więc jestem taka wyjątkowa... – Kieruję wzrok na Keresa, który wydaje się bardziej skory do odpowiadania na moje pytania niż Kaius – to dlaczego któryś z was prawie mnie zgwałcił, gdy byłam w celi?

Keres zamiera, a jego twarz pochmurnieje.

Kaius też nieruchomieje z dłonią przy ustach.

Ashley robi bojowniczo krok do przodu.

Słyszę przytłumione głosy, ale najgłośniejszy z nich jest oczywiście Kinga, pełen drwiny:

– O co ci, kurwa, chodzi?

Ignoruję go.

– Chcę już stąd wyjść.

– Zabiorę cię – mówi cicho Keaton, biorąc mnie za rękę.

– Nie! – King zachodzi nam drogę i unosi palcami moją twarz ku sobie. – Jak to któryś z nas prawie cię zgwałcił? Żaden z nas nic ci nie zrobił!

Wdech.

Wydech.

Liczę do dziesięciu.

– Mężczyzna w neonowej masce. Zrobił mi coś. Nie poszedł na całość, ale dał mi odczuć, jakbym była posłańcem, a on nadawcą wiadomości.

Ręka Kinga opada, a jego twarz blednie. Cofa się o krok, drugi i trzeci.

– Zabierz ją do domu – rzuca bez emocji.

Nie opieram się. Biorę Keatona pod rękę, a on wyprowadza mnie na zewnątrz i pomaga wsiąść do czekającej limuzyny.

Rozdział 32

King

Padam na kanapę, łapiąc się za głowę.

– Zabiję go. – Wszystko wokół wiruje.

– Tylko bez bałaganu. – Ashley siada naprzeciwko mnie.

Zawsze wiedziałem, że to ona jest biologiczną matką P i Dove. Widziałem podobieństwo między nimi.

– Nie wybaczy ci, King. Pamiętaj, to ta uparta.

– Nie chcę jej przebaczenia. – Zerkam jej w oczy. – Chcę jej zemsty. – Kręcę głową, przepełniony kipiącym gniewem. – Zrobił to dla Patience. Tak sprawdzają, czy ich dziewczyny są dziewczynami. Używają palców. Zajebię go.

– Synu – odzywa się tata, na co natychmiast kieruję na niego uwagę, pociągając jednocześnie haust z butelki. – Nie potrzebujesz mojego pozwolenia, by go zabić, ale uważaj, jak daleko się dla niej posuwasz.

Wstaję wyprostowany, oddając butelkę Ashley.

– Będę posuwał się tak daleko, jak będę chciał. Zapytam cię tylko o jedno. – Milknę i patrzę mu głęboko w oczy. Nauczyłem się rozpoznawać, kiedy kłamie, choć mam wrażenie, że nieraz i tak coś mi umyka. – Wiedziałeś, że to P?

Ani drgnie, wpatrzony we mnie.

– A myślisz, że dlaczego zleciłem to zadanie tobie?

– Kurwa mać! – wrzeszczę i wybiegam z domu, zatrzaskując za sobą drzwi.

Powinienem był się domyślić. Chciał ujawnienia prawdy i je dostał. Siadam na schodach, a po chwili słyszę, że ktoś wychodzi. Od razu poznaję Kohena. Bliźniacza intuicja... Zawsze myśleliśmy, że jesteśmy też psychicznie połączeni z dziewczynami, ale nie jestem już tego taki pewien, skoro nie rozpoznałem w niej P. Nawet nie

przyszło mi na myśl, by sprawdzić jej bliznę – aż tak zaślepiało mnie pożądanie, gdy tylko zrzucała z siebie ciuchy.

– Pieprzyłeś ją – stwierdza Kohen, opierając się za mną o ścianę.

– Tak. – Przełykam ślinę ze wzrokiem utkwionym w mroku nocy. – To prawda. Powinienem był się zorientować, kiedy zwykle pieprzenie przerodziło się w coś dziwnie głębszego.

– Nie winię cię. – Kohen siada za mną.

Odwracam się przodem do brata. Nie mogę wypowiadać się za niego, ale kiedy stracił Dove, zatracił w sobie wszystko, dzięki czemu mógł okazywać jakiegokolwiek emocje. Jest martwy w środku. To nie jest dołek, z którego inna dziewczyna mogłaby mu pomóc wyjść. On jest naprawdę chory psychicznie i nigdy nie wyzdrowieje. Nigdy. Niektórzy ludzie, zagubieni na ścieżkach naszego codziennego życia, po prostu postanawiają nie wracać – mimo że znają drogę powrotną. Taki właśnie jest Kohen. Nie chce życia bez Dove. Nie będzie nikogo innego.

– Nie? – odpowiadam żartobliwie z uniesioną brwią. – Zabiłbym cię, gdybyś wyruchał Dove, myśląc, że to P. Jebać braterstwo. Zarznąłbym cię od razu. – Wyciągam paczkę fajek. Stukam nią o dłoń, żeby wysunąć jedną. – Wracasz do Mayhem? – Otwieram zapalniczkę i zapalam papierosa.

– Nie. – Odwraca głowę, by spojrzeć na puste padoki wychodzące na ulicę. – Jeszcze nie wiem, co chcę robić. Wiem jednak, że nie chcę być w pobliżu ludzi z Kiznitch i Mayhem.

Wydmuchuję chmurę dymu.

– Jasne.

– Widziałeś, jak tańczy, co nie? – mówi z szerokim uśmiechem.

Dobrze wiem, że właśnie to sobie wyobraża w tym chorym, zboczonym umyśle. Pokaz finałowy był czymś zupełnie innym, gdy Kohen był jeszcze w Mayhem. Mam nadzieję, że któregoś dnia wróci.

Rzucam w niego piachem dla żartu.

– Tak, prawie dobrze się bawiłem.

– Prawie? – Oblizuje usta. – No weź. Opowiedz mi coś.

– Bawiłbym się dobrze, gdybym nie starał się jej nieustannie nienawidzić. Miałem pretensje do ciebie, że trafiła ci się druga okazja, by znaleźć szczęście. Choć i tak w głębi cieszyłem się z twojego powodu. Nie wiem, Koh, to było pojebane. Pragnąłem jej,

a jednocześnie jej nienawidziłem. Bo przypominała mi o P. Miałem żal do ciebie, że mogłeś ją odzyskać, znenawidziłem siebie za to, że jej pragnąłem. W głowie kotłował mi się prawdziwy syf. Chciałem ją zabić, żeby tylko z tym wszystkim skończyć. – Między nami zapada cisza, a ja zaciągam się jeszcze kilka razy. Chyba nic nie powie. Zerkam na niego i zauważam, że bacznie mi się przygląda.

– Zrobiłbyś to – stwierdza bez emocji.

– Co?

– Zabiłbyś ją – odpowiada. – Jesteś do tego wyszkolony, King. Zabiłeś po raz pierwszy w wieku szesnastu lat. I to z powodu miłości, kurwa. Ona wie, co robiłeś w dniu, w którym zginęła Dove?

Kręcę głową, strzepując popiół z papierosa.

– Wątpię. Dawna P nie wiedziała, więc obecna też nie będzie wiedzieć.

Przygotowywałem się do zabójstwa. Nie spodziewałem się tylko, że to będzie jej matka.

– Ciekawe, czy mama i tata dalej mają nadzieję na wnuki... – rzuca z głupim uśmiechem na ustach.

Pokazuję mu środkowy palec.

– Spierdalaj.

Rozdział 33

P

Wspomnienia przypominają nam w brutalny sposób o tym, czego już nie mamy. Myślałam, że chcę wiedzieć wszystko, otworzyć się na to, co mi odebrano przed laty, tymczasem leżę zwinięta w kłębek na łóżku, z mocno zaciśniętymi powiekami, i przeżywam ten dzień na nowo raz za razem. Zmuszam się, by nie poprosić Killiana o ponowne zamknięcie tego pudełka.

Bam!

Bam!

Bam!

Bam-bam!

Padło pięć strzałów. Biegłam. Zobaczyłam samochód, z którego wysiadł tata. Byłam zła na Kinga, zanim sobie to wszystko przypomniałam, ale teraz jestem wściekła. Bo kiedy tylko otworzyłam to pudełko ze wspomnieniami, wszystko, co do niego czułam, wzmoгло się dziesięciokrotnie. Nie tylko jestem na niego zła – czuję też inne rzeczy.

Nic nie zmieni faktu, że chciał mnie zabić.

Że dręczył mnie i prześladował przez lata. To on był Cieniem, człowiekiem, którego się obawiałam. A teraz ten, którego tak się bałam, ma być tym samym, którego kochałam? Jebać to.

Ktoś puka do drzwi, wrywając mnie z objęć paniki.

– Perse? – To głos Delili. – Mogę wejść?

Nie odpowiadam, co odbiera jako „tak”.

– Tak mi przykro.

Chciałabym zapytać ją z jakiego powodu, ale moje usta nie chcą się otworzyć. Nie jestem w stanie zmusić się do mówienia.

Bo mnie to nie obchodzi.

Bam!

– Wiem, że to pewnie żadne pocieszenie, ale kupiłam ci twojego własnego kampera. Zrobiłam to, zanim tu przyjechaliśmy. Możesz go urządzić według własnego uznania. Jest też dość przestronny, by pomieścić całą waszą piątkę. Prawie tak duży jak to przepłacone diabelstwo na kółkach.

Wyobrażam sobie, jak rozgląda się po moim pokoju. Wzdycha.

– Nie będę cię okłamywać, Perse. Wiedziałam o wszystkim. Znałam cię jeszcze jako małą dziewczynkę. I tę nadętą sukę, którą uważałaś za swoją matkę. Wiedźmę. – Kładzie dłoń na mojej nodze, gładząc ją przez koc.

Ocieram łzy.

– Gdy tylko zobaczyłam, jak tańczysz, naszło mnie przecucie, że możesz nie być Dove. Dove była dobrą baletnicą, ale ty zawsze byłaś od niej lepsza. Twoje ruchy zawsze były płynne. Twoja precyzja w tańcu od początku stanowiła prawdziwą sztukę. I choć Dove niewiele ci ustępowała, ty zawsze miałaś w sobie to coś. Pewną wyrazistość ruchów. Jakbyś wraz z pierwszymi dźwiękami muzyki zaczynała odgrywać rolę. Dove natomiast wstydziła się wykonać ten jeden krok dalej, onieśmielona przez głosy mieszkające w jej pięknej głowce.

Tkwię w bezruchu i milczeniu. Nie chcę jej peszyć i zakłócać tego momentu wylewności. Wstając, kładzie na łóżku coś, co wydaje dźwięczny odgłos jak szkło.

– Wiem, że będziesz potrzebowała przestrzeni dla siebie, więc masz tu klucze. Jest cały twój. Kiedy będziesz gotowa, zajmiemy się szukaniem twoich rekrutów. Możesz też swobodnie korzystać z namiotu.

Po jej wyjściu siadam na łóżku i zakładam luźną koszulkę, trykoty i ocieplacze na nogi. Zabieram jeszcze baletki, po czym opuszczam kampera, by pójść do namiotu.

Muszę odreagować.

Tańczyć, aż moje stopy zaczną krwawić, a mięśnie piec. Muszę sobie przypomnieć, dlaczego tu jestem. Żywa. I zamierzam to zrobić wreszcie w moich baletkach, zawiązanych wokół kostek.

Wchodzę do namiotu, gdzie zauważam Jaya, jednego z facetów odpowiedzialnych za nagłośnienie i oprawę muzyczną.

– Włączyć ci sprzęt, Perse?

Wieści musiały się szybko rozejść... Ale jestem mu wdzięczna, że mówi to z taką swobodą.

– Tak, proszę – odpowiadam, rzucając klucze i bluzę na ziemię obok sceny.

Związuję włosy w wysoki kucyk i odpalam *You Should See Me in a Crown* Billie Eilish. Unoszę ramiona do drugiej pozycji, obracam dookoła głowę z zamkniętymi oczami i pozwalam swojemu umysłowi wpłynąć do innego wymiaru. Wykonuję wyrównanie, po czym – wraz z początkiem refrenu – unoszę stopę, obracając ją, a następnie przechodzę do piruetu. Kontynuuję taniec, aż bolą mnie nogi i oblewa pot. Wreszcie, przy końcu piosenki, robię wyskok i ekspresyjnie ląduję w szpagacie. Muzyka cichnie. Oddycham ciężko, a z oczu płyną mi łzy. Zatańczyłam w baletkach po raz pierwszy od śmierci moich rodziców. Teraz wszystko wydaje się takie jasne. Jakby ciemna chmura rozpadła się na pół, pozwalając światłu przebić się przez jej kłęby. Od lat walczyłam z samą sobą, aby wreszcie założyć baletki. Nie chcę ich już zdejmować.

– To było piękne – odzywa się ktoś młodziutkim głosem.

Wzdrygam się i natychmiast odwracam w kierunku, z którego dobiegł. Moim oczom ukazuje się ta dziewczynka, którą poznałam kilka tygodni temu. Stoi w bawełnianej sukience z długimi rękawami i skórzanej kurteczce.

– Cześć! – szepczę, niepewna, jak do niej podejść. Ostatnim razem, kiedy próbowałam z nią porozmawiać, jej ojciec mało nie dostał zawału. – Masz na imię Ariana, prawda?

Potakuje skinieniem, wyciągając przed siebie palec.

– Tatusi mówi, że byłaś przekłeta, ale teraz jesteś już wolna.

Zamieram i przełykam ślinę. Przyklękam przed nią z uśmiechem na ustach.

– Tak, zdjęto ze mnie klątwę.

Jej buzia natychmiast się rozpromienia.

– Możemy być przyjaciółkami?

Śmieję się cicho.

– Już myślałam, że nie zapytasz.

Telefon zaczyna wibrować mi w dłoni, na co mała odchodzi, machając mi rączką.

– Zobaczymy się później, przyjaciółko! – rzuca na pożegnanie.

– Dobrze – szepczę. Odbieram i przykładam telefon do ucha.

– Cześć!

Richard wzdycha.

– Kiedy wrócisz do domu, kotku? – Jego głos mnie zaskakuje, ale czuję ulgę, że wreszcie mogę porozmawiać z kimś znajomym, z kimś spoza tego światka.

Śmieję się cicho.

– Przyjadę z wizytą wcześniej, niż ci się wydaje. – Przychodzi mi do głowy pewien pomysł. – Właściwie to mam nadzieję, że nawet wcześniej.

– Do pracy? – pyta, choć wiem, że domyśla się już odpowiedzi.

Wypuszczam powietrze z płuc.

– Czy to już za późno, żebym złożyła wypowiedzenie?

– To klub ze striptizem, Dove. Nie działamy w ten sposób. – Wzdrygam się na dźwięk tego imienia.

– Mam ci tak wiele do powiedzenia... Moje prawdziwe imię to Perse.

Cisza.

– Czyli „Dove” to twoje przezwisko jako striptizerki?

Wybucham śmiechem i natychmiast zakrywam usta dłonią.

– Nie śmieję się ze mnie, dziewczyno. Gdybyś nie była nie wiadomo gdzie, to dałbym ci klapsa.

– Jestem – czuję ucisk w piersi – dość daleko. Zadzwoń jeszcze wieczorem i opowiem ci, co i jak, dobrze?

Odpowiada mi mruknięciem, co jest jego sposobem na mówienie „tak”. Mógłby ułożyć cały słownik z tych swoich mruknięć i warknięć.

Rozłączam się i postanawiam odnaleźć Delilę, żeby pomogła mi znaleźć moich rekrutów. Chcę rzucić się w wir pracy nad moim pokazem i zacząć wreszcie tańczyć, bo wiem, że w ten sposób pozbędę się bólu.

Ból.

Podnoszę bluzę z ziemi, po czym udaję się do kampera Braci, żeby spakować swoje rzeczy. Zabawne, że teraz, kiedy odzyskałam wspomnienia, wiem już wszystko nawet o najdrobniejszych szczegółach, jak chociażby o symbolu „Towarzyszy Broni”, czyli tej „dziwnej gwiazdce”, jak ją nazywałam. Każde ramię oznacza

przedmieścia Kiznitch, a grube linie tworzące gwiazdę – pokolenia krwi. Chciałabym się tam kiedyś wybrać, może dowiedzieć czegoś więcej o moim pochodzeniu, ale teraz mam na głowie przewodzkę do własnego kampera.

– To chyba wszystko, czyli niewiele, ale, no wiesz...

Rose wybucha śmiechem i bierze jedno z moich pudełek, po czym wychodzi przede mną.

– Widziałaś w ogóle tego kampera? Jest, kurwa, rudy. Jak twoje włosy.

– Widziałam go z zewnątrz. – Trudno byłoby go nie zauważyć, skoro stoi tuż za wozem chłopaków. Trochę za blisko jak na mój gust, ale przynajmniej nie będę musiała co chwilę na nich wpadać. Nie widziałam Kinga ani pozostałych od kilku dni. Jakby po tamtej nocy stali się duchami. Niedobrze mi się robi na samą myśl o tym wszystkim, co się wydarzyło, ale w głębi duszy wciąż czuję łączącą mnie z Kingiem więź. Tę organiczną miłość. Wiem, że w pewnym sensie za nimi tęsknię, jednak mimo to nie mogę pozbyć się gorzkiego poczucia zdrady po tym, jak King właściwie uznał swoją porażkę.

Wspomnienia są dobre, witam je z otwartymi ramionami, ale nie jestem, i nie byłam, przygotowana na towarzyszące im emocje. Bo wspomnienia to nie fotografie. Nie można ich po prostu sobie po kolei oglądać. Wraz z nimi wracają bowiem zapachy, uczucia i aura danej chwili.

Wsuwam kluczyk do zamka i otwieram drzwi.

– Wow – szepczę, wchodząc do środka z Rose i Mayą tuż za plecami.

– Słodko! Jak chcesz, to dołączę do twojego pokazu. – Maya trąca mnie figlarnie w ramię, po czym zapala skręta.

Zastanawiam się nad tym, co powiedziała, ponieważ to nie taki głupi pomysł.

– Żartowałam – odzywa się jednak, zerkając to na mnie, to na Rose. – Powiedz jej, że to był żart.

– Dlaczego? Co jest nie tak z moim pokazem? – pytam i stawiam pudełko na blacie kuchennym w kolorze białego marmuru. – Uważam, że będzie fantastyczny.

Maya śmieje się, kręcąc głową.

– Kocham cię, Sef, ale nie mogę mieszkać z kimś, kto używa słów typu „fantastyczny”. – Ignoruję nowe przezwisko, jakie dla mnie wymyśliła, tłumacząc to sobie jej osobliwą osobowością.

Odprowadzam ją na górę wzrokiem i środkowym palcem.

– Oczywiście sama go umeblowała – woła Maya. – Jak ja jej czasem nie cierpię.

Unoszę brwi, patrząc na Rose, która kręci głową.

– Później ci wytłumaczę. Urządzamy parapetówkę, nie?

Wzruszam ramionami.

– Czemu nie...

Chcę porozmawiać z Rose o wszystkim, co się stało, ale nie wiem, kiedy i jak to zrobić.

Wchodzę na górę, gdzie oglądam sypialnie. Moja jest największa. Całość bardzo przypomina kampera chłopaków. Mój pokój został umiejscowiony identycznie jak pokój Kinga. Łóżko stoi pośrodku na białych, lśniących nogach i nakryte jest delikatnymi, różowymi narzutami.

– Żartowałam – odzywa się Maya. – Dołączenie do twojego pokazu byłoby dla mnie zaszczytem...

– Przestań. – Unoszę dłoń, by ją powstrzymać. – Nie musisz mówić nic więcej, Maya. Wiem.

Patrzy na mnie tymi migdałowymi oczami.

– To nie tak. Chodzi o to, że zawsze miałam własny pokaz, ponieważ... – Milknie i po raz pierwszy, odkąd ją poznałam, widzę, że kuli się z niepewności. Wzdycha. – Moja matka. Nalegała na to.

Opieram się o ścianę, zakładając ręce na piersi.

– Kto jest twoją mamą?

Maya rumieni się, aż prawie mi głupio, że zapytałam.

– No... – Zakłada sobie niesforny kosmyk za ucho. – Delila – mówi, po czym przewraca oczami.

Prostuję się zszokowana.

– Delila to twoja mama?

– Nom! – Mruży oczy. – Nie osądzaj mnie tylko przez jej pryzmat. Mój stary był o wiele fajniejszy od niej.

Śmieję się, kręcąc głową.

– Nie osądzam cię.

– To dobrze – odpowiada z uśmiechem na twarzy. Gestem głowy wskazuje schody prowadzące na dół. – Urządźmy sobie solidną imprezkę, zanim sprowadzisz swoich nowych rekrutów. Nie cierpię, kiedy przychodzą nowi.

– Rany... – Trącam ją żartobliwie. – Dzięki.

Znów krótko się śmieje.

– Dziewczyno, nawet nie jest mi przykro – rzuca.

Oczywiście, że nie jest jej przykro.

Urządzenie się i rozłożenie ciuchów w pokoju zajęło mi kilka godzin. Wyciągam telefon, żeby zadzwonić do Richarda. Czuję się źle z tym, jak zakończyłam naszą ostatnią rozmowę. Muszę mu powiedzieć, że jednak nie dam rady przyjechać wtedy, kiedy chciałam. Potem zostało mi jeszcze wybrać, w co się ubrać na dzisiejszy wieczór.

Bo muszę się nieco odstresować.

Po tych wszystkich chorych historiach rodzinnych.

Kończę rozmawiać z Richardem i natychmiast daję nura do szafy w poszukiwaniu ciuchów, podczas gdy Maya, Rose, Val i Mischa siedzą na łóżku.

– Po prostu załóż bikini – proponuje Val, uśmiechając się drwiąco ponad szklanką. Zaczęła pić jeszcze przed imprezą. Cóż za niespodzianka.

– Nie będę paradować w bikini.

Nauczyłam się względnie tolerować Val, ale nie polubiłam jej. Czuję, że chciałabym dowiedzieć się o nich wszystkiego: kim są, dlaczego tu są *i z kim, do cholery, są spokrewnione?*

Natrafiam palcami na krótką, obcisłą, czarną sukienkę.

– Jaka jest szansa, że pójdziemy potem do klubu?

Po chwili milczenia wybuchają śmiechem.

– No, możemy – mruczy Maya – ale nigdy nie byliśmy w klubie.

– Co? – pytam zdziwiona i wstaję, trzymając w ręce buty pasujące to tego gorszącego stroju. – Przyjeżdżacie do Nowego Orleanu i nigdy nie odwiedziliście Bourbon Street?

Val unosi brew.

– Odwiedziliśmy... Tylko nigdy w ramach babskiego wieczoru. Zazwyczaj towarzyszyli nam Bracia. Jeśli wiesz, co mam na myśli... – wyjaśnia uśmiechnięta, zerkając w bok.

Opuszczam rękę wzdłuż ciała i podchodzę do niej z przechyloną głową.

– Val, czy już zawsze będziemy sobie dogryzać, bo obie tańczyłyśmy na kutasie Kinga?

Val nieruchomieje i spogląda na mnie spod lekko opuszczonych powiek. Wygląda, jakby biła się z myślami, ale wreszcie wzdycha, po czym popija swojego drinka.

– Nie. Masz rację. – Wstaje i wyciera dłonie w swoją krótką spódniczkę. – Rozejm?

Przyglądam się jej ręce.

– Co w ogóle robiłaś wtedy u niego?

Znowu unosi swoją idealnie wymodelowaną brew.

– O, czyli cię to obchodzi?

Jasne, że tak.

– Nie – odpowiadam bez wahania. – Po prostu chcę wiedzieć.

Val wypuszcza powietrze z płuc.

– Chciałam z nim pogadać i zapytać, dlaczego już ze mną nie sypia. Nic się nie stało. Przepraszam, że wprowadziłam cię w błąd.

Wzdycham, widząc, że lekko pochyla głowę.

– Wierzę ci.

Ujmuje mnie za rękę.

– Masz moje słowo, Perse. Poza tym: skończyłam z nim.

– Dobrze! Niech cierpi.

To chyba pierwszy raz, kiedy jest całkowicie poważna.

– Król nigdy nie cierpi.

Kwituję to mruknięciem, po czym wyciągam przed siebie trzymaną w dłoni sukienkę.

– Czy ktoś zamawia Louis Vuitton?

Val uśmiecha się szelmowsko.

– Patrzcie, jak się rozkręca.

Godzinę później wszystkie jesteśmy zrobione na bóstwo. Mam na sobie czarną sukienkę LV, która dokładnie opina moje ciało i sięga mi do połowy ud. Prześwituje na biuście i tyłku, więc założyłam też stringi i czarny, wiązany stanik. Na stolikach przy kamperze, wokół

których zebrał się już pokaźny tłum, mamy Grey Goose, Hendricksa i mnóstwo starej szkockiej. Żadnego ogniska. Ani luźnych ciuchów. To impreza ze smakiem, rodem z wyższych sfer. Mam wrażenie, że dziewczynom pasuje to idealnie. Z głośników leci *All I Ever Wanted* Mase'a, a ja schodzę na dół tanecznym krokiem, postukując o podłogę szpilekami z czerwonymi podeszwami.

– Taaak! – woła Rose, wznosząc wysoko w górę butelkę na mój widok.

Razem z nią śpiewam płynnie refren, choć ona milknie, by spojrzeć na mnie wymownie i sprawdzić, czy wypowiem na głos słowo na „cz”.

Przykucam nisko z uniesioną butelką, tańcząc w kółku. Val z Miszą wybuchają śmiechem, a Rose zabiera mi butelkę, by pociągnąć z niej haust.

– Daj mi to, dziewczyno.

Śmieję się razem z nimi, tańczę, obracam się wokół własnej osi. Wtem zauważam Delilę, która wita mnie uniesionym kieliszkiem szampana. Ruszam w jej kierunku, opanowując śmiech. Chcę z nią porozmawiać.

– Cześć, Justice – witam go uśmiechem, ponieważ stoi obok niej i obejmuje ją opiekuńczo wokół talii.

– Cześć, Ptaszynko. Jak się masz?

– Już lepiej. – Mrugam kilka razy, po czym spoglądam na nią.

Justice kłania się i przepaszając, zostawia nas, a sam znika w tłumie. Słońce dopiero zachodzi, więc na niebie widać jeszcze tę ciepłą barwę.

– Podoba ci się? – pyta Delila ze szczerym uśmiechem na ustach.

Uśmiecham się.

– Tak. Dziękuję, Delilo. Chyba odniosłam co do ciebie mylne wrażenie, kiedy się poznałyśmy.

– Och, nie. – Kręci głową roześmiana i raczy się drinkiem. – Bynajmniej. Po prostu jesteś – spogląda mi w oczy z westchnięciem – wyjątkowa. Jesteś wyjątkowa, Perse. Nie tylko dla Braci z Kiznitch, ale i dla nas jako Midnight Mayhem. Mam nadzieję, że znajdziesz wśród nas swój dom.

Uśmiecham się i zabieram kieliszek z tacy przechodzącego kelnera.

– Myślę, że tak. – Choć chciałabym dodać: „pomimo tego, że moja bratnia dusza miesiącami mnie tu zwodziła”.

– Jeszcze jedno. – Kładzie mi rękę na ramieniu, kiedy odwracam się, by odejść. – Mam dla ciebie rekrutów. Możemy usiąść?

Patrzę badawczo w jej oczy. W jakiś sposób zaczęłam ufać tej kobiecie. Przez cały ten czas, kiedy działo się to wszystko wokół mnie, ona była jedynym stałym punktem – nie licząc moich szurniętych kumpelek.

– Jasne.

Siadam na krześle obok niej.

– A więc znalazłaś kogoś?

Potakuje skinieniem, popijając szampana i wygładzając suknię na nodze.

– Tak. Na razie nie mamy wielkiego wyboru, ale wiedz, Perse, że nie chcemy krzywdzić tych dziewczyn. Trzymamy je tam, aby je zahartować.

Zastanawiam się nad jej słowami, ale zanim mogę coś powiedzieć, ciągnie dalej:

– I tak wybrałam trójkę najlepszych, jakich mogłabyś sobie zażyczyć. To chłopak i dwie dziewczyny, z których jedna jest delikatna, a druga tak doświadczona przez los, że chyba nie da się jej odratować, więc pocieszaj ją, kiedy tylko możesz.

Popijam szampana. Część mnie chce uciec od tej rozmowy, ale czuję się tak tylko dlatego, że rozumiem, skąd się wzięły te osoby i co przeszły. Potrzebuję więc wyszumieć się dzisiejszej nocy na całego, zanim wezmę za nie odpowiedzialność.

Biorę kolejny łyk.

Słońce skryło się za horyzontem, więc całą okolicę rozjaśniają już tylko subtelne lampki choinkowe.

– Kontynuuj.

Delila wychyla jeszcze drinka.

– No, to wszystko.

Wiem, że nie, ale nie naciskam na nią.

– Zajmij się nimi. Jedno z nich jest bardzo wyjątkowe. Bardziej niż pozostali.

Wzdycham i dopijam szampana. Mam ochotę na coś mocniejszego. Kiedy na nią zerkam, widzę w jej oczach ból. Próbuje

choć trochę jej ulżyć, gładząc ją po ramieniu.

– Obiecuję, że się nimi zaopiekuję, Delilo.

Spogląda na mnie lekko zaszklonymi oczami. Dostrzegam w jej twarzy odprężenie.

– Wiem, że sobie poradzisz, Perse.

– No raczej! – Odstawiam kieliszek na ziemię i wstaję z krzesła. – Chcesz wybrać się z nami do miasta czy musisz niańczyć moją nową rodzinę?

Wybuchła krótkim śmiechem.

– Idźcie się zabawić, dziewczyny. – Jej uśmiech przeradza się z łagodnego w diabelski.

Oto Delila, którą poznałam te kilka miesięcy temu.

– Dopóki możecie.

Rozdział 34

King

Straciłem ją.

Rozdział 35

P

Kilka godzin później muzyka dudni mi w uszach, a w oczach migają światła. Jestem tak pijana, że ledwie mogę iść, a co dopiero myśleć trzeźwo. Mam to gdzieś. Za bardzo się wszystkim przejmowałam przez całe życie. Tym, jak się wyżywię i ile ważę. Czy mojej pojebanej matce w ogóle na mnie zależało. Choć tak naprawdę mnie to nie obchodzi. Już nie.

Rose łapie moje ręce i przyciąga do siebie, ocierając się o mnie. Maya wraz z Val są tuż obok, jedna przy drugiej, i wszystkie dajemy się ponieść muzyce. Nie wiem, czy Maya i Val raczyły się czymś jeszcze oprócz trawki, ale wydają się aż za bardzo wczuwać w swój taniec. Z ogromnych głośników leci *Alive Offest* i *2Chainz*, a muzyce towarzyszy migotanie stroboskopów. Unoszę kieliszek do ust, po czym wlewam w siebie resztę drinka. Godzinę temu postanowiłyśmy odbyć rundkę po klubach, a teraz mam wątpliwości, czy to był naprawdę taki dobry pomysł. Nigdy nie miałam nic przeciwko clubbingowi, choć nigdy nie lubiłam się upijać. Bez problemu mogłabym w ogóle nie pić alkoholu, ale – jak widać – panujące w *Midnight Mayhem* zwyczaje odcisnęły na mnie piętno.

Obracam się w rytm muzyki i macham włosami. Zatracam się w zawitych bitach, uginam kolana, tak by zjechać tyłkiem do ziemi, po czym podnoszę się, twerkując. Napinam mięśnie brzucha, wykonuję obrót i nagle – zostaję unieruchomiona przez czyjeś ręce.

– Ostrożnie! – odzywa się jakiś gość, szukając spojrzeniem moich oczu.

– Przepraszam! – Śmieję się i kręcę głową. – Nie chciałam nadepnąć ci na stopę.

Z bliska wygląda, jakby miał zielone oczy. Ma piękną, śniadą skórę i pełne policzki. Sprawia wrażenie silnego. I w dodatku jest na czym oko zawiesić.

– Nie nadepnęłaś – krzyczy mi do ucha. – Często tu przychodzisz? Prycham, nachylając się do niego, by poczuć zapach skóry jego szyi. Jak kompletna dziwaczka.

– A wyglądam, jakbym tu często przychodziła?

Przygląda mi się przez chwilę ze śmiechem.

– Racja. Nie wyglądasz na stałą bywalczynię, ale potrafisz tańczyć, więc...

– Czyżby? – Unoszę wyzywająco brew. – Znasz się na tańcu.

– No... – Wzrusza ramionami i zaciera rękę. – Widzę, że umiesz fajnie trząść tyłeczkiem, podczas gdy ja stoję i wyglądam przystojnie.

Piosenka kończy się i płynnie przechodzi w *Bed J. Holidaya*. Trochę za wolna jak dla mnie, ale niech będzie.

– Ach, rozumiem! – odpowiadam wyszczerzona. Odwracam się i unoszę rękę. Faluję do rytmu wszystkim oprócz tułowia. Kiedy zaczyna się refren, zerkam na Rose, która kręci na mnie gniewnie głową. Figlarnie puszczam do niej oczko, po czym schylam się, by dotknąć palców swoich stóp, napierając tyłkiem na jego krocze. Nie odwracam się jednak. Tańczę dalej w tej pozycji i tylko kołyszę ciałem na boki. Łapię go za rękę, żeby położyć je sobie na brzuchu. Jednocześnie rozchyłam kolana, osuwając się po nim na podłogę i potrząsając włosami.

Ponownie spoglądam na Rose. RzUCA mi surowe spojrzenie, choć Val, Mischa i Maya są tą sytuacją wyraźnie rozbawione.

Odwracam się roześmiana, ponieważ chcę spojrzeć w oczy Tajemniczemu Tancerzowi. Zamieram jednak.

Nie ma już Tajemniczego Tancerza.

Tylko King. Mierzący mnie dzikim wzrokiem.

Cofam się o krok, ale on chwyta mnie za kark i przyciąga sobie do piersi. Nachyla się, szepcząc mi do ucha:

– Skończ z tym gównem i wracaj, kurwa, do domu.

Odpycham go.

– Pierdol się. – Odwracam się z myślą, by wziąć kolejnego drinka albo pójść do łazienki.

On jednak chwyta mnie ponownie i więzi w swoim uścisku. Szarpiąc za brodę, odwraca moją twarz ku sobie. Wręcz przewierca

mnie wzrokiem, który razi każdy pusty zakamarek mojej wykolejonej duszy i wypełnia je jego obecnością.

– Nie ma mnie dwa dni, a ty już próbujesz ruchać się z kim popadnie.

– Wcale nie muszę próbować, King! – wrzeszczę, machając chaotycznie rękami. – Jeśli zechcę, to będę się ruchać, z kim mi się spodoba!

Spogląda mi przez ramię. Wiodę więc wzrokiem za jego spojrzeniem i zauważam Killiana, Kyrina i Keatona.

Wybucham śmiechem.

– Oczywiście.

Zahacza palcem moją bieliznę przez sukienkę i przyciąga mnie do siebie jak przed chwilą. Przywiera ustami do mojej szyi, wzbudzając uczucie mrowienia w całym ciele.

– Nie będę pogrywał w twoje gierki, mała. Wiesz już, kim jestem. Lepiej mnie, kurwa, nie prowokuj.

Przygryzam dolną wargę, aby nieco się opanować, po czym odwracam się do niego.

– Później pogadamy.

– Tak, kurwa, odbędziemy rozmowę. I nie tylko! – Chwyta mnie w talię tak, bym się do niego zbliżyła, następnie gwizdże na palcach, przyciągając uwagę reszty chłopaków, którzy z nim przyszli. Sycę się widokiem ludzi obserwujących, jak opuszczamy klub: śliniących się dziewczyn i drżących ze strachu facetów.

Na zewnątrz King kiwa głową do jednego z bramkarzy.

– Na razie, szefie.

Wtem podjeżdża limuzyna i King otwiera jej drzwi. Stoję nieruchomo, na co on rzuca mi spojrzenie spod przymkniętych powiek. *Czyżby też był pijany?*

– Wsiadaj do samochodu, P, albo sam cię, kurwa, do niego wrzucę.

Przewracam oczami. W tle słychać natomiast ciche śmiechy. Wsiadam więc i natychmiast biorę się za barek, z którego wyciągam szampana. Otwieram butelkę, czując na sobie wzrok pozostałych.

– Jezu, King. Nie wolno jej nawet pójść do klubu? – Maya odpala jointa i puka w szybę oddzielającą nas od kierowcy.

King nie odpowiada. Napiera swoim udem na moje.

Szyba się opuszcza, po czym Maya prosi o włączenie muzyki.

– A ty co, znikasz na dwa dni i wracasz, żeby wyciągnąć mnie z klubu? – pytam, mając już dość.

– No i? – zbywa mnie swoją odpowiedzią, jakbym nic nie znaczyła. Wyciąga telefon i przegląda listę kontaktów.

– King! – wydzieram się, pstrykając palcami przed jego nosem.

Nie zwraca na mnie uwagi, wciąż wpatrzony w ekran.

– Dlaczego? – wytrącam mu telefon z ręki, aż ten leci na drugi koniec wozu. Wszyscy milkną.

Tym razem raczy na mnie spojrzeć.

– Zaraz, tobie się wydaje, że to akcja w stylu „zazdrosny chłopak”?

– Roześmiany spogląda na Killiana.

Już myślałam, że powie coś więcej, ale on tylko rozsiada się na siedzeniu, kręcąc głową. Po chwili jednak dodaje:

– Zapewniam cię, P, to nie tak. Możesz się pieprzyć, z kim chcesz.

– Naprawdę? – Przemawia przeze mnie alkohol.

No to się przekonajmy. Na szczęście droga powrotna nie jest aż tak długa. Spoglądam więc po kolei na wszystkich siedzących w samochodzie. Keaton odpada – nie kręci mnie kazirodztwo. Kyrin jednak byłby chętny. Natomiast lojalność Killiana wydaje mi się silniejsza niż jego chuć.

A zatem zawieszam wzrok na Kyrinie.

Który mruży oczy.

Posyłam mu niegrzeczny uśmiešek.

Rechocze, kręcąc głową, i poprawia się na siedzeniu.

– O rany. No dobra, Ptaszynko. – Spogląda mi prosto w oczy i oblizuje wargę. – Chodź, pobaw się moim kutasem.

Wstaję z siedzenia. Nachylam się tak, żeby zaświecić tyłkiem Kingowi przed oczami. Nie wiem, dlaczego pogrywam sobie z nim w tę gierkę, bo przecież wciąż jestem na niego wściekła. Na niego, na Braci i na wszystko.

Wtem King łapie mnie za biodra i sadza z powrotem z taką siłą, że chyba podeszłoby to pod przemoc domową. Rzucam mu spojrzenie, a on chwyta mnie za szyję.

– Tylko spójrz na jego kutasa, a nie będziesz mogła chodzić przez tydzień. I wierz mi, P, nie dlatego, że on cię wyrucha.

Strzepuję jego rękę z twarzy. Jestem tak nabuzowana, że nawet nie orientuję się, kiedy wracamy do „obozu”. Limuzyna zatrzymuje się,

a ja natychmiast wysiadam.

– O nie, nie waż się od tego uciekać! – King błyskawicznie zagradza mi drogę, aż wpadam na niego.

Odpycham go.

– Spierdalaj! – Jestem o krok od wybuchnięcia płaczem, ale tłumię łzy. Próbuję zwalczyć gniewem swój ból, ponieważ jeśli pozwolę, by smutek wziął nade mną górę, to utonę we własnych łzach. – Okłamywałeś mnie, King! Kłamałeś, prześladowałeś, porwałeś i okłamałeś mnie! Czuję się zdradzona przez ciebie! Przez ciebie, King! Nie przez kogoś innego.

Nie odpowiada. Jego ramiona unoszą się i opadają ciężko w rytm oddechów. Szczęki trzyma mocno zaciśnięte, a brwi złączone. Wdycha moje ostre słowa i przełyka je, ponieważ w głębi duszy wie, że na nie zasłużył.

Nie odpuszczam.

– A co gorsza... – Łzy spływają mi po policzkach, więc ocieram je gniewnie. – Byłeś gotów poświęcić mnie jak jakieś zwierzę ofiarne! I na jaki chuj?

Wzdryga się.

– Wtedy byłaś Dove.

– I to jest niby usprawiedliwienie? – wrzeszczę. Znów to machanie rękami. W głowie mi już łupie od alkoholu.

– Byłaś moim cholernym zadaniem, P! To moje życie! Nie było mi dane odejść, jak tobie przez ostatnie dziesięć lat! Tym się właśnie zajmuję! – Robi krok w moją stronę.

Przełykam ślinę.

– Chcesz, żebym miał emocje, mała? Zmiękł i stał się tym samym małym chłopcem, którego znałaś w przeszłości? – Przechyliła głowę, nachylając się, aż natrafia ustami na moje wargi. – Nigdy nie będę tym chłopcem. On umarł, kiedy ty umarłaś. – Wiedzie językiem po mojej dolnej wardze. – Jedno nie może istnieć bez drugiego.

Odpycham go i biegnę do swojego kampera. Wskakuję do środka cała zapłakana, po czym padam na łóżko, osuwając się w głęboki sen.

Rozdział 36

P

Następnego ranka stoję pod prysznicem z pulsującym bólem głowy. Wspomnienia wczorajszej nocy migają mi przed oczami.

– Boże... – Rozmasowuję skronie. Kłótnia z Kingiem, jego pojawienie się w klubie, *kłótnia z Kingiem*. Wciąż jestem na niego zła, choć tak naprawdę nie jest godzien moich słów ani gniewu.

Zakręcam wodę i owijam się ręcznikiem. Pospiesznie zakładam podarte boyfriendy, które wiszą swobodnie na biodrach, odsłaniając stringi, i koszulkę odkrywającą brzuch. Delila zadzwoniła, bym przyszła powitać moich nowych rekrutów. Denerwuję się tym z jakiegoś powodu. A jeśli okażą się za słabi? Albo będą mieć paskudne charaktery? Przecież muszę z nimi mieszkać.

Pędzę do namiotu, nie zwracając uwagi na szepczących między sobą ludzi dookoła – zapewne o mojej wybuchowej wymianie zdań z Kingiem.

Wbiegam do środka.

– Przepraszam za spóźnienie! – krzyczę, zanim jeszcze się rozejrzę. Zamieram na widok Braci siedzących na krzeselkach.

King opiera nogę na siedzeniu przed nim. Jego oblicze skrywa naciągnięty na głowę kaptur.

– Dobrze! – Delila przyklaskuje z zadowoleniem. – Cieszę się, że jesteś.

– Mhm. – Uśmiecham się do niej i siadam na ziemi przed sceną. Wokół jest trochę ludzi, ale jedynymi, do których mnie jak zwykle ciągnie, są ci czterej psychopaci.

Tłumię to w sobie i zerkam na trzy osoby stojące obok Delili.

Wskazuje na drobną dziewczynę z długimi, ciemnobrązowymi włosami, delikatną, nieskazitelną skórą i najjaśniejszymi niebieskimi oczami, jakie kiedykolwiek widziałam. Jest oszałamiająco piękna.

– Oto Saskia. – Dziewczyna posyła mi skinienie, opierając czoło na ramieniu kobiety.

Delila podchodzi do następnej, blondynki.

– To jest Callan.

Ma klasyczną urodę. Obie są piękne, co widać wyraźnie nawet pomimo mroku, jaki w sobie noszą. Wygląda na to, że Delila już je oporządziła i ubrała. Dzięki Bogu.

Wreszcie wskazuje młodego chłopaka. Ewidentnie jest młodszy ode mnie; musi mieć jakieś osiemnaście lat – o ile nie mniej. Jest szczupły, ale nie chudy, natomiast twarz ma jak z magazynu o modzie. Większość facetów z Kiznitch jest przystojna – wystarczy spojrzeć choćby na Braci. I ten chłopak nie jest wyjątkiem.

Unosi głowę, by spojrzeć mi prosto w oczy. Uśmiecha się przy tym delikatnie.

– A to – Delila wskazuje go swoim idealnie zrobionym paznokciem – jest Kenan.

– No dobra – odchrząkuję. – Czy którekolwiek z was umie tańczyć?

– Tak – odzywa się blondynka. – Ja umiem. Kenan też.

– A ty? – pytam nedorzecznie atrakcyjną brunetkę. – Tańczysz?

– Jest małomówna.

Śmieję się cicho.

– Doskonale to znam. – Spoglądam na Kinga, po czym wstaję. – A freestyle?

Przytakują skinieniem. Kenan natomiast staje przede mną z figlarnym spojrzeniem. Rany, już wiem, że będą z nim kłopoty...

– To zaszczyt móc cię poznać, Perse.

Zerkam na jego wyciągniętą ku mnie dłoń, po czym ją ściskam.

– Wzajemnie.

Wskakuje na scenę, a zaraz za nim dziewczyny. Delila podchodzi do mnie z założonymi rękami.

– Znakomicie sobie poradzą, Perse.

Przechyliłam głowę, przesuwając palcami po twarzy.

– Obyś miała rację. Przy okazji... – Z uśmiechem na ustach zerkam przelotnie na chłopaków, którzy mi się przyglądają. – Czy miałybyś coś przeciwko, gdybyśmy podczas naszych pokazów nosili taki sam makijaż jak Bracia?

Delila unosi brew.

– Odważna jesteś.

Wybucham śmiechem, po czym wskakuję na środek sceny, ignorując wszystkich, których mam za plecami.

– No dobrze – odzywam się wpatrzona w całą trójkę. – Rozumiem, że może wydawać się wam, jakby to wszystko działo się zbyt szybko...

– Perse? – wtrąca się Kenan.

Spoglądam na niego.

– Wszystko będzie w porządku, małeńka. Zobaczysz.

Wypuszczam powietrze z płuc.

– No to w porządku. Bardzo mi na tym zależy. Nie chcę brzmieć jak dupek, ale byłoby świetnie, gdybym nie musiała uczyć was podstaw.

– Nie musisz... – mamrocze Saskia, rozglądając się dookoła, jakby zaskoczona, że się odezwała. – Nie musisz uczyć nas podstaw.

Kiwam głową z uśmiechem.

– Świetnie. A zatem włączę muzykę i zaprezentujcie mi to, co przyjdzie wam do głowy. Ta piosenka jest dość łagodna, ale uważam, że działa uwalniająco na duszę, dzięki czemu łatwiej przy niej wyrazić siebie. Im szybciej zobaczę wasz styl, tym lepiej.

Cała trójka potakuje skinieniami, a ja odwracam się, by spojrzeć na Delilę.

Boże, mam nadzieję, że trafiła z wyborem.

Ignorując magnetyzm przyciągający mnie do chłopaków, i Kinga, biorę telefon i włączam *Breathe* Mako. Liczę na to, że uwolnię się od wspomnień o mnie oraz Kingu, które budzi we mnie ta piosenka – że uda mi się to właśnie teraz. Poprzez ten taniec.

Kiedy z głośników wydobywają się pierwsze dźwięki, cała trójka powoli ustawia się w linii, jak gdyby wykonywali przygotowany wcześniej układ. Już widzę, że mają talent.

Wchodzi bit i zaczynam kręcić biodrami do rytmu. Wyciągam rękę, którą łapie Kenan i przysuwa mnie do swojej piersi. Odwracam się w jego uścisku wraz z początkiem zwrotki. Następnie odsuwam się od niego powolnymi obrotami. Przez ten wczorajski alkohol jestem już cała spocona. Gdy zaczyna się refren, podrzuca mnie, cały czas trzymając za rękę. Tańczę wokół niego, a on idealnie kontruje moje

ruchy. Kurwa, Kenan jest niesamowity. Odszukuję wzrokiem oczy Kinga. Mój oddech staje się cięższy i opuszczam nieco powieki. King przesuwa palcem po górnej wardze. Jego twarz skrywa cień rzucany przez kaptur. Widzę jednak, że podryguje nerwowo kolanem. Jest podenerwowany. Wtem piosenka się kończy, a ja uwalniam się z objęcia Kenana.

– Dobrze. Bardzo dobrze – kwituję żartobliwie, kiwając głową.

Kenan puszcza do mnie oczko.

– Tak?

Zeskakuję ze sceny, by podnieść swój telefon. Wciąż staram się uspokoić oddech.

– Nasz pierwszy pokaz wykonamy do *Copypcat* Billie Eilish. Choreografię mam już obmyśloną, więc ją z wami omówię. Po tym, co zobaczyłam, gdy tańczyliśmy, sądzę jednak, że szybko załapiecie.

Robię wdech i nagle dłoń Kinga ląduje na moim brzuchu. Wstrzymuję oddech. Przyciąga mnie do siebie, aż czuję go za plecami. Mimo to staram się nie zwracać na niego uwagi i kontynuuję:

– Zagramy ją teraz. Chcę, żebyście się rozgrzali i zapoznali z nią na tyle, by weszła wam w krew. Następnie pokażę wam ruchy. Jake! Włącz muzykę, dziękuję! – Odwracam się do Kinga. – Co ty wyprawiasz?

– Muszę ci coś pokazać. Teraz.

Oblizuję usta.

– No dobra, to prowadź. – Ruszam za nim, krzyżąc do moich nowych tancerzy, by się porozciągali. Kiedy opuszczamy namiot, łapię mężczyznę za ramię. – Co takiego chcesz mi pokazać?

– W kamperze – mówi spokojnym tonem, choć mową ciała zdradza podekscytowanie.

Dochodzimy więc do kampera i wchodzimy do wnętrza.

Od razu dolatuje mnie charakterystyczny metaliczny zapach. *Krew*. Spoglądam mu w oczy. Przygląda się, jak zamykam drzwi.

– Co zrobiłeś?

Raczy mnie uśmieszkiem, po czym wyciąga paczkę fajek i wkłada jedną do ust. Otwiera zapalniczkę Zippo, a kiedy wznieca płomień, natychmiast ją rozpoznaję.

– King! – wrzasnęłam zniecierpliwiona, goniąc za nim przez las pełen niebezpiecznie odstających konarów i gałęzi. – Ne biegnij tak szybko!

– Może to ty biegniesz za wolno? – odparł wyszczerzony, biegnąc tyłem.

Warknęłam i przyspieszyłam. Nagle zahaczyłam stopą o jakiś zeschnięty budył i się przewróciłam.

– Auć! – krzyknęłam, po czym podniosłam się z błota.

– Nic ci nie jest? – zapytał. Przyklęknął obok mnie i złapał za rękę. – Nawet na chwilę nie można spuścić cię z oka, co nie? – Uśmiechnął się tak uroczo, aż jego dołeczki wydały się wyraźniejsze niż zwykle.

Odepchnęłam go żartobliwie, ale w tym samym momencie zauważyłam coś błyszczącego na ziemi. Schyliłam się więc, żeby to podnieść.

– O, zapalniczka!

– To zippo! – poprawił mnie King, wyciągając mi ją z dłoni.

Wzruszyłam ramionami.

– Jak zwał, tak zwał.

Schował ją do kieszeni i chwycił moją dłoń.

– Pospieszmy się, zaraz będzie ciemno.

Staję obok niego. Powoli obracam głowę. Moim oczom ukazuje się ciało leżące na podłodze w kałuży krwi. Jego twarz zwrócona jest w moją stronę.

– Jack? – Podbiegam do niego i padam na kolana. Oczy uciekają mu w głąb czaszki, a z ust cieknie krew.

– King! – wydieram się. – Co ty zrobiłeś?

King mruga, po czym spogląda na mnie.

– To zemsta. Tylko tym razem nie ujdzie z życiem.

– O czym ty, kurwa, bredzisz? – rzucam dobitnie szeptem i ściskam dłoń Jacka.

Mężczyzna podchodzi, na co ja odruchowo wstaję, by zasłonić leżącego.

– Dlaczego to zrobiłeś?

Nagle otwierają się drzwi, wpuszczając do środka światło. Wchodzi Delila, która rzuca okiem na zastaną sytuację, po czym kręci głową.

– Mam nadzieję, że się tym zajmiesz, King.

Ten wpatruje się we mnie cały czas.

– Serio nie zamierzasz wierzyć w nic, co ci powiem?

– Okłamywałeś mnie! I zamierzałeś mnie zabić, King!

– Tak? – Łapie mnie za szyję tak mocno, że odcina dopływ powietrza. Jednocześnie przyciska moje usta do swoich. – Zabijałem za mniej, P. – Odpycha mnie i upadam na Jacka. Łąduje dłońmi w ciepłej cieczy na podłodze. – Jeżeli tak chcesz to rozgrywać, to powodzenia. Ale ja mam tego, kurwa, dość. – Odwraca się i wychodzi, zatraskując za sobą drzwi.

– Jezu Chryste. – Nachyliłam się nad Jackiem z dłońmi na jego piersi. – Wszystko będzie dobrze. Sprowadzę ci pomoc. – Próbuję go podnieść, ale on zaczyna kaszleć i ściskać się za żebra. Ma rozerwaną koszulkę, całą we krwi. Zakładam sobie jego ramię na kark, po czym obejmuję go w biodrach, żeby pomóc mu wstać. – Zawiozę cię do szpitala. Powiem, że cię napadli. – Podchodzimy do drzwi, które otwieram.

Na szczęście nie ma tu tylu ludzi co zwykle, bo większość rozjechała się na święto. Prowadzę go tak, aby mógł podpierać się o bok kampera.

– Zaczekaj tu, zdobędę kluczyki Kinga. – Wpadam ponownie do środka. Tam przeszukuję papiery, klucze i inne graty. Wbiegam wreszcie na górę, prosto do jego sypialni, tłumiąc wspomnienia mojego ostatniego pobytu w niej.

Znajduję je na jego komodzie. Z kluczykami w dłoni natychmiast wracam do Jacka. Obejmuję go z powrotem i tak idziemy na parking. Kiedy tylko tam docieramy, odnajduję rolls-royce'a Kinga. Odblokowuję go, otwieram drzwi pasażera i sadzam Jacka na siedzeniu, po czym obiegam samochód, by usiąść za kierownicą.

– Odpalaj. Pokieruję cię – charczy z krwią na ustach.

– Muszę cię zabrać do szpitala! – krzyczę i uruchamiam silnik, który w mgnieniu oka zaczyna warczeć. Ruszam z piskiem, jakby ścigała mnie policja.

– Nie! – protestuje, krztusząc się i plując krwią. – Proszę. To nie pierwszy raz, kiedy King mnie pobił. Po prostu jedź, a ja powiem ci którądy. Tylko jedna osoba może mi pomóc.

Waham się, ale wreszcie ulegam jego prośbom i się zgadzam.

Dwadzieścia minut później wjeżdżamy na długi podjazd otoczony bujnymi krzakami. Jack jęczy z bólu, więc przyspieszam, aby jak

najszybciej znaleźć się przed wejściem do domu.

Ze środka wybiega kobieta, odgarniając włosy z twarzy. W jej oczach maluje się przerażenie. Musi być po czterdziestce.

– Jack? – Zbiega po marmurowych schodach i dopada do drzwi. Nie zwraca na mnie uwagi. Dopiero gdy trzyma go już w ramionach, spogląda mi w oczy.

Zamiera. W jej oczach maluje się coś, czego nie jestem w stanie rozczytać.

– Cześć. – Zerka w kierunku okna wychodzącego na podjazd, po czym znów na mnie. Wiodę tam wzrokiem w poszukiwaniu tego, co zwróciło jej uwagę, ale zauważam tylko kołyszającą się firankę.

– To jest Persephone, mamó. Pomogła mi.

Kobieta mierzy mnie sceptycznym wzrokiem, by po chwili kiwnąć do mnie głową.

– Wejdz.

Zamykam samochód i idę za nimi. Obszukuję dłonią kieszenie spodni, jednak przypominam sobie, że zostawiłam telefon w obozowisku.

Wchodzimy do przedpokoju. Kiedy zatrząskują się za mną drzwi, przechodzi mnie dreszcz – niczym ostrzeżenie. Może nie powinnam była tu przychodzić.

– Perse, pomożesz mi? – odzywa się Jack, łapiąc mnie za rękę. Spoglądam na jego wyczekującą dłoń, a potem na jego matkę. – Perse?

Robię krok do tyłu, ale wpadam na kogoś. Chcę krzyknąć, ale czyjaś ręka zasłania mi usta i zostaje podniesiona z podłogi.

– Co z nią zrobić? – odzywa się trzymający mnie mężczyzna, podczas gdy ja próbuję się uwolnić.

– Mamy mało czasu – odpowiada Jack, rozmasowując głowę zakrwawionymi dłońmi. – To pierwsze miejsce, w którym będzie jej szukał.

– Bracia z Kiznitch nie wiedzą o tym domu – odzywa się jego matka. – Możemy związać ją i zostawić w szopie na podwórzu.

– W takim razie do szopy z nią. Potem zbiore wszystko, czego potrzebuję, żeby ją dostarczyć. Oni mają obsesję na punkcie tej suki.

Jego matka mierzy mnie wzrokiem.

– To brzydsza z bliźniaczek.

Gryzę dłoń spoczywającą na moich ustach. Mam ochotę wyrwać tej babie włosy i wydrapać oczy. Nie dlatego, że nazwała mnie brzydszą bliźniaczką, ale przez to, że wie coś, czego nie wiem ja.

Nie jestem jednak w stanie nic zrobić, bo natychmiast gdzieś mnie zabierają.

Rozdział 37

King

Nie mogę przestać myśleć o P. Mój umysł lgnie do niej jak żelazne opiłki do magnesu. Jednocześnie jednak to jej obrażanie się i zgrywanie szlachetnej, bo pobiłem Jacka, wyczerpało moją cierpliwość. Już jako dzieciak myślała, że jest w stanie każdemu pomóc. I to dosłownie. Zawsze pytała, czy wszystko w porządku i jak się czujesz. Taka właśnie była, niczym uzdrowicielka.

Drzwi do jej pokoju się otwierają. Unoszę głowę, a moim oczom ukazuje się Killian, który patrzy na mnie z drugiego końca pomieszczenia. Które jest chujowe. Za dużo tu różowego.

– Ależ wy oboje jesteście kurewsko męczący. Wiesz o tym, prawda?

Śmieję się pod nosem i siadam.

– Wiem.

– A z innej beczki... – Killian siada na łóżku i opiera się o wezglowie. – Widziałeś tę nową dziewczynę?

Przewracam oczami.

– Są dwie nowe. Którą konkretnie?

Trzepie mnie poduszką w głowę.

– Wiesz, że wolę brunetki.

Prycham.

– Wiem, że wolisz Mayę.

– Jebać to. Ona wie, jak jest. Nie dotykamy się, nie całujemy ani nic. Jest jak młodsza siostra, na którą miałem ochotę przez jakiś czas. – Milknie, wypuszcza powietrze z płuc i trąca mnie stopą. – Co z tobą? Jesteś podenerwowany bardziej niż zwykle.

Wycieram twarz w dłoń.

– Nie wiem. – *Wiem.* – Odkąd okazało się, że Dove to P, czuję, jakby ryło mi to beret.

Cisza.

– A co zrobiłeś?

– Prawie zabiłem Jacka. – Przypominam sobie wszystko szczegółowo.

– Dobrze. – Killian wstaje i okrąża łóżko, po czym siada na podłodze przede mną. – Powinien zdechnąć.

– Zdechnie – odpowiadam ze śmiechem, potrząsając głową. – Chciałem tylko pozwolić, by to wyszło od niej, zamiast samemu załatwiać sprawę. Stary, wiesz, jak trudno było mi zapanować nad całym tym gniewem, żeby tylko podać go jej na srebrnej tacy? – Spoglądam na Killiana spod kaptura. – Dręczyłem tę laskę przez większość jej życia, Kill. Czaiłem się w kącie jej sypialni. Słuchałem, jak krzyczy przez sen, i patrzyłem, jak złana potem rzuca się na łóżku męczona przez koszmary.

– Sam też się do nich niemało przyczyniłeś – zauważa.

Rzucam mu spojrzenie.

– Nie przeczę. Wiem, że mnie nie chce. Że nigdy nie mieliśmy być razem. Wszystkie te bzdury, którymi karmiono nas za dzieciaka i które powtarzaliśmy sobie nawzajem, okazały się nic niewarte. Obydwaj to wiemy.

– Zmierzasz do jakiejś konkluzji?

– No, wystawiłem jej Jacka. Zostawiłem go całego zakrwawionego w naszym kamperze. Wystarczyło, by powiedziała tylko słowo, a skrzyłbym mu kark.

Killian uśmiecha się nikiemnie, przesuwając palcem po górnej wardze.

– Jakie to słodkie. A gdzie ona teraz jest?

Macham ręką i układam się oparty na jednym łokciu.

– Zostawiłem ją z nim. I tak długo nie pożyje.

Killian nie odpowiada. Nagle jednak zrywa się na równe nogi.

– W naszym kamperze?

Spoglądam na niego.

– No, a co?

Blednie jak ściana.

– Jestem pewien, że kiedy go mijałem, drzwi były otwarte.

Zeskakuję z łóżka, po czym obaj pędzimy schodami na dół, wypadamy na zewnątrz i kierujemy się do naszego wozu.

Pusty. Po tym zjebie została tylko kałuża krwi. Walę pięścią w drzwi, aż otwierają się na oścież.

– Kurwa!

– Ty, musimy ją znaleźć. Inaczej zabierze ją do Patience. – *W tej chwili nie jestem nawet w stanie myśleć o Patience.*

– Co się dzieje? – woła Delila, która podbiega do nas, ubrana w swój kostium.

Wskakuję z powrotem do kampera, podczas gdy Killian wszystko jej wyjaśnia. Rozglądam się po pokoju w poszukiwaniu moich kluczyków. Na pewno zostawiłem je na komodzie, a potem zająłem się tym żalosnym śmieciem. *Wzięła mojego SUV-a.*

Wybiegam znów na zewnątrz, gdzie czekają już pozostali Bracia.

– Musimy jechać. Wzięła moją brykę, więc łatwo ją namierzymy przez GPS.

Wyruszamy trzema samochodami.

Rozdział 38

P

Trzęsę się w kącie z palcami zaciśniętymi na ramionach. Nie dotknął mnie, ale rozpoznałam go. To on miał na sobie tę neonową maskę i przyszedł do celi, w której mnie trzymali. To był Jack. Czy to dlatego King mi go tak wystawił? Czyją krew miał na palcu, kiedy byliśmy w lesie? Jack zniknął właśnie tamtej nocy.

Z zamyślenia wyrrywają mnie dochodzące z piętra odgłosy uderzeń. Wstrzymuję oddech. Kim jest Patience i co to wszystko znaczy?

Drzwi się otwierają i zjawia się w nich Jack. Wciąż nosi ślady pobicia, ale widać, że opatrzył świeże rany na twarzy.

– Cholerna Persephone Hendry. Mała, idealna księżniczka. Ile kasy jesteś warta? – Cmoka, kręcąc głową. – Ależ będą zadowoleni.

– Kto? – pytam. Odsuwam się, kiedy próbuje mnie dotknąć. – Nie dotykaj mnie, chuju!

Robi zamach i uderza mnie wierzchem ręki w twarz. Natychmiast robi się odrętwiała. Czuję pulsujący ból i krew w ustach.

Wypluwam ją na podłogę.

– Pierdol się.

Uderza ponownie.

I jeszcze raz. Powtarza to do momentu, aż jestem bliska utraty przytomności.

Leżę zwinięta w kłębek na podłodze, zasłaniając głowę rękami. Wreszcie Jack podnosi mnie tak, bym stanęła na nogach.

– Idziesz do szopy. Zrobisz pokaz tylko dla mnie.

Szarpnięciem wyrywam się z jego uścisku.

– Kurwa...

Wtem czuję ostre ukłucie igły wbijanej w moje ramię. Zawartość strzykawki rozchodzi się powoli po moim krwiobiegu, aż wreszcie

padam do tyłu. Zaczyna kręcić mi się w głowie, a twarz Jacka robi się niewyraźna.

– Przyzwyczaj się do tego, Perse. W taki sposób Patience załatwia swoje sprawy.

Wszystko wokół wiruje.

Widzę trawę.

Ciężkie buty.

Jeansy.

Jego głos wydaje się niższy, brzmi nawet zabawnie jak ze zdartej płyty albo szwankującego odtwarzacza. Cokolwiek znajduje się w otoczeniu zlewa się ze sobą, w efekcie czego widzę podwójnie. Moja głowa uderza o ziemię, a ciało nieruchomieje i nieprzyjemnie mrowi. Nie wiem... *Gdzie jestem? Co się dzieje?*

Znowu obce ręce podnoszą mnie na siłę. Dolatuje mnie słodki zapach marihuany.

– Tańcz – odzywa się Jack, ale jego głos jest zniekształcony.

Słyszę przytłumione dźwięki *Schism* Toola. Dym przesłania mi widok. A może to mój mózg... Cała obolała zaczynam kołysać się na boki. Ramię boli w miejscu wkłucia. Powoli dociera do mnie, co się dzieje. *Skurwiel odurzył mnie prochami.*

Łapie spód mojej koszulki i zrywa ją ze mnie, po czym zabiera się za spodnie. Z oczu płyną mi łzy, bo nie mam siły się mu postawić.

Nie mogę walczyć. Jestem pozbawiona kontroli. Zginę tu albo sprawią, że zapragnę śmierci. Znowu go widzę. Przykłada igłę do swojego ramienia, wypuszczając dym z ust, i wstrzykuje sobie zawartość strzykawki. Przyciąga mnie do siebie, po czym prowadzi w chorym tańcu po stodole, zatracony w narkotycznym otępieniu. Wtem popycha mnie na belę siana, którego drobinki wraz z kurzem wzbijają się w powietrze. Skupiam wzrok na ździebełku opadającym tuż obok jego ramienia. Stopniowo, coraz niżej. Ogarnia mnie senność, więc z całych sił walczę, by jej nie ulec.

Jack gryzie moje piersi, a kiedy już przesuwam mi na bok majtki, nad jego ramieniem ukazuje się twarz Kinga. Jestem przekonana, że umieram. Słyszę jakieś krzyki, ale nic do mnie nie dociera.

W idealnym świecie King nie chciałby mnie zabić, tylko by mnie uratował.

W idealnym świecie nie leżałabym tu, odurzona i bezbronna. Za co to wszystko? Za błędy moich rodziców?

W idealnym świecie nie byłabym upadłą dziewczyną szukającą własnej drogi.

Świat, w którym żyjemy, nie jest jednak idealny. Nie ma tu Kinga, który by mnie uratował. Mimo to wyobrażam go sobie. Opanowuję uczucie senności. Podpieram się łokciami, bo zauważam poruszającą się płynnie sylwetkę Kinga. Widzę tylko jego i Jacka, a potem tryskającą krew. Język ucieka mi z ust, podczas gdy Killian i Delila stają po bokach i łapią mnie za ramiona. Czuję metaliczny posmak.

– Zemsta? – szepczę do siebie. Tylko do siebie, ponieważ to sen. To się nie dzieje naprawdę.

– Tak, Ptaszynko – mówi cicho Killian. Jego słowa odbijają się echem w mojej głowie. – Jebana zemsta. – Nagle jednak cofa się wraz z Delilą.

Wciągam głęboko powietrze. Nagle dolatuje mnie znajomy zapach świeżego popiołu, skóry i miodu. King bierze mnie w ramiona i podnosi, tuląc do piersi. Poddaję się ostatecznie senności, a moja głowa opada do tyłu.

Nie uratował mnie księżę z bajki. Uratował mnie złoczyńca. Jebać to – nie chcę już być z nim na ścieżce wojennej.

Rozdział 39

P

Mam wrażenie, jakbym w ustach miała pełno waty, a kończyny zostały przyspawane do łóżka. Podnoszę się, stękając z wysiłku. Najpierw czuję ten zapach. Przecieram oczy i uchylam powieki. Zauważam duże okno po lewej. Czarne, pokryte skórą łóżko i komodę. Wielki telewizor. Czarne ściany z wielkim, białym trójkątem wymalowanym nad łóżkiem.

– Kurwa.

Drzwi się otwierają i do środka wchodzi King. Zatrzymuje się, widząc, że nie śpię.

– Co się stało? – pytam. Przeczesuję włosy palcami. Są jak siano. W dodatku okropnie cuchnę.

– Nie pamiętasz? – odpowiada wpatrzony we mnie uważnie.

– Nie bardzo. – Biorę od niego szklankę soku pomarańczowego i piję powoli, sycąc się chłodem i smakiem napoju. – Boże, ale śmierdzą.

King kręci głową, a kiedy nasze spojrzenia się spotykają, robimy to, co zawsze: oczami wyrażamy to, czego nie możemy wyrazić ustami. Dostrzegam niepokój na jego twarzy. Ma rozszerzone źrenice i napięte mięśnie szczęki.

– Weź prysznic, P – szepcze, robiąc krok wprzód. – Ale nie zamierzam spuszczać cię z oczu.

Ściskam pościel.

– Aż tak źle?

Śmieje się cicho.

– Tak, maleńka. Aż tak. Chodź. – Wyciąga ku mnie dłoń.

Chwytam ją. Mały gest o głębokim znaczeniu. Tak to już między nami jest. Piszemy naszą historię niewidzialnym atramentem, tak aby nikt inny nie mógł jej przeczytać. Próbuje zanieść mnie do łazienki, ale odpycham go.

– Uparciuch... – mamrocze.

Przez sekundę widzę w nim tego Kingstona sprzed lat.

Kiedy jesteśmy już w łazience, odkręca wodę i czeka, aż się nagrzej, po czym zasuwają drzwi kabiny.

– Otarłem ci twarz, jak spałaś. – Kopniakiem opuszcza deskę sedesową i siada. – Delila chciała cię od razu wykąpać, ale prędzej bym ją zabił, niż pozwolił cię dotknąć, więc odpuściła.

– King – szepczę strofującym tonem. Czuję ucisk w piersi i klucie w sercu. Wygląda na takiego... udręczonego.

Kręci głową, wskazując na kabinę.

Uśmiecham się. Wchodzę pod prysznic i tam się rozbieram. To głupie, bo przecież King już widział mnie nagą. W tej chwili jednak nie czuję zupełnie nic. Chciałabym tylko pobyc tu sama. Zasuwan drzwi w pełni świadoma, że nie ruszył się ze swojego miejsca.

– Włączysz muzykę? – mamrocze. Wiem, że słyszy.

Drzwi łazienki się otwierają i po chwili zamykają. Sparował telefon z nagłośnieniem kampera i po chwili z głośników wydobywa się Evil Angel Breaking Benjamin. Sięgam po mydło i zamykam oczy. Biorę głęboki wdech, po czym wypuszczam powietrze z płuc otoczona falami muzyki. To przez nią zawsze wyrażałam siebie i dawałam upust swojej energii. Stanowi najważniejszą część mnie. Chyba tak samo jest z każdym w Midnight Mayhem.

Nakładam szampon i odżywkę na włosy. Wyciskam mydło na dłoń, by umyć twarz. Krzywię się jednak z powodu obolałego, posiniaczonego policzka. Opłukuję się, po czym siadam w brodziku z kolanami przyciśniętymi do piersi. King odsuwa drzwi i spogląda na mnie, na co kulę się mocniej. Nie odwraca wzroku. Ale też nie dostrzegam w jego oczach pożądania. Raczej cierpienie, ostrożność i... zagubienie.

Breaking Benjamin wciąż wypełnia ciszę między nami.

King przykłęka i ujmuje mnie za brodę. Woda pada mi strumieniami na twarz, maskując łzy.

– Czy ty nie miałaś przypadkiem już przede mną nie klękać? – Próbuję zarzucić żartem nawiązując do słów, które wypowiedział, kiedy poznałam go na jachcie. Słowa jednak grzęzną mi w gardle i dalej wydaję z siebie głównie szloch.

– Pamiętam wszystko.

Ocieram łzy, choć nie mam po co. King nieruchomieje, a w jego spojrzeniu maluje się powaga.

– Obiecuję ci, P, nikt już cię nie skrzywdzi. On nawet nie powinien był znaleźć się na tym jachcie. Badamy tę sprawę, ale z tego, co wiemy, od dłuższego czasu pracował z naszymi wrogami. Zabił strażnika, żeby dostać się na łódź.

Obiecuje, ale czy mogę mu znowu zaufać? To, co się wydarzyło teraz, przypomina ziarnko piasku pośród pustyni. Jeżeli Jack zabił strażnika, to wyjaśniłoby krew na jego nożu.

Wzdrygam się na wspomnienie o tym, jak mnie odurzył i próbował znowu zgwałcić.

King wchodzi pod prysznic w wojskowych butach i pełnym ubraniu. Siada obok, obejmując mnie w talii. Przyciąga mnie do siebie, tak bym ułożyła się między jego nogami i oparła mu głowę na piersi. Nie mogę przestać płakać.

Tak. Tak, mogę zaufać temu mężczyźnie.

– Oddaj mi swój ból, P – szepcze, muskając ustami moje włosy. – Cały.

– Dlaczego? – Trzęsę się i przylegam do niego mocniej.

– Żeby zakryć nim mój.

Wciągam głęboko powietrze. Odpycham się od jego piersi, by spojrzeć mu w oczy. Woda ścieka mu po kapturze, zsuwam materiał, odsłaniając jego włosy. Zanurzam w nich palce i zjeżdżam dłonią na jego policzek.

– Jak ty wydorostałeś.

Odsuwa moją dłoń.

– Ty też.

Wstaje, podnosząc mnie ze sobą. Następnie, oparta o ścianę, gładzę palcem wskazującym jego usta, na co zamiera. Czyżbym posunęła się za daleko? Nie obchodzi mnie to. W tej chwili chcę go pocałować. Nawet jeśli tylko na tym się skończy – chcę go pocałować.

Przysuwam się do niego, ale on wciąż tkwi w bezruchu. Kiedy jednak moje usta napotykalają jego wargi, obejmuje mnie mocniej w talii. Kładę mu dłoń na twarzy i rozchylam usta. Wreszcie odwzajemnia gest. Muska językiem moją dolną wargę, po czym podnosi mnie, a ja oplatom go nogami. Z głośników leci teraz Crawl,

z czego się cieszę, ponieważ gniewny wyraz piosenki pozwala mi uciszyć myśli.

Przygważdża mnie do ściany i odchyła głowę, by spojrzeć mi w oczy. Trzyma mnie jedną ręką, a drugą układa tuż obok mojej głowy.

– Chcesz to powtórzyć?

– Napraw mnie – szepczę, przysuwając się do jego ust. – Nie obchodzi mnie, jeśli to będzie tylko chwilowe. Po prostu mnie napraw, King. Tylko ty możesz to zrobić.

– Dlaczego? – mówi. Jego głos owija się wokół mnie jak jedwab, aż miękną mi kończyny.

– Nie wiem – odpowiadam szeptem, dając mu sygnał, by objął mnie mocniej. – Może dlatego, że zawsze byłam i zawsze będę twoja.

– Nawet jeśli nie mogę cię mieć? – pyta z przechyloną głową.

Światło padające zza drzwi prysznicza idealnie podkreśla jego ostro zarysowaną szczękę.

Przełykam ból, który wywołują we mnie te słowa.

– Nawet jeśli nie możesz mnie mieć.

Całuje mnie, napierając na mnie swoim biodrem. Gdy zaczynam się pod nim wić i dyszeć, spowalnia ruchy warg. Robię się wilgotna dla niego. I tylko dla niego.

Chwytam klamrę jego paska, by zsunąć mu spodnie, podczas gdy on wędruje pocałunkami na mój obojczyk, mostek i brzuch. Przywiera ustami do wewnętrznej części moich ud, a jego język, niczym wąż, sunie po skórze, odnajdując wzgórek łonowy, po czym trafia wprost na lechtaczkę i napiera na nią pożądliwie. Jednocześnie zakłada sobie na ramię moją nogę.

– King – sapię. – Chcę poczuć cię w sobie. Proszę – kwilę.

– Nie mogę – odpiera cicho, pieścąc mnie czubkiem języka.

– Dlaczego? – jęczę. Tak naprawdę nie chcę, by przerywał to, co robi. Zanurzam palce w jego włosach.

– Wiesz, jak się rucham, P. Nie umiem być delikatny.

Rozchyła mnie lekko językiem, by następnie powoli pieścić moją lechtaczkę okrężnymi ruchami. Zaczynam poruszać rytmicznie biodrami przy jego twarzy. Woda spływa po nas falami. Wsuwa we mnie palec i chwilę później dochodzę mocno, zaciskając się na nim.

Moje soki spływają po udzie, a napięcie mięśni ustępuje wraz z zalegającym we mnie dotąd poczuciem niepokoju.

King powoli wstaje wpatrzony we mnie. Pożera moje ciało wzrokiem. Tkwimy tak, uwiązani wzajemnymi spojrzeniami, czując, jak atmosfera między nami się zagęszcza. Przesuwa mi palcem po udzie i wkłada go do ust, by skosztować mojej wilgoci. To najseksowniejsza rzecz, jaką dotychczas widziałam. A w wykonaniu Kinga wręcz zabójcza.

Wokół rozlegają się dźwięki Dance with the Devil, na co z gardła wrywa mi się chichot, rozluźniając nieco atmosferę.

– Właśnie dotarło do mnie, że masz całą playlistę Breaking Benjamin.

– Co? – odpowiada żartobliwie z uśmiechem. – Dopiero teraz?

Odpycham go figlarnie. Zawieszam wzrok na tatuażu nad jego biodrem. Gładzę go delikatnie palcem.

– Co to znaczy?

Wciąga gwałtownie powietrze.

– Kiedy robili mi tatuaż Synów z Kiznitch, poprosiłem też o ten. Chciałem, żeby zrobiono je w tym samym czasie. – Milknie. Ujmuje moją dłoń i kładzie ją sobie na tej niewyraźnej, mdłej i więdnącej rózży. – To miejsce Dove. – Następnie przenosi mój palec na tę drugą, z jasnymi płatkami i mnóstwem szczegółów. – A to twoje.

Wyciągam się, by go pocałować.

– Jest wspaniała. Przykro mi, że mnie straciłeś.

Nie uśmiecha się ani nie porusza, jest zupełnie pasywny.

– Zgodziłbym się na to ponownie, gdybym dzięki temu mógł być tu z P zamiast z Dove. Wierz mi, fakt, że żyjesz, wzbudza we mnie poczucie, jakbym otrzymał drugą szansę.

– No to nie spierdol tego! – rzucam wesoło, wychodząc spod prysznic.

King owija mnie od tyłu ręcznikiem. Nasze spojrzenia spotykają się w lustrze. Po raz pierwszy widzę w pełni moje siniaki na twarzy. Nie jest tak źle, jak się spodziewałam.

– Dziękuję, King.

Wciąż nie odrywa ode mnie oczu.

– Zawsze, P. Tylko niech sprzeciwianie mi się nie wejdzie ci w nawyk.

Uśmiecham się łagodnie. Odprowadzam go wzrokiem, gdy wychodzi do pokoju i zostawia za sobą otwarte drzwi.

– Dziewczyny przyniosły ci trochę ciuchów. Są na łóżku.

– Dziewczyny? – pytam, opierając się o lustro.

Potakuje skinieniem.

– Twoje dziewczyny. Saskia i Callan. I Rose. Kenan też próbował wejść, ale go pogoniłem.

– King! – strofuję go. – Nie bądź niemiły dla mojej ekipy.

Wzrusza ramionami, po czym zdejmuję z siebie ubranie, na który to widok poziom mojego pożądania skacze pod sufit. Wstydu nie mam. King to lekarstwo na moją utrapioną i rozbitą duszę. Jedno nie może istnieć bez drugiego. Odwracam się pospiesznie i chwytam jedyną znajdującą się w pomieszczeniu szczoteczkę do zębów. Nakładam pastę, myję zęby i wypłukuję usta, po czym wzdycham.

– Przepraszam – mamroczę, ocierając twarz. Wchodzę do pokoju, bo wiem, że już się przebrał. – Trochę to niehigieniczne, ale naprawdę musiałam odświeżyć usta.

– Biorąc pod uwagę fakt, że dotykałem ustami twojej cipki i trzymałem kutasa w twoim tyłku, nie rusza mnie to. – Wkłada nowe buty i wskazuje mi ubrania. – Przebierz się. Czeka nas spotkanie z Delilą. O ile masz na to siły.

Kiwam głową. Biorę jeansy i T-shirt, po czym upuszczam ręcznik, żeby się przebrać. Ignoruję przy tym fakt, że King pewnie bacznie mi się przygląda. Na końcu zakładam swoje trampki, po czym kierujemy się ku schodom. Gdy jestem już na dole, trwające tam rozmowy nagle cichną.

– Rany, ależ wy potraficie być dyskretni – żartuję, zerkając na Braci.

Keaton, który jeszcze przed chwilą dreptał tam i z powrotem, podchodzi, by mnie objąć.

– Ten skurwiol nie dopuszczał do ciebie nikogo przez ostatnią dobę.

King pokazuje mu środkowy palec, po czym idzie do drzwi.

– P.

– Słuchajcie, niedługo wrócę.

Odnajduję wzrokiem Killiana, który na mnie nie patrzy. Trzyma się za głowę, oparty łokciami o blat stołu. Staję obok i wyciągam ku

niemu dłoni.

– Kill?

Podnosi na mnie przekrwione, spuchnięte oczy.

– To była najgorsza doba mojego życia.

– O, czyli nie jesteś jednak taki straszny, co?

Śmieje się, kręcąc głową.

– Ptaszynko, nie jesteśmy dobrymi ludźmi. Ani nawet przyzwoitymi. Wszyscy zabijaliśmy, sami ocieraliśmy się o śmierć, a niektórzy z nas – zerka na Kyrina – przetrwali prawdziwe okropieństwa, ale coś ci powiem... – Patrzy na mnie spod przymkniętych powiek. – Nic nie przeraziło mnie tak, jak widok, który zastałem w tej stodole.

Serce mi mięknie i głaszczę go po głowie.

– Ja też cię kocham.

– Ajjjj! – wydziera się żartobliwie i odchyła do tyłu. – Nie wyobrażaj sobie za dużo. Nikt tu, kurwa, nie mówił nic o miłości.

Przewracam oczami i odwracam się w stronę Kinga stojącego w drzwiach.

– Powiedz jej, że Kill nie jest zdolny, by kochać! – Jego marudzenie niesie się za nami nawet, kiedy zamykamy drzwi i idziemy do namiotu.

Nie wchodzimy jednak do środka, ale kierujemy się na jego tył, do rezydencji. Wiem, jak mieszka Delila – widziałam przecież jej posiadłość w Nowym Jorku.

– King. – Łapię go za rękę i zatrzymuję.

– Nie rób tego, P. – Kręci głową. – Nie wypowiadaj słów, do których się nie dostosuję – odpiera, patrząc mi w oczy.

– Dlaczego? – Już od dawna chciałam go o to zapytać.

Milknie. Zdaje się, że nie odpowie, ale wtem:

– Bo jesteś dla mnie za dobra. Bo niszczę wszystko, co wpadnie mi w ręce!

Podchodzę do niego i zerkam mu w oczy, obejmując za szyję. Przyciągam go do siebie, nos w nos.

– Byłam w twoich rękach od pierwszego dnia mojego życia, King.

– Tak – szepcze wpatrzony we mnie. – I zobacz, do czego to doprowadziło. – Odsuwa się, zostawiając mnie samą. Wiatr porusza moimi włosami.

Gdy wchodzi do środka, wołam za nim:

– Wiem, dlaczego to robiłeś! – Zakładam sobie nieposłuszne kosmyki za uszy. – Dlaczego śledziłeś mnie przez te wszystkie lata. Już rozumiem.

Cofa się i odwraca w moją stronę.

– No, dlaczego, P? Dlaczego prześladowałem cię przez tyle czasu?

– Bo byłem twoim zadaniem. Miałeś mnie obserwować, czekać i pochwycić. Ale w głębi duszy wiedziałeś, King. Wiedziałeś, że nie byłem Dove.

– Nie wiedziałem – szepcze.

– Kłamiesz – odpieram.

Podnosi mnie za uda i dociska do ściany przy patio, dając zapewne wszystkim wewnątrz jedyny w swoim rodzaju pokaz.

– Różne rzeczy można o mnie powiedzieć, P. Ale na pewno nie to, że jestem kłamcą.

– No to dlaczego to robiłeś?

– Dlaczego? – warczy.

Widzę, jak pod płaszczykiem spokoju wzbiera w nim gniew.

– Bo poszukiwano cię i polowano na ciebie, jeszcze zanim twojej matce odjechało – dyszy. – Bo chociaż wiedziałem, co miałem zrobić, wiedziałem też, że byłaś jedyną miłością mojego brata. Jedyną dziewczyną, która mogłaby przywrócić mu rozum. Mimo to jednak nie chciałem mu cię oddawać. Nadal cię pragnąłem, choć wiedziałem, że nie powinienem!

Dech mi zapiera.

– To nie jest nic złego, King.

– Nie – mamrocze. Kładzie mi dłoń na szyi i masuje ją delikatnie.

– Ale nie wiesz jeszcze wszystkiego.

Po tych słowach znika we wnętrzu domu, zostawiając mnie zaskoczoną i skonsternowaną.

Rozdział 40

P

Kiedy wchodzę do środka, Delili aż świecą się oczy. Trzyma w dłoni szklankę wódki z lodem.

– Cholera, Perse, nieźle nas nastraszyłaś – wzdycha.

Siadam na pluszowej, białej kanapie, a ona wstaje, by nalać sobie kolejnego drinka.

Salon jest niezwykle przestronny. Znajduje się w nim również wielka sofa w kształcie podkowy, skierowana w stronę przeszklonej ściany i drzwi balkonowych, przez które właśnie weszliśmy z Kingiem. Zastaję na niej Mayę, Mischę, Rose, Saskię, Callan i Kenana – faktycznie dalibyśmy im niezły pokaz...

– Musimy porozmawiać – odzywa się Delila w momencie, gdy do środka wchodzi Justice i kilkoro innych ludzi.

Rozpoznaję niektórych: opętana seksem mamę Killiana, mamę Kinga, na której widok się wzdrygam, mamę Keatona – a właściwie to naszą – Ash, a także ojców. Oprócz nich zjawilo się też kilku starszych mężczyzn z kobietami. Zauważam jeszcze jedną kobietę bez pary. Z nich wszystkich to ona wygląda, jakby najmniej pasowała do tego miejsca. Ubrana jest w robiony na drutach, rozpinany sweter i długą spódnicę. Ma długie, jasne włosy spięte z tyłu i splecione w warkocz, a w jej oczach maluje się coś na kształt zmęczenia.

– Rozgoście się. Nie mam czasu wzywać pokojówki. – Delila wskazuje na niewielki barek stojący w kącie.

Niektórzy nalewają sobie alkohol, podczas gdy inni po prostu rozsiadają się tu i tam. Nikt się nie odzywa. Robi się dziwnie, aż ogarnia mnie niepokój.

Instynktownie nachylam się do Kinga, który obejmuje mnie ramieniem tak, abym przysunęła się do niego bliżej. Całuje mnie w głowę.

– Jesteś bezpieczna.

Ufam mu. Ale to nie byłby pierwszy raz, kiedy mnie zawiódł w taki czy inny sposób. Zaufanie to długi proces. Można ufać komuś w stu procentach, ale nie jest to dane raz na zawsze i wymaga ciągłej pracy.

– No dobrze. – Delila klaszcze w dłonie, stając przed swoim fotelem. – Proszę teraz każdego, kto rozważa skrzywdzenie Perse z powodu błędów jej rodziców, o wystąpienie. Tak żebym wiedziała, kogo mam zabić pierwszego. – W pomieszczeniu rozlegają się przytłumione śmiechy oraz zaskoczone westchnienia. King drży z rozbawienia i zanurza twarz w moich włosach, aby ukryć śmiech.

– Nikt? – Rozgląda się dookoła Delila. – To dobrze. Wiem, co prawda, że tym światkiem rządzą Bracia i Czterej Ojcowie, i to przed nimi odpowiadamy – spogląda na ojca Kinga – niemniej wykończyłabym każdego, kto zechciałby odebrać mi moją cenną własność. – Podnosi rękę, a ja zastanawiam się, czy coś się jej przypadkiem nie pomyliło. – Pamiętajcie, wykończę każdego, kto wyciągnie swoje łapy po cokolwiek, co do mnie należy. – Robi spokojny wydech, po czym siada na sofie i, popijając wódkę, poprawia sobie włosy. – A teraz sprawy bieżące. Patience.

Od jakiegoś czasu słyszę to imię dość często.

Kaius podnosi się z objęć mamy Kinga. Z cygarem w ustach wygląda jak jakiś boss narkotykowy w typie Tony’ego Montany.

– Patience chciała porwać Persephone ze względu na jej pokrewieństwo z Mayhem. Nie udało jej się to. Sprawa załatwiona. Na tę chwilę nasze drogi się rozeszły.

Delila kręci głową, dolewając sobie drinka.

– Nie. Mnie to nie zadowala. A ciebie, King?

King zamiera na chwilę, po czym powoli odrywa się ode mnie i spogląda w oczy swojemu ojcu.

– Nie. Mnie też nie.

Kaius kręci głową.

– Jesteś zaślepiony, synu.

– Przepraszam za spóźnienie, ale nie zaprosiliście mnie, skurwysyny! – W pomieszczeniu zjawia się Kohen w szelkach i krawacie. Pod oczami ma rozmazany czarny tusz, a na stopach kolorowe skarpety podciągnięte po same kolana. Po sianie na głowie zgaduję, że od tygodnia się nie kąpał. Kiedy mnie zauważa, wygląda,

jakby zobaczył ducha. – O, wow. Patrzcie, co tu mamy. – Zatacza się w moim kierunku z butelką, którą wziął z barku.

– Jezu, Dahlia, powstrzymaj swojego syna – mamrocze Drayar, kręcąc głową i racząc się drinkiem. Z wyraźnym niezadowoleniem na twarzy splata palce i, jak co chwila, zawiesza na mnie wzrok.

Kohen siada obok mnie. Pociąga haust z butelki, po czym przygląda mi się zupełnie obojętnie. Jakbym patrzyła na maszynę.

– King mówił ci, że się dzielimy?

– Spierdalaj, Kohen – ucisza go King z żądzą mordy w oczach. Następnie wszyscy kierują swoją uwagę z powrotem na Delilę.

– Uważam, że powinniśmy podjąć walkę z Patience. To pierwszy raz, kiedy próbowali nadepnąć nam na odcisk, wykorzystując przy tym jednego z naszych. Tak czy inaczej...

– Ach tak, pogadajmy o naszym małym Jacku. Gdzie on jest?

– Nie żyje – odpowiada błyskawicznie King.

Ojciec rzuca mu spojrzenie.

– Czysto rozwiązaście ten problem? Oby nie odbiło nam się to czkawką. Dosłownie od dziesięcioleci żyjemy w cieniu. Nie pozwolę, by to się zmieniło, bo zaczęłeś myśleć kutasem.

– Czysto – zapewnia King. – Zdradził nas i skontaktował się z Patience. Nie wiem, jak długo dla niej pracował, ale na pewno od jakiegoś czasu.

– Jack skrzywdził Perse, kiedy była już pod naszą opieką. I dlatego, moim zdaniem, należało wyrwać ten chwast. On i jego matka byli ćpunami. Postanowili więc skorzystać z okazji i porwać Perse, spodziewając się wielkiego okupu. W końcu jest jedną z Kiznitch, córką Hendrych.

Słyszę jakieś dyskusje w tle. Spoglądam więc na Kinga i zauważam, że on patrzy na mnie. Skupiam wzrok na jego delikatnych ustach, dołeczkach w policzkach i idealnym nosie.

Chcę tego. Ciebie – mówię bez słów.

Nie, kurwa, nie chcesz – odpowiada.

– Gdzie w ogóle są nasi Bracia? – pyta Delila, rozglądając się po salonie.

– Nie zjawią się. Zgadają się na to, na co ja się zgadzam – zwraca się do niej King.

Delila kiwa głową.

– A więc ustalone? Obmyślimy plan?

– Synu – wtrąca się ojciec Kinga – możemy na słówko?

King ściska porozumiewawczo moją dłoń, po czym wstaje, a następnie razem z ojcem znikają za drzwiami.

Rozdział 41

King

Kiedy tylko znikamy wszystkim z oczu, tata się do mnie odwraca.

– Wiesz, co robisz? Czy podjąłbyś tę samą decyzję, gdyby nie ona?

Zastanawiam się nad jego pytaniem, choć jestem już dość pewny odpowiedzi. Zawsze będę robił to, co najlepsze dla Braci z Kiznitch. Zawsze. Tak mnie wychowano i z tego powodu zastąpię mojego ojca po jego śmierci – ponieważ podejmowanie decyzji dotyczących rodzin, a zwłaszcza mojej, nie sprawia mi problemu.

– Tak – odpowiadam, wyciągając paczkę papierosów z tylnej kieszeni. Wkładam jednego do ust i zapalam moją zippo, zadowolony, że wciąż mam tę zapalniczkę. Wypuszczam kłęb dymu.

– Że też w ogóle o to pytasz, tatku.

– Słuchaj – wzdycha, a ja od razu domyślam się, co to będzie.

Czeka mnie wykład o tym, jak stresuję mamę, i o złym uroku, jaki nosiły w sobie bliźniaczki Hendry z powodu ich matki-wiedźmy. Bo ona dosłownie parała się czarną magią. Kiedy nasi rodzice byli młodszy, określała się mianem „białej wiedźmy”. Ludzie wierzyli, że potrafiła uzdrawiać, a tak naprawdę rzucała klątwy na każdego, kogo dotknęła. Nie były to oczywiście prawdziwe zaklęcia, ale ci, którzy korzystali z jej usług, byli potem postrzegani nieprzychylnie przez innych. To dlatego tak wiele osób w Midnight Mayhem trzymało się z daleka od P. Sam jednak nie wiem, o co im chodziło. Może wierzyli, że samą swoją obecnością ściągnie na nich pecha.

Kiedy natomiast tamta wiedźma dowiedziała się o Dove i P, popadła w jakiś przesycony złem obłęd.

– Wiem, jak wiele ona dla ciebie znaczy. Całą waszą czwórkę połączyła ta pokrecona więź. Winię za to twoją matkę i jej słaby gust w doborze przyjaciół – oświadczają ojciec.

Moją mamę zawsze łączyła zażyłość z ojcem P. To dlatego praktycznie dorastaliśmy razem. Nie wiem, czy mieli romans, ale to

nie ma tu znaczenia. W tym świątku wszystko jest możliwe. Małżonkowie bardzo rzadko pozostają sobie wierni.

– Twoja matka martwi się, że podejmiesz przez to złą decyzję.

Przewracam oczami, wydmuchując dym.

– Mama powinna wyluzować. Starzeje się i przydałoby się jej jakieś nowe hobby. Może niech weźmie mojego astona martina, którego tak chciała.

Cichy śmiech taty przechodzi nagle w donośny rechot.

– Rany, wy naprawdę wpędzicie ją do grobu.

Wzruszam ramionami.

– To wszystko?

– Nie. – Odchrząkuje. – Czy to, co jest między wami, to coś poważnego?

Zamieram. Nie chcę zaprzeczać, ale nie chcę też potwierdzać.

– W tej chwili wszystko jest tak, jak być powinno.

Tata patrzy mi w oczy, znajdując odpowiedź między słowami, których nie wypowiedziałem.

– Przyrowadź ją na Wigilię. Na pewno będziemy mieli komplet gości, jak co roku.

Ponownie wzruszam ramionami.

– I tak bym ją przyprowadził. Delila za bardzo się do niej przywiązała.

– Tylko Delila? – Tata unosi brew. W tym momencie zjawia się właśnie Delila.

– Jeśli już skończyliście, jesteśmy gotowi kontynuować rozmowy.

Obaj śmiejemy się cicho, a ja wracam do salonu. Nagle jednak nieruchomieję na widok P siedzącej na sofie i żartującej z Kohenem. Co, do kurwy? Przecież on w ogóle nie jest śmieszny. Pod tym względem mógłby chyba konkurować z Jokerem.

Patrzę, jak rozbawiona odchyła głowę i obnaża zęby. Dostrzegam dołeczek w jej lewym policzku. Nagle poważnieję, gdy P wyciąga z kieszeni złożony kawałek papieru i podaje mu go. Kohen bierze kartkę do rąk. Kiwa do dziewczyny głową na znak wdzięczności, po czym składa kartkę ostrożnie z powrotem, by schować ją w kieszeni. Wiem, co czuję do P, ale to nie moje uczucia do niej stanowią problem. Przeraza mnie to, co byłbym gotów dla niej zrobić. A niełatwo mnie przestraszyć.

Powoli siadam obok P, która kładzie mi nogę na kolanach. Opieram się wygodnie o oparcie, przesuwając palcem po swojej górnej wardze. Obserwuję, jak rozmawiają z Kohenem i płynnie przechodzą od zdania do zdania. Kiedy Delila prosi o uwagę, Kohen odwraca się i puszcza do mnie oczko przez ramię.

Skurwiel.

Choć do pewnego stopnia ufam bratu, to w kwestii P tak naprawdę nie ufam nikomu.

– A zatem ustalone – mówi Delila, klaszcząc w dłonie. – Przygotujemy plan odebrania im władzy, którą, jak im się wydaje, zdobyli.

– I co takiego zrobimy? – odzywa się moja mama bez oglądania się na kogokolwiek.

Przypomina Mroczną Królową. Nikt nie jest w stanie wyprowadzić jej z równowagi oprócz mnie, mojego brata i ojca. Wszyscy inni trzęsą się ze strachu w jej obecności – nie bez powodu. Słyszałem dość ponure plotki o tym, co zrobiła, żeby zwrócić na siebie uwagę ojca.

Delila uśmiecha się szeroko.

– Może zaczniemy od zamknięcia w klatkach ich najlepszych wykonawców?

– Tuż przed świętami? – pyta Maya z uniesioną brwią. – To dość ostre. Nawet jak na ciebie, matko.

Delila raczy ją kpiącym uśmiechem, po czym zwraca się do reszty:

– Okres przedświąteczny zawsze napawa mnie poczuciem... lekkości.

– Mam lepszy pomysł – odpira Maya, opierając się na łokciach. – Wprowadźmy w ich szeregi kogoś z nas, kogo nie znają.

Zamieram.

Delila odpowiada jej stanowczo:

– Wiedzą, że jesteś w Mayhem, Mayu. Przestań już gadać. Od tej trawki miesza ci się już w mózgu.

– Nie miałam na myśli siebie – Maya przewraca oczami – lecz kogoś nowego!

O nie.

Rozdział 42

P

– Nie, kurwa, nie ma mowy. – Delila spogląda na Mayę, a potem na mnie. Podchodzę do Saskii i Callan, by zasłonić je sobą. – Nie.

Kiedy dałam Kohenowi ten rysunek gołębiczy, okazało się, że miałam rację: to miało coś wspólnego z nim i moją siostrą. Nie dowiedziałam się jednak co, ponieważ gdy go zobaczył, natychmiast zamilkł. Schował go tylko z uśmiechem do kieszeni. Czyżbym tym samym zasłużyła na uśmiech od tego, który podobno nie ma duszy?

– No dobra! To może zrobimy tak... – proponuje Delila – zastanowimy się nad tym ponownie po Nowym Roku. Fakt jest taki, że coś się dzieje i musimy odzyskać kontrolę. – Zerka na Mayę, po czym raczy mnie łagodnym spojrzeniem.

Dostrzegam przeprosiny w jej oczach. Czyli już ustalone. Jedno z mojej ekipy przeniknie w szeregi wroga, a ja chuja mogę z tym zrobić.

Kurwa!

– Muszę potaćzyć. – Odwracam się na pięcie i wychodzę, mijając wszystkich dorosłych. Kocham Delilę za to, że się mną zaopiekowała i wzięła pod swoje skrzydła, ale nie zgadzam się na wysłanie do piekła którejs z moich dziewczyn lub Kenana. Nigdy się na to nie zgodzę.

Otwieram drzwi i zauważam, że mój harem idzie za mną.

– Wszystko w porządku, Perse? – pyta Saskia, doganiając mnie.

– Tak. – Idziemy do obozowiska. – Po prostu muszę potaćzyć, odreagować.

Kenan podchodzi do mnie z drugiej strony wraz z Callan, która stwierdza:

– Wiesz, nie obrazimy się, jeśli któreś z nas będzie musiało odejść.

– Jebać to! – odpiera Kenan. – Słyszałaś cokolwiek o Patience?

Przechodzimy przez przesiekę i skręcamy w kierunku namiotu. Mam tam trochę ciuchów.

– Nie słyszałam – wyjaśniam obojętnie. – Samo imię tak, ale jakoś nie miałam czasu zapytać, kim ona jest.

– Patience to nie osoba. To widowisko. Podobne do tego Braci z Kiznitch, tylko nie organizują pokazów. To znaczy organizują, ale wszystko odbywa się pod ziemią i tylko w jednym celu – odpowiada Kenan.

Otwieram drzwi.

– Jakim?

– By sprzedać wykonawców.

Zamieram.

– Ja pierdołę!

– No – mamrocze Callan. Wchodzę za nią do środka. – Zaczęło się od kilku osób oburzonych tym, że nie wybrano ich do Midnight Mayhem. I tak z czasem grono się powiększyło. Wygląda na to, że handel ludźmi, a w szczególności dziewczynami, przynosi więcej kasy niż pokazy Midnight Mayhem.

– Naprawdę? – Mrużę oczy. – Przecież dwanaście kawałków to nie jest mało.

– Tyle płacą? – pyta zszokowana Saskia. – Sporo.

– Wiadomo – strofuje ją Kenan. – W każdym razie raz w miesiącu organizują pokaz w nieokreślonej lokacji. A przychodzą na nie najbardziej wpływowi ludzie w Ameryce. Zdziwiłabyś się, kogo można tam spotkać. Dowiadują się, co i jak na kilka godzin przed. Reszta to historia. Jeśli o mnie chodzi, to pojebana sprawa. Wiem, że Midnight Mayhem też nie jest idealne, ale przynajmniej trzymają się jakichś zasad.

– Ech. – Wzruszam ramionami. – Niby tak, ale w gruncie rzeczy to nie.

– Czemu? Chodzi ci o seks? – Kenan łapie się za kutasa i odchyła głowę do tyłu, przygryzając dolną wargę.

– Nienormalny jesteś. – Kręcę głową.

Puszcza do mnie oczko.

– Przebierzcie się.

Wciąż śmieję się pod nosem, kiedy oddalam się od nich i znikam za kulisami. Tam odnajduję moją torbę sportową, którą ukryłam pod

krzesłem. Wyciągam z niej podarte boyfriendy i przyciętą koszulkę Calvina Kleina. Choć jeansy są na mnie sporo za duże, mam na tyle wydatny tyłek, że jakoś nie spadają mi z bioder. Wracam na scenę, związując włosy na czubku głowy. Zmieniam jednak zdanie i rozpuszczam je ponownie.

Jay krzyczy do mnie z budki DJ-a, więc macham mu, aby włączył jakiś miks.

Z głośników odzywa się *The Birds Part 2* The Weeknd. Zaczynam falować ciałem i przemieszczam się powoli po scenie. Odchyłam głowę do tyłu tak, aby przyjąć niemal nieludzką pozę, po czym wracam na brzeg sceny. Wczuwam się w muzykę. *On nie chce od ciebie niczego takiego. Wciąż jesteś irytującym dzieciakiem, z którym utknął na resztę życia.* Wykonuję okrężne ruchy głową, machając włosami. Ujeżdżam powolny rytm piosenki z ręką na brzuchu. Przesuwam ją w dół spiętych mięśni. Wraz ze zmianą kawałka, który przechodzi płynnie w *The Dark of You* Breaking Benjamin, zmieniam swoje ruchy na ostrzejsze, bardziej hip--hopowe. Piosenka okazuje się jednak powolna, co wybija mnie z rytmu. Dosłownie. Niespodziewane tempo sprawia, że waham się nieco. Robię więc kilka kroków wstecz, by ponownie poczuć rytm i go wykorzystać. Zaczynam krążyć po scenie baletowymi ruchami, wykonując przy tym szpagaty na stojąco i kołysząc się. Gdy rozbrzmiewa refren, łapię się za głowę, po czym obracam nią, uwięziona w piosence. Choć jestem już złana potem, muzyka nawadnia mnie ponownie. *Wszystko, tylko nie Breaking Benjamin.* Padam na scenę i podnoszę się. Jakie to dziwne uczucie: wykonywać ruchy baletowe w nieodpowiednim stroju. Następny refren. Staję wyciągnięta jak struna i układam stopę na wewnętrznej części uda, tak aby przejść do piruetów. Obracając się wokół własnej osi, osuwam się na ziemię, podczas gdy z głośników odzywa się *Lalala*. Wnikam więc w kolejną piosenkę. Potrząsam tyłkiem i widzę, że pozostali dołączają do mnie. Roześmiani zaczynamy improwizować.

Kenan próbuje chwycić mnie za biodra. Nie mam nic przeciwko i wychodzę mu naprzeciw. Szczególnie że zaczyna grać *In Those Jeans*, więc nasz taniec przeradza się w pokaz Kenana i Perse. Zaczepia palce o szlufki moich spodni, przyciągając mój tyłek do

swojego krocza. Pochyłam się, kręcąc pośladkami i ocierając się o niego.

Dobrzeeee.

Śmieję się, po czym przygryzam dolną wargę. Sunąc po jego ciele, prostuję się powoli. Teraz on przyklęka przede mną i zanurza twarz między moimi nogami, na co ja chwytam go pod ramieniem, żeby paść przed nim z falującymi na boki rękami. Okrążam go zalotnie, by nieco się z nim podrażnić, a następnie podkręcam atmosferę, łapiąc się za krocze i wykonując ciałem sugestywne ruchy. Wraz z początkiem refrenu on wślizguje się między moje nogi ponownie.

Wybucham na to śmiechem i daję Jayowi znać, by wyłączył muzykę.

Kiedy zapalają się światła, moim oczom ukazuje się King siedzący w pierwszym rzędzie. Ma naciągnięty na twarz kaptur. Obok niego znajduje się Kyrin, który szepcze mu coś do ucha. On natomiast mierzy wzrokiem Kenana od stóp do głów. Mam nadzieję, że w czysto seksualnym kontekście.

– Cześć – mamroczę, zerkając na Kinga.

A on wstaje i wychodzi.

– King! – wołam, biegnąc za nim.

Ignoruje mnie. Gdy wychodzimy na zewnątrz, łapię go za ramię i śmiechem próbuję dać mu do zrozumienia, że to przed chwilą nic nie znaczyło.

– Hej!

Odwracam się i rzuca mi surowe spojrzenie.

– Co, P?

Zamieram zaskoczona.

– O co się znowu wściekasz?

Ciągnie się za włosy.

– Wszystko się pojebało.

Chwyta mnie za ramię, po czym zaciąga do swojego kampera. Wchodząc do środka, mam wrażenie, jakbym cofnęła się w czasie. Te zapachy, wystrój. Mój mały przedział z tyłu. Czuję się, jakby minęły lata. Zaczyna chodzić w kółko po kuchni, a ja siadam niepewnie. King jest jak tykająca bomba zegarowa. Tylko że kiedy eksploduje, tym, których kocha i z którymi jest blisko, nie staje się krzywda.

– Wiesz, na czym polega to życie, P? Ale tak naprawdę? – Zatrzymuje się nagle przede mną.

– Nie? To znaczy: niby tak, ale chyba nie do końca. Mam nadzieję nauczyć się wszystkiego z czasem. King, to przecież moja rodzina. Ty jesteś moją rodziną. Podobnie jak Bracia. A Delila równie dobrze mogłaby być moją matką.

Kręci głową i z westchnieniem siada na kanapie. Podryguje nerwowo kolanem, zwieszając głowę.

– Miałaś rację, nazywając mnie kłamcą – odzywa się tonem łagodnym, choć mocnym jak smakowity koniak, którego zbyt duża dawka może okazać się jednak śmiertelna.

– Co masz na myśli? – pytam, po czym przyklękam przed nim i kładę mu ręce na ramionach.

Spogląda na mnie.

– Naprawdę kurewsko mocno cię pragnę, P. Pragnąłem cię, odkąd byliśmy małolatami, jakkolwiek zjebanie by to brzmiało. Wali mnie to. Po prostu cię, kurwa, pragnę.

– Jestem tu – odpowiadam cicho. Chcę, by wziął mnie w ramiona i zapewnił, że nasze życie się ułoży i wszystko będzie dobrze. Wiem jednak, że tego nie powie, ponieważ tak naprawdę, to niemożliwe.

Serce zaciska mi się w piersi.

– Nie mogę znów cię stracić, King.

Bierze głęboki wdech i opiera się na oparciu z nasuniętym na głowę kapturem. Wnętrze kampera spowija półmrok zapadającego już zmierzchu.

– Nie mogę się tobą dzielić, P. Nigdy. Nawet jeśli nie jesteś oficjalnie moja, to uważam cię za swoją. Zawsze tak będzie. Nie jestem w stanie normalnie funkcjonować, wiedząc, że chodzisz po tym świecie z kimś innym u swojego boku. Nie ma mowy, żebym się tobą, kurwa, dzielił.

– Co? – Odsuwam się. – A co to ma z czymkolwiek wspólnego?

Wstaje, by poszukać czegoś w szafce. Wyciąga butelkę Grey Goose i nalewa sobie szklankę.

Odwraca się do mnie, po czym wypija jednym haustem.

– Chodzi o pokaz finałowy. Zawsze musimy w nim uczestniczyć. Naprawdę myślisz, że podoba mi się wizja facetów śliniących się na

widok ciebie w niedwuznacznych pozycjach, nawet jeśli byłabyś tylko ze mną? Na samą myśl o tym dostaję zwierzęcego szału.

Wstaję i podchodzę do niego tak, by nasze buty się zetknęły. Trampki z wojskowymi.

Obejmuję go za szyję, jednak dotyk ten nie wzmacnia mojego bólu, a jedynie napełnia pustkę we mnie łatwą do strawienia treścią.

– Poradzimy sobie z tym.

Odpycha mnie.

Unoszę jego twarz ku sobie i gładzę go palcami po policzku.

– Jeśli masz zamiar znowu ze mnie zrezygnować, to się pierdol, King. Pierdol. Się.

Wybuch sarkastycznym śmiechem.

– Tak to odbierasz, P? Kurwa, jest wręcz odwrotnie.

– To znaczy?

Nagle drzwi za nami się otwierają, ale żadne z nas nie reaguje. Ciszę wewnątrz wozu rozdziera muzyka.

– No, King? – upominam go.

Zbliża się do mnie, aż nasze usta spotykają się w pocałunku.

Wstrzymuję oddech.

– Bo możesz żyć beze mnie. – Po tych słowach opuszcza kampera, zostawiając mnie zdezorientowaną.

– Wszystko okej, Perse? – pyta Saskia.

Odwracam się do niej.

Ma na sobie dopasowany top i obcisłe jeansy. Świetny makijaż podkreśla jej szalenie niebieskie oczy.

– Tak – odpowiadam z westchnieniem. – Musi być. – Choć jestem zła. I to kurewsko, bo mam wrażenie, jakbyśmy właśnie zrobili w tył zwrot w naszej relacji.

Pragnie mnie. Wiem to. Nie ponieważ tak mówi, lecz poznaję to po tym, jak iskrzy między nami, gdy tylko się do siebie zbliżymy. Jakby zaraz miała nastąpić eksplozja. On jest lodem, a ja ogniem – reszta żywiołów pomiędzy tymi dwiema skrajnościami się nie liczy.

Saskia podaje mi drinka, którego natychmiast wypijam. Smaczny. Jak napój imbirowy, tylko z wódką.

– Chodź. Wszyscy zebrali się już w jamie, dobrze mówię? – Unosi idealną brew.

– Tak – odpowiadam rozbawiona, biorąc ją pod rękę. – Imprezowa jama. A jak ci się podoba twój pierwszy tydzień z Mayhem?

– Szczerze mówiąc, nie bardzo.

Parskam śmiechem. Wychodzimy z kampera Braci i podążamy za dźwiękami muzyki. Po chwili docieramy do ogniska, wokół którego siedzą już inni.

Dopijam drinka i zwracam się do Saskii z pytaniem, skąd załatwić dolewkę.

Dziewczyna siada sama, nieco z dala od tłumu. Kiedy Killian próbuje się do niej dosiąść, ona się odsuwa. Bawi mnie, jaki jest tym zdezorientowany.

– Ej! – woła, kiedy wypijamy drugiego drinka i robię sobie trzeciego. – Co jest? Od kiedy to nie jestem w stanie wyrwać laski?

– Tej na pewno nie wyrwiesz – odpowiadam, przyglądając się Saskii, która siedzi na kamieniu i ze spokojem, w pełni usatysfakcjonowana własnym towarzystwem, obserwuje ogień.

– No ale dlaczegooo? – jęczy jak dzieciak.

– Fuj. – Klepię go po gębie. – Przestań natychmiast. Nic ci się nie stanie, jeśli nie poruchasz przez jedną noc.

Wydyma dolną wargę, jakby się obraził. Wiem, że w zamierzeniu miało to wyglądać śmiesznie, ale ponieważ to Kill, to wyszło raczej uroczco. „Raczej”, bo jednocześnie jest cholernie irytujący. Wypijam trzecią szklankę i nalewam sobie kolejną, ignorując śmiechy za sobą, po czym siadam między Mayą a Rose.

– Witam panie!

Rose przewraca oczami.

– Co to, masz nowych przyjaciół i już się z nami nie kumplujesz?

Trącam ją żartobliwie.

– Przestań, wcale nie.

Rose chichocze, popijając drinka.

– Cholera. Już nie mogę się doczekać świąt u Axtonów.

Wypijam jeszcze dwa, po czym zabieram Mayi flaszkę i wychylam parę łyków.

– Nie mów tak. Na samą myśl przechodzą mnie ciarki.

Maya zabiera mi butelkę z powrotem.

– Potrzebuję tego bardziej niż ty.

Podążam wzrokiem za jej spojrzeniem: Killian zagaduje teraz Callan.

– O Boże...

Maya wzrusza ramionami.

– Przyzwyczaiłam się.

– Jak to właściwie jest między wami? Nie rozumiem tego.

Śmieje się, patrząc na mnie i moją szklankę.

– Bo jesteś pijana czy dlatego, że chodzi o Killiana i mnie?

– Sama nie wiem. – Dopijam drinka. – Chyba jedno i drugie.

– No cóż... – wzdycha. – Byliśmy najlepszymi kumplami od kołyski. Papużki nierozłączki. Ale jesteśmy tylko przyjaciółmi. Kiedy byłam młodsza, był taki okres, że uprawialiśmy seks. Chciał być moim pierwszym i ja też tego chciałam. Ale potem odstawiliśmy się nawzajem do *friendzone*. Tylko że podczas gdy on odstrasza każdego, kto się do mnie zbliży, ja widzę go co rusz z kimś innym...

– Wygląda na to, że chłopaki wypracowali sobie pewien schemat.

Maya uśmiecha się, ale nie widzę radości w jej oczach.

– Nie, z Kill'em jest inaczej. Po prostu mu nie zależy.

– Hej, Perse! – Keaton macha do mnie swoją wielką, napakowaną, wytatuowaną, demoniczną ręką. Jedną z rzeczy, jakie zauważyłam w Keatonie, jest to, że z nikim nie rozmawia. Dosłownie z nikim oprócz Braci i Delili. Wszystkich innych ma w pogardzie. Cieszę się, że nie było mi dane ujrzeć jego zwierzęcej strony, bo już taki jest dostatecznie przerażający. A ten świeży zarost tylko potęguje to wrażenie.

– Tak, najdroższy bracie? – Siadam obok niego.

Kręci głową.

– Pośpiewamy?

Spoglądam na Kinga siedzącego naprzeciwko nas z naciągniętym na głowę kapturem. W ręku trzyma butelkę whisky, a jego martwe oczy wysysają całą energię z otoczenia i kierują ją wprost we mnie.

– Jasne! – odpowiadam lekkomyślnie.

Zaczyna nucić wstęp do *Ocean Eyes* Billie Eilish. Trochę zbija mnie tym z tropu, ponieważ wolałabym, żeby zaintonował coś innego, co mogłabym zaśpiewać z nim, a nie sama. Tak czy inaczej, przystaję na to, a kiedy śpiewam refren, mimowolnie spoglądam na Kinga.

Wszyscy wokół nas znikają jak we mgle. Jesteśmy tylko my i iskrząca między nami energia. Nie ruszam się, nie odrywam od niego wzroku aż do końca piosenki. Wtem Keaton trąca mnie, mówiąc:

– Co za głos.

Śmieję się, ale pomimo tej maski czuję ukłucie samotności w sercu.

King kiwa głową, unosząc szklankę do ust.

Wstaję i podchodzę do niego. Ponieważ tego chcę. Jego. Nie przeszłam przez to wszystko po to, żeby teraz go stracić.

Stoję przed nim, na co rozchyła kolana i odchyła głowę do tyłu. Widzę w jego oczach, co chciałby, abym zrobiła. Obejmuję go więc za szyję, po czym dosiadam go.

Kiedy się tak na nim sadowię, zanurza twarz w mojej szyi.

– Kurwa, przepraszam – mówi niewyraźnie, co jednak nie przeszkadza żadnemu z tych słów dotrzeć wprost do mojego serca.

– W porządku – szepczę, masując mu głowę.

Zerka na mnie, a ja przywieram ustami do jego warg. Odwzajemnia delikatne pocałunki, muskając językiem moje usta.

Słyszę, jak wszyscy za mną biją brawo. Odpowiadam im środkowym palcem.

King odsuwa się ode mnie, by spojrzeć mi w oczy.

– Nie mogę pozwolić, żebyś występowała w pokazie finałowym. Kropka. Będziemy musieli omówić to z Delilą.

– Nie spodoba jej się to – odpowiadam.

King odwraca się do pozostałych, wsuwa palce do ust i głośno gwizdże. Muzyka cichnie.

– Ej! Ktoś jeszcze myśli nad znalezieniem sobie laski i zakochaniem się w niej, by potem patrzeć z żądzą mordu na każdego skurwiela, który dotknie jej podczas pokazu finałowego?

Pozostali milkną, a ja wstrzymuję oddech.

Co on właśnie powiedział?

Ciągnie dalej:

– Czyli rozumiecie, że nawet jeśli znajdziecie miłość w Midnight Mayhem i tak musicie wymachiwać chujami ku ucieście gawiedzi w pokazie finałowym? Nikomu z was nie będzie to przeszkadzać? Nie będziecie powoływać się na nasz związek z P, żeby się wykręcić?

Wszyscy potakują, mamrocząc pod nosem.

To chyba nie fair wobec nich... No bo nikt z nich nie jest na razie zakochany. Odwracam się przez ramię, by spojrzeć na Mayę, która wpatruje się w Killiana i woła:

– Zgoda!

Jezu.

Zaraz. Chwila.

– No i elegancko! – King ściska mocniej mój tyłek i ponownie skupia całą uwagę na mnie. – Czyli mamy podstawę do negocjacji.

– Powiedziałeś „zakochać się w niej” – szepczę, patrząc mu głęboko w oczy.

Nieruchomieje.

– A co? Pamiętasz, jak za małolata wyjadłaś mi cały zapas ciastek? Wnerwiłem się, ale już wtedy wiedziałem, że Kocham tę upierdliwą gówniarę.

Wciągam wargę między zęby i uśmiecham się przekornie.

– Kochasz mnie?

Odrzuca głowę do tyłu i spławia mnie:

– Zmiataj, dziewczyno.

– Słyszałaś to, prawda? – zwracam się do siedzącej obok nas Saskii, która odpowiada ze śmiechem:

– Tak!

Całuję go, ocierając się o jego kutasa.

– Dobra, możemy już iść do łóżka?

Podnosi mnie i zaczyna nieść w kierunku kampera. Wtem znowu rozlegają się brawa i gromki okrzyk:

– Nareszcie!

– Załatwcie sobie oddzielnego kampera! Nie mam zamiaru znosić tych hałasów! – wykrzykuje roześmiany Killian.

Nie obchodzi mnie to. Znowu mam Kinga w ramionach. Choć nasza podróż była wyboista, musieliśmy ją odbyć. Każdy zakręt i przeszkoda, na które natrafiliśmy, pomogły odkryć nam drogę ku naszej przyszłości. Czasami to, czy wiesz, że kogoś kochasz, albo czy ta druga osoba zdaje sobie z tego sprawę – nie ma znaczenia. Niekiedy i tak musisz zawalczyć o tę miłość. Dla niej. Dla obojga. Małżeństwa się rozpadają, ponieważ wiele par nie chce stawić czoła

trudnościom. Miłość to pole walki, a mój rycerz jest czarnym charakterem.

Epilog

King

Umarłem w dniu, w którym straciłem P. Całe moje wnętrze przestało istnieć. Nie chciałem oddychać, ponieważ nie było jej obok i nie oddychała tym samym powietrzem. Wyzułem się ze swojego człowieczeństwa jak żalosny, pojebany wampir i w całości oddałem bractwu. Kiedy jednak do mnie wróciła i zacząłem spędzać z nią czas – pomimo nawet tego, że wziąłem ją za Dove – powoli zacząłem się budzić z tego letargu. Ona nie tylko jest moją bratnią duszą, lecz także lepszą połową.

– King! – woła strofująco P, wchodząc do kuchni i prowadząc za sobą moją mamę.

Próbują się zaprzyjaźnić, ale wydaje mi się, że trochę to potrwa. Matka jest twardą kobietą.

– Przestań. Zezresz wszystkie ciastka, zanim zjawią się pozostali. Przewracam oczami i rzucam ciastko z powrotem na stół.

– Chodź tutaj. – Posłusznie, płynnymi ruchami podchodzi do mnie i siada mi na kolanach.

– A jeśli mnie już nie lubi? – Odwraca się, obejmując mnie za szyję.

– Kto? – Na pewno nie chodzi jej o Ash, bo bez przerwy rozmawiają ze sobą przez telefon.

Mama krzyczy gdzieś z tyłu na uwijających się jak w ukropie kucharzy, aby zdążyli przygotować wszystkie potrawy przed przybyciem gości. Organizujemy tu Święto Dziękczynienia i Boże Narodzenie, więc balanga będzie ostra. Przy tym, jak co roku, moja mama zgrywa jaśnie panią, gdy tylko coś nie idzie po jej myśli.

– Cartier! – Wrywa mnie z zamyślenia P. Odpłynąłem i nie słuchałem jej.

– Jak to? Pokocha cię. Przestań panikować. – Nie kłamię.

Cartier i P, jako równolatki, od małego były najlepszymi kumpelami. Cartier to młodsza siostra Kyrina i zapewne jedyna dziewczyna, na jakiej mu zależy i kiedykolwiek będzie zależeć. Co nie zmienia faktu, że jest nieźle jebnięta. Przez całe życie miała się za księżniczkę, jakby faktycznie nią była.

Otwierają się drzwi frontowe w głębi korytarza, na co mama woła:

– King!

Klepię P w nogę, dając jej znać, by zeszła.

– Gotowa na trochę rodzinnej dramy?

Prycha.

– Jestem do tego przyzwyczajona.

Biorę ją za rękę i obejmuję ramieniem tak, aby znalazła się u mojego boku. Czyli tam, gdzie jej miejsce.

Witamy Killa wraz z rodzicami. Rodzina Cornellii zawsze była kurewsko dziwna. Mijając nas, Kill klepie mnie w tyłek i idzie szukać kogoś, kogo mógłby podręczyć. Tuż za nimi zjawiają się Nerowie, z Kyrinem i księżniczką we własnej osobie: długie, zielononiebieskie włosy, mlecznobiała skóra i bladobłękitne oczy, którymi od razu spogląda na P.

Obejmuje ją drobnymi, wytatuowanymi rękami i przyciąga do siebie.

– Tak się cieszę, że żyjesz, P! – Cartier to jedyna osoba, której pozwoliłem nazywać ją „P”. I to tylko dlatego, że trudno tę gówniarę czymkolwiek wystraszyć.

– Suń się, Cartier. Blokujesz przejście. – Ky natychmiast udaje się na patio za domem. Następnie wchodzi jego rodzice, a po chwili orientują się, że Cartier zniknęła gdzieś z P ot tak.

Kolejni przybywają Cicerowie, czyli rodzina Keatona. Ash wciąż każe niekiedy Keresowi używać jej nazwiska, przez co dochodzi między nimi do spięć.

Rodzina Ash i P jest jedną z najbardziej poważanych spośród potomków Ojców z Kiznitch, ponieważ cała tamtejsza ziemia stanowi tak naprawdę własność jej rodu. My pomogliśmy jej tylko ją odszukać. Dawno temu, kiedy nasi przodkowie osiedlili się tam, doszło nawet do wojny między rodziną Kournikova a Braćmi. Potem zaś Ash wyszła za Keresa. Występowała z nim w kole śmierci i to ona wydrapała asa pik na obręczy. Symbol ten pomagał jej zachować

koncentrację podczas występu. Kiedy zapytaliśmy, dlaczego akurat as, tylko puściła do nas oczko i powiedziała: „Pewnego dnia znajdziecie własnego asa i wtedy zrozumiecie”.

Podaję jej rękę, kiedy mnie mija, i natychmiast przypominam sobie, że miałem ją o coś zapytać.

– Ash!

Zatrzymuje się i odwraca do mnie. Boże, ależ one są podobne z P.

– Powiesz nam wreszcie, co oznacza twój as?

Przestępuje z nogi na nogę, a kiedy Keres znika w tłumie, wzdycha, zakładając ręce na piersi.

– Byłam zakochana w Klausie, King. – Jej spojrzenie łagodnieje. – Był moim asem.

– Takim jak w kartach? – pytam z uniesioną brwią.

Potakuje skinieniem.

– Znasz tę starą legendę. Nie udawaj, że nie grałeś z nią w szóstkę.

– Unosi wymownie brew, jakby już znała odpowiedź.

Bo zna. Zawsze w to gramy z nowymi rekrutami albo po prostu ze sobą.

– Racja, grałem – odpowiadam. – Ale nie wiedziałem, że as pik ma aż takie znaczenie.

Raczy mnie półuśmiechem.

– To tylko mit, Kingston...

Odwraca się, po czym znika. A mnie aż zatyka. Część legendy o mężczyznach z Kiznitch zaczęła się właśnie od pewnej talii kart. Wyglądały zupełnie jak zwykłe karty, ale były specjalnie spreparowane dla pewnego iluzjonisty. Etui talii było czarne z wizerunkami małych niemowlaków-demonów. Były kurewsko przerażające. Szóstkę opracował pierwotnie pra-pra-pra-i-tak-dalej-dziadek Killiana. Jeżeli podczas rozdania wylosowało się asa pik, nic się nie działo, ale jeżeli następnie zdobył go z twojej ręki inny gracz, osoba ta stawała się gwarantem twojego życia lub śmierci. Błogosławieństwem albo cholernym przekleństwem. W przypadku Ash, o ile dobrze rozumiem, padło na to drugie, bo przecież Klaus nie żyje. Jeśli o mnie chodzi, to chyba nigdy się nie dowiem, czy P okaże się moim błogosławieństwem, czy przekleństwem: z jednej strony ogromnie jej pragnę, a z drugiej – byłbym gotów dla niej zginąć. Kurwa, koniec końców to i tak tylko mit. Wszyscy wiedzą, że

cała ta gra opiera się na iluzji, bo w przeciwnym wypadku mielibyśmy do czynienia z magią. Prawda? A magia przecież nie istnieje...

P

Wzdycham, popijając chłodny napój, podczas gdy Cartier gędzi coś obok mnie o kolejnym tatuażu, jaki chce sobie zrobić. Tym razem najwyraźniej na nodze. Jest o wiele piękniejsza, niż zapamiętałam. Zwłaszcza przez te długie, zielononiebieskie włosy.

– Podobno wraz z Kingiem narobiliście niemało kłopotów przez ostatnie kilka miesięcy. – Porusza wymownie brwiami.

Śmieję się cicho z jej uwagi.

– Tak, to prawda. A ty? Nie jesteś w zespole?

Parska śmiechem i ociera usta.

– Myślisz, że mój brat psychol pozwoliłby na to? Najwyraźniej on może być zboczonym pojebem, a ja nie. – Rozbawia mnie tym, aż nie mogę powstrzymać śmiechu.

– Zboczonym pojebem?

Potakuje skinieniem.

– Tak. Zboczonym pojebem. – Nachyla się do Mayi, żeby odebrać jej skręta. – Poza tym nie ciągnie mnie do tego, więc skoro mój brat pełni służbę w bractwie, nie obchodzi ich za bardzo to, czym ja się zajmuję.

Maya zabiera jej jointa.

– Tylko z kim to robisz.

Kyrin siada obok Cartier.

– Czyli, kurwa, z nikim. No nie? – Rzuca spojrzenie swojej siostrzyczce. Jakby opadł ją i objął ponury cień.

– Nie! – odpowiada dziewczyna ze śmiechem, popijając drinka.

– Kurwa mać, Cartier, skup się na tym, co masz robić.

– Skupiam się! – odpiera poirytowana.

Bawi mnie to ich przekomarzanie się. Wtem obok mnie siada Keaton wpatrzony w Cartier. Jednocześnie atmosfera się zmienia i odnoszę wrażenie, jakbym przeszkadzała w jakimś bardzo intymnym momencie.

Cartier trzepocze rzęsami, po czym na jej twarzy pojawia się udawany uśmiech.

– Keats! Jak się masz, moja bestio?

Keaton napina szczękę i spogląda mi w oczy.

– Wszystko w porządku?

Kiwam głową. Rozglądam się dookoła, widząc, że wszyscy wciągnięci są w rozmowy ze sobą: śmiechy, sprzeczki rodzeństw, półnaga mama Killiana siedząca z tyłu, przy kominku.

– Tak – odpowiadam szeptem i odnajduję wzrokiem Kinga. – Nawet lepiej niż w porządku.

Nagle Killian wskakuje na krzesło i gwizdże na palcach, aby przyciągnąć uwagę wszystkich. Kiedy wrzawa milknie, Killian, z nikczemnym uśmieszkiem, przyciąga do siebie Callan.

– Zabawimy się teraz w chowanego: wy się chowacie, a my szukamy!

Wszyscy rodzice przewracają oczami i wracają do rozmów, ale młodzi – zauważyłam, że nie ma tu wszystkich z młodego pokolenia – w milczeniu oczekują na dalsze jego instrukcje.

Z warknięciem rozmasowuję skronie. King obejmuje mnie mocniej w talii i podnosi z krzesła. Przygryza moje ucho.

– Jesteś mi winna cholerne wyzwanie.

Kurwa.

Aftershow

Usiadłam z tyłu, gdzie światła były przytłumione, a widownia cicha. Sama. Daleko. Poza strumieniem reflektora oświetlającego wykonawców. To mój pierwszy raz tutaj. Ale nie ostatni. Bacznie się przyglądałam im i temu, co robią.

Zajadałam się popcornem, sycąc się smakiem masła, kiedy Delila Patrova wyszła na środek sceny. Miała na sobie czarno-liliowy kostium i fedorę. Wyglądała, jakby w ogóle się nie zestarzała.

Przysunęła mikrofon do ust z nikczemnym uśmiechem na twarzy.

– Witamy w Midnight Mayhem. Nie jesteśmy cyrkiem ani wesołym miasteczkiem, a jedyne, czego utraty powinniście się obawiać dzisiejszej nocy, jest wasz rozum...

Podczas gdy światło zmieniło barwę na głęboką czerwień, w tle zaczęła rozbrzmiewać niepokojąca melodia. Jej twarz przybrała jeszcze bardziej diaboliczny wyraz. Sześciu mężczyzn w samych ciemnych jeansach obnażyło się, a siedem kobiet w białej, wiązanej bieliźnie i z puchowymi skrzydłami wystąpiło naprzód. Od razu rozpoznałam tę grupę: Sześć Demonów Piekieł i Siedem Aniołów Niebios. Spod sufitu opadło siedem jedwabnych taśm oraz lin. Z zapartym tchem patrzyłam, jak anioły wspinają się na nie i owijają je sobie wokół kończyn, wykonując akrobacje. Z głośników odezwały się tragiczne tony Threats of Romance Marilyną Mansona. Demony popędziły za nimi i wspięły się na liny. Wreszcie każdy z aniołów został pojmany przez demona, z których każdy był wyposażony w Diabelską Różdżkę, czyli niewielki gazowy palnik. Kiedy jeden z nich podpalił skrzydła swojego anioła, widownia wciągnęła gwałtownie powietrze. Ofiara demona zaczęła krzyczeć i wyć, a jej głos przebijał się przez muzykę. Wreszcie skrzydło spłonęło doszczętnie. Jeden po drugim anioły opadały na ziemię, kuląc się i płacząc. Powiedziabym, że ten widok chwycił za serce – gdybym je miała. Zlane potem demony stanęły za aniołami. Patrzyły na nie czarnymi jak nocne niebo oczami, odznaczającymi się wyraźnie na tle czerwonych twarzy, i uśmiechały się nikczemnie czarnymi jak węgiel

ustami. Z Diabelskimi Różdżkami w ręku mężczyźni hipnotyzowali widzów swoim tańcem. Kiedy jednak piosenka przeszła płynnie w Heaven Upside Down, też Mansona, anioły podniosły się powoli, niczym z popiołów, tym razem odziane w czarną bieliznę i czarne, skórzane obroże na szyjach. Pięć demonów stanęło za pięcioma aniołami, podczas gdy ostatni – za dwoma. Następnie przypięli do ich obroży smycze, pociągając mocno w tył i racząc anioły pieszczotami zadawanymi ogniem, biczami i łańcuchami. Atmosfera stała się mroczna i oczarowująca dzięki migającym czerwonym światłom i dudniącej muzyce. Ogarnęło mnie przemożne, hipnotyczne uczucie. A to dopiero pierwszy spośród wielu przewidzianych dzisiejszej nocy pokazów.

Byłam tu, aby obserwować i chłonąć każdy aspekt widowiska przygotowanego przez Midnight Mayhem... Nikt spośród Braci z Kiznitch nawet nie zdawał sobie sprawy, że byłam tam wśród tłumu. Przyglądałam się. Czekałam. To jeszcze nie mój czas. Ale kiedy nadejdzie, a nadejdzie, rozpętam piekło swoją obecnością...

Podziękowania

Dla mojego męża. Za to, że jest mugolem. Gdybyś nim nie był, to na pewno należałbyś do Gryffindoru przez to, jak miły jesteś. Jak to możliwe, że ożeniłeś się z dziewczyną ze Slytherinu? (Módlcie się za niego).

Dla moich dzieci. Za to, że jesteście najlepszymi wypierdkami, jakie mogłam sobie wymarzyć.

Dla mojej mamy, sióstr, braci i mojego nowego, małego siostrzeńca, Matai! Posiadanie tak niesamowitej i wspierającej rodziny to prawdziwe błogosławieństwo.

Dla Sarah. Za bycie moją mamadżerką. Chyba nie zdawała sobie w pełni sprawy, na co się porywała, kiedy postanowiła zostać moją beta-readerką. Teraz jednak jest nie tylko moją beta-readerką, lecz także osobistą asystentką, mamadżerką, przyjaciółką, terapeutką i osobą, na którą zawsze mogę liczyć.

Dla Chantal. Za bycie najlepszym rozpraszaczem, o jaki mogłabym prosić.

I za bycie moją skałą.

odchrząkuje Nie jestem na to dość pijana...

Dla Anne. Bo zawsze będziesz moją siostrą.

Dla Lyli. Za bycie moją najlepszą przyjaciółką. Jesteś jedną z najsilniejszych dziewczyn, jakie znam. Razem przeszliśmy już chyba wszystko: popełniałyśmy błędy, tworzyłyśmy wspomnienia i płakałyśmy. Nie mogę się doczekać, by zostać Twoją druhną.

Dla Nichole. Za bycie najlepszą kumpelą, o jakiej może marzyć dziewczyna. Za wspólne zapijanie problemów, relaks i oglądanie Netflixa w łóżku. Po pijaku. Pośród stosów papierków po czekoladkach. Jesteś. Jak. Diament.

Dla Leigh. Za przypominanie mi, kim jestem, kiedy nieraz się zapominam. Nie jestem w stanie zliczyć, ile razy mi pomogłaś. Zawsze będziemy razem. ZAWSZE! Tylko nie idź za mną, kiedy się naprujemy, bo znowu się przeze mnie zgubimy.

Dla Tijuany! Kiedy się poznałyśmy, od razu miałam wrażenie, jakbym spotkała dawną przyjaciółkę. Postrzegam nas podobnie jak Dove swoją przyjaźń z Rose w tej książce: nasze dusze znały się na długo przed tym, jak w ogóle dowiedziałyśmy się o swoim istnieniu.

Dla Jacq. Nakłoniłaś mnie do przeczytania najmroczniejszej serii, jaką kiedykolwiek napisano, czym oderwałaś mnie od tworzenia. Tak czy inaczej było warto. Kocham cię.

Dla SUNNY! Po prostu powiedz mi, że jestem wnerwiającą suką.

Dla moich ulicznych królowych, kocham Was. Dziękuję, że macie w sobie to, czego mogłabym oczekiwać od paczki lojalnych dziewczyn.

Dla moich blogerek. Dziękuję za to, że poświęcacie czas na czytanie i recenzowanie mojej twórczości. Doceniam Was bardziej, niż możecie to sobie wyobrazić.

Dla moich czytelników. Nawet gdybym napisała powieść na sto tysięcy słów o tym, jak bardzo Was kocham i doceniam – nadal nie wyraziłabym tego w pełni. Dziękuję, że mi towarzyszycie, trwacie przy mnie i dołączacie do mnie. Dajecie mi inspirację i siłę.

Dla mojej Watahy. Za wasze oddanie – zawyjmy razem.

Dla CrossFitu, bo bez Ciebie popełniłabym chyba morderstwo.

Dla moich hejterów, *macham* heeejjj, dziewczuchooo!

Dla mojego psa, Raze'a. Za codzienne przypominanie mi, że posiadanie husky'ego jest jak wychowywanie stu niemowlaków jednocześnie.

Dla mojego drugiego psa, Sarge'a. Za bycie najtwardszym, najśłodszy i najukochańszym misiaczkiem, jaki mógł nam się trafić. No i za uświadamianie ludziom, że nie powinni bać się pitbulli... Husky to dopiero są kurewsko zdradzieckie potwory.

I wreszcie – dla wszystkich, którzy dają z siebie wszystko i po całym dniu trudów zrzucają wreszcie znoszone buty, by znaleźć chwilę na odpoczynek. Dostrzegam Was. Kocham Was. Myślę o Was. Trzymajcie się.

*Całusy
Amo*

-
- ¹ Arabeska – pozycja ciała w tańcu, w której tancerz stoi na palcach jednej wyprostowanej nogi, a drugą trzyma wysuniętą za ciało, równoległą do podłoża, natomiast ramiona ułożone są w taki sposób, aby tworzyć przedłużenie linii przeciwległej nogi (przyp. red.).
 - ² *Resting bitch face* – wyraz twarzy sprawiający wrażenie, że ktoś jest nieuprzejmy, zirytowany lub poważny, mimo że osoba, o której mowa, ma zrelaksowaną lub obojętną minę (przyp. red.).
 - ³ *Perserva* (z łac.) – kontynuuj (przyp. tłum.).
 - ⁴ *Midnight Mayhem* (z ang.) – chaos o północy (przyp. red.).
 - ⁵ Shaka – gest wykonywany na powitanie wywodzący się z kultury hawajskiej. Używany przez subkulturę surferów. Wykonanie gestu polega na zaprezentowaniu drugiej osobie wewnętrznej strony ręki z wyprostowanym kciukiem oraz małym palcem, przy równoczesnym zwinięciu pozostałych palców tak, aby opuszkami dotykały dłoni; często towarzyszą temu krótkie, energiczne ruchy nadgarstkiem do i od siebie przypominające potrząsanie (przyp. red.).